SERIA POLACY W DZIEJACH PERU

PERU

XIX i XX wieku
w opisach polskich podróżników emigrantów i urzędników

Jacek Knopek
Anna Ratke-Majewska

PERU XIX i XX wieku w opisach polskich podróżników emigrantów i urzędników

P E R U

X I X i X X w i e k u
w opisach polskich podróżników
emigrantów i urzędników

1234075

II egz.

SERIA POLACY W DZIEJACH PERU

P E R U

X I X i X X wieku
w opisach polskich podróżników emigrantów i urzędników

Opracowanie i wybór tekstów:
Jacek Knopek
Anna Ratke-Majewska

Bydgoszcz 2013

Recenzent:
prof. zw. dr hab. Andrzej Chodubski
(Uniwersytet Gdański)

Wydawca:
Przedsiębiorstwo Marketingowe LOGO
na zlecenie
Konsulatu Peru w Toruniu

© Copyright by Konsulat Peru w Toruniu, 2013
© Copyright by Przedsiębiorstwo Marketingowe LOGO, 2013

ISBN 978-83-62097-53-1

Projekt okładki:
Kamil Majewski
Rycina na okładce: Główny plac „Plaza Mayor" w Limie
Rycina oryginalna I. Pawłowskiego
z czasopisma „Wędrowiec", 1881 r. nr 258, s. 360.

Opracowanie i przygotowanie do druku:
PM LOGO Bydgoszcz, tel. (52) 340 18 52

Druk i oprawa:
ABEDIK Bydgoszcz, tel. (52) 327 15 77

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA w Toruniu

Ark. wyd. 13,5

1130086

E. 6072/13

Spis treści

Słowo wstępne 9

Wprowadzenie 11

Konstanty Jelski
OPOWIADANIA Z POBYTU W PERU 13

Władysław Kluger
LISTY Z PERUWII 37

Władysław Kluger
NOWE LISTY Z PERUWII 63

Władysław Kluger
DZISIEJSZA PERUWIA 79

Polsko-Amerykański Syndykat Kolonizacyjny
GOSPODARCZE I KOLONIZACYJNE STOSUNKI PERU 113

Kazimierz Warchałowski
WARUNKI GOSPODARCZE MONTANII PERUWIAŃSKIEJ 131

Adam Jarzyna
PERU – PERSPEKTYWY POLSKIEGO OSADNICTWA ROLNEGO 153

Adam Dudek
POSZUKIWACZE W PERU 179

Kapłani diecezji opolskiej
MISYJNE ZAANGAŻOWANIE
KSIĘŻY DIECEZJI OPOLSKIEJ W PERU 191

Spis map i ilustracji 209

Bibliografia 210

Mapa nr 1. Peru – mapa polityczno-administracyjna
Źródło: T. Oxiński, *Peru*, Wydawnictwo Księgarni I. Rzepeckiego, Warszawa 1939, s. 78

Słowo wstępne

Moja pobieżna znajomość historii polskiej emigracji w zderzeniu z bliższym poznaniem nowożytnej historii Peru nasunęła mi myśl, iż w rozwoju cywilizacyjnym Peru Polacy odegrali szczególną rolę. Są oni jednym z tych narodów (podobnie jak Węgrzy), których miliony żyją poza granicami własnego kraju. Główną przyczyną tego stanu – oprócz częstych zmian granic i rozbiorów – była emigracja z powodów ekonomicznych („za chlebem") i politycznych (po upadku powstań z lat 1830, 1863 i po II wojnie światowej do 1990 r.). Najnowsza fala emigracji to już zupełnie inna kwestia.

Polacy emigrowali do wielu krajów świata: w Europie do Niemiec, Francji, Belgii, Anglii, a także do Ameryki i Australii. Byli również zsyłani przymusowo na Syberię. Wszędzie tam pozostawiali po sobie ślady, najczęściej bezimienne, a czasami związane z wielkimi nazwiskami, emigrantami byli bowiem m.in. Kościuszko, Pułaski czy Domejko. Jednak w Peru nagromadzenie polskich nazwisk jest wyjątkowo duże.

To przekonanie legło u podstaw mojej inicjatywy, aby opracowaniem i wydaniem serii publikacji udokumentować i ocalić w ten sposób od zapomnienia tę szczególną okoliczność. Potrzeba utrwalenia wielkiego wkładu Polaków w rozwój cywilizacyjny Peru jest o tyle pilna, iż następuje dość szybki proces zanikania pamięci w Polsce i w Peru o tych dokonaniach.

Inicjatywa spotkała się z pozytywnym odzewem. Pragnę wyrazić słowa wdzięczności za życzliwość i zaangażowanie władz Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, które desygnowały dr. hab. Jacka Knopka, prof. UMK, z Wydziału Politologii i Studiów Międzynarodowych do wzięcia na warsztat naukowy tej problematyki. Niezwykle cenna jest deklaracja współpracy z dr. hab. Adamem Sudołem, prof. UKW. Dzięki niemu i życzliwości władz bydgoskiego Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego istnieje szansa zorganizowania stałej ekspozycji polsko-peruwiańskiej w Muzeum Dyplomacji i Uchodźstwa w Bydgoszczy, która ukazywałaby zwiedzającym możliwie całą panoramę polskich dokonań w Peru od II połowy XIX w. do lat osiemdziesiątych XX w.

Przedsięwzięcia wydawniczo-publikacyjne (w tym z wykorzystaniem nowoczesnych technik przekazu elektronicznego) oraz związane z Muzeum mają szanse na realizację w najbliższych latach także dzięki zaangażowaniu Ambasady Republiki Peru w Polsce, Ambasady Polski w Limie, w tym również byłych ambasadorów oraz Polsko-Peruwiańskiej Grupy Parlamentarnej

Sejmu (poseł M. Wydrzyński). Cenne są deklaracje przyłączenia się do tych działań moich kolegów Konsuli Honorowych Peru w Polsce: pp. K. Pyrzyńskiego, R. Walasińskiego, prof. A. Krzanowskiego, który od lat z gronem współpracowników prowadzi i dokumentuje badania archeologiczne w Peru.

Bardzo cenne byłoby pozyskanie wymienionych osób jako autorów opracowań monograficznych. Duże znaczenie faktograficzne oraz publicystyczne miałby udział autora ze środowiska naukowego Limy, który przedstawiłby wkład Polaków widziany od strony peruwiańskiej. Mamy tu zresztą świetny przykład – w stulecie założenia pierwszej wyższej uczelni technicznej w Ameryce Łacińskiej (1876 r.) w Limie przez inż. Edwarda Habicha – peruwiański profesor filozofii J.I. Lopez Loria napisał książkę *Polak z peruwiańskiego pomnika*, wydaną przez Iskry i wznowioną w 1999 r.

Polski intensywny wkład w rozwój Peru rozpoczął się w II połowie XIX w., a zainaugurował go inż. Edward Malinowski – budowniczy najwyżej położonej w świecie kolei żelaznej. Peru odzyskało niepodległość w 1821 r. Musiało upłynąć jednak wiele lat wewnętrznych walk i wojen, aby rozpoczął się proces budowania zrębów nowoczesnej państwowości. Polacy na emigracji i w kraju po klęskach powstań narodowych w XIX w. tracili nadzieję na szybkie odzyskanie niepodległości. Oferta rządowych kontraktów peruwiańskich była bardzo atrakcyjna. Również rząd Peru był życzliwie nastawiony do Polaków, na których nie ciążył cień konkwisty, tak źle postrzegany po ostatecznym wypędzeniu hiszpańskich kolonizatorów.

Pożądane byłoby udokumentowanie i wydobycie na światło dzienne udziału Polaków w rozwoju Peru w trzech okresach – od II połowy XIX w. do I wojny światowej, do 1945 r. oraz po II wojnie do końca lat osiemdziesiątych XX w. Należałoby ukazać nasz wkład w kształtowanie i rozwój państwowości peruwiańskiej, w rozwój gospodarki, przemysłu, budownictwa, architektury, w rozwój nauki, oświaty, wkład w dziedzinie kultury i sztuki oraz w kształtowanie się życia społeczno-kulturalnego i religijnego.

Obecny pierwszy tom jest początkiem większej liczby publikacji pod ogólnym tytułem „Wkład Polaków w rozwój cywilizacyjny Peru". Dobrym przykładem do naśladowania jest tu monografia Marii Paradowskiej *Wkład Polaków w rozwój cywilizacyjno-kulturowy Ameryki Łacińskiej.*

Dziękuję prof. Jackowi Knopkowi oraz mgr Annie Ratke-Majewskiej za przygotowanie do druku listów, reportaży, wspomnień i raportów, które wprowadzają nas w klimat spraw peruwiańskich, jako kanwy do monografii tematycznych, które Konsulat Peru w Toruniu chciałby promować w przyszłości.

dr Stanisław Rakowicz
Konsul Honorowy Peru

Wprowadzenie

Dzięki korzystnie rozwijającej się współpracy podjętej między Katedrą Międzynarodowych Stosunków Politycznych UMK w Toruniu a Konsulatem Honorowym Republiki Peru w Toruniu, przy zainteresowaniu Polsko-Peruwiańskiej Grupy Parlamentarnej w osobie jej przewodniczącego posła Macieja Wydrzyńskiego, doszło do zainicjowania badań naukowych, których rezultatem jest oddawana właśnie do rąk Odbiorcy książka. Na jej treść złożyły się listy, reportaże i wspomnienia polskich podróżników i emigrantów, którzy w przeszłości dotarli do tego kraju, a ponadto sprawozdania urzędników oraz historyczne opracowania naukowe, które przybliżyć miały ten kraj w środowisku polskim. Materiały te publikowane były w trudno już dzisiaj dostępnej prasie polskiej, zdeponowane zostały w zasobach archiwalnych bądź upubliczniono je w postaci relacji i wspomnień. Całość opracowania ma dać Czytelnikowi odpowiedź na pytanie, w jaki sposób Peru postrzegane było przez tych przedstawicieli polskiego społeczeństwa, które dotarło do Ameryki Łacińskiej osobiście, bądź było wynikiem zainteresowania tym lądem widzianym poprzez pryzmat dostępnych im źródeł i literatury.

Zainicjowane opracowanie rozpocząć ma nieco szerszy kontekst wydawniczy. Został on pomyślany w taki sposób, aby odtworzyć rolę i działalność polskiej emigracji i Polonii w Peru na przestrzeni ostatnich dwóch stuleci. Rola, jaką wnieśli Polacy w rozwój społeczny, gospodarczy i naukowo-techniczny tego kraju jest niezaprzeczalny, aczkolwiek w Polsce nadal słabo rozpoznany. Stąd też upubliczniony materiał źródłowy ma być punktem wyjścia do dalszej sfery badawczej, której owocem miałoby być przygotowanie biogramów polskiej emigracji i Polonii działającej i tworzącej w Peru, a kulminacyjnym jego dookreśleniem ukazanie, w formie monografii, całokształtu roli Polaków, jaką odegrali oni w historycznej przestrzeni tego kraju i społeczeństwa. Poszczególne opracowania będą ukazywały się sukcesywnie, w miarę zbierania oraz weryfikowania materiału źródłowego, a następnie jego przetwarzania i przygotowywania do druku. W ten sposób publikacje te stanowiły będą pewną całość, oddającą sedno istoty projektu, który wcześniej został zainicjowany.

Na treść podmiotową opracowania składają się trzy nieformalne części. Otwierają je cztery spostrzeżenia na tematy peruwiańskie spisane przez

dwóch autorów na przełomie XIX i XX w. Należeli oni do bardziej charakterystycznych postaci, jakie odwiedziły ten kraj w tym czasie. Później dołączono dokumentację z okresu międzywojennego, kiedy chcąc rozwiązać palący problem przerostu demograficznego na polskiej wsi, planowano rozpoczęcie akcji kolonizacyjnej w kilku rejonach świata, m.in. w Ameryce Południowej. Zamykają niniejsze opracowanie dwa teksty dotyczące relacji PRL z Republiką Peruwiańską. Odnoszą się one do polskiego specjalisty, który został skierowany do pracy na tym obszarze w ramach międzyrządowych uzgodnień oraz duchownych, wyjeżdżających do Ameryki Łacińskiej w charakterze misjonarzy i misjonarek. Ukazano zatem te formy relacji, które w kontaktach polsko-peruwiańskich występowały zdecydowanie najczęściej.

Oddana do rąk Czytelnika książka nie mogłaby się ukazać, gdyby nie wsparcie i zaangażowanie konsula honorowego dra Stanisława Rakowicza, któremu w tym miejscu autorzy opracowania chcieliby oddzielnie podziękować. Jego postawa przyczyniła się początkowo do zainicjowania specjalnego zespołu badawczego, którego zadaniem jest odtworzenie relacji łączących Polskę i Polaków z Republiką Peruwiańską. Udzielony przez konsula grant umożliwił przeprowadzenie kwerendy archiwalnej i bibliograficznej w placówkach warszawskich, a udzielone wsparcie finansowe umożliwiło druk książki. Czynne zaangażowanie się Konsulatu Honorowego Republiki Peruwiańskiej w Toruniu w propagowanie tego typu badań przyczynić się może w przyszłości do wydania kolejnych wartościowych opracowań mających na celu ukazanie miarodajnej roli Polaków i Polonii na ziemi peruwiańskiej.

Jacek Knopek
Anna Ratke-Majewska

Konstanty Jelski

OPOWIADANIA Z POBYTU W PERU*

Konstanty Roman Jelski (1837-1896) był polskim przyrodnikiem, podróżnikiem oraz badaczem Ameryki Południowej. Swą działalnością (zwłaszcza zebraniem bogatych kolekcji zoologicznych i botanicznych w Gujanie Francuskiej oraz Peru) przyczynił się do poszerzenia wiedzy na temat fauny i flory południowoamerykańskiej oraz rozwoju nauk przyrodniczych. Na uwagę zasługują również zgromadzone przez niego w trakcie wypraw okazy geologiczne. W Peru przebywał od roku 1869 do 1879. Po sześciu latach prowadzenia prac terenowych nawiązał współpracę z Janem Sztolcmanem (1854-1928), polskim zoologiem, ornitologiem i podróżnikiem. Badacze eksplorowali razem wybrzeże, podążając na północ od Limy, a także zajmowali się zbieraniem okazów peruwiańskiej przyrody w północnych rejonach kraju. Warto dodać, że podczas pobytu w Peru Jelski utrzymywał kontakty z Polonią peruwiańską, między innymi z grupą polskich inżynierów i naukowców (a wśród nich z Aleksandrem Babińskim, Władysławem Folkierskim, Edwardem Habichem, Ernestem Malinowskim czy Xawerym Wakulskim)**.

Prezentowany poniżej tekst jest fragmentem zbioru niedokończonych przez Konstantego Jelskiego wspomnień z podróży po Ameryce Południowej, które opublikowane zostały po jego śmierci. Przywołana w niniejszej publikacji część spisanych przez badacza opowiadań składa się z dwóch rozdziałów. Pierwszy opisuje podróż z Kajenny (stolicy Gujany Francuskiej) do Peru, drugi z kolei przedstawia przede wszystkim charakter przyrodniczy Limy oraz jej okolic.

* * *

---

* K. Jelski, *Popularno-przyrodnicze opowiadania z pobytu w Gujanie francuzkiej i po części w Peru: (od roku 1865-1871)*, Drukarnia „Czasu" Fr. Kluczyckiego i Spółki, Kraków 1898.

** M. Opioła, *Jelski Konstanty*, [w:] *Encyklopedia polskiej emigracji i Polonii*, [red.] K. Dopierała, T. 2, Oficyna Wydawnicza Kucharski, Toruń 2003, s. 314-315; R. Tarkowski, *Konstanty Jelski (1837-1896). Przyrodnik i badacz Ameryki Południowej*, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Pedagogicznego, Kraków 2011, s. 5-28, 75-126, 240; E.S. Urbański, *Jan Sztolcman w Peru i Ekwadorze*, [w:] Tenże, *Sylwetki polskie w Ameryce Łacińskiej w XIX i XX wieku. Uczeni, literaci, artyści, kler i wojskowi*, Vol. II, ARTEX PUBLISHING INC., Stevens Point 1991, s. 148-150.

CZĘŚĆ DRUGA.

Podróż z Krajenny do Peru. Początek opowiadania o Peru.

ROZDZIAŁ I.

Wyjazd z Kajenny do Limy. – Droga do Martyniki. – Miasto „Fort de France". – Fauna i flora na Martynice. – Mnogość ryb. – Żmija Bothrops. – Spotkanie z p. Łopattą. – Wyjazd na statku »Cesarzowa Eugenia«. – S^{ta} Marta. – Colon. – Panama. – Podróż po Oceanie Spokojnym. – Guayaquil. – Payta. – Callao. Przybycie do Limy.

W wigilię wyjazdu pożegnałem się z przyjaciółmi, a 1go listopada zrana udałem się do portu na parowiec pocztowy »la Guyanne«, płynący z Kajenny do Martyniki.

Przy ujściu rzeki na barze było jeszcze zamało wody, więc na kotwicy oczekiwaliśmy przypływu. Mogłem wtedy rozmyślać o kraju ciekawym, pięknym, bogatym, ale niezdrowym, który opuszczałem na zawsze, a w którym pomimo gorliwego, przeszło 4-letniego zbierania, mnóstwo jeszcze zostawiłem produktów przyrodniczych przezemnie niezdobytych dla zbiorów krajowych.

Jechałem 3cią klasą, ale komisarz statku zalecił umieścić mię na samym przodzie, który wtedy nie był zajęty. Zawinęliśmy do *Demerara* albo *Georgetown*, stolicy angielskiej Gujany, dużego miasta niedaleko ujścia rzeki Essequito. Jakaż to różnica od Kajenny! Już Paramaribo, stolica Gujany holenderskiej, miasto większe, bardziej handlowe i piękniej zbudowane niż Kajenna, lecz *Georgetown* jeszcze wspanialej wygląda. Wiele tu okrętów stało na kotwicy wówczas, gdy w Kajennie za moich czasów więcej nad dwa statki z Francyi przybyłe, było już rzeczą niezwykłą.

Widziałem po drodze *Trinidad*, jakby od stałego lądu oderwaną wyspę. Wydała mi się lichym lasem pokrytą, a grunt jej łupkowaty z warstwami pochylonemi z północy ku południowi.

Grenada także jest górzystą wyspą i zielonością pokrytą. *St. Vincent*, gdzieśmy się zatrzymali, posiada wulkan. *Ste Lucie* której ludność po dziś dzień mówi po francusku, także wulkaniczna wyspa i sławna z wężów jadowitych jak i *Martynika*.

Wszystkie te wyspy bardzo miły i wesoły przedstawiają widok. Morze, opuszczając Gujanę, z szarego stało się zielonem, potem ciemno-zielonem,

butelkowego koloru, tu przy małych Antyllach już było prześlicznego lazurowego koloru. Na tych wyspach uprawiają trzcinę cukrową, kawę, kakao, kokosy.

Ciągle w tej podróży mieliśmy piękną pogodę, a częste wyspy grecki archipelag przypominały.

Wreszcie przybyliśmy do *Fort de France*, głównego miasta na Martynice. Znacznie większe od Kajenny, piękniejsze i regularnie zbudowane. Domy wprawdzie jednopiętrowe i w części tylko murowane, bo trzęsienie ziemi dawne mury zwaliło.

Zamieszkałem w »Café de France«, a przebrawszy się wyszedłem na piękny plac tamaryndami głównie wysadzany, okazałemi drzewami, pochodzącemi z Indyj Wschodnich, a dającemi obfity cień alejom. Jedna strona placu była też wysadzona drzewem Barringtonia o dużych owocach z familii *Lecythideów*, spokrewnionej z mirtami, a tak jak i *Tamarinda* pochodzącemi z Indyj Wschodnich. Właściwością bowiem podzwrotnikowej strefy jest możność przywłaszczania sobie daleko większej liczby obcych piękności roślinnych, niż to w naszej strefie być może. Pośrodku placu wielki pomnik cesarzowej Józefiny, żony Napoleona I, kreolki z Martyniki.

Miasto ma ulice czyste. Cementowanymi rynsztokami po obu stronach każdej ulicy płynie woda tak czysta, że można byłoby napić się jej w potrzebie. Ludność także ubiera się czysto. Znać, że niezbyt daleko jesteśmy od Hawanny, bo dużo tu sklepików, gdzie wyrabiają cygara cienkie a długie, nazywane nie *cigare*, ale *bout*. Po większej części mocne.

Idąc odwiedzić mego dawnego przełożonego w Kajennie, czcigodnego Dra Rioux de Kérangal, spotkałem go właśnie, poznał mię odrazu i uprzejmie przywitał.

W kilka dni potem jeździłem konno z Drem Kérangal do Fontaine Didier i do Fontaine Absalon. Są tam źródła siarczane ciepłe i łazienki dobrze urządzone. Droga wiodła po większej części przez plantacye. Trzcina cukrowa, która rzadko kwitnie w Gujanie, tu obficie kwiatem pokryta, a kwiat jest w kształcie miotełki, podobnej do kwiatostanu naszej zwyczajnej trzciny, tylko że miotełki trzciny cukrowej bardziej sute. Okolice cieplic jeszcze lasem pokryte, a tu i ówdzie paproć drzewiasta, od innych drzew niższa; dużymi, drobno rozstrzępionymi liśćmi pięknie się wyróżnia pośród ogólnej zieloności. Z gujańskich roślin spotykałem tu niektóre trawy i Melastomy. Te ostatnie rośliny każdemu wpadną w oko dla ciekawego użyłkowania liści, jakie niewiele tylko innych roślin posiada. Zamiast bowiem żyłki głównej na obie strony rozgałęzionej mają kilka, 5 albo 7 nerwów podłużnych, wychodzących wszystkie z ogonka i mniej lub więcej łukowato zgiętych, a zmierzających ku wierzchołkowi liścia. Te nerwy podłużne połączone są poprzecznemi żyłkami.

Rośliny z rodziny pieprzu mają takież użyłkowanie, ale węzłowate łodygi i zamiast pięknych białych, różowych lub fioletowych kwiatów i jadalnych jagód mają kwiatostan zebrany w zielone wiszące kotki.

Po większej części jednakże były tu rośliny od gujańskich odmienne. Przy Fontaine Absalon rosła wijąca się *Aristolochja* o kwiecie olbrzymim bardzo śmierdzącym. W górach tu roślinność bujna, widoki piękne, a źródła prawie na każdym kroku. Wierzchołki gór w części obłokami zakryte i wielkim lasem porosłe. Tu nie ma tego skwaru jak na dole w Fort de France, owszem, dla cierpiących Europejczyków na wyżynie wygodny wypoczynek jak w klimacie umiarkowanym. Na stoku góry jest zakład dla chorych żołnierzy, którzy tu przez parotygodniowy pobyt odzyskują siły, jak gdyby we Francyi ten czas przebyli. Jarzyny europejskie udają się tu doskonale.

Ze zwierząt widziałem po drodze czarnego drozda z samicą szarą, podobnego zatem do naszego kosa, gatunek szarego wróbelka. Cukrowiec, ptaszek z wierzchu szary, pod spodem żółty z białym paskiem ponad okiem i ostrym zakrzywionym dzióbkiem, pokrzewka żółta i 3 gatunki kolibra, tak zwany granat, drugi czubaty i trzeci zielony do jednego z kajeńskich podobny. Na wyżynach przy strumykach liczne ziemne kraby, spłaszczone, zwane tu *sirik* i niejadowity wąż czarny z białymi po bokach pasami, zwany tu *la coureuse* (biegun). Przytem sławny tu jest wąż jadowity *Bothrops Laureolatus.*

Pod względem geologicznym Martyniki wszędzie widziałem ławę porfirową, tu i ówdzie w trachit albo fonolit przechodzącą. Skała rozmaicie popękana, gdzieniegdzie kuliste formy przybiera. W wielu też miejscach przy drodze widziałem zlepieniec albo konglomerat z małych albo wielkich kamieni złożony, a świadczący o gwałtownych tu dawniejszych wulkanicznych wstrząśnieniach, podczas których skała była skruszona i przez wybuchową masę na nowo zlepiona.

Spotykają się tu zresztą wszystkie stopnie rozkładu skały od nieco tylko zwietrzałej aż do takiej, która już prawie doprowadzona jest do stanu gliny.

Pewien pośredni stopień nazywają tu *Puzzolaną*; używają go do naprawy dróg, a tor drogowy z tej puzzolany zrobiony ma posiadać jak najlepsze własności.

Jedynego tu spotkałem Polaka, weterana, staruszka, pana Łopattę, wcale wykształconego człowieka, przez wszystkich tu znanego i powszechnie tu lubianego. Sprawował urząd pisarza w policyi. Mieszkał skromnie i wzdychał do posiadania własnego małego domku za miastem, bo już pragnął odpocząć na starość. Był już tak zgrzybiały, że w rozmowie lub u stołu nieraz zdarzało mu się zdrzemnąć. Jak zaczął mię wodzić po swoich znajomych, to prawie końca temu nie było. Zaprosił mię pewnego dnia na obiad do p. Allouix, bogatego mulata, a zarazem inżyniera tej wyspy. Poznałem tam życie kreolów martynickich, daleko zamożniejsze od życia gujańskich obywateli.

Wszędzie tutaj czysty brukowany dziedziniec, wygodnie urządzona kąpiel, bo do wszystkich domów wodociąg doprowadza źródlaną wodę. Stół bogato zastawiony, wyborne ryby i doskonałe owoce.

Mając czekać w Martynice 15 dni na wielki parowiec dla odjechania do Panamy, a raczej do Colon, czułem zrazu pokusę, by kupić pozwolenie używania strzelby i zebrać tutejsze ptaszki. Ale na rynku była ryb taka obfitość i tak wielka rozmaitość, że oglądanie, kupowanie i przyrządzanie ich wszystek prawie czas mi zabierały. Od piątej zrana do 10tej wieczorem co godzinę coraz to nowe transporty ryb przybywały. Czerwone, zielone, niebieskie, żółte, pstre, a różnokształtne, małe i wielkie. Krabów było mniej, ale i w tym dziale znalazły się osobliwości – jak ten, którego zwano *sabot*, wielki rak silny, ale bez kleszczów.

Koło rybnego rynku mieszkał doskonały blacharz, murzyn, posiadający także machiny dla ulżenia ręcznej robocie. Temu poleciłem zrobienie dużych cylindrów z grubej cynkowej blachy, a nakrywki z tablic korkowych wypiłował mi stolarz, który także zrobił kufer do tych cylindrów. Te naczynia ze spirytusem trzymałem przez cały dzień u blacharza i tu przynosiłem ryby, które skupowałem na rynku. Miałem z tym blacharzem ciekawe gawędy polityczne. Dowiedziałem się od niego, że kreole, a głównie »les gens de Couleur«, tj. murzyni i mulaci pragną gorąco oddzielić się od Francyi, bo nie lubią Francuzów dla wzgardy, jakiej od nich doznają. W czasie wojny krymskiej było tu nawet powstanie murzynów, które jednak łatwo stłumionem zostało. Mówił do mnie ten murzyn: »Odrazu można poznać, że pan nie tutejszy, bo ze mną mówisz grzecznie jak z człowiekiem«.

Uzbierałem tu dla gabinetu warszawskiego sporo ryb rozmaitych, posłużyło mi też szczęście w dostaniu także sławnej, tutejszej gadziny *Bothrops laureolatus*, albo serpent fer de lance tak zwanego dla rysunku na głowie. Tej gadziny ukąszenie śmiertelne, a jest tak tu zwyczajna, że bardzo mię ostrzegano, bym w moich wycieczkach za miasto nie schodził na trawę, ale trzymał się dróg, które tu są dobrze utrzymane. Otóż powiedziano mi, że był pewien murzyn, nie lękający się owej gadziny i mogący mi ją dostarczyć. Zaraz go sprowadziłem i poleciłem, by mi gadzinę przyniósł. Na trzeci dzień, gdym wracał z rybnego rynku prosi mię na wszystko moja gospodyni, bym ją uwolnił od sąsiedztwa gadziny, którą przyniósł murzyn i zostawił na dziedzińcu w koszyku. Otwieram ostrożnie koszyk i widzę na przeszło metr długą szarą gadzinę, uwiązaną za szyję do dna koszyka. Wziąłem ją tedy za szyję dwoma palcami i przeciąwszy wiązanie, wyjąłem. Teraz dopiero otworzyła paszczę i spostrzegłem, że byłem prawie w niebezpieczeństwie, bo kły jadowite do podniebienia przytykające w gębie zamkniętej z otworzeniem gęby nastawiają się pionowo, a w tym gatunku tak były długie, że końcami prawie palców moich dotykały. Uprosiłem tedy

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA w Toruniu

sierżanta Hervé, który tuż był obecny, by wsunął lejek do gardła gadziny i nalawszy wówczas może więcej jak litr spirytusu, od którego wąż bardzo pogrubiał, zawiesiłem go; kiedy zaś spirytus w parę godzin zaczął kapać przeciwnym końcem kanału pokarmowego, odczepiłem już martwą gadzinę i zanurzyłem, jak zwykle, w spirytusie.

Tenże murzyn dostarczył mi tutejszą Coureuse, niewinnego węża, i rzecznych raczków ładnie ubarwionych.

Podczas pobytu mego w Fort de France panowała żółta febra w St. Pierre, sąsiedniem tutejszem mieście. Żałowałem, że ta okoliczność przeszkodziła mi zwiedzić tamtejszy ogród botaniczny, jakoby starannie utrzymany. Ale i w Fort de France zdarzały się lżejsze wypadki epidemii i ja też zachorowałem, o czem dowiedziawszy się Dr. Kérangal odwiedzał mię, leczył i we trzy dni byłem zdrów.

Wreszcie przybył oczekiwany ogromny parowiec »Imperatrice Eugenie«. Odesławszy więc skrzynię z rybami dla warszawskiego gabinetu, popłynąłem na olbrzymim parowcu w dalszą drogę.

Zatrzymywaliśmy się w La Guayra, miejscu służącem za port miastu Caracas, stolicy rzeczypospolitej Venezuela. Wybrzeże tu równe, piaszczyste, ludność indyjska.

W nocy przed przybyciem do St. Marta obudziłem się o północy, czułem większe kołysanie się statku, słyszałem wielki szum i sądziłem, żeśmy już w Santa Marta na kotwicy. Wszedłszy na pokład przekonałem się, żeśmy jeszcze na pełnem morzu, które było wzburzone i pomimo znacznej wysokości statku fale często dostawały się na pokład. Wziąwszy w kajucie wełnianą kołdrę chciałem resztę nocy na świeżem powietrzu przepędzić, choć niewygodnie, na kupach powrozów. Fale nad rankiem zmoczyły mię prawie do nitki i zimno mi było. Gdy dnieć zaczęło, ukazały się góry na horyzoncie przed nami, ale długo od chmur nie mogłem ich odróżnić. Nieco po wschodzie słońca zajechaliśmy do portu St. Marta, który wrzyna się w ląd niegłęboko, ale odgrodzony jest od morza małą ufortyfikowaną wysepką. Po obu stronach portu niewysokie góry skaliste piramidalnych kształtów, małemi drzewami porosłe i nieuprawne.

28 listopada wieczorem, stanęliśmy w porcie nazwanym Colon na cześć Columba, a ze wzmocnieniem żywiołu angielskiego obecnie *Aspinwall* przezwanym. Obficie wyrzucano rakiety, bo obchodzono święto niepodległości, ważną uroczystość we wszystkich republikach amerykańskich.

29go o 5tej rano wylądowałem z pakunkiem; ale o małom się nie spóźnił na pociąg, bo przy natłoku podróżnych nie prędko przyszła kolej na zważenie moich rzeczy. Jechaliśmy do Panamy.

Najprzód tor kolejowy ciągnie się po długiej grobli przez rhizophorowe błoto, potem doliną błotnistej rzeki. Tu widziałem Acrostichum i inne rośliny

do gujańskich podobne, ale rozpoznawałem także nowe dla mnie a piękne gatunki. Spostrzegane ptactwo także w wielkiej części już mi było znane.

Z Colon podnosząc się stopniowo, lecz nieznacznie, jechaliśmy do Panamy 4 godziny. Stanąłem w niedrogim hoteliku »Pension francaise« (Pensya francuska). Po śniadaniu poszedłem nad morze – tu już Ocean Spokojny. Był odpływ, więc liczne widziałem kraby, niektóre krwisto-czerwone, do mokrych kamieni przyczepione to *Cerithium*; raczek *Pagurus* dźwigał na sobie przywłaszczone skorupy ślimaków morskich.

I tu trafiliśmy na święto. Maszerował oddział żołnierzy, niektórzy boso, a wszystko indyjskie twarze. Kiedy stałem we drzwiach mego hoteliku i rozmawiałem z gospodarzem, wszedł wyższy jakiś oficer z kilku prostymi murzynami, napił się wódki i murzynów częstował. Uderzyło mię, iż mu okazywano pewne uszanowanie. Gdy oficer odszedł, powiedział mi gospodarz, że to prezydent rzeczpospolitej panamskiej, częstujący murzynów dla zyskania popularności.

Życie tu drogie jak wszędzie, gdzie dużo ludu i pieniężnych podróżnych. Żywioł anglo-amerykański ma tu przewagę nad hiszpańskim, a towary w sklepach – przeważnie ze Stanów Zjednoczonych.

W samem mieście widziałem piękną jaszczurkę czarną z pomarańczową głową, znalazła się nawet w moim pokoju, biegała nietylko po ścianach, ale po suficie do góry brzuchem, gdyż ma palce opatrzone szczególnym przyrządem przypominającym żaluzye, a dozwalającym jej przyczepiać się do sufitu.

Rybny rynek jakiż ubogi w Panamie w porównaniu do martynickiego. Widziałem jeden tylko gatunek ryby i to nieobficie. Przypisać to trzeba nietylko mniejszej obfitości ryb w tutejszem morzu, jak w Antylskiem, lecz także nieudolności i lenistwu tutejszej ludności w porównaniu z martynicką, która gorliwie się krząta w walce o byt.

Spostrzegłszy nad apteką nazwisko Krotochwila przypomniałem sobie, że sławna podróżniczka Ida Pfeiffer* u niego mieszkała; zaszedłem więc i oglądałem liczne słoje z wężami w spirytusie. Z tego powodu i apteka p. Krotochwila zwała się: »Botica de los Colebras« (apteka wężowa).

Port panamski płytki, więc większe statki stoją na kotwicy daleko od brzegu, a dojeżdża się do nich na malutkim parowcu. Na wieczór stajemy przed wyspą Taboga, gdzie są zakłady (Pacific Steamnavigation Company) Towarzystwa żeglugi na Spokojnym Oceanie. Nabieramy tu wody do picia.

---

* Ida Pfeiffer (1797-1858) – podróżniczka austriacka, będąca jedną z pierwszych kobiet-odkrywców; autorka licznych książek o tematyce podróżniczej. Zob. J. Michaels, *Ida Pfeiffer's Travels in the Dutch East Indies and Madagascar*, „Austrian Studies" 2012, Vol. 20, s. 60-74 (przyp. autora).

4go grudnia przejeżdżamy koło wyspy *Puna*, w delcie Guayaquilu płyniemy szeroką, mętną rzeką z rhizophorowymi brzegami i wieczorem stajemy przed miastem Guayaquil.

Już przed Guayaquil zabrałem znajomość z panem Habichem, polskim inżynierem, jadącym do Limy, który mię zapoznał ze swymi towarzyszami podróży, p. Montelar, nowym sekretarzem ambasady francuskiej w Limie i inżynierami Plazolles i Sieber, jadącymi także na służbę do Limy. Wszyscyśmy wylądowali. Montlar, który już przedtem był w Mexyku i znał najlepiej z nas wszystkich język hiszpański, tłómaczył nam niektóre napisy na sklepach. Widzieliśmy tu znaczne składy kapeluszy panamskieh, które z tego portu a nie z Panamy rozchodzą się na świat cały. Wieczorem (moi towarzysze uzbrojeni w rewolwery) zaszliśmy do kościoła, gdzie sposobem hiszpańskim kobiety, nawet bogato ubrane, siedziały na dywanikach na ziemi, a jakiś wymowny kaznodzieja miał głosem donośnym kazanie. Choć już mogłem rozmówić się po hiszpańsku, jeszczem kazania nie rozumiał. Również nic prawie nie rozumiałem, gdyśmy poszli całem gronem do teatru.

Jeden brzeg rzeki płaski, łąkowy, a za Guayaquilem wzgórki skaliste gdzie już różnica zupełna od flory gujańskiej, gdyż dużo drzew w tej porze bezlistnych. Właściwość to flory nadmorskiej na niewielkiej przestrzeni, bo dalej ku Panamie drzewa prawie wszystkie wiecznie zielone, jak również na południe od Payty.

W Guayaquil pokład statku napełnił się owocami, a także przybyło na statek dużo klatek z ptakami i zwierzętami. Między ptakami był *Ictenus*, ładny ptak żółty z czarnemi plamami, wielkości drozda, jeden gatunek śpiewający, a drugi nieśpiewny, choć tak do siebie podobne, że w pierwszej chwili nie można ich odróżnić.

Odjeżdżamy o 9tej rano. Z rzeki wyjechawszy na morze, brzeg najprzód górzysty i lasem pokryty, potem obnażony i tylko w dalszym planie dostrzega się las. Koło Payty brzeg nagi.

W Payta zatoka otwarta, szeroka; na Oceanie Spokojnym uchodzi za dobry port, choć tu mało staje okrętów. Miasto wygląda szaro, bo ściany domów bambusowe gliną posmarowane. Okolice miasta puste, bez roślin i wody; wodę przywożą na osłach z rzeki o parę mil odległej. Czemuż tu ludzie osiedli? Dlatego tu osiedli, że ten port jest bramą do bogatej peruwjańskiej prowincyi Piura, skąd wyprowadzają każdego tygodnia mnóstwo wołów do stolicy, a sławnej prócz tego ze swego napoju *chicha piurana* i z innych rzeczy.

Przybywamy wreszcie do obszernego portu Callao, odgrodzonego od morza wyspą San Lorenzo, która jeszcze w wieku przeszłym była przylądkiem, a wyspą stała się wskutek trzęsienia

Spostrzegam w morzu sardynek tak wielką ilość, że się zdawało, że woda morska zgęszczona miejscami i nieco wypukła. Liczne duże rybołowy

i ciemne pelikany w powietrzu, a ponad samą wodą stada czarnych małych ptaszków, które jakby biegły po wodzie, a nie leciały. Zostawiwszy mój pakunek na statku wylądowałem w Callas i koleją pojechałem do Limy, o pół godziny tylko odległej stolicy Peru. Wielkie oryginalne miasto, niezwykle wyglądające. Chodziło mi o znalezienie Raimondiego*, sławnego naturalisty. P. Raimondi jeszcze w sile wieku, chciał mię skłonić, bym tu został, ale, gdym odmówił, prosił, bym przynajmniej przysyłał mu osobliwości z Boliwii, dokąd się udawałem. Dał mi też dwa listy polecające do La Paz.

Wracam na statek. Już za pół godziny mamy odjechać, gdy oddaje mi ktoś bilecik p. Habicha**, który pisze, że się widział z Malinowskim***, inżynierem, a ważną tam figurą, że ten zaklina, bym pozostał na kilka tygodni, że znajomości użyteczne porobię, języka się poduczę, a mój bilet do Arica nie przepadnie. Natychmiast proszę kapitana, by jeszcze pozwolił wylądować, zabrałem manatki i pojechałem do stolicy.

---

* Antonio Raimondi (1824-1890) – włoski geograf, badacz fauny, flory, geologii, geografii i prehistorii Peru. Zob. R. Tarkowski, op.cit., s. 117 (przyp. autora).

** Edward Habich (1835-1909) – polski inżynier, który wyjechał do Peru w roku 1869 i działał tam aż do śmierci; brał udział w życiu naukowym i gospodarczym kraju; dzięki jego zabiegom w Peru znalazła się grupa polskich inżynierów; był założycielem politechniki w Limie. Zob. Tamże, s. 76 (przyp. autora).

*** Ernest Malinowski (1818-1899) – polski inżynier, który wyjechał do Peru w roku 1852. Objął tam stanowisko naczelnego inżyniera kolei żelaznych. W Peru zajmował się projektowaniem i budowaniem dróg, mostów oraz linii kolejowych; budowniczy najwyżej na świecie położonej linii kolejowej, prowadzącej przez Andy z peruwiańskiego portu Callao do Montanii. Zob. I. Klarner-Kosińska, *Polonia w Peru*, [w:] *Dzieje Polonii w Ameryce Łacińskiej*, [red.] M. Kula, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich, Wrocław 1983, s. 183-184; R. Tarkowski, op.cit., s. 82 (przyp. autora).

ROZDZIAŁ II.

Zamieszkanie w Limie – Charakter miasta – rynek – ryby – owoce – miejsca spacerowe – kościoły – mieszkańcy – Zambi – Cholosi – Chińczycy – Donna – Domingo – okolice – rośliny – ptaki – odosobnione wzgórza – ich bogactwo mineralne – ogród botaniczny p. Kluga – Niemcy – znajomość z profesorem Barranta – wycieczki z nim po owady – wycieczki nad morze z rybakiem.

Po przybyciu do Limy stanąłem w zajezdnym domu, najbliższym kolejowego dworca, »Café de Victoria«, utrzymywanym przez Włocha. Że było późno, zeszedł wieczór na rozlokowaniu się i posileniu się jadłem. Następny dzień poświęciłem poznaniu miasta.

Ulice przecinają się pod prostym kątem, brukowane zaokrąglonymi kamieniami, czysto utrzymane; chodniki po bokach z płytowego kamienia. Z wyjątkiem kilku głównych ulic, które na sposób europejski są pod ziemią kanalizowane, inne miały środkiem rowek niegłęboki, którym płynęła woda. Różne nieczystości wrzucane bywają do tych kanalików, woda je unosi, a liczne czarne sępy, tego samego co w Gujanie gatunku, spożywają wszystko, coby gnijąc mogło zarażać powietrze. Usługi tych sępów były bardzo znaczne, bo kiedy później po kilkuletnim moim pobycie w tymże kraju doczekałem się zaprowadzenia podziemnej kanalizacyi w całem mieście, wtedy częściej moje powonienie było niemile dotknięte, niż dawniej, kiedy istniały zwyczajne rowki z wodą bieżącą.

Dachy na domach płaskie; na deskach leży warstwa ubitej ziemi. Na tych dachach rozciągnięte są sznury do wieszania bielizny, bo tu nie ma poddaszów albo strychów. Wszystkie bez wyjątku okna dolne od ulicy opatrzone żelaznem ogrodzeniem, dla bezpieczeństwa od rabusiów, którzy dawniej byli tu liczni, zwłaszcza w czasie zmiany rządu. W dziedzińcu jest drugi dom najczęściej bez piętra – to mieszkanie właściciela. Za domem w dziedzińcu jest często drugi dziedziniec albo ogródek. W każdym domu jest jeden lub kilka kurków od wodociągu, dostarczającego dobrej, miękkiej wody.

Sklepy wogóle zbytkowniejsze jak w Krakowie. W nich nie ma wcale wyrobów krajowych. Wyroby żelazne i tkaniny sprzedają tu przeważnie firmy angielskie i francuskie; a chociaż dużo tu jest kupców Niemców, Włochów i krajowców, ci także najczęściej zaopatrują się w towar na rynkach angielskich i francuskich. Miasto posiada dużo rzemieślników wszelkiego rodzaju: obuwie i odzież robią tu doskonale dla płci obojej. Stolarze, blacharze, ślusarze, kowale, kotlarze, introligatorzy, szklarze, zegarmistrze odpowiadają wszelkim wymaganiom; są prócz tego doskonali farbiarze francuscy, drukarze, litografowie, fotografowie. Jednem słowem, co do handlu i przemysłu Lima da się porównać prędzej z Warszawą niż Krakowem.

Są tu sklepy, które nie sprzedają inaczej, jak na wielką skalę, całemi skrzyniami. Są restauracye, piwiarnie; kawiarnie bywają tylko przy restauracyach. W cukierniach włoskich sprzedają lody; ale są też zakłady przez krajowców utrzymywane, gdzie sprzedają same tylko lody i chłodzące trunki.

Niektóre otwarte sklepiki noszą napis *emolienta frescos*; tu zrana sprzedają odwary ślazu i innych korzeni dla cierpiących. Tu także gospodyni zaręcza niekiedy, że jej lód jest prawdziwy, a niepochodzący z fabryki. Ten ostatni ma podług nich zawierać amoniak, przeto niezdatny dla piersiowych. W tych sklepikach sprzedają także mleko kwaśne w szklankach, na które nalewają trochę brunatnego syropu przed spożyciem.

Tu i ówdzie spotyka się napis: »*Fonda*«, to są restauracyjki dla mniej zamożnych i dla ludu prostego. Jeżeli przez Chińczyków utrzymywane, wówczas potrawy mają pretensyę być europejskiemi, lecz bardzo niesmacznie zrobione; jeżeli zaś to »*fonda*« narodowa peruwjańska, to proste w nich potrawy, lecz smaczne, a z dodatkiem krajowego piwa z kukurudzy, które zowią »*chicha*«[1], bardzo posilne. Gdzieindziej napis »*picanteria*« oznacza że tam razem z »*chicha*« sprzedają zimne potrawy z raków, ryb, sałaty, przyprawione pieprzem i papryką. Tu się spotyka gatunek sałaty z ryb surowych, drobno pokrajanych.

Rynek, zajmujący całe wnętrze 1-go kwartału, kryty jak hale wzdłuż i wpoprzek licznemi uliczkami poprzecinany, bardzo ciekawy do zwiedzenia. – Tam na stołach rozłożone: bułki, sery, masło zawijane w zielone powłoki od kukurudzianych kaczanów (głąbie, dynie). Jarzyny: ogromna głowiasta kapusta spłaszczona, harbuzy rozmaite co do kształtu, wielkości i barwy, marchew, ogórki, pomidory. Mięsiwa, ryby, raki i owoce.

Główna ryba na rynku to *Corvina*, długa blisko na metr, cierniopłetwa, morska ryba, niby olbrzymi sandacz, o srebrzystej łusce. Tej nigdy nie brak na rynku. Prócz tej najczęściej bywają *Ayanqui* i *Lorna*, spokrewnione z *Corviną*, ale tylko wielkości dużego śledzia. Inne ryb gatunki pojawiają się rzadziej, różne w różnych porach roku. Z ryb rzecznych sprzedają jedynie sławnego a ulubionego *Peje rey*, czyli królewską rybę, może najbardziej delikatnego smaku, jaką kiedykolwiek zdarzyło mi się jadać.

Codziennie są także raki, albo właściwie ślimaczki rzeczne, krabów zaś, albo ślimaków morskich nie spotyka się prawie nigdy. Brak rozmaitości ryb na rynku w miejscu tak bliskiem oceanu, trzeba przypisać niezbyt urozmaiconym środkom używanym do połowu: najczęściej tu łowią w morzu na wędkę; dużych sieci używa w Callao kilku Włochów. O połowie na większą skalę sardynek, w które obfituje tutejsze morze, jeszcze za moich czasów nie pomyślano. Może ciekawszy i przyjemniejszy dla oka jest oddział

[1] Wymawia się *czicza*.

na rynku, gdzie sprzedają owoce. Z europejskich tam spotykamy prawie wyłącznie winogrona, brzoskwinie, kawony, melony. Banany tutejsze od gujańskich różne. Najprzedniejsze ich są dwie odmiany: »*Isla*« wyraźnie trójgraniaste, o mięsie pomarańczowej barwy, zlekka kwaskowate; *Platano de seda*, czyli banany jedwabne, przywożone tu z Guayaquil, najlepsze jakie kiedykolwiek jadłem. Jak gujańskie *bacovy*, przypominają jabłka, tak te banany smakiem i zapachem przypominają gruszki, lecz są o wiele delikatniejsze, choć większe od gruszek. One już są zupełnie jadalne jeszcze przed pożółknieniem, lecz pożółkłe są niezrównanej dobroci.

Ananasy tutejsze pochodzą z Guayaquil, zbierane zawcześnie, na zewnątrz nie żółtej, lecz pomarańczowej barwy, niższego są gatunku.

Lucumo, owoc dużego drzewa z familii *Sapotaceów*, ma kolor i spójność żółtka na twardo ugotowanego, ale słodycz i zapach silny sprawiają, że się nie każdemu podoba.

Chirimoya, owoc dochodzący czasem wielkości głowy dziecięcej – z familii *Anonaceów*, tej samej, do której należy gujańskie *pomme canelle*, *Corossol* i *Coeur de Boeuf*, ale przewyższa tamte doskonałością. *Chirimoya* jest drzewem bardzo rozpowszechnionem na pomorzu peruwjańskiem aż do wysokości 6000 stóp nad powierzchnią morza. Jak tamte Anony, *Chirimoya* ma także skórę zieloną z liniami naśladującemi geometryczne figury. Wewnątrz mięsko białe, pachnące, słodkie, rozpływające się w ustach jak krem, ziarna wielkości miernej fasoli, czarne. Ten niezmiernie smaczny owoc ma jednak pewną wadę w wysokim stopniu, dla której jeść go dużo nie można.

Jedna z największych osobliwości limańskiego rynku, to *Loche*, owoc wyprowadzony sztucznie ze zwyczajnego harbuza, a uprawiany w północnem Peru tylko w okolicy miasteczka Mousefú i około Jequetepeque.

Żeby otrzymać Loche ucina się gałązka harbuza w porze kwitnienia i sadzi się w ziemię. Owoc, który wydać może, gdy się przyjmie, jest takim harbuzem, jak i na macierzystej roślinie, ale kiedy po przyjęciu się i rozrośnięciu tej pierwszej sadzonki oddzieli się od niej gałązkę i znowu posadzi, to owoc tej drugiej sadzonki nie będzie już harbuzem, podobnym do owocu macierzystej rośliny, lecz harbuzikiem maleńkim, jak dwie pięści złożone, bardziej pachnącym i nasion prawie pozbawionym.

Bywają tu jeszcze na rynku Mangi z północnego Peru – o tych później. Śliwki z drzewa *Bunchozia armeniaca*; *Granadillas*, owoc pewnej *Passyflory*, *Nisple* i niektóre inne owoce miejscowe z Guayaquil i z Panamy.

Pigwy tutejsze, bardzo duże, piękne, często używane na kompoty.

Naszych gruszek, śliwek i wiśni nie ma tu wcale; jabłka w jednym tylko gatunku, przypominające niemieckie *Schaafsnaase*, nie rosną jako duże drzewo, są raczej tylko dużym krzewem.

Kartofle przywożą tu z miejsc wysoko położonych. Zastępują je wczęści *pataty* albo tak zwane *Camotes*, korzeń pewnego gatunku ścielącego się powoju. Często bardzo mączny, słodki i równie dobry jak kartofle. Obiadując kiedyś na parowcu comp. angielskiej oburzony byłem tem, że jak sądziłem, podobało się kucharzowi naperfumować kamotę olejkiem różanym i później dopiero przekonałem się, że to był zapach właściwy pewnej odmianie kamotów. W Gujanie uprawiają je na wzgóreczkach łopatą urobionych, tu zaś na równem polu.

Mleczywa nie brak w Limie. Rozwożą je kobiety na koniach już od 6-tej rano, mając po obu stronach siodła utwierdzone duże naczynia blaszane. Na pierwszy raz pilnuje się ich zawczasu i woła przejeżdżającą, a w dni następne ta sama mleczarka nie omieszka zajechać na dziedziniec i cienkim głosem krzyczy: *lechera*, a po kilka razy wołając, budzi nawet uśpionych odbiorców. To mleko, przez drogę kłusem strzęsione, niesmaczne jest i możnaby je posądzać o podrobienie wodą, ale gdy się ustoi, nabiera smaku zupełnie dobrego mleka. Prócz tego trzymają krowy w mieście i sprzedają tam w godzinach porannych ciepłe mleko, prosto od krowy dla chorych na piersi. W niektórych zakładach tego rodzaju można dostać także mleka oślicy.

Przeszło stotysięczna ludność (za moich czasów) miasta Limy, dość różnorodna, składa się może w $^3/_4$ częściach z krajowców. Murzyni należą do klasy roboczej, przeważna ilość praczek należy do tej rasy. Największa część *Zambów* są także prostymi robotnikami. Odznaczają się oni skórą oliwkowej barwy, włosami kędzierzawemi, mają charakter popędliwy i namiętny, więc do rabunku i do wszelkich rozruchów skłonny.

Cholos stanowią klasę oświeconą i rzemieślniczą. Pomijam w tym wykazie różne stopnie pośrednie. *Cholowie* z małą tylko przymieszką krwi indyjskiej podobni są do białych. Znawcy upewniają jednakże, iż trudno byłoby wskazać na taką rodzinę w tym kraju, któraby była czysto europejskiego pochodzenia.

W Limie, jak i na całem pomorzu peruwjańskiem, mieszka dużo Chińczyków. Przeważnie ilość ludności roboczej po majątkach, albo *haciendach* składa się z tych Azyatów; a choć to są sami tylko mężczyźni i choć niemała między nimi śmiertelość, ciągle nowa ich ilość przybywa dla dopełnienia potrzebnej liczby robotników. Przytem z Chin przybywają z nimi także ludzie wolni, kontraktem niezwiązani, żeby trudnić się handlem a nawet i rzemiosłami. Ci zaludniają wyłącznie jeden zewnętrzny bok rynku i przeciwległą mu stronę ulicy, a w innych dzielnicach miasta utrzymują największą część garkuchni i rozmaite sklepy. W Peru Chińczycy wzmagają się tak samo, jak u nas Żydzi.

W ulicy zamieszkałej przez Chińczyków są sklepy chińskie wszelkiego rodzaju, – galanteryjne i korzenne, gdzie sprzedają nawet przedmioty żyw-

ności z Chin sprowadzane: ryby, jaja solone, tłuste ptactwo domowe w oleju, makarony, cukierki, a także fasolki chińskie i inne ziarna w Chinach uprawiane.

Chińczycy wprowadzili nawet uprawę pewnej rośliny z pozoru coś pośredniego między gorczycą a kapustą, ale dotąd używanej przez samych tylko Chińczyków. Było tu także kilka sklepów chińskich z kosztownemi porcelanami, jedwabiami, malowidłami i innymi przedmiotami zbytku. Półki w nich i kantorki od zwykłych odmienne, bo oszklone.

Najlepsza część chińskiej ludności przeszła na wiarę chrześcijańską. Początek temu dała niejaka uboga sierota peruwjańska donna Domingo Gascon, która poruszona niedolą moralną Chińczyków poświęciła się ich nawracaniu. Bóg jej to ułatwił cudownym sposobem, bo choć nie znała chińskiego języka, potrafiła im wytłómaczyć główne zasady wiary chrześcijańskiej i w ciągu krótkiego swego życia nawróciła około 400 Chińczyków. Dwóch z nich wstąpiło do seminarium i zostało kapłanami. Właśnie trafiłem był na wspaniałe żałobne nabożeństwo za duszę donny Domingo, urządzone kosztem wdzięcznych neofitów. Mszę świętą odprawiał Chińczyk, a kazanie miał najwymowniejszy w Limie X. Valeri, który w rzewnych słowach wychwalał jej poświęcenie, miłosierdzie i gorliwość apostolską.

Musiała być najprzód wzruszoną losem tych Chińczyków, którzy po *haciendach* (majątkach) pracują. Tam traktowani są zupełnie jak niewolnicy, – mieszkają zamknięci w ogromnej wysokiej zagrodzie zwanej *Galpon*, w której są pojedyncze, małe chatki trzcinowe. Stąd co rano wypuszczają ich w pole na robotę, a wieczorem znowu wpędzają do *Galponu*. Surowy jakiś Zambo lub murzyn ma nad nimi władzę i raczy bizunem za przewinienia. Przykłady okrucieństw wywieranych na Chińczykach nie rzadkie, to też na odwrót bywało, że się buntowali i krwawo mścili na swoich nielitościwych władcach.

Nie ma tu wcale kobiet chińskich, bywają więc wypadki, że się żenią z Peruwjankami i osobną wytwarzają rasę pośrednią.

Do lekarzy chińskich udają się nie tylko wyznawcy Konfucyusza, ale i Peruwjanie, a niejaki Leon nabył wielkiej wziętości. Chodziłem kilka razy do różnych lekarzy chińskich więcej przez ciekawość. Kładł moją rękę na poduszce i długo badał puls, poczem zapisał receptę, podał ją aptekarzowi, mającemu aptekę za parawanem; przyniesiono niebawem szklankę odwaru pewnych korzeni i dwie chińskie śliwki suszone na zakąskę. Wszyscy ci lekarze chińscy, których się radziłem, mówili, że miałem *aire* czyli powietrze, co miało chyba znaczyć, że cierpiałem na reumatyzm i lekarstwo zawsze mi podawali to samo.

Jest w Limie mała ilość Żydów trudniących się zmianą pieniędzy, handlem cygar i fałszywych klejnotów.

Strój mężczyzn w Limie jest narodowy; składa się z *panoka*, niby kołdra wełniana w pasy podłużne, mająca pośrodku szparę na głowę. Kobiety zawijają się zgrabnie w czarną mantę. To najpierwszy sprawunek przybywających tu pań z Europy. Raz tylko spotkałem damę po europejsku ubraną, w kapeluszu. Oglądano się za nią i mnie samemu jakoś wydał się jej strój nieładnym i w niezgodzie z ogólnem otoczeniem. Tak się noszą kobiety z wyższej klasy; niewiasty z ludu zamiast manty mają szal zwykle krajowego wyrobu i noszą kapelusze panamskie z szerokimi brzegami.

Lima posiadała do niedawna dwa tylko miejsca do przechadzki: »la Plaza Mayor« czyli duży plac w środku miasta, odgraniczony z jednej strony wspaniałemi, monumentalnemi schodami, prowadzącemi do katedry, z drugiej niepokaźnym pałacem prezydenta, z trzeciej i z czwartej dwiema galeryami, nazywającemi się *Portal de botoneros* i *Portal de escribanos*, bo w jednym siadują po dziś dzień szmuklerze, a w drugim bywali dawniej pisarze publiczni. Pod temi arkadami są wejścia do nieco przyciemnionych sklepów, zawierających po większej części przedmioty elegancyi i budki zmieniających pieniądze Żydów. Pośrodku placu piękna fontanna z kwiatowym ogródkiem.

Ten plac brukowany drobnymi kamyczkami i poprzecinany chodnikami z płytowego kamienia w różnych kierunkach, to ulubione miejsce przechadzki, zwłaszcza w te dni tygodnia, kiedy tu grają od 8-mej do 10-tej wieczorem dwie bardzo dobre muzyki wojskowe, naprzemian, to jedna to druga.

Drugie miejsce przechadzki bardzo piękne, ale mało uczęszczane, może dla swego oddalenia od środka miasta, to *Alameda de los Descalzos. Alamo* po hiszpańsku topola, a że w Hiszpanii szpalery publiczne są często topolami wysadzone, stąd i wszystkie spacerowe miejsca *Alamedami* nazwano. Ta, o której mowa to aleja z ćwierć kilometra długa, cała żelaznemi sztachetami ogrodzona, na noc żelazną bramą zamykana. Na wstępie rosną dwie olbrzymie Araucarje do naszych jodeł podobne, a dalej po obu stronach *Magnolje*, Eucalyptusy, akacye z Nowej Holandyi, topole, wierzby krajowe i wiele innych drzew i ozdobnych krzewów, pomiędzy którymi pięknie wyglądają dwa długie szeregi marmurowych posągów sławnych ludzi. Ławy do siadania wszystkie z białego marmuru. To piękne, z takim zbytkiem urządzone i bardzo porządnie utrzymane miejsce spacerowe, przez niewielu jest odwiedzane. Przy zaokrąglonym końcu tej alamedy jest fontanna, kilka *araucarjów* i maleńka plantacya bardzo ozdobnych bananów o kwiecie różowym z małymi, podobno niejadalnymi owocami. Nie wiem, skądby pochodziły te banany tylko do ozdoby ogrodów przydatne. Widok stąd ładny. Na zewnątrz alamedy po obu stronach ulice z rzędem domów, a przy końcu sławny w Limie klasztor Franciszkanów bosych w szarych habitach.

Tu już koniec miasta, bo za klasztorem piętrzą się granitowe, strome góry, przez większą część roku zupełnie nagie, szare.

Ten kościół Franciszkanów bosych bardzo licznie odwiedzany, zwłaszcza w niedziele i święta, kiedy wielka ilość pobożnych garnie się do spowiedzi, a gdzie *padre Gual* tej samej używał sławy, co O. Wacław w Krakowie, bo słynął z łagodności i miłości bliźniego, – powiadają, że płakał razem z grzesznikiem nad jego grzechami.

Los Padres Descalzos mają swój duży ogród, swój cmentarz, swój nawet lasek na drzewa do kuchni. Wzdłuż długich korytarzy są liczne cele, oddawane do użytku wiernych w czasie wielkopostnych rekolekcyj. Przy każdej celi ogródek i woda płynąca. Jedna cela dla większych pokutników prawie zawsze pustkami stoi, bo się nikt prawie do niej nie zgłasza. Raz na miesiąc urządzają O. O. śniadanie, na którem każdy być może po nabożeństwie za 4 reale.

Z innych kościołów najsławniejsze tu po katedrze, kościół Dominikanów, Augustyanów i świętego Piotra, dawny Jezuicki, wspaniałe gmachy. W kościele św. Piotra wzorowy porządek: wyplatane krzesła i klęczniki żelaznemi sztabkami w rzędy połączone. Po prawej stronie kościoła miejsca dla kobiet, po lewej dla mężczyzn. Niegdyś przy tym kościele zabudowania szkolne całą dzielnicę zajmowały; po wypędzeniu Jezuitów urządzono w części tych gmachów muzeum i bibliotekę; reszta stała pustkami aż do ostatnich czasów, kiedy ją odrestaurowano i pomieszczono w nich parę szkół. O tutejszych Jezuitach opowiadają, że kiedy w końcu przeszłego stulecia wicekról otrzymał z Madrytu tajny rozkaz niespodziewanego ich aresztowania i w tym celu przybył w nocy do klasztoru, zastał ich już wszystkich gotowych do drogi z tłumoczkami czekających na chwilę odjazdu. Niespodziewany areszt dlatego był zarządzony, żeby nie mieli czasu ukryć swoich mniemanych skarbów, których nie znaleziono. Jednakże wiara w ich istnienie utrzymywała się tak dalece, że przybywali nawet z Europy szukający fortuny, dla odnalezienia zamurowanych jakoby skarbów.

Wszystkie domy w Limie są zbudowane z dużych cegieł niewypalanych, ale suszonych tylko na słońcu. Te cegły mają więc kolor ziemi i co do istoty od niej się nie różnią. Do robienia ich nie potrzeba gliny; każda ziemia, niezbyt piaszczysta do tego zdatna. Często dodają do cegielnego błota siekanej słomy, co nadaje cegłom troszeczkę giętkości i staje się użyteczne w kraju, gdzie trzęsienia ziemi są tak częste. Z tegoż materyału są zbudowane także limańskie kościoły; widziano też wieże kościelne chwiejące się podczas katastrofy, a nieupadające i niepopękane.

Wnętrze mieszkań mają obicia papierowe, podłogi drewnianej najczęściej nie ma, lecz na ceglanej leżą makaty trzcinowe albo dywany. (Taniec peruwjański zresztą nie potrzebuje gładkiej posadzki, bo nie suwa się w nim nogami, jak u nas, ale tupcze).

Pieców nie ma w mieszkaniach, ani kominów, bo klimat łagodny tego nie wymaga; piece zaś kuchenne, to gatunek stołu na bardzo mocnych nogach i ceglanym wierzchu, albo szeroki przymurek, na którym gotują potrawy, używając do tego węgli drzewnych. W mniejszych gospodarstwach mają fajerki z lanego żelaza nazywane *brasero* z kratą od spodu i trójkątem żelaznym do stawiania kociołków.

Pożary w Limie nie są częste, a jednak istnieją straże ogniowe ochotnicze limańskie, włoskie, francuskie z arsenałem utrzymywanym w porządku i gotowości, i odbywające ćwiczenia w pewnych odstępach czasu. Podobno kupcy najwięcej do nich należą; bo też gdzie tyle bogactw nagromadzonych po sklepach, straty od pożaru byłyby ogromne, a tem dla właścicieli dotkliwsze, że w Limie większy handel nie stanowi zatrudnienia stałych jej mieszkańców, lecz ludzi obcych, jedynie dla handlu tu zamieszkałych, a więc bardziej na straty czułych.

Spotykałem nieraz kompanie straży ogniowych, odbywających ćwiczenia. Przybywają szybko, poprzedzeni przez trębacza pod katedrę naprzykład, przystawiają drabiny, włażą na mury i oblewają wodą. Pompy mają parowe.

Za moich czasów urządzono trzecie miejsce do przechadzki, gatunek zoologicznego ogrodu, w którym wzniesiono wielki pałac wystawy w stylu włoskim – najpiękniejszy gmach w całym kraju. Dzięki miejscowym warunkom, roślinności bardzo sprzyjającym, posadzone drzewka w ciągu kilku lat tak się rozrosły, że piękna zieloność stanowi tło tego ogrodu, a dziś pewno i cienia jest dużo.

Tu *cyprysy, eucaliptusy, dombeya, australskie akacye, pircunia peruviana, schinus molle*, tworzą głównie gaiki; są też klomby kwiatowe, sadzawki ze złotemi rybkami, czółnami i przeróżnem wodnem ptactwem; żelazne ogrodzenia kraciaste dla słoni, wielbłądów i t. d., a także i domki dla zwierząt drapieżnych i dla ptactwa. Są i zwierzęta domowe: perszerony, konie angielskie i bydło przedniejszych gatunków. Można tu także nabyć i szczenięta najrozmaitszych ras.

W tym ogrodzie jest restauracya, grywa muzyka, a wstęp niedrogi, bo tylko kosztuje reala, t. j. pół franka. Choć ten *Jardin de la esposicion* leży na samym końcu miasta, dojeżdża się doń tramwajem, więc jest dość uczęszczany.

W Limie jest rzeka Rimac, a na niej dwa mosty, dawny murowany i nowy żelazny. W rzece tej dużo wody, gdy w górach deszcze padają (w innym czasie po kamienistem łożysku mało jej płynie). W suchej porze roku woda *Rimaku* nawet nie dochodzi do morza, bo wszystka zostaje rozebrana do zwilżających pola kanałów, bez których uprawa roli tu niepodobna.

Na całem prawie pomorzu peruwjańskiem, z wyjątkiem pogranicza Ekwadoru, deszcz nie pada, a wilgotna nocna mgła zimowa, choć wystarcza do wydania zieloności na skalistych stokach podgórskich, nie wystarczyłaby do uprawy kukurudzy, kamotów albo patatów i trzciny cukrowej na pięknej a żyznej równinie, stanowiącej końcowe rozszerzenie doliny *Rimaku*. Już u wstępu do równiny zaczynają się głębokie, po obu stronach rzeki, kanały na wodę, które ciągną się u samego podnóża gór, a oddalając się od siebie coraz bardziej, obejmują równinę i dostarczają wody drugorzędnym, trzeciorzędnym i t. d. kanałom; tym lub owym po kolei podług czasu oznaczonego co do minuty dla każdej posiadłości ziemskiej czyli haciendy.

Główne kanały obrosłe są wysoką trzciną, której głębokie korzenie wzmacniają ich brzegi. Gdzie nie ma trzciny, tam rośnie obficie na wałach kanałowych *tropaeolum*, po naszych ogrodach niewłaściwie nasturcyą nazywany; zielę zaś, które się nazywa po łacinie »Nasturcium«, po polsku »rzerzuchą«, a po hiszpańsku »berro« – rośnie także obficie w wielu miejscach na brzegach kanałów.

Już nazajutrz po mojem przybyciu do Limy wyszedłem za miasto, żeby zobaczyć, jakie w tym kraju rosną trawy, jakie ptaszki latają, a ujrzawszy to i owo nieznajome, zapragnąłem to posłać do Warszawy. W parę dni potem poszedłem na polowanie, strzelałem ptaszki, stopniowo powiększałem swe zbiory przyrodnicze, zwiedzałem dalsze okolice, robiłem znajomości i ani się prawie obejrzałem, jak zamiast jechać do Boliwii, pozostałem w tym kraju na całe lat dziesięć.

Kiedy się w mglisty poranek wyjdzie za miasto, uderzy niejednego jakiś zapach w powietrzu niezbyt miły, ale i niebardzo przykry, jakiego się w Europie nigdy nie czuło. Rzeczą jest prawdopodobną, że Peruwjanin do nas przybyły poczułby także jakiś nieznany mu zapach w naszem powietrzu; bo gdzie inne zioła rosną i wszystkie zgoła warunki nieco odmienne, tam odmienne w powietrzu muszą być wyziewy i zapachy, a powonienie od dzieciństwa doń nieprzywykłe jest tem uderzone i czuje tę różnicę. Może w tem tkwi też jakaś siła, która wpływa na pewne przeradzanie się gatunków, przeniesionych w obce strony.

Rola w tej pomorskiej części kraju do krakowskiej z wejrzenia podobna. Zawierać ma jednak pewną cząstkę saletry i soli. Zresztą z powodu bliskości oceanu sól znajduje się i w powietrzu. Nieraz uważałem po całodziennem chodzeniu, nawet o wiele mil od morza, że mi osiadł proszek soli na twarzy; to także po części tłómaczy, czemu tu wszystkie przedmioty tak łatwo przesiąkają wilgocią podczas nocy.

Na ugorach zdarza się widzieć pewno nasze rośliny, jak np. gorczycę, dymnicę (Fumaria), ale wybujałe prawie do niepoznania; ze zbożami lub inaczej z Europy przybyłe przyjęły się w tym kraju doskonale. Spotykają się

tu również *setaria*, *digitaria*, *cynodon* i niektóre inne europejskie trawy, ale naturalnie największa część tutejszych roślin zupełnie odmienna od naszych. Uderza mała ilość *cruciferów*, albo krzyżowych roślin i baldaszkowych. Z pierwszych dostrzegłem tylko Nasturtium i gorczycę, a z baldaszkowych na polach jakiś gatunek kminu od naszego znacznie bujniejszy. Jedne i drugie może tu z innych krajów przyniesione. *Spurcium junceum*, groszkowy krzew pewno z Hiszpanii przybyły, rośnie tu i ówdzie ponad rowami. Z krajowych krzewów na miedzach, przy drogach, pospolity *cestrum*, dwie rodziny *solaneów* o śmierdzących liściach, a z drzew pewna koląca *mimosa*, która miejscami tworzy nawet laski. Na tych drzewach zwłaszcza pojedynczo stojących wśród pól, często siadają gołąbki wielkości drozdów bardzo tu zwyczajne, na suchych zaś gałązkach i badylach siada *Myjarchus atropurpureus*, spora muchołówka ciemno-brunatnego koloru, tej barwy jak pospolita po naszych ogrodach *scabiosa atropurpurea*. Trochę rzadziej spotyka się *Pyrocephalus rubineus*, inna pyszna muchołówka, której samiec karminowego jest koloru.

Tutejszy wróbel, to *Zonotrichia matutina*; nie lata po ulicach miasta, lecz po zaroślach między polami. Gdzie są te niskie zarośla po większej części ze ślazowych krzewów, na brzegach pól, tam można widzieć różne inne wróbelki szare, a mianowicie: *Phrygilus* i *Spermophila*. *Neorhynchus nasicus* ma dzióbek garbaty, prawie papuzi, nierzadki w plantacyach kukurudzy i karmi się tem ziarnem. Wśród kukurudzy mieszka także jedyna limańska papuga *Canurus litophaga*, bardzo ładna, zielona z żółtym brzuchem. Jednak w klatkach jej tu nie trzymają, ale hodują inne, mniej ładne, przywożone z Guayaquil.

Tu i ówdzie na krzaku cestrum siedzi jedna lub kilka niezgrabnych czarnych, długoogoniastych *Crotophaga casarii* z dzióbem, który jest z boku spłaszczony.

Miejscami na krawędziach pól rośnie obficie dziki tytoń o liściach niewielkich i zielonawo-żółtych kwiatach. Tu najpewniej można zobaczyć zwyczajnego limańskiego kolibra *Amazika*, *rudego*, z zielonem garełkiem. Nagle pojawia się i jak trzmiel albo pszczoła wszystkie po kolei kwiatki odwiedzi, burcząc wskutek poruszeń skrzydeł tak szybkich, że ich policzyć niepodobna. Z jednych kwiatów bierze słodki sok długim rozdwojonym języczkiem, z innych wybiera drobniutkie owady. Ten gatunek kolibra nietylko wydaje pojedynczy, cieniutki głos, ale także śpiewa; o tem przekonałem się pewnego razu w ogródku szpitalnym. Siedział na ogonku liścia malwy i śpiewał cichutko, tak cicho, że można go było słyszeć tylko o pięć kroków, ale wydawał głosy rozmaite, przechodzące jedne w drugie, a silne poruszenia gardełka dowodziły, jak pracowicie śpiewał; trwało to z pół godziny prawie bez przerwy.

Pola tutejsze podzielone na duże kwadraty, grubymi murami z zieleni opasane, a wrotami zamknięte. Dla zrobienia tych murów stawia się skrzynia bez dna wielkości szlabana, aż do wierzchu napełnia się ziemią, która się ubija. Potem skrzynia zdejmuje się, a ziemia zostaje. Następnie tak samo przy pomocy skrzyni robi się drugą bryłę obok i t. d. Tym sposobem powstaje ogrodzenie niedrogie, gdzie deszcz nie pada trwałe i jeszcze tem dogodne, że jednocześnie kopie się rów, zwiększający ochronę pola.

W szparach tych ziemnych parkanów zwykł gnieździć się *Troglodytes audax* do naszego wołowego oczka bardzo podobny. Wybrałem kilka razy jajeczka tego ptaszka rudo nakrapiane, a pewnego razu znalazłem tu daleko większe jajo pasożytnego tutejszego czarnego szpaka *Molothrus*, który, jak u nas kukułka, podkłada swe jajka w gniazda *świergotków* (Anthus Chii), długoogoniastych drozdów (Mimus longicaudatus) i pewnie innych jeszcze ptaszków. Podkładanie to pasożytne tem łatwiejsze, że samica *Molothrusa* nie czarna, ale szata bardzo niepokaźna.

Na tych murach polnych nieraz można widzieć w biały dzień siedzącą niewielką sowę *Noctua urucurea* brunatnawo-szarą, biało plamistą, z żółtemi oczami, która za zbliżeniem się człowieka zlatuje i pośpiesza do nory nieopodal wygrzebanej. Gdzie wśród pól jest zabytek starożytnej architektury peruwjańskiej w kształcie olbrzymiego kopca z ziemi, tam Noctua jest koniecznym do krajobrazu dodatkiem.

Owe zabytki starożytnej architektury stały się kopcem wskutek zniszczenia; były to niegdyś mury tak robione, jak dzisiejsze ogrodzenia polne. Różne o ich pierwotnem przeznaczeniu spotyka się zdania. Podług jednych, to dawne magazyny zbożowe, wspólne dla pewnej dzielnicy kraju; podług innych, to cmentarze, fortece, pałace. Być może, iż były i tem, i owem; wogóle nie dość jeszcze są te zabytki badane pod względem ich ilości, jako też i jakości. Nasz rodak Habich, mierząc różne ich części, przyszedł do poznania prawdopodobnej jedności miary w państwie dawnych *Inkasów*, miało to być kilkadziesiąt centymetrów, nie pamiętam dokładnie ile.

Ponad polami lata parę gatunków jaskółek do naszych dość podobnych. Mniejszy ich gatunek siaduje czasem na polnych murach rzędem, może jakie 100 sztuk bliziutko jedne koło drugich.

Na polach trawiastych spotyka się *Sturnella militaris*, szpak rudo-pstry z pięknym czerwonym spodem. Jest parę gatunków trznadlów żółtawych, jeden miejscowy, polny, drugi przylotny z dalszych okolic, a zamieszkujący nagie wzgórza, gdzie żywi się nasionami roślin, które tu wyrastają w pewnej porze, mianowicie gdy są największe poranne mgły, wtedy ziemia wilgotnieje do tego stopnia, że wzgórza pokrywają się zielonością. Nie jest to darń albo murawa, lecz pojedynczo z pulchnej ziemi, wyrastające różne rośliny, które w tym krótkim czasie muszą rozwinąć się i wydać dojrzałe

ziarna. Te rośliny zielone, niezwykle świeżej barwy, dostarczają obfitej paszy krowom, wskutek czego u podnóża tych wzgórz urządzają czasowe szałasy i mleczarnie.

Wzgórza w okolicach Limy są granitowe albo syenitowe. Granit i syenit, to skaliny mało różniące się i wielorako jedne w drugie przechodzące. Są tu wszakże wszakże liczne pagórki zawierające inne skaliny. Z pośrodka limańskiej równiny wyrastają pojedyncze pagórki, jakby wyspy na morzu, od łańcucha Kordylierów całkiem oddzielone, lub tylko pod ziemią mające z nimi łączność. Te pojedyncze pagórki, niektóre tak duże. iż potrzeba dwóch godzin, żeby je obejść i pół godziny, żeby na nie się wdrapać, bywają już nie z granitu, ale z innych skalin, które choć rodzajowo nie różne od znajdujących się gdzieindziej, stanowią jednak ciekawą miejscową odmianę i dlatego zasługują na poczesne miejsce w każdym bogatym gabinecie. To są przeróżne odmiany dyorytów, albo zieleńców, choć niektóre raczej czarniawo niż zielonawo wyglądają.

Każdy taki wzgórek petrograficznie czyli co do gatunku skaliny, z której się składa, różny od innego nawet mu najbliższego; a że takich pojedynczych wzgórków nadmorskich jest w Peru nieprzeliczona ilość, stąd wniosek, że objechawszy tamtejsze pomorze i badając tamtejsze skaliny możnaby posiąść nieporównanej piękności zbiór petrograficzny. Liczne a ciekawe okazy, które w okolicach Limy zebrałem dla gabinetu uniwersytetu Jagiellońskiego, są także tego dowodem.

Sama górka San Bartolomé ileż to odmian zawiera ciekawych? Tu czarniawy dyoryt wyłonił się, a rozłamując i podejmując już istniejące jurasowe margle, łupki i wapienie własnem ciepłem przetopił je i zmienił do niepoznania. Te skały dziś metamorficzne albo zmienione. Jedne z nich z postaci swej przypominają jaspisy, a niektóre pewnie jeszcze nie mają własnego nazwiska. – A mała górka *Asesor* może jeszcze ciekawsza! Tu przeważa odmiana granitu zwana protoginem; lecz i ten protogin nie taki jak w Alpach, bo zamiast talku zawiera inny minerał pinitem nazwany. W tej protoginowej masie są żyły grube na pół metra, albo nieco mniej, a każda odmienna. Jedna biała jak alabaster i za niego niegdyś wzięta, ale kiedy go ktoś dużo nałamał i wypalić spróbował, przekonał się, że to co innego – właściwie jest to masa z czystego, białego oligoklazu. Inna żyła bardzo osobliwa, to odmiana jakby porfiru, z długiemi na kilka cali igłami białej *hornblendy* i t. d.

W innych wzgórkach skalina, choć może z tamtemi jednocześnie powstała, ma postać porfirowatą. tj. w masie drobniutko ziarnistej albo zbitej, ma rozproszone większe kryształki.

Rzecz prawie niewątpliwa, że rozmaitość tych skalin w części zależąca od różnego stosunku pierwiastków chemicznych w skład roztopionej masy wchodzących, a w części od rozmaitych warunków istniejących przy osty-

ganiu masy, mianowicie co do czasu stygnienia, ciśnienia, ruchu, obecności gazów lub wodnej pary. Ponieważ te warunki mogą się bardzo odmieniać, więc i postać skalin bardzo wielką przedstawia rozmaitość; nauka jeszcze nie może ściśle określić, jakim warunkom przy ostyganiu jaka postać skały odpowiada. Tyle zaledwie wiemy, że niewysoka temperatura i szybkie stygnięcie daje masę szklistą, dla wytworzenia zaś masy krystalicznej potrzeba silnego roztopienia, a powolnego i spokojnego stygnięcia. Czemu jednak przy tymsamym składzie mineralogicznym skaliny, raz ten, drugi raz inny jej składnik jest porfirowato wydzielony wpośród zbitej masy, np. w syenitach albo dyorytach raz feldszpat, drugi raz hornblenda? Na to trudno odpowiedzieć.

Za pośrednictwem p. Monclar poznałem p. Kluga Waldeck, zakładającego ogród botaniczny przy końcu miasta na gruncie przez rząd na ten cel zakupionym. Pan Klug był tak uprzejmym, że zaprosił mię do siebie na mieszkanie, przez co znaczna część moich wydatków znikła. Miałem wtedy wszelką łatwość oglądania każdego czasu sprowadzonych z najrozmaitszych stron osobliwości botanicznych, których większość udawała się tu pod gołem niebem. Jednakże aby rośliny z najgorętszych krajów rosły bujnie, i tu trzeba było urządzać cieplarnie.

U pana Kluga poznałem wielu z tutejszej kolonii niemieckiej, bardzo licznej, po większej części kupców i przemysłowców. Bywałem także w niemieckim klubie. Wyniosłem stamtąd wrażenie, że wielka między Niemcami panuje jedność. W niedziele i święta gromadzą się w *Miraflores*, *Surco*, *Barranco* na wspólne zabawy, na które przybywają także ze swemi rodzinami. Byłem między nimi dobrze widziany, może z tego tytułu, że mówiłem jako tako po niemiecku.

W Limie jest także niemiecka szkoła, a jej przełożony starał się gorliwie o utrzymanie i rozwijanie niemieckości w tym kraju.

Najważniejsza znajomość, jaką zrobiłem mieszkając u pana Kluga, był to Dr. Barranca, profesor historyi naturalnej w tutejszym uniwersytecie San Carlos. Przychodził popołudniu codzień prawie do ogrodu i okazywał mi wiele przyjaźni. Dr. Barranca był na pół indyjskiego pochodzenia rodem z prowincyi Ayacucho, pracą nabył rozległych wiadomości, a nawet nauczył się niemieckiego języka o tyle, żeby módz czytać książki naukowe. Wogóle miał ochotę i zdolności do nauki języków, znał gruntownie ludowy język peruwjański albo Quechna; a co do nauk przyrodniczych miał wielką zawsze chęć poznawania głębiej wszelkich spostrzeganych zjawisk. Dr. Barranca był nieraz moim przewodnikiem w czasie wycieczek i nauczył mię, jak należy szukać rozmaitych osobliwości, którychbym bez niego może nie dostrzegł. Pokazał mi np. na grubych murach, którymi podówczas miasto było otoczone, pod suchemi szczątkami organicznemi, pewnego żuczka, –

ale nie wiedział, co to był za owad. Patrząc nań, że głowę miał podobną do głowy Ptinusa, domyśliłem się. że to był Gibbium, owad przytrafiający się także w Europie, ale którego nigdy przedtem nie widziałem. Pokrywy skrzydłowe u góry zrosło obejmują prawie zupełnie brzuszek żyjątka, niby błyszcząca łupinka. Skrzydeł do latania nie mają. Innego razu poprowadził mię w Callao nad morze, na miejsce porosłe kępami wysokiej trawy, na której badylach siadały wielkie, podługowate, drapieżne muchy z rodzaju *Asilus*, od europejskich asilusów większe. Tu obfite były sieci w połowie srebrzystego, o brzuchu zazębionym z boków pająka, który siedział na środku swej siatki z rozkrzyżowanemi nogami na kształt litery X. Tu była i jaszczureczka bardzo wysmukła, której gdzieindziej nie można było znaleźć, a która przez nas łapana kryła się w kępach dużej rośliny o mięsistych listkach, noszącej nazwę *Salsola.*

Niedaleko stamtąd były doły, w których woda morska wyparowując zostawiała sól. Chociaż w tych dołach była woda solą nasycona i od morskiej bardziej słona, żył tam pewien gatunek raczka pomarańczowej barwy w niezliczonej ilości, opisany podług nadesłanych egzemplarzy najprzód przez prof. Grubego, a niedawno gruntowniej zbadany przez p. Kluczyckiego we Lwowie. Żałuję, że pomimo mej prośby nie nazwano tego gatunku od Dr. Barranca, lecz inną nazwę mu dano.

Po dwumiesięcznym pobycie w Limie, kiedy zaopatrzyłem już mój zbiór w największą część ptaków polnych, pragnąłem jeszcze posiadać ptaki nadmorskie. Do tego najdogodniejsze w pobliżu Limy miejsce było w Chorillos, położonem blisko morza. Dr. Barranca wynalazł mi przy końcu miasta u rybaka skromny pokoik bez okna, bez podłogi, gołe tylko ściany za 20 fr. miesięcznie. Choć drogo, rad byłem z tego schronienia, bo w tej porze roku w mieście wszystkie mieszkania były zajęte i jeszcze drożejby kosztowały.

Rybak, u którego zamieszkałem, na piasczystych brzegach łowił wędką *Corvinę* od rana do wieczora. *Corvina* dochodzi długości 1 metra, ma kształt zwyczajny, łuskę srebrzystą i płetwę grzbietową ciemistą. Osiołek, na którym jechał mój rybak nad morze, stał po całych dniach na piasczystym brzegu, udzielając dobroczynnego cienia wiernemu psu, nieodstępnemu towarzyszowi wypraw rybaka.

Po obu bokach siodełka wisiały szerokie, lecz krótkie, z sitowia uplecione torby, które mają się napełnić ku wieczorowi Corviną; rybak zaś siedzi na tylnym krzyżu osła, jak to jest we zwyczaju w tym kraju, żeby grzbietu bydlęcia nie wyginać.

Tak siedząc na małym osiołku silnie zbudowany rybak, może zupełnie czystej krwi czerwonoskóry Peruwjanin, udaje się na rozległe piasczyste wybrzeże o jakie pięć kilometrów na południe od Chorillos. Tu w piasczys-

tem dnie morskiem żyje obficie raczek znany w zoologii pod nazwą *hippa*, a służący za główny pokarm Corvinie.

Fala długa na kilkadziesiąt kroków przybywa i opada z hukiem, zalewając brzeg piasczysty; a woda spływając po pochyłości toczy kamyczki, muszelki i piasek, sprawiając szczególny szelest i zaraz podcina falę następną. Ta kolej monotonna huku przewalającej się fali i szumu toczonych kamyczków trwa dzień i noc, miesiące, lata, wieki, przerywana tylko silniejszem poruszeniem żywiołu podczas trzęsienia ziemi. Drobniutkie kropelki od rozbijających się fal wiatr porywa, a zawieszone w powietrzu tworzą pewne zamglenie. Te maluchne cząsteczki słonej wody wyparowują, wysychają, zostawiając w powietrzu jeszcze drobniejsze, okiem niedojrzane cząsteczki soli. Jak daleko w głąb lądu wiatr je unosi? Prawdopodobnie czasem aż w najodleglejsze od morza strony. Deszcz je gdzieś pochwyci, rozpuści i pewnie te cząsteczki soli nie są bez znaczenia w ekonomii przyrody, wpływając na skład roli i przyczyniając się do żywienia roślin.

Na tem się kończą »Opowiadania« Konstantego Jelskiego, który bawił w Peru do 1880 r., lecz nagła śmierć nie pozwoliła mu »Opowiadań Peruwjańskich« dokończyć.

Władysław Kluger

LISTY Z PERUWII*

Władysław Kluger (1849-1884) był polskim inżynierem oraz podróżnikiem. Przybył do Peru w roku 1874 i objął stanowisko inżyniera rządowego (Ingeniero del Estado). Jego działalność w tym kraju miała bardzo rozległy zakres i obejmowała zarówno prace architektoniczne, jak i budowę sieci kolejowych, dróg oraz budownictwo lądowe. Jednym z pierwszych zleceń Klugera było nadzorowanie robót przy regulacji biegu przepływającej przez Limę rzeki Rimac. W roku 1875 powierzono mu kierownictwo nad wyprawą badawczą, która udała się w rejon Kordyliery Zachodniej. Celem wyprawy było opracowanie projektu wysokogórskiego kanału irygacyjnego ukierunkowującego wody rzeki Maure w ten sposób, by nawadniały obszar regionu Tacna. Zastosowane w projekcie rozwiązania wzbudziły ogromne zainteresowanie władz peruwiańskich oraz środowisk naukowych i inżynierskich. Prace nad budową kanału zostały jednakże przerwane w 1879 roku na skutek wojny z Chile. W roku 1977 Kluger otrzymał ponadto zlecenie wytyczenia oraz budowy drogi bitej, prowadzącej z miasta Tacna przez Andy do granicy z Boliwią. Projekt ten został zrealizowany i stał się głównym szlakiem komunikacyjnym łączącym państwo peruwiańskie oraz boliwijskie. Wśród wykonywanych w Peru przez Władysława Klugera zadań wymienić można również: zaprojektowanie i nadzór nad budową stalowego mola w porcie Callao, pełnienie stanowiska głównego inspektora linii kolejowej Arica-Tacna, wybudowanie gmachu prefektury w Tacnie czy nadzór nad budową kanału w Uchusume. Należy zaznaczyć jednak, że powyższa lista, choć obszerna, nie jest kompletna.

Kolejnym aspektem działalności Klugera była praca naukowo-badawcza i dydaktyczna. Od roku 1876 był bowiem wykładowcą w prowadzonej przez Edwarda Habicha Wyższej Szkole Inżynieryjno-Górniczej w Limie. Co więcej, podczas swych licznych podróży po kraju skompletował okazałe zbiory antropologiczne i etnograficzne (eksponaty te przekazał Akademii Umie-

* W. Kluger, *Listy z Peruwii*, Drukarnia „Czasu", Kraków 1877.

jętności w Krakowie – od roku 1877 był jej członkiem-korespondentem). Innym ważnym rezultatem odbytych wypraw, badań oraz obserwacji była bogata korespondencja, którą następnie zebrano oraz opublikowano.

Prezentowane poniżej Listy z Peruwii napisane zostały przez Władysława Klugera w latach 1875-1876 w Limie i w Tacnie. Zawarte w nich opisy, odnoszące się do realizowanych w Peru przedsięwzięć oraz sytuacji i warunków panujących w tym kraju, uznać można za niezwykle cenne – przede wszystkim dlatego, że dają możliwość poznania pewnych aspektów funkcjonowania państwa i społeczeństwa peruwiańskiego w drugiej połowie XIX wieku*.

* * *

* D. Bartkowiak, *Kluger Władysław*, [w:] *Encyklopedia polskiej emigracji...*, op.cit., t. 2, Oficyna Wydawnicza Kucharski, Toruń 2003, s. 416-417; I. Klarner-Kosińska, op.cit., s. 185--186; E.S. Urbański, *Inż. Władysław Kluger w Peru*, [w:] Tenże, *Sylwetki polskie w Ameryce Łacińskiej w XIX i XX wieku. Uczeni, literaci, artyści, kler i wojskowi*, Vol. I, ARTEX PUBLISHING INC., Stevens Point 1991, s. 208-209.

Lima 13 maja 1875 r.

Wczoraj dopiero powróciłem z gór zwanych *Cordillera de Huarochiri,* gdzie, jak wiesz z mych poprzednich listów, miałem pojechać w celu obejrzenia robót hydraulicznych tamże prowadzonych. Stosownie do mego przyrzeczenia, choć nie łatwo było mi je dotrzymać, zważywszy na zimno i na *soroczi* (sorochi), które mnie nieznośnie prześladowały, zacząłem opisywać na miejscu wrażenia mych podróży, chuchając w palce i rozgrzewając przy ogniu zamarznięty atrament. Dziś kończę pospiesznie me listy, aby skorzystać z parowca wychodzącego do Panama.

Zrazu miałem zamiar opowiedzieć ci szczegółowo me przeprawy przez wiecznym śniegiem pokryte góry, opisać: klimat, wegetacyę i ludność przebywającą w lodowatych wyżynach kordylierskich, a przede wszystkiem dać ci poznać technicznie owe roboty, przedsięwzięte przez rząd Peruwiański u źródeł rzeki *Rimac* dla uregulowania jej biegu, ale dostawszy się na miejsce mego przeznaczenia, postanowiłem ograniczyć się na opisaniu drogi żelaznej, wiodącej z *Lima* do *Oroya,* jako najciekawszej części mej podróży, odkładając na później dalszy ciąg mego opowiadania.

Zaczynam od nazwiska autora tego olbrzymiego dzieła, inżyniera Ernesta Malinowskiego, który na swą i imienia polskiego chwałę nietylko pierwszy podał myśl połączenia żyznych dolin Amazonki z Oceanem Spokojnym, ale jeszcze myśl tę w wykonanie wprowadził. I bez przesady powiedzieć można, że jeżeli wielką, polityczną i ekonomiczną była myśl zaludnienia dziewiczego stoku Andów, zaszczepienia cywilizacyi, przemysłu i handlu wśród bogatych lasów, przerżniętych najwspanialszemi rzekami spławnemi, o jakich tylko marzyć można, to znowu wykonanie podobnego pomysłu wymagało wiele odwagi, zmysłu inicyatywy i znajomości sztuki inżynierskiej. Wznieść się z ciężkim pociągiem parowym na blisko 5,000 metrów po nad poziom morza w stosunkowo tak małej odległości, która oddziela Ocean Spokojny od szczytu Andów, przełamać naturalne przeszkody, napotykane w konwulsyjnie utworzonych górach Kordylierskich, nie zważać na śnieg, pioruny i brak powietrza, który na tej wysokości zaczyna odmawiać przystępu wszelkiej istocie żyjącej, oto zadanie równie trudne i zuchwałe, jak użyteczne i godne podziwu.

Historya tej kolei jest bardzo krótka i niedawna. W roku 1859 p. Malinowski przedstawił po raz pierwszy ówczesnemu prezydentowi Rzeczypospolitej potrzebę otwarcia przystępu do skarbów roślinnych i mineralnych,

nagromadzonych we wnętrzu Peruwii, jako najpewniejszy sposób zabezpieczenia przyszłości tego kraju; ale rozruchy, wojny domowe i zajęcia polityczne stały ciągle na przeszkodzie do urzeczywistnienia tego planu; aż do roku 1869, w którym rząd pułkownika Balta* zadekretował sumę 27 milionów soles (136 milionów franków) na zbudowanie kolei żelaznej, któraby wychodząc z portu *Callao*, dochodziła doliną rzeki *Rimac* na drugą stronę Andów do wioski *Oroya*, położonej na progu osławionych okolic *montanna*. Naturalnie wybór tej drogi był owocem licznych badań i dyskusyj, podsycanych przez właścicieli ziemskich mających swe posiadłości w innych dolinach ze szczytu Andów zstępujących, mianowicie w dolinach *Chancay* (Czankaj) i *San Damian*, obydwóch równie urodzajnych, jak dolina rzeki *Rimac*, a prowadzących: pierwsza do sławnych kopalni srebra *Cerro de Pasco*, druga zaś ku żyznym brzegom rzeki *Janja* (Hauha). Ale droga przez dolinę rzeki *Rimac* przedstawiała nietylko pod względem technicznym lepsze warunki od dwóch drugich, ale zalecała się tem jeszcze, że prowadzi wprost ze stolicy do okolic *Chanchamajo* (Czanczamajo), słynnych ze swych płodów roślinnych i leśnych, a ułatwia zarazem i przystęp do *Cerro de Pasco* i do *Janja*, leżących jedno na lewo, drugie na prawo końca projektowanej kolei. Zgodzono się więc na linię *Lima-Oroya* i w tydzień po podpisaniu dekretu rozpoczęto roboty.

Linia kolei zaczyna się w *Callao* i dochodzi w zwykłych warunkach do *Lima*, gdzie wsiadłem do wagonu około godziny ósmej rano. Przejechawszy mosty *Puente viejo* i *Puente Balta*, niebawem straciłem z oczu wieże i budynki stolicy, bo miejsce ich zajęły wspaniałe plantacye trzciny cukrowej, poprzerżynane kolejami żelaznemi, na których zwykli tu zwozić trzcinę do *Hacienda* (dwór wiejski) za pomocą małych lokomotyw. Napawając się widokiem zieloności zalewającej dno tej doliny *Rimac'a*, której ściany nagie i żółte odbijają jaskrawie na błękitnem tle nieba, wznosimy się wolno wzdłuż lewego brzegu rzeki, mijając tu i owdzie nowoczesne *chacra* (folwarki), albo opustoszałe gruzy dawnych wiosek indyjskich i kanałów irrygacyjnych, świadczących o przemyśle ówczesnej ludności.

Po dwóch godzinach jazdy stajemy w *Chosica* (Czosika). Dworzec kolei porządny, hotel wytworny i wygodny, ale otoczenie smutne, brak rozmaitości i zieloności, bo tu ni wieś ni miasto, ale poprostu nędzny folwark otoczony puszczami piasku. Pomimo tego mieszka tu zawsze kilka familij dla poratowania zdrowia, bo jak się zdaje, powietrze kordylierskie jest doskonałem lekarstwem na choroby piersiowe i płucne. Począwszy od *Chosica* dolina

* José Balta – prezydent Peru w latach 1868-1872. Zob. G.T. Cushman, *Guano and the Opening of the Pacific World. A Global Ecological History*, Cambridge University Press, Cambridge-New York 2013, s. 58 (przyp. autora).

Rimac'a zaczyna zwężać się stopniowo i przybierać coraz to większe spadzistości, tak że dojeżdżamy do *Coca-Chacra* ze spadkiem blisko 4%, co jak Ci wiadomo, wyobraża największą pochyłość, po jakiej postępować może zwyczajny pociąg parowy. Nieco wyżej w *San Bartolomeo,* to już ciasny wąwóz, zalany pieniącemi się wodospadami rzeki; po drodze wykutej na pochyłości góry pociąg nasz wznosi się nieustannie, ale pomimo wszystkich wysiłków nie może wydążyć za rzeką i niebawem zwyciężony w tych szalonych wyścigach staje nad jej brzegiem, nie mogąc postąpić naprzód, ani skręcić w bok dla zyskania wysokości, bo z obu stron i z przodu spadziste góry nie dopuszczają zakrzywienia drogi żelaznej. To też cofamy się w tył, wagony przechodzą na inne szyny i pchane lokomotywą wznoszą się na pewną wysokość, gdzie znowu w zygzak zmieniamy drogę żelazną, lokomotywa na nowo przodem pnie się po stromej ścianie góry, jak wąż wije się po falistym gruncie, raz zawieszona nad przepaścią, to znowu w głębokim wykopie. Przejeżdżamy kilka tuneli, kola wagonów świerszczą na nagłym zakręcie drogi i niebawem ukazuje się wspaniały wiadukt *Verrugas,* najwyższy na świecie, bo mający blisko 90 metrów w środku. Dreszcz przebiega na myśl, że nasz ciężki pociąg ma przebiedz po tej tkaninie żelaznych prętów, podpartych zaledwie co 40 metrów ażurowym słupem żelaznym, gubiącym się w dnie przepaści. Widok ztąd piękny, ale dziki i ponury, jak historya tej miejscowości; wymarło tu bowiem tysiące robotników tkniętych straszną chorobą *Verrugas* do tego miejsca przywiązaną, a pochodzącą, jak jedni mówią, z wody tam płynącej, a drudzy, z wyziewów wydobywających się przy kopaniu ziemi. Dotąd nie znają jeszcze ani jej prawdziwej przyczyny, ani lekarstwa; wiadomo tylko, że jest śmiertelną, gdy tknięty nią chory nie pokryje się wrzodami krwistemi, działa bowiem wtedy wewnętrznie, dziurawi kiszki i zabija; wiadomo także, że jednemu dość było przejechać raz tędy, by paść jej ofiarą i że drugi żył tu bezpiecznie lat parę. Ale liczba tych ostatnich jest bardzo mała i jak mnie zapewniano, przeszło dziesięć tysięcy ludzi przypłaciło śmiercią swój pobyt przy robotach. Przejechawszy wiadukt Verrugas na nowo zbliżamy się do dna doliny, choć szyny wiodą ciągle w górę; ale pochyłość rzeki jest tak wielka, że pomimo ciągłego wznoszenia się, dochodzimy w *Surco* znowu do poziomu wody. Rzuciwszy się trzy razy z jednego brzegu na drugi, kręcąc się prawie w miejscu, ale wznosząc się nieustannie, dostajemy się nareszcie na wysokość *Matucana* t. j. na 2,300 metrów ponad poziom morza. Wioska *San Mateo,* przez którą jechać wypada, leży już bardzo blisko, ale chcąc dostać się na 3000 metrów, trzeba znów przedłużyć linię kolei, spinać się po skarpie góry, wracać ku *Matucana,* jechać w zygzag i rzucić się na nowo na drugi brzeg rzeki, zkąd w rozszerzonej nieco dolinie widać malownicze chaty indyjskiego *pueblo.* Niebawem widnokrąg znika zupełnie; pod nami rozpadlina o ścianach pionowych, gubiących w obłokach swe szczyty, a otoczonych

u spodu przez gwałtowny, pieniący się potok górski; wokoło skały trachitowe i porfirowe wysterczające na zewnątrz i grożące co chwila upadkiem. Naturalnie byłoby szaleństwem prowadzić kolej wzdłuż tej strasznej przepaści; więc też pociąg wjeżdża w tunel, przerzyna w poprzek rozpadlinę za pomocą żelaznego mostu, z którego na nowo pod ziemię wjechawszy, wydostaje się na zewnątrz w pobliżu doliny zwanej *Rio Blanco*. Widok z mostu łączącego obadwa tunele jest nie do opisania; jest to zarazem wielkie i ponure, godne nazwiska *Piekła (Infernillo)* przydanego tej miejscowości; ale piekło to jest piękne, ubrane: w wodospady, pieczary, różnokolorowe skały pokryte wiecznym cieniem, a odbijające tysiącznem echem szum pieniącego się potoku. Jakże dziwnie na tem tle dzikiej, niedostępnej natury odbija, lekki most żelazny, po którym jak wiadomo, przebiega od czasu do czasu kunsztowna lokomotywa, gubiąca się w ciemnej paszczy tunelu.

Po za doliną *Rio Blanco*, przerzniętą wiaduktem mającym 100 metrów długości, dolina przybiera charakter wyżyn kordylierskich, t. j. rozszerza się bardzo znacznie i tworzy dość duże równiny, po których spływa spokojny strumyk, ten sam, co nieco niżej rozwala skały i pieni się w wodospadach. Żeby jednak dostać się na szczyt Andów, trzeba jeszcze zrobić trzy duże zakręty, jeden w pobliżu stacyi *Chicla*, drugi przy *Cosa-palca*, wreszcie trzeci i najdłuższy, bo mający siedm kilometrów długości, w dolinie *Chinchan*, otoczonej śnieżnemi górami. Wkrótce potem wykuta w skale droga gubi się w wnętrzu góry: to ostatni tunel (1173 metrów długości) 4800 metrów ponad poziom morza wzniesiony, od którego począwszy, zacznie się zjeżdżanie na drugą stronę Andów.

Od *Chicla* jechałem konno, bo kolej jeszcze nieskończona. Okolica smutna, pozbawiona roślinności; termometr spada coraz więcej w miarę jak słońce zachodzi, wreszcie o zmroku gęsty śnieg padać zaczyna. Nieprzyzwyczajony do podróży po Kordylierach, wkrótce doznaję skutków rozrzedzonego powietrza: ból głowy, brak oddechu i wymioty, słowem *sorochi* (soroczi) choroba górska wywołana nagłą zmianą ciśnienia atmosferycznego. Jest to coś podobnego do choroby morskiej, tylko jest od niej o tyle niebezpieczniejszą, że może sprowadzić apopleksyę u osób krwistych, a głównie podpitych, jak się to już kilkakrotnie zdarzyło na linii Oroyskiej.

Jest to bez wątpienia i bez żadnego porównania najwyższa kolej na świecie, bo wznosząca się począwszy od morza na wysokość równą szczytowi najwyższej góry europejskiej *Mont-Blanc*. wszystko to wśród przepaści, skał i przeszkód wszelkiego rodzaju, do zwalczenia których potrzeba było wywiercić 35 tuneli, stanowiących razem 5 kilometrów długości, i zbudować dwadzieścia mostów i wiaduktów. Ale też doprowadzenie do skutku tego olbrzymiego dzieła kosztuje dotąd 135 milionów franków, a ukończenie linii i doprowadzenie jej do owych miejscowości, które płodami swemi mają kie-

dyś zapłacić koszta budowy, pochłonie jeszcze nie małe kapitały. Na nieszczęście Peruwia znajduje się teraz w bardzo przykrem położeniu. Zadłużona, bo mająca przeszło miliard franków do zapłacenia, walczy dziś prawie z nędzą, by zaspokoić codzienne potrzeby; bogate pokłady guana przynoszące dotąd rządowi około 80 milionów franków rocznie, zaczynają się wyczerpywać, kopalnie srebra zalała woda, wszystko to bogactwa zmarnowane, które zamiast demoralizować mieszkańców tego kraju, powinny były zapewnić im przyszłość na zawsze. Ale też właśnie kolej Oroyska będąca dziś ciężarem dla kraju, ma być jedną z tych dźwigni, które go z nędzy podniosą i na tem właśnie polega zasługa jej autora. Nie myśl zaś, żeby to było chimerą, bo Peru pomimo swej ruiny, do której przywiodła go opieszałość, lekkomyślność i brak prawdziwej cywilizacyi, obfituje jeszcze w bogactwa naturalne, które za małym zachodem zbierać można W górach kopalnie: złota, srebra, rtęci, miedzi i ołowiu; na wybrzeżu olej skalny; tuż pod powierzchnią ziemi węgiel; a głównie saletra pokrywająca całą niemal prowincyę *Tarapaca*. Cóż dopiero mówić o rolnictwie i o jego płodach. Od strony morza ryż i bawełna, a głównie trzcina cukrowa, rosną w istne lasy, o których tylko wyobrażenie dać może bujna wegetacya Antyllów. Trzcina cukrowa uprawiana głównie w dolinach: *Cannete, Lurin, Huacho, Chancay, Rimac, Lambayeque,* wytrzymuje ośm do dziesięciu żniw, zanim nową plantacyę sadzić potrzeba; a olbrzymie fabryki wyrabiające 500 do 800 centnarów cukru dziennie, przynoszą rocznie każda od 4 do 5 milionów franków. Wreszcie winorośl na wielką skalę uprawiana w dolinach *Pisco* i *Moquegua* daje wódkę przez znawców wielce cenioną i wino *Moquegua,* powszechnie w kraju używane. Idąc znowu w kierunku do morza prostopadłym, t.j. wstępując na zachodni stok Andów, gdzie klimat nieco chłodniejszy zbliża się do naszego, napotykamy: zboże, owies, jęczmień, ziemniaki i kukurydzę; z drugiej zaś strony Andów na ich wschodnim stoku *montanna* zwanym, odwieczne lasy pełne cedru, mahoniu i palisandru, bajecznie obfite w drogocenne zioła i krzewy, dające chininę, kauczuk, wanilię, sasaparyllę, kawę, kakao, kokę itd.

Także pod względem klimatu Peruwia jest szczęśliwszą od innych krajów podzwrotnikowych. W Bengalu naprzykład, w Senegalu, w Brazylii, a wogóle we wszystkich krajach gorących a suchych, deszcz pada właśnie w porze największych upałów, tutaj zaś przeciwnie się dzieje; deszcze padają w porze roku chłodnej, a tem samem są mniej dla rolnictwa niebezpieczne, jak owe ulewy spadające nagle na rozpaloną ziemię. Ztąd też charakter roślinności tutejszej jest mniej od innych tropikalny, ziemia więcej sposobna do uprawy roślin ze strefy umiarkowanej pochodzących, a żniwa i zbiory daleko pewniejsze.

Pomimo tylu szczęśliwych warunków Peru jest dzisiaj bardzo zacofane pod względem przemysłu i handlu. Najbogatsze kopalnie srebra, rtęci itp.

są wodą po części zalane, po części zasypane; o węglu krajowym mało kto myśli, sprowadzają go z Anglii po cenach bajecznych. Zboże sprowadzają z Chili, patrząc obojętnem okiem na gnijące na pniu płody doliny *Jauja*, położonej o 40 mil od Lima i mogącej stać się niewyczerpanym śpichlerzem całej Rzeczypospolitej. A cóż dopiero mówić o owych lasach dziewiczych, któreby same przez się nie jeden z krajów Europy z nędzy wydźwignąć mogły; walą się pyszne drzewa robakiem stoczone, albo strzaskane piorunem, podczas gdy Peru sprowadza z Kalifornii drzewo budulcowe.

Naturalnie główną tego przyczyną jest brak dróg komunikacyjnych, otwierających osadom cudzoziemskim wstęp do wnętrza kraju i ułatwiających wywóz płodów roślinnych i mineralnych. Drugim zaś powodem tej stagnacyi przemysłowej były nieszczęśliwe stosunki socyalne, brak oświaty i wojny domowe. Doskonale położenie to pojął i ocenił dzisiejszy prezydent Rrzeczypospolitej, nadając polityce krajowej charakter czysto cywilny, oparty na prawie a nie na mieczu, jakto dotąd miewało miejsce; głównie zaś dając poznać krajowi pracę i oświatę, jako niezawodny sposób ratunku. W tej reorganizacyi Peruwii imię polskie odznacza się nietylko na polu przemysłu, ale także pod względem naukowym; obok bowiem Ernesta Malinowskiego równie godne miejsce zajmuje inżynier Edward Habich, twórca i dyrektor pierwszej w południowej Ameryce Szkoły Inżynierów, mającej się niebawem otworzyć w Lima; dalej Władysław Folkierski* inżynier i dziekan Wydziału nauk matematycznych, fizycznych i naturalnych w Uniwersytecie Limeńskim, któryto Wydział zawdzięcza mu swe wskrzeszenie i przyszłość; inżynier Ksawery Wakulski**, profesor jednego z najważniejszych przedmiotów w przy-

* Władysław Folkierski (1842-1904) – polski inżynier i matematyk. W 1873 roku podpisał umowę z rządem peruwiańskim i w roku 1874 udał się do Peru. Przez pierwsze trzy lata współpracował z Ernestem Malinowskim, budującym w tym okresie kolej transandyjską. W swych działaniach dążył do unowocześnienia i rozbudowy peruwiańskich kolei żelaznych. W roku 1879 został profesorem zwyczajnym mechaniki na Uniwersytecie San Marcos w Limie. Wyjechał z Peru w roku 1889. Zob. F. Chłapowski, *Władysław Folkierski: wspomnienie pośmiertne*, Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Poznań 1904; *Los Polacos en el Perú*, [red.] K. Kochanek, Editorial Salesiana, Lima 1979, s. 89-90; M. Paradowska, *Prof. dr. Władysław Folkierski w Peru*, [w:] E.S. Urbański, *Sylwetki...*, op.cit., Vol. I, ARTEX PUBLISHING INC., Stevens Point 1991, s. 147-148 (przyp. autora).

** Ksawery Wakulski (1842-1925) – polski inżynier, który przybył do Peru z inicjatywy E. Habicha w roku 1874. Współpracował z Ernestem Malinowskim przy budowie linii kolei żelaznych. Był wicedyrektorem oraz profesorem Wyższej Szkoły Technicznej w Limie. Do Polski powrócił w roku 1892. Zob. B. Konarska-Pabiniak, *Franciszek Ksawery Wakulski – polski inżynier w Peru*, „Notatki Płockie" 2011, nr 4/229, s. 8-14; *Los Polacos en el Perú*, op.cit., s. 88-89; R. Tarkowski, op.cit., s. 87-88 (przyp. autora).

szłej szkole inżynierów; naturalista Konstanty Jelski znany ze swych odkryć w dziedzinie Fauny peruwiańskiej; architekt Tadeusz Stryjeński*; inżynier górniczy Aleksander Babiński**, autor najnowszej mapy Peruwii, zajmujący się obecnie projektem osuszenia słynnych na cały świat kopalni srebra w *Cerro de Pasco*; wreszcie autor niniejszego listu a Twój przyjaciel.

* Tadeusz Stryjeński (1849-1943) – polski architekt. Za namową E. Habicha wyjechał w roku 1874 do Peru, gdzie pracował przez trzy lata. W 1977 roku udał się do Francji, skąd powrócił do Polski. Zob. *Los Polacos en el Perú*, op.cit., s. 97; R. Tarkowski, op.cit., s. 88 (przyp. autora).

** Aleksander Babiński (1823-1899) – polski inżynier górniczy, geolog i kartograf. Zdecydował się na wyjazd do Peru dzięki zabiegom E. Habicha. Od roku 1874 prowadził w tym kraju badania geologiczne. Jego prace pozwoliły na poznanie zasobów mineralnych państwa peruwiańskiego. Wyjechał z Peru w roku 1887. Zob. *Los Polacos en el Perú*, op.cit., s. 94-97; R. Tarkowski, op.cit., s. 88; Z.Z.B., *Inż. Aleksander Babiński w Peru*, [w:] E.S. Urbański, *Sylwetki...*, op.cit., Vol. I, ARTEX PUBLISHING INC., Stevens Point 1991, s. 64-65 (przyp. autora).

Tacna 17 marca 1876 roku.

Wiele już czasu upłynęło od mego ostatniego listu, w którym przyrzekłem, donosić ci często o sobie; ale nie moja w tem wina, bo wyjechawszy nagle z Limy, w okolice zupełnie odludne i pozbawione łatwych komunikacyj, nie mogłem dotrzymać przyrzeczenia mimo najlepszych chęci z mej strony. Za to dzisiaj znudzę cię obszernym opisem mych świeżych podróży, w których miałem sposobność zapoznać się z południową stroną Peruwii i Kordylierami.

Niespodzianie dnia 24 sierpnia zeszłego roku mianowano mię naczelnikiem wyprawy, mającej zbadać pod względem topograficznym i hydraulicznym część Kordylierów, zawartą mniej więcej między 17 i 19 stopniem szerokości geograficznej; a to w celu zaprowadzenia irrygacyj w żyznej, a mało uprawianej dolinie *Tacny*, za pomocą wody z rzeki *Maure* sprowadzonej. Rzeka ta mająca swój początek na wschodnim stoku Andów, bieży w kierunku wschodnim wzdłuż granicy Boliwii przez mil kilkanaście i wpada do *Desa guadero*, w miejscu odległem mniej więcej o 120 kilometrów od południowego krańca jeziora *Titicaca*. Jakkolwiek znana zaledwie z opisu podróżnych, rzeka *Maure* zwracała już od dawna na siebie uwagę mieszkańców departamentu Tacna, posiadającego niezmierne błonia do dziś dnia ni źdźbłem trawy niepokryte; długi czas proszono i nalegano, by rząd zajął się jej sprowadzeniem na wybrzeże peruwiańskie za pomocą sztucznego koryta; ale mania budowania kolei żelaznych, które pochłaniały znaczną część funduszów krajowych, stała ustawicznie na przeszkodzie; tak, że dopiero obecny prezydent Rzeczypospolitej postanowił zaspokoić żądania owego departamentu, dając rozkaz zrobienia studyów przygotowawczych. Zadanie polegało na tem, by przeciąć w odpowiednim punkcie naturalne koryto rzeki *Maure*, której wody płyną ku Oceanowi Atlantyckiemu, i prowadząc je sztucznym kanałem przez mroźne wyżyny *Andów*, dotrzeć do wyniosłego pasma gór, zwanego *Cordillera de la costa*, które oddziela wybrzeże Oceanu Spokojnego od wschodniej części Peruwii; pytanie tylko, czy w tej zaporze znajdzie się przejście sposobne.

Tak właśnie rozważałem, gdy rzuciwszy okiem na świeżo mi przysłany rozkaz rządowy, spostrzegam ze zdziwieniem, że termin mego wyjazdu wyznaczony na pojutrze i że żądają ode mnie jak najprędzej listy: ludzi, instrumentów i funduszów potrzebnych do wyprawy. Biegnę więc do ministeryum, tłómaczę niemożebność tak prędkiego wyjazdu z powodu innych urzędowych zajęć, przedstawiam trudność ułożenia kosztorysu podróży po kraju mi niez-

nanym i wyrażam otwarcie moją nieświadomość co się tyczy czasu potrzebnego do zrobienia studyów, opierając się na zupełnym braku map geograficznych okolicy. Na te wszystkie uwagi otrzymuję zawsze jednę i tę samą odpowiedź: „To rzecz pańska; liczymy na to, że pan pojutrze wyjedzie – prezydent życzy sobie tego". Wiedziałem już z doświadczenia, że w Peru wszystko się robi szybko, albo wcale się nie robi; więc żeby kuć żelazo póki gorące, porzucam me rozpoczęte roboty, zabieram instrumenta miernicze, dwóch pomocników inżynierskich i w dzień naznaczony wsiadam na statek parowy.

Trzy są kompanie parowców rywalizujących z sobą w przewozie podróżnych i towarów od *Callao* do *Valparaiso:* kompania chilijska wysyłająca raz na tydzień swe statki i dwie angielskie kompanie, z których jedna wiezie pocztę do Europy co pietnaście dni przez cieśninę Magiellańską, druga zaś dwa razy tygodniowo do *Valparaiso.* Są to piękne statki szrubowe mogące pomieścić 600 podróżnych, ale *Santa Rosa* jest tak przepełniony w skutek zniżonych cen przewozu, że pierwszą noc wypada mi spać w salonie wspólnym, w braku kajuty osobnej. Dopiero nazajutrz przybiwszy do *Pisco,* żegnamy z zadowoleniem znaczną część podróżnych udających się do *Ica,* stolicy departamentu tegóż nazwiska. Godzina właśnie południowa; gwar, hałas i ścisk na pokładzie; na dolnym pomoście niezrozumiałe wołania majtków przy akompaniamencie hałaśliwych machin parowych, puszczonych w ruch dla wyładowania towarów i windowania beczek wina i wódki w dolinie *Pisco* przyrządzanej; na górnym krzykliwe targi i sprzeczki przekupek indyjskich, przybywających co tchu na parowiec dla zarobienia paru groszy na sprzedaży owoców; wszystko to pośród biegań, kułaków i reklamacyj świeżo wsiadających podróżnych, ciągnących za sobą do kajuty: kufry, skrzynie, pudła i inne ruchomości. Wreszcie głośny dzwon parowca daje sygnał odjazdu; pole bitwy przenosi się na pełne morze; co żyje rzuca się na spadziste schodki spuszczone na zewnętrznej stronie okrętu, by dostać się do łódki; otyła *Chola (Czolo,* krew indyjska zmieszana z hiszpańską), z dzieckiem na plecach, obładowana koszami winogron, palt, czylimonii, grenadyn, o włos, że nie wpada w wodę, bo ją naraz pięciu przewoźników każdy na swą łódź ciągnie. Wreszcie schody wyciągnięte, strzał armatni daje ostatni sygnał odjazdu i potężna machina parowa zaczyna swe jednostajne stukanie.

Życie na statku wygodne, ale nudne wskutek jednostajności widoku na piaszczyste, żadnym krzewem nie pokryte wybrzeże. Gdzieniegdzie tylko skaliste wyspy, ubrane w białą powłokę guana, albo obsiadłe mrowiskiem wilków morskich niezmiernej wielkości, gdzieniegdzie wioska a raczej osada rybacka, albo nędzny porcik prowincyonalny o kilku domkach z trzciny na piasku zbudowanych. Mijamy niegodne miana portu *Mollendo,* wysadziwszy podróżnych jadących ku *Arequipa* i *Puno,* i dnia piątego po wyjeździe z *Callao,* rzucamy kotwicę w spokojnej zatoce miasta *Arica.*

Arica jest po *Callao* jednym z pierwszych portów Peruwii, nietylko jako przystań pod względem topograficznym, ale także co się tyczy handlu i położenia geograficznego; jest to bowiem główna brama, przez którą aż do lat ostatnich przechodzić musiały towary zagraniczne sprowadzane do Boliwii, w zamian za miedź i srebro wydobywane z bogatych kopalń tego kraju. Od czasu zbudowania kolei od *Mollendo* do *Puno,* i zaprowadzenia regularnej żeglugi na jeziorze *Titicaca, Arica* zaczęła tracić na swem znaczeniu politycznem; ale mimo tego stanowi jeszcze dzisiaj razem z miastem *Tacna* najwięcej uczęszczaną drogę *Boliwii* i przynosi rządowi peruwiańskiemu w przecięciu 80 tysięcy soles (400000 franków) miesięcznie za opłaty celne. Pod względem powierzchowności *Arica* szczyci się tylko swym pięknym budynkiem komory celnej, zbudowanym przez rodaka naszego Edwarda Habicha i dość szpetnym kościołem żelaznym z Nowego Yorku sprowadzonym; reszta leży w gruzach, bo pamiętne trzęsienie, ziemi dnia 13 sierpnia 1868 roku nie pozostawiło kamienia na kamieniu. Czego nie zburzyło trzęsienie, to zabrała woda. W pół godziny po runięciu miasta, morze z brzegów swych występować zaczęło; stojące na kotwicy statki parowe, jeden wojenny północno-amerykański, drugi kupiecki angielski uniesione szalonym pędem cofającego się morza, nadaremne robiły wysiłki, aby się utrzymać na pełnym Oceanie ; porwały je napowrót rozwścieklone bałwany i jak łupinę orzecha przeniosły po nad miastem, po przez szyny kolei żelaznej wiodącej z *Arica* do *Tacna.* Do dziś dnia stoją zaryte w suchej ziemi w pośród łanów koniczyny.

Uprzejmie przyjęty w domu Inżyniera jednej z fabryk żelaznych Paryża, spędziłem tam mile kilka godzin aż do odejścia pociągu do *Tacny.* Co za smutny obraz natury ogołoconej z tego wszystkiego, co zwykle jest jej ozdobą i urokiem. Po obu stronach kolei żelaznej płaskie, piaskiem pokryte błonia, sięgające od morza aż pod wspaniałe pasmo Kordylierów; nigdzie nie widzisz chaty, ani śladu człowieka, bo też tam niktby wyżyć nie mógł z braku wody, choć utrzymują niektórzy, że za czasu Inkasów pola te były uprawiane dzięki kunsztownym irrygacyom, o jakich jak mówią, nie mamy nawet pojęcia. Sąsiadowi, co mi w wagonie o tem opowiadał, nie chciałem zaprzeczać, bo wiedząc o celu mego przyjazdu, byłby mnie posądził o stronność, a mój sposób myślenia nazwałby *jalousie du mêtier*; ale w duszy nie bardzo mi to trafiało do przekonania. Nareszcie po dwóch godzinach jazdy ukazuje się dolina *Tacny*; mijamy bujne sady przedmieścia i wjeżdżamy w miasto środkiem ulicy, rozpędzając zwyczajem krajowym jezdnych i pieszych bez pomocy strażników i policyi.

O *Tacnie* bezstronnie mówić nie mogę, bo przyjęty serdecznie przez architekta Tadeusza Stryjeńskiego, prowadzącego tamże budowę kościoła katedralnego, widziałem wszystko w różowych kolorach; towarzystwo znalazłem wyśmienite, ludność uczciwą i pracowitą, domy czyste i porządne.

Miasto to jakkolwiek małe, przedstawia rzeczywiście pewne zalety wyjątkowe; najprzód że jest stolicą jednego z najbogatszych departamentów, mającą ciągłe stosunki handlowe z *Boliwią,* a tem samem będącą siedzibą licznych władz krajowych i konsulatów zagranicznych; drugie, że jego ludność łączy w sobie rozmaite żywioły cudzoziemskie, których brakuje w innych miastach Rzeczypospolitej. Dlatego też *Tacna* trąci cudzoziemczyzną i może z tego samego powodu wydała mi się ruchliwszą i przyjemniejszą od czysto peruwiańskiej *Arequipa,* walczącej z nią o pierwszeństwo, choć nierównie większej i ludniejszej.

Pierwszy tydzień zeszedł mi bardzo prędko na przygotowaniach do podróży, na szukaniu: ludzi, mułów i żywności. Dzięki gorliwemu poparciu tutejszego Prefekta, człowieka postępowego i dbałego o dobro publiczne, zdołałem usunąć prędko wszystkie trudności i urządzić plan podróży w nieznanym mi naówczas kraju; dano mi nawet do pomocy inżyniera okręgowego, znającego doskonale owe okolice i mającego renomę doskonałego przewodnika. Zaopatrzywszy się więc w sprzęty niezbędnie potrzebne, jako to: w namioty, łóżka polowe, stoły i stołki składane, żywność, naczynia kuchenne i aptekę, naznaczyłem wyjazd w góry na d. 7 września; pokazało się jednak przy podpisywaniu kontraktu z *arrierami* wynajmującymi mi konie i muły, że 7 września wyjechać nie można, bo wtorek jest dniem feralnym, atemsamem bardzo niebezpiecznym. Nadaremne były moje nalegania; wypadło odłożyć wyjazd na dzień następny. Zapominam jednak, że wyraz *arriero* jest ci nieznany: oznacza on po hiszpańsku ludzi trudniących się przewożeniem ludzi i rzeczy na koniach lub mułach, co naturalnie ma olbrzymie zastosowanie w takim kraju jak Peruwia, gdzie niema prawie dróg wozowych. Rzemiosło to nadzwyczaj ciężkie, ale intratne i niezależne, przechodzi z ojca na syna i wytwarza prawie odrębną kastę ludzi wytrzymałych na deszcz, zimno i największe niewygody.

Już od świtu dnia następnego ulica zawalona końmi, ładowaniem skrzyń, worków i namiotów. Niktby nie uwierzył, z jaką łatwością i wprawą umieją *arrierowie* znaleść środek ciężkości i ułożyć ciężary na grzbiecie muła w taki sposób, żeby nie przeważały ani na jednę ani na drugą stronę. A cóż dopiero mówić o tych rozmaitych sposobach wiązania sznurem ze skóry byczej, jużto układając go we czworo na *aparejo* (rodzaj siodła poprzegiem ściągniętego) i przekładając oba końce przez utworzone tym sposobem pętle, to znowu kładąc go na krzyż pod brzuch i piersi bardzo systematycznie i racyonalnie. Robota to nader ważna i jak później widziałem dosyć trudna, bo brak równowagi sprawia większą fatygę, kaleczy bydlę, albo nawet na ziemię obala przy najmniejszem potknięciu się, co naturalnie w miejscach przepaścistych jest bardzo niebezpiecznem. Wieleż to razy widziałem głębie przepaści posiane bielącemi się kośćmi tych ofiar ludzkiego despotyzmu.

O godzinie dziesiątej na koń. Zostawiwszy za sobą muły juczne, ruszamy w towarzystwie Tadeusza Stryjeńskiego i kilku znajomych do *Haciendy* pułkownika J., jednego z pierwszych właścicieli ziemskich z okolicy. Folwark ten zwany *Piedra Blanca* leży o milę od *Tacna* na drodze do *Boliwii*, którą rai jechać wypadało; przyjąłem był więc ochoczo zaproszenie gospodarza, aby spędzić pod dachem gorące godziny południowe. Tu dopiero po raz pierwszy widziałem z bliska gospodarstwo wiejskie w Peru, ten prawdziwy dwór hiszpański ubrany w staroświeckie sprzęty, dziś już dobrze sponiewierane, ale noszące na sobie ślady dawnej piękności, której trudno się dopatrzyć w dzisiejszych salonach miejskich, meblowanych na sposób czysto europejski. Peruwianin lubi pozory, blask i zbytek na zewnątrz, ale w głębi obojętność na wygody i chędogość; wszędzie także przebija ten brak gustu, który cechuje człowieka cywilizowanego. Obiad nie bardzo smaczny, ale złożony z niezliczonej liczby potraw, następujących po sobie bez żadnego systemu i porządku , istna wieża Babel. Ale czem chata bogata, tem rada; to też pan domu wymawia swoje ulubione *aji* (rodzaj mocnego pieprzu), które nam usta popiekło i zaprasza na owoce. Trzeba mu już oddać słuszność, że ma w swoim sadzie najpyszniejsze *chilimonie*, wielkości głowy dziecięcej, rodzaj soczystej a słodkiej gruszy, przepyszne, *grenadilla* zawierające w swej łupinie ziarna ze smaku do porzeczek podobne, *palta,* masło roślinne, *platano* itd., słowem całą wystawę owoców podzwrotnikowego nieba.

Czas już żegnać się i wyjeżdżać. Pod wieczór zmęczeni, doganiamy naszą karawanę, i w dwie godziny później stajemy w wiosce *Pachia* dla przepędzenia nocy. Nie ma tu oberży, ani zajazdu, ale nauczony już doświadczeniem, zajmuję pierwszy lepszy domek, przyrzekając wynagrodzenie i rozgaszczam się jak w domu swoim. Nazajutrz rano, jeszcze noc zalega zielone łany *Pachii,* zapuszczamy się już w kręte wąwozy *Andów;* na przodzie przewodnik, za nim sztab naszej wyprawy, dalej służba i muły pędzone krzykiem arierów „mula", którzy obwinąwszy koło pięści długi rzemień tręzli, zaganiają to na prawo, to na lewo nieposłuszne zwierzę. Kierunek drogi północnowschodni, ciągłe spinanie się po stromem podnożu Kordylierów. Po wschodzie słońca gorąco wzmaga się coraz więcej, a białe skały gór promienieją z taką siłą, że pomimo czarnych okularów nie mogę znieść ich widoku; wreszcie koło południa zatrzymujemy się w wąwozie *Palca* pod cieniem stromej góry, co nas oddziela od *Portada*. *Portada*, to tak zwane *establecimiento*, rodzaj magazynu żywności dla podróżnych, istna oaza kordylierska, wzniesiona wyżej niż szczyty Tatrów ponad poziom morza. Kto nie odbywał tej drogi, nie może sobie wyobrazić, jak miłe wrażenie robi widok tej czystej gospody wpośród dzikich gór i przepaści. Wjeżdżamy główną bramą szeroką; dziedziniec obszerny, dom z trzciny i z *adobe*, to jest z niepalonych cegieł zlepionych błotem, tylko zamiast brytana u drzwi domu spostrzegam uwiązanego *leoparda* na

łańcuchu, który jakkolwiek oswojony zjadł w kilka miesięcy później konia i został za to posłany na rekolekcye do *Limy,* i zamknięty w klatce w tamecznym ogrodzie zoologicznym. Zwierzę to niewłaściwie może lwem lub leopardem nazywane, jest zupełnie podobne do dużego kota dzikiego i gnieździ się po skałach na wyżynach kordylierskich, czychając na wędrowne stada: wigunij, lam i alpak, a nawet rzuca się na konie, gdy przyciśnięty głodem zwęszy nocne koczowisko podróżnych. Ten jednak, o którym mówię, był tak ułaskawiony, że bawił się z małymi Indyanami, nigdy im nic złego nie robiąc, a wpadał dopiero w furyę przy jedzeniu, nie dając się nikomu zbliżyć do siebie z wyjątkiem małego pieska, który miał przywilej wyciągać mu bezkarnie kość z paszczy.

Według mych pomiarów barometrycznych, robionych w dzień przyjazdu i później przez trzy dni co godzinę, *Portada* leży na wysokości 3650 metrów ponad poziomem morza; to też już czuć się daje brak powietrza, oddech zaczyna się utrudniać, a termometr zbliża się w nocy do zera, choć co prawda wrzesień jest jednym z najzimniejszych miesięcy w górach. Spędziwszy tam noc przyjemną, wyjeżdżamy na zajutrz o świcie. Droga nasza skręca się na wschód, jeśli godzi się nazwać drogą tę nędzną ścieżkę, na której w wielu miejscach dwa muły minąć się nie mogą, gubiącą się co chwila w dnie potoku, którego kamieniste koryto zajmuje całą szerokość wąwozu. I powiedzieć, że ta drożyna po dnie przepaści, po tych stopniach wykutych w skale kopytem końskiem, to główny gościniec łączący z sobą dwie Rzeczypospolite: *Peru* z *Boliwią!* Tędy wiozą srebro i miedź z bogatych min: *Potosi, Oruro* i *Cororo,* korę chinową z dziewiczych *montanna* boliwijskich, kokę i inne produkta, *Cochabamba* (Koczabamba), słowem znaczną część płodów środkowej Boliwii. Co chwila spotykamy karawany koni i mułów ładownych, a jeszcze częściej gromady lam jucznych z głowami do góry jak girafy, skaczące po skałach jak sarny i wpadające w osłupienie na widok nieznanej im twarzy. Pod strażą dwóch na pół dzikich Indyan Boliwijskich o miedzianej twarzy, ubranej we włosy splecione w warkocz, są już piętnaście dni w drodze, bo z *La Paz* droga daleka, a lama nie może iść dłużej jak pięć godzin dziennie, choć dźwiga na sobie tylko 50 kilogramów ciężaru. Silna *machora* (maczora, samica) kosztuje tutaj dwadzieścia razy mniej, niż lichy muł, a użytek z niej wielki, bo pracuje cierpliwie i daje niezłe mięso, jakkolwiek żywi się tylko korzonkami i wyschłą trawką górską.

Z rana wyjechaliśmy z *Portady,* chuchając w palce i wyciągając nogi z zimnych jak lód strzemion; teraz zaś, gdy słońce jest u zenitu, upał nieznośny. Termometr pokazuje +32° Cels., skazówka aneroidu przechodzi już 4,000 metrów. Ustała już rozmowa, zmęczenie wzięło górę nad dobrą wolą. Już przed oczyma mamy *Huailillas de Potosi,* punkt najwyższy naszej drogi, a najniższy w całej tej części Kordylierów, tworzy on bowiem siodło, to jest naturalne

zagłębienie w grzbiecie długiego łańcucha gór; otucha też wstępuje w serce i pobudza do prędszej jazdy, ale muły nasze wolno stąpają, ich nozdrza wydęte nie mogą już zaczerpać dosyć powietrza nadaremnie kłułbyś je ostrogami, nie ruszą z miejsca, póki nie wytchną należycie. Wreszcie koło godziny trzeciej z południa stajemy na szczycie drogi, podziwiając wspaniały widnokrąg roztaczający się przed oczyma: na południe labirynt gór zmniejszających się coraz to więcej i ginących w płaskich błoniach wybrzeża, na północ to jest przed nami niezmierne równiny zamknięte sinemi gałęziami gór, nad głową czyste żadną chmurką niesplamione niebo *Andów*. Rzucamy ostatnie spojrzenie za siebie i skręcając z drogi boliwijskiej, spuszczamy się wolno na owe łąki, stanowiące wyżyny kordylierskie, a leżące w przecięciu na wysokości 4,300 metrów po nad poziomem morza. Tu właśnie miejsce naszych badań; ale rzeka *Maure* odległa jeszcze o trzy dni drogi, a co najgorsze przedzielona od nas krętemi pasmami gór, wyrosłych na tym olbrzymim i płaskim szczycie *Andów*.

Od tego dnia zacząłem prowadzić życie czysto koczujące, pod namiotem albo przy ogniu, naprzemian w śniegu i w upale, czasem wpośród groźnych piorunów, a zawsze w najokropniejszym wietrze. Z początku jednak nie było obawy śniegu i deszczu, bo we wrześniu wiatr wieje od Oceanu Spokojnego i wstrzymuje chmury nadciągające od Boliwii, tylko mieliśmy przeciw sobie wiatr i mróz tak mocny, że z trudnością przychodziło ustawić namioty i utrzymać je w równowadze. Na obozowisko wybieramy naturalnie doliny jak najwięcej górami zasłonięte, ale nie zawsze udaje się znaleść miejsce sposobne; bo trzeba mieć w pobliżu wodę dla koni i jakie takie pastwisko, a przytem nie oddalać się od miejsca pomiarów. Obóz stanowią cztery namioty; jeden wielki dla mnie z łóżkiem polowem, ze stołem i kilkoma stołkami, drugi mniejszy z trzema łóżkami dla pomocników i dwa inne dla służby, robotników i kucharza; bo arrierowie sypiają osobno w domku na prędce zbudowanym ze siodeł, podkładów i wojłoków, a pokrytym skórami byczemi, któremi się obwiązuje ładunek muła dla ochronienia go od deszczu. Dobry namiot jest w tego rodzaju podróżach rzeczą nieocenioną, bo dobrze rozpięty i od dołu cokolwiek ziemią przysypany nie przepuszcza deszczu ani wiatru, a jest tak lekki, że ich trzy naraz jeden muł unieść może. Kuchnię urządza się pod gołem niebem na rusztach położonych na kilku kamieniach; za materyał palny służy *tela*, krzew żywiczny, kruchy, krępowaty, *Quennua*, małe drzewko palące się na pniu z największą łatwością, a jeszcze więcej *yareta*, rodzaj olbrzymiej narośli, wewnątrz suchej i łupkiej jak próchno, a pokrytej ślizgim i równym kobiercem gwiazdek zielonych, przez które gdzieniegdzie wychodzą czyste jak łza krople żywicy. Jak myślę, *yareta* rośnie tylko w Kordylierach i to dopiero na wysokości 4,000 metrów mniej więcej; jest to materyał palny wyborny, łupie się bowiem w kawałki z wielką łatwością, jest lekki, zapala się wprost od zapałki i grzeje doskonale (później

przekonałem się, że w *Tacnie* nie używają innego paliwa, choć sprowadzanie go z takich odległości niemało kosztuje).

Obozy nasze wyglądają w nocy dosyć fantastycznie. Wyobraź sobie cztery białe namioty ustawione na bokach czworoboku, którego środek płonący białym ogniem żywicy, rzuca jasne światło na płynący opodal strumień. Tu pasą się konie i wylegają się zmęczone muły, tam stos siodeł o meksykańskich szerokich strzemionach, lasy tyczek z chorągiewkami, trójnogi teodolitów, tam znowu piramidy skrzyń, beczek i worków ustawionych pod głównym namiotem dla ochronienia go od wiatru. Dodaj do tego dwudziestu pięciu krzątających się ludzi, najdziwaczniej ubranych: jedni w opończach kolorowych, szalach z wełny wigunii; drudzy w indyjskich kubraczkach, grubych sukiennych spodniach, rozciętych z tyłu począwszy od kolana; trzeci w watowanych sukniach europejskich z wełnianą czapką na głowie, zakrywającą całą tylną część głowy i uszy, w butach z sążnistemi ostrogami, brzęczącemi jak cały pułk huzarów, a będziesz miał wierny obraz naszego koczowiska. Cóż dopiero mówić o tej mieszaninie języków. Arierowie po hiszpańsku; Indyanie robotnicy jedni językiem *Aymara*, drudzy *Quichua* z sobą rozmawiają, nucąc od czasu do czasu swe smętne piosnki indyjskie przy akompaniamencie fletu, zrobionego z kawałka trzciny; ja z moimi pomocnikami po hiszpańsku i po francusku, a z inżynierem Niemcem po niemiecku szwargoczę, czasem zaś, gdy jestem w dobrym humorze po prostu po polsku Krakowiaka zaśpiewam. Raz nawet szukając czegoś w mym tłómoczku, znalazłem przeszłoroczny numer *Czasu* i byłem tak z tej niespodzianki uradowany, że na głos go przeczytałem razem z inseratami i nazwiskiem odpowiedzialnego wydawcy. Gdzieby się *Czas* kiedy spodziewał, że w wiecznych śniegach Kordylierów znajdzie tak gorliwego czytelnika.

Tryb naszego życia zawsze jednakowy, choć obóz zmieniamy co dni kilka w miarę, jak posuwamy się naprzód. Nie brak także codzień nowych wydarzeń, trudności i niebezpieczeństw. Za punkt wyjścia wybrałem wyschłe jezioro *Laguna Blanca*, leżące na północnym krańcu równiny zwanej *Pampa de Tacora*, a mające 7 kilometrów długości, na 4 kilometry szerokości. Dnia 20 września zatknęliśmy pierwszy palik projektowanej linii kanału, a w dwa miesiące później idąc ciągle w górę ze spadkiem odpowiednim, rozbiliśmy namioty u brzegów rzeki *Maure*, wpośród gór niedostępnych, zamieszkałych przez niezliczone stada wigunii, której mięso do sarniego podobne, wynagradzało wspaniałomyślnie brak wołowiny. Jesteśmy już w listopadzie, burze coraz to częstsze ze śniegiem, gradem i piorunami, których blask ociemnia, a huk ogłusza. Nadaremnie chciałbym to opisać, nie potrafię przedstawić tej wielkiej a ponurej sceny. Wreszcie pod koniec listopada kończymy studya, tyczące się skręcenia rzeki *Chiliculco* do rzeki *Maure*, nie bez epizodów wszelkiego rodzaju, zakończonych niestety śmiercią jednego z mych ludzi,

który wpadłszy do wody zaziębił się i w trzy dni później umarł zapewne wskutek braku należytej pomocy lekarskiej; nie można jednak było ani myśleć o odwiezieniu chorego do szpitala, gdyż znajdowaliśmy się naówczas o pięć dni drogi od Tacny. Wypadek ten zrobił między nami niemiłe wrażenie i ostrzegł o niebezpieczeństwie, jakiem grożą te nagłe zmiany temperatury od +26° Cels. do -14° niżej zera w przeciągu 24 godzin. Codzień począwszy od godziny 10 do 1ej po południu upał jest nieznośny, koło godziny 3ej wieje zimny wiatr z Zachodu, a temperatura obniża się coraz więcej w miarę jak noc nadchodzi i dosięga swego maximum około godziny 4tej rano. W namiocie szczelnie zamkniętym, w wełnianej koszuli, przykryty pięcioma kocami drżałem zawsze z zimna, zanim nie wypiłem kilku filiżanek gorącej herbaty, którą zwykli byli podawać mi o świcie. O tej godzinie wszystko zamarznięte począwszy od strumienia, który codzień motyką rozrąbywać trzeba, by gotować śniadanie, a skończywszy na atramencie w kałamarzu i winie w butelkach. To też chwila kładzenia się w łóżko i ubierania się rano jest prawdziwie *moment supreme* w Kordylierach.

Niemiłe także wrażenie robi duszenie się w nocy w skutek braku powietrza. Doświadczaliśmy tego wszyscy; ja zaś wtedy tylko, gdy na wznak leżałem, budziłem się bez oddechu z mocnem biciem serca. Nie mogę sobie tego wytłumaczyć, gdyż tu w górach barometr zmienia się. bardzo nieznacznie, tak że niema prawie różnicy między ciśnieniem dziennem a nocnem atmosfery. To rozrzedzone powietrze Kordylierów męczy w dzień jeszcze więcej jak w nocy, bo nie można iść pięciu kroków pod górę bez zadyszenia się, wsiadanie na koń męczy, najmniejszy ruch, najmniejszy wysiłek odbiera oddech. Skóra łuszczy się na twarzy, zwłaszcza na nosie i rękach, wargi pękają, schną, twardnieją; patrząc w lusterko poznać się nie mogłem. Rok temu w pierwszej mej podróży do *Andów* gorzej jeszcze było, bo mi popuchły dziąsła i podniebienie do tego stopnia, że nic gryść nie mogłem, a krew zapełniała mi usta; teraz zaś skończyło się tylko na krwotokach z nosa, co jak mnie zapewniano, temu tylko zawdzięczyć należy, że wyjechałem w góry ze zdrowym żołądkiem. Mówią, że to warunek konieczny do uniknienia *sorochi*. Zauważyłem także, że w nocy na tych wysokościach powietrze przepełnione jest elektrycznością, objawiającą się mocnym szelestem za najmniejszem poruszeniem sukni, kołdry albo włosów.

Życie nasze stawało się coraz to trudniejszem w miarę, jak oddalaliśmy się od *Tacny*, nietylko z powodu powtarzających się często burz i gradów listopadowych, ale także wskutek trudności sprowadzania rzeczy potrzebnych dla nas i dla koni; na miejscu bowiem nic zgoła znaleść nie można z wyjątkiem zwierzyny i ptastwa wodnego. Pomyśleć, że miałem do żywienia 23 konie owsem sprowadzonym z *Portady* o 4 dni drogi, bo na pastwiska liczyć nie można było, i 25 ludzi obdarzonych doskonałym apetytem,

a każdy zrozumie, że nie łatwo było utrzymać nasze zapasy zawsze na jednej stopie. To też muły juczne zmęczone ciągłemi podróżami po tych górach i błoniach, podziurawionych jak sito przez kordylierskie krety *conejo* zaczęły już odmawiać posłuszeństwa, ludzie nasi zaczęli już tracić cierpliwość, bo śnieg i deszcze moczyły codzień do nitki; i mnie samemu zaczęło być przykrem to życie koczujące. To też z prawdziwą dla nas radością nadeszła chwila powrotu do *Laguna Blanca*, punktu środkowego pomiarów; 27 listopada dobiliśmy pod wieczór do rzeki *Chiliculco,* wyznaczywszy licząc od „Jeziora Białego" 135 kilometrów kanału; nazajutrz rano zwijamy namioty i kierujemy się na wschód, jadąc wzdłuż rzeki *Maure* dla spotkania drogi idącej z *Puno* do *Portady*.

Okolica tu równie dzika, jak w południowej części równiny *Tacora*; wszelako gdzieniegdzie w dolinach spotykamy ubogą chatkę indyjską *estancia* bez drzwi i okien, zamieszkałą przez napół dziką familię pasterza lam i alpak. To siedziba nędzy i pijaństwa, bo Indyanin małem się zadawalnia, byle tylko miał wódki poddostatkiem. Pamiętam, że zajechawszy raz w mych poprzednich podróżach po Kordylierach do wioski *Asun*cion, położonej w dolinie *Rimac*, zastałem wszystkich jej mieszkańców pijanych: kobiety, mężczyzn i dzieci; a miałem później sposobność przekonać się, że w tym stanie pijaństwa żyli dni dwadzieścia, aż póki nie wyczerpały się zasoby. Indyanin tutejszy jest człowiekiem łagodnego charakteru, gdy jest trzeźwym, ale staje się zwierzem po pijanemu; to też miewaliśmy często niemiłe rozprawy, kończące się czasem strzelaniem na postrach z naszych Winchester o ośmiu kulach, które u Indyaninów wielkie budziły poszanowanie. Wogóle mówią, że Indyanie są ludzie źli i głupi; ja zaś jestem wprost przeciwnego zdania. Niechęć, jaką okazują na widok białej twarzy, nieuczynność posunięta do najwyższych granic i głębokie niedowierzanie, to skutek owych prześladowań, których byli przedmiotem nie tylko za czasów wicekrólów, biorących ich na tortury dla dowiedzenia się o kopalniach srebra i złota, ale i dziś jeszcze. Przyciśnięci czasem potrzebą musieliśmy gwałtem zabierać owce i lamy, nie zważając na prośby i błagania; ale na widok srebra, którem ich hojnie za to obdarzono, ustawały lamenty, a stosunki między nami były nadal bardzo przyjacielskie, bo przekonali się, że nie chcemy ich krzywdzić. Co się zaś tyczy pojętności i rozsądku, to nie widziałem jeszcze ludu tak rozwiniętego. Miałem w służbie kilku młodych Indyaninów nie umiejących słowa po hiszpańsku, ale tak domyślnych, że jeden z nich po kilku dniach roboty ustawiał teodolit z taką wprawą i zręcznością, że operator, któremu instrument ten był powierzony nie potrzebował prawie przykręcać szrubami, aby go do poziomu ustawić. Mają zaś szczególny talent poznawania miejscowości, odkrywania śladów na ziemi i chwytania zwierząt żywych i ptaków, jak tego miałem dowody na sześciu strusiach, które mi

przynieśli żywe, złapawszy je w pędzącem przed nami stadzie. Przyznam się, że dotąd nie myślałem, żeby strusie znajdowały sie w Kordylierach.

Zapewniwszy się o możności sprowadzenia wód z rzeki *Maure* i *Chiliculco* do „Jeziora Białego", które postanowiłem uważać za wspólny zbiornik wszystkich wód okolicznych sztuczną drogą sprowadzonych, zostawało jeszcze zbadać rzeki *Putani, Cosapilla* i *Uchusuma*, płynące dwie pierwsze po stronie wschodniej, trzecia po stronie zachodniej pomienionego jeziora. Nie tracąc czasu, zaraz na drugi dzień po noclegu u stóp śnieżnej góry *Tacory* zapuściliśmy się w dolinę, a raczej w wąwóz rzeki *Uchusuma* wznosząc się ciągle aż do jej źródeł, położonych na wysokości 4800 metrów po nad poziomem morza, to jest na wysokości szczytu najwyższej góry europejskiej *Mont-Blanc* Spędziliśmy tam tydzień czasu wpośród najstraszniejszych wiatrów paraliżujących nasze pomiary topograficzne, w mrozie niedającym chwili spoczynku, odbierającym sen i energię. A jednak na tych stawach stanowiących początek rzeki żyją całe gromady kaczek i gęsi dzikich: czarnych, białych i różowych, hałasujących w nocy przeraźliwie i latających nieustannie, jak złe duchy nad lodowatą powierzchnią wody. Nad ranem mróz nie da wyleżeć w łóżku, termometr wiszący tuż nad mą głową pokazuje -16° Cels.; jeszcze przed świtem obwinięci w wełniane szale i koce podpalamy trawę i krzewy żywiczne rosnące tutaj w wielkiej obfitości, a palące się całemi łanami za zbliżeniem zapałki, jakby natura sama litowała się nad podróżnikiem. Najwięcej ze wszystkich cierpią arrierowie, bo w dzień zajęci zaganianiem mułów, pakowaniem i poprawianiem ładunków, wieczór rozładowaniem ciężarów, muszą jeszcze naprzemian czuwać w nocy na pastwisku, gdyż często się wydarzało, że konie niemogąc wytrzymać zimna pomimo wojłoków, któremi je okręcono, uciekały o mil kilka do miejsca niżej położonego i od wiatru zasłoniętego. Już to przyznać należy, że muły a nawet tutejsze konie przyzwyczajone do podróży po górach mają doskonały instynkt orientowania się i pamiętania miejsc, w których jakiś czas przebywały; zdarzyło mi się nieraz, że wracając wieczorem z roboty, oddalałem się od mych towarzyszy, licząc na instynkt konia, bo sam niebyłem pewny drogi i że z lejcami opuszczonemi, przejechawszy góry i wąwozy, przybywałem pierwszy do obozowiska, które sobie zupełnie gdzieindziej wyobrażałem. Raz znowu zdarzyło się jednemu z mych pomocników, że zabłądził w drodze do obozu, który właśnie tego dnia w inne miejsce przenieść kazałem i że spędził noc na gołej ziemi o chłodzie i głodzie, niemając przy sobie nawet zapałki do rozpalenia ogniska; na domiar złego koń, z którego zdjął siodło i wojłoki, aby się nimi przykryć, uciekł w nocy do dawnego obozowiska, gdzie go w trzy dni później znaleziono. Była to noc prawdziwie awanturnicza, gdyż nas wszystkich opóźnionych szukaniem zabłądzonego ciemna noc zaskoczyła, a że nam miejsce nowego obozowiska

nie było dobrze wiadomem, bom je tylko ogólnikowo określił, wskazując kierunek, w którym je obrać należy, więc jechaliśmy zupełnie na los szczęścia, paląc za sobą ognie i dając sygnały z rewolwerów i karabinów, aż wreszcie koło godziny 9ej spotkaliśmy Indyanina wysłanego z obozu dla wskazania nam drogi. Cóż to za radość widzieć się uratowanym od zimna i głodu; ale mamy jeszcze przed sobą trzy godziny drogi, bo w braku wody nie można było robić bliżej namiotu. Przeziębli do szpiku kości, zmęczeni całodzienną pracą, zaczęliśmy już posądzać naszego przewodnika o jaki podstęp, a przynajmniej wmawiać w niego, że się omylił i że nas źle prowadzi, bo ani widać ogni, które zawsze wieczorem w obozie palić kazałem dla łatwiejszego oryentowania się w tym labiryncie gór i przepaści, ale łagodny Indyanin odpowiada na to wszystko lakonicznie „No Sennor", nie mogąc dać większych informacyj, bo mówi tylko językiem *Quichua*, a po hiszpańsku bardzo mało rozumie. Wszystko jednak na tym świecie ma swój koniec. O godzinie 11ej w nocy właśnie gdyśmy się gramolili z jakiegoś bagna, w które konie nasze po brzuch wpadały, usłyszeliśmy głośny huk dynamitu, umówiony sygnał obozu.

Cóż ci mam więcej pisać o dalszym ciągu mej podróży po tych olbrzymich, granitowych, dziewiczych górach Kordylierów. Niwelacya rozpoczęta u brzegu „Jeziora Białego", tak nazwanego od białego pokładu saletry, pokrywającej jego suche a płaskie dno, wykazała możebność skręcenia rzeki *Putani* na równinę *Tacora* za pomocą kanału 24 kilometry długiego. Zostawała jeszcze do zbadania rzeka *Cosapilla,* położona dalej na wschód jak *Putani*, a biorąca swój początek niedaleko sławnego wulkanu *Sahama* (drugiego pod względem wysokości w Ameryce, 6800 metrów), a tuż u podnóża dymiącego jeszcze wulkanu *Parinacota*, wznoszącego się majestatycznie, jak olbrzymia mogiła śnieżna na 6700 metrów po nad poziom morza. Dla przyśpieszenia pomiarów zagrożonych zbliżającą się zimą, rozdzieliłem naszą karawanę na dwie części, poleciwszy jednemu z mych pomocników studyum rzeki *Cosapilla*; sam zaś z drugą połową powróciłem na nowo do *Laguna Blanca* tym razem w celu szukania przejścia w Kordylierach dla odprowadzenia na wybrzeże wód w tymże jeziorze zgromadzić się mogących. Rozumiesz już z mego opisu, że całe nasze studya dążyły do sprowadzenia wszystkich wód okolicznych do wspólnego zbiornika, mogącego pomieścić w sobie wodę z różnych rzek a głównie z rzeki *Maure* pochodzącą i to tak w czasie posuchy jak i w porze roku deszczowej, a to mianowicie w celu przechowania zbytecznej wody, spływającej w czasie ulew aż do chwili posuchy i wypuszczania jej potem przez śluzy zawsze w jednakowej ilości, co naturalnie jest koniecznie potrzebnem w takim kraju jak Peru, gdzie ziemia rodzi cały rok bez różnicy. Na moje szczęście znalazło się pod ręką „Jezioro Białe", doskonały zbiornik naturalny, zamknięty górami i o dnie

nieprzemakalnem, choć z drugiej strony wystawiony na znaczne wyparowanie w skutek rzadkości powietrza (4180 metrów po nad poziom morza) i niezmiernych wiatrów tworzących tam ruchome trąby piasku o kilkusetmetrowej wysokości, udało się przeprowadzić linie kanałów sztucznych, wynoszących razem 160 kilometrów długości, bez potrzeby zakładania: akweduktów, mostów i syfonów; pokazało się także z licznych doświadczeń robionych na gruncie, że kanały te mogą sprowadzić w przecięciu do *Laguna Blanca* 10 metrów sześciennych wody na sekundę: słowem pierwsza część mej misyi została uwieńczona doskonałym skutkiem. Zostawało jednak do rozwiązania najtrudniejsze zadanie: otworzenia komunikacyi wodnej między „Jeziorem Białem" i miastem *Tacny*, dwóch miejsc oddzielonych od siebie owym długim łańcuchem utworzonym z gór: *Tacora, Huailillas de Potosi, Huailillas de la Paz*, a zniżającym się nieznacznie w miarę posuwania się ku południowi. Najniższy punkt grzbietu tego pasma, *Huailillas de Potosi,* znajduje się prawie na linii prostej łączącej „Jezioro Białe" z doliną *Tacny;* było więc rzeczą naturalną skierować się najprzód na Zachód aż do spotkania się z Kordylierą i zmierzyć długość tunelu w tem miejscu; później zaś wyszedłszy z *Laguna Blanca*, spuszczać się ciągle ku południowi u stóp zachodniego stoku, aż póki się nie znajdzie naturalnego przejścia; porównanie zaś obydwóch linij miało zawyrokować o ich względnej wartości. Ważną też było rzeczą oznaczyć ogólną pochyłość projektowanej linii, gdyż z jednej strony wiele na tem zależało, aby stracić jak najmniej na wysokości w przebiegu kilkunastu mil, które nas dzieliły od *Cordillera de la Costa,* a z drugiej znowu strony przyjęcie słabych spadków przepisanych przez najpoważniejszych hydraulików europejskich było niepodobnem, zważywszy na tutejszy grunt i na parowanie w rozrzedzonem powietrzu, głównie zaś na nieustanne zamarzanie wody małą prędkością obdarzonej. Pomimo tego wszystkiego wypadki okazały się zadawalniające. Przeszedłszy w poprzek rzekę *Azufre*, tak nazwaną z powodu niezmiernej ilości siarki, jaką posiada, linia nasza oparła się po trzydziestu kilometrach drogi o zachodni stok góry *Huailillas de Potosi,* którą za pomocą tunelu 1400 metrów długiego przebić można; po drugiej zaś stronie pasma nie potrzeba już robić sztucznego kanału, bo głębokie a ciasne wąwozy prowadzą ztamtąd do doliny *Tacny* odległej jeszcze o kilkadziesiąt mil. Właśnie gdyśmy roboty te kończyli, złączył się z nami ów oddział, którym był wysłał dla zbadania rzeki *Cosapilla*, więc też po raz drugi od czasu wyjazdu w góry zostawiłem jeden dzień wolny od roboty, aby wypocząć cokolwiek i dać ludziom czas do wyprania sobie bielizny. Był to dzień bardzo przyjemny, gdyż widząc zbliżającą się chwilę zakończenia tej czteromiesięcznej wędrówki, każdy znosił śnieg i zimno z doskonałym humorem, podsyconym jeszcze u czeladzi nadmiarem wódki i wina, które w dzień tak świąteczny hojnie rozdać kazałem.

Później już zacząłem żałować tej szczodrobliwości, gdyż arrierowie i służba hurmem namiot mój otoczywszy, poczęli prosić o broń i o konie wcelu urządzenia obławy na stado dzikich byków pasących się w okolicy; wiedziałem, że to niebezpieczne, ale dałem czego żądali, nie mogąc oprzeć się ich naleganiom. Zaczęło się więc polowanie od odłączenia od stada jednego z byków, który z razu przestraszony strzałami, odzyskał wkrótce całą swą odwagę i rzucił się dzielnie na naszą kawaleryę. Naturalnie każdy uciekał zawczasu, bo z bykiem nie ma żartów, ale stawał zaraz i dawał ognia, gdy tylko czuł się na bezpiecznem miejscu. Mocno ranione, przeszyte na wylot brzucha grubą kulą karabinową, z pyskiem pieniącem i rozdartem nozdrzem silne to zwierzę broniło się jeszcze z pół godziny, to padając na ziemię z osłabienia, to wstając znowu po otrzymaniu nowej kuli i rzucając się z wściekłością na swych nieprzyjaciół. Już na włosku było życie mego majordoma, który dla brawury podsunął się w galopie pod samego byka i palnął mu w łeb z rewolweru; kula strzaskała szczękę, ale rozjuszony zwierz jednem machnięciem rogów roztworzył brzuch koniowi, i byłoby się może gorzej skończyło, gdyby nowa kula nie była zwaliła na ziemię niebezpiecznego przeciwnika.

Byliśmy już naówczas w drugiej połowie grudnia, a więc w pełni tej tak zwanej zimy Kordylierskiej, różniącej się od lata: burzami, śniegami i podniesieniem temperatury. Ustał już ów wiatr zachodni wiejący za czasu naszego przyjazdu do gór, więc też ołowiane, ciężkie chmury nadciągały swobodnie w kierunku od jeziora *Titicaca* i zalegały cały horyzont aż do pasma gór, które nas dzieliły od wybrzeża. Znajdowaliśmy się właśnie na granicy dwóch zupełnie innych klimatów: tu pioruny, grad, śnieg i zimno, z drugiej strony gór, w pół dnia jazdy: lazurowe niebo podzwrotnikowe, upał, słowem *costa*, wybrzeże. Na tę myśl każdy budził w sobie nową energię i robił wszystkie wysiłki, aby dostać się jak najprędzej do tego kraju obiecanego, gdzie go czekał spoczynek i wygoda; ale trudno było oznaczyć z góry czas potrzebny do ukończenia robót, bośmy szli na spotkanie nieznanego nam wąwozu *Camunnani,* który zdaniem trzech Indyan wysłanych przed miesiącem dla zwiedzenia wszystkich możebnych przejść przez Kordyliery, miał się znajdować dosyć daleko w stronie południowej. Wieleż tam mieliśmy trudności przy przejściu tych przepaści o ścianach pionowych, zamieszkałych przez tysiące *biscachas* (rodzaj zająca), tych olbrzymich ruin skalistych, świadczących o potędze piorunów i trzęsień ziemi. W miarę jak posuwamy się na południe brak wody, strumieni i źródeł coraz więcej czuć się daje; ztąd też obozowiska nasze wypadają daleko od linii i wystawiają na stratę czasu. Ale dnia 24 grudnia w samą wilię Bożego Narodzenia ujrzeliśmy tak długo oczekiwaną *Abra de Camunnani*, to jest początek wąwozu tegoż nazwiska, tworzącego w tem miejscu siodło tak głębokie, że linia

nasza pomimo znacznego obniżenia się popod poziom „Jeziora Białego" przechodzi tamtędy na drugą stronę Kordyliery pod gołem niebem. Tego dnia pamiętnego, kiedy właśnie po raz ostatni wracaliśmy z roboty do obozu, bo już nazajutrz mieliśmy zabierać manatki i zjeżdżać z gór przez *Camunnani,* zdarzył się nam znowu przypadek zabłądzenia w tym labiryncie skał, ale tym razem z mej własnej winy, bo zamiast jechać za robotnikami, którzy po większej części Indyanie mieli wiele zmysłu do poznawania miejscowości, zapuściliśmy się we czterech w koryto strumienia płynącego, jak się nam zdawało wprost od naszego obozowiska. Słońce miało się właśnie ku zachodowi i rzucało swe żółtawe światło na fioletowe, różowe i białe konary gór pełzających się jak węże po dzikiej skalistej równinie, którą nazajutrz przejechać mieliśmy; śpiewając, dowcipkując nasycaliśmy się po raz ostatni swobodą życia górskiego, przeczuwając, że wkrótce to romantyczne, awanturnicze życie stanie się wspomnieniem i przeszłością; nikt nie zwracał uwagi ani na wznoszące się coraz to wyżej ściany skał otaczających, ani na tamujące drogę naszą zapory, bagna i kamienie; aż dopiero gdy noc zapadła, gdy konie ślizgając się po gładkiem dnie strumieni padają, straszą się i posłuszeństwa odmawiają, zaczynamy dopiero zastanawiać się nad grożącem nam niebezpieczeństwem. W istocie położenie nasze było dosyć krytyczne: jesteśmy w wodzie, w głębi wązkiej przepaści zamkniętej, po obu stronach niedostępnemi skałami o ścianach prawie pionowych, wznoszących się jak mury olbrzymiej fortecy na wysokość kilkunastu piąter; ciemność zupełna, nad głową chmury, w jamach rozpadlin może dzikie zwierzęta, w błocie może jaszczurki lub węże. Podjeżdżamy dalej znęceni szumem wody spadającej i stajemy na suchym kawałku ziemi, pokrytym trawą kordylierską, rosnącą tam tak bujnie, zapewne wskutek dostatecznej wilgoci, że zakrywa jeźdźca z koniem. Naturalnie bez chwili namysłu podpalamy ją w nadziei, że blask światła zwróci uwagę w obozie, który już blisko znajdować się musi; bucha wspaniały biały ogień słomy żywicznej, przy jego blasku szczerby skał granitowych rysują się na ciemnem tle cieniów nocnych w tysiące fantastycznych kształtów, jakby rzeźby czarodziejskiego zamku, przed nami pieniący się wodospad drogę naprzód tamuje, my sami jakby zbójcy w kolorowych opończach, z pistoletami w olstrach a z strzelbą na ramieniu.

W milczeniu podziwiamy ten prawdziwie piękny widok, ale światło gaśnie niebawem, zalewa nas ciemność jeszcze straszniejsza, a cisza przerwana tylko rżeniem koni i szumem strumienia przekonywa nas o zupełnem zabłądzeniu. Ale cóż robić; wracać niepodobna, boby to było narażać się na skręcenie karku przy zjeżdżaniu z tych ślizgich głazów, po których jak po wschodach wznosimy się już od dwóch godzin; trzeba więc jechać naprzód, a przedewszystkiem wspinać się na zaporę tamującą nam drogę. Niebardzo mi się to szczęśliwie udało, gdyż przy tem ćwiczeniu gimnasty-

cznem koń uderzył mną o skałę i nogę mi skaleczył, ale koniec końców w godzinę później wygramoliliśmy się z tej dziury na powierzchnię gruntu i po godzinnem błąkaniu się jeszcze po górach, usłyszeliśmy nareszcie sygnał z obozu.

Nazajutrz zrana wyjazd ku *Tacna*. Przez skalistą płaszczyznę, którą mamy pod nogami, prowadziła widocznie za dawnych czasów droga ku wybrzeżu, bo w nagiej, równej jak stół skale widziałem bardzo widoczny ślad szerokiej ścieżki, a nawet w jednem miejscu wyrytą strzałę i wizerunek człowieka. Teraz tędy nikt zgoła nie jeździ, trudno więc przypuścić, by te ślady ludzkiego pobytu miały być nowoczesnego pochodzenia; zresztą drożyna ta ginie zupełnie w wąwozie *Camunnani,* którym spuszczamy się zwolna i ostrożnie, rozładowywując czasem muły w miejscach ciasnych, przez które ledwie luzem idący koń przesunąć się może. Wody tam brak zupełny; to też rozbiwszy wieczorem namioty, kopiemy studnię, ale wody zaledwie wystarcza do kuchni; biedne konie i muły zmęczone całodzienną drogą muszą jeszcze wytrzymać 24 godzin bez wody, bo, jak mi mówią przewodnicy, dopiero jutro pod wieczór znajdziemy źródło w pierwszem przez ludzi zamieszkałem miejscu, zwanem *Vinna* od winnic, które tam uprawiają. Jakoż dostawszy się nazajutrz do strefy kaktusów kwitnących na rozpalonym gruncie doliny, ujrzeliśmy przejeżdżając przez kabłąk góry zielony punkcik na żółtawem tle gór roztaczających się pod nogami. Dalej, głęboko w dole rozciąga się płaskie wybrzeże Peruwii, z którego widzę wyrastające korzenie tego olbrzymiego pnia Kordylierów, jeszcze dalej w głębi Ocean Spokojny ginący w niebieskiem sklepieniu nieba. Nie myślałem nigdy, żeby było można bez pomocy balonu osiągnąć jednym rzutem oka tak olbrzymią przestrzeń: morza, puszczy, i łańcuchów gór, rozpostartych u stóp widza jak sztuczna panorama Pod wieczór wjeżdżamy do *Vinna*. *Vinna* to mały folwark położony w dolince nad brzegiem strumienia, któremu zawdzięcza swe winnice. Nie umiem Ci opisać miłego wrażenia, jakie zrobił na mnie i na nas wszystkich widok tego ubogiego domku, ukrytego w cieniu zielonych drzew owocowych; dosyć powiedzieć, że rozkoszując się łagodnem powietrzem nocy, zrzuciwszy z siebie ciężkie ubranie zimowe, spędziliśmy noc całą na pogadance, przerywanej ciągłem unoszeniem się nad przyjemnością życia w klimacie tak lubym jak *Vinna*, który jednak mówiąc nawiasem nie różni się niczem od klimatu *Tacna* i innych miejsc wybrzeża peruwiańskiego. Ale wszystko jest względne; więc też i nam przemarzłym, zdziczałym *Cerranos* wydało się to miejsce rajem, ósmym cudem świata.

Spędziliśmy tam dzień cały na rozpatrywaniu doliny i jej kierunku, co mię też utwierdziło w tem mniemaniu, że droga przez *Camunnani* jest pod każdym względem nieodpowiednia celowi, i że przewiercenie tunelu przez górę *Huailillas de Potosi* ma być warunkiem *sine qua non* projektowanego

kanału. Nie wachając się też dłużej, przekroczyliśmy grzbiet gór dzielący nas od doliny *Molles* i dnia 2 stycznia w południe kłusowaliśmy już po piaszczystych błoniach wybrzeża, zalanych fantastycznemi jeziorami wód zwodniczych, zawsze uciekających, a nigdy niedostępnych. Wspaniale to *fata morgana*. Tegoż dnia po czterech miesiącach życia na szczycie Andów, ujrzałem znowu miasto *Tacnę*, ludzi i cywilizację.

Władysław Kluger

NOWE LISTY Z PERUWII*

Zaprezentowane w poprzednim rozdziale Listy z Peruwii Władysława Klugera, wydane w Krakowie w 1877 roku, w szybkim tempie zyskały dużą popularność. W związku z tym, już w roku 1878 powstało drugie wydanie Listów, noszące tytuł Listy z Peruwii i Boliwii. Teksty, które znalazły się w pierwszej z publikacji, w drugiej nie uległy zasadniczym zmianom (jednakże, dla przykładu, w liście z Limy z roku 1875 pojawił się nieobecny uprzednio akapit, w którym podano wysokości pewnych miejsc nad poziomem morza i ich odległość od Limy). Książka z 1878 roku została ponadto uzupełniona niepublikowanymi wcześniej listami: jednym ze stolicy Boliwii – La Paz z 7 kwietnia 1877 roku oraz trzema z Peru – z Tacany z 18 kwietnia 1877, z Trujillo z 25 maja 1877 roku oraz z Limy z 10 lipca 1877 roku**. Dwa ostatnie z owych tekstów, które zawierają opisy Peruwii (oba poprzedzające je przedstawiają bowiem Boliwię), zostały zaprezentowane poniżej, przede wszystkim z uwagi na zawarte w nich bogactwo informacji, które budować mogą wyobrażenie o życiu w XIX-wiecznym państwie peruwiańskim.

* * *

* W. Kluger, *Listy z Peruwii i Boliwii*, Drukarnia „Czasu", Kraków 1878.

** W skierowanym do czytelników wstępie Władysław Kluger napisał na temat drugiego wydania swej książki tymi oto słowami: „Dogadzając ogólnemu życzeniu przystaję na świeże ogłoszenie mych *Listów*, skoro poprzednie (*Listy z Peruwii* – Kraków 1877) życzliwie przyjęte zostały, a obecnie w handlu księgarskim zupełnie już są wyczerpane. W niniejszem wydaniu dodaję nietylko wiele szczegółów do poprzednich mych *Listów*, ale nadto pomnażam je nowemi listami z licznych mych ekspedycyj, przedsiębranych po Boliwii i Peruwii". Zob. Tamże, s. 3.

Trujillo (Peruwia) d. 25 maja 1877 r.

Już od dni dwudziestu bawię w departamencie *Libertad*, zwiedzając historyczną jego stolicę *Trujillo* i rozkoszując się widokiem wspaniałej doliny *Chicama*. Spędzam więc czas bardzo przyjemnie, choć celem mej wycieczki na północ nie jest zabawa, ale misya rządowa zwiedzenia świeżo odkrytych pokładów węgla kamiennego w prowincyi *Otuzco*, należącej do tego departamentu. Towarzyszy mi Dr Martinet, naturalista i główny redaktor dziennika *„Revista de Agricultura"* którego wszystkie numera, zawierające mnóstwo interesujących dat, tyczących się botaniki i przemysłu rolniczego w Peru, mam dla ciebie przygotowane.

Dnia 10 maja z rana, w sześćdziesiąt godzin po wyjeździe z Callao zarzucamy kotwicę w zatoce *Salaverry*, słynnej z burzliwego morza i niebezpieczeństw przy wsiadaniu i wysiadaniu. Niezawsze tu można wylądować, gdyż bałwany biją czasem tak mocno, że nawet władze portowe nie odważają zbliżyć się do statku, by odebrać przywiezione listy i towary; w dzień jednak naszego przyjazdu morze było, zdaniem kapitana, bardzo spokojne, choć widok pieniących się fal niebardzo za tem przemawiał. Wkrótce atoli dobił do nas galar przez 13 ludzi kierowany; przywiązano go więc silnie do okrętu i spuszczono nas w beczce jednego po drugim (wraz z kilkoma damami jadącemi także do *Trujillo*), niemożna bowiem schodzić po drabince, w skutek zbyt mocnego kołysania się okrętu. Cóż to było z początku śmiechu i żartów, pomimo choroby morskiej wywołanej niezwykłem kołysaniem się łodzi; ale jak po pogodzie deszcz następuje, takteż i między nami powstał płacz i zgrzytanie zębów, gdyśmy wydostawszy się z pełnego morza, zaczęli wkraczać w sferę bałwanów. Już zdaleka widać pędzący ku nam bałwan wody: sternik kieruje łodzią, by go przodem przerżnąć, bo wzięci ukośnie, niewątpliwie zostaniem wywróceni; nareszcie zbliża się chwila stanowcza; na krzyk *„atencion"* (baczność) każdy chwyta się rękami łodzi, wioślarze nagle wiosła w górę podnoszą, i wściekła owa fala z hukiem przewala nas po swym grzbiecie, zlewając rzęsiście wodą na pół umarłe ze strachu nasze towarzyszki. Chwila to w istocie bardzo krytyczna, bo najmniejszy ruch fałszywy może wszystkim śmierć zadać; nie zachęca zaś wcale do śmiechu widok uroczystych twarzy naszych wioślarzy, ich wysiłki na komendę sternika przy ciągłych zachętach i krzykach *„adelante, pronto muchachos"* (naprzód, żwawo chłopcy). Cztery razy przerzynamy szczęśliwie te pieniące się armie bałwanów i wreszcie błogi okrzyk *„Ya se acabo"* (już się skończyło)

na nowo rozpromienia wybladłe twarze podróżnych. Kilkadziesiąt kroków dalej galar nasz osiada nareszcie na mieliźnie; chmara żylastych murzynów i czolów wdzięcznie barki swe na usługi oddaje; wsiadamy więc jak to mówią „na barana" i dalejże kłusem do brzegu, nie oglądając się za siebie, bo musieliśmy dać słowo honoru, że się nie będziem patrzeć na jadące za nami, na takich jak i my koniach, Amazonki.

Zaledwie dostajemy się na brzeg po tej śmiesznej w beczce, w łodzi i na barkach przeprawie, już nowa czeka nas niespodzianka. Ludność portu *Salaverry* już od zeszłego wieczora domy swe opuściła i schroniła się na pagórki okoliczne z obawy, by morze ich niezalało, gdyż co kwadrans cofało się o jakie sto metrów i znowu przechodząc swe zwykłe granice, zalewało szyny kolei żelaznej i dochodziło do magazynów celnych. Widocznie jakieś podmorskie trzęsienie ziemi, jakiś wielki kataklizm wywołał to niezwykłe zjawisko, wróżbę złego i nieszczęścia. Później dopiero rzecz się wyjaśniła? W nocy z dnia 9go na 10go maja, gdyśmy dziwiąc się niezwykłemu kołysaniu statku, zbliżali się do zatoki *Salaverry*, waliły się w gruzy miasta południowej Peruwii, a morze zalewało ulice i place, szerząc śmierć i zniszczenie. Znowu po dziewięciu latach spokoju nieszczęśliwe miasta: *Arica*, *Iquique*, *Pabellon de Pica* i *Cobija* w Boliwii stały się pastwą bałwanów; kosztowne, żelazne budowle portowe zmiecione jak łupiny, a mnóstwo statków zatopionych z ludźmi i towarami. Czyżbym się był spodziewał, opuszczając *Aricę* przed miesiącem, że to miasto zaledwie odbudowane po klęsce roku 1868 kosztem skarbu publicznego, który jeszcze niewypłacił całkowicie długu zaciągniętego na wybudowanie portu i gmachów celnych, znowu padnie ofiarą groźnych, tajemniczych żywiołów. Na szczęście ocalał port *Callao*; trzęsienie bowiem ziemi szło z południa ku północy, i doszło do *Callao* tak osłabione, że jakkolwiek morze zalało zupełnie jego murowane wały i groble, port sam niewiele ucierpiał.

Salaverry jest małą osadą liczącą zaledwie 150 mieszkańców, złożonych z kilku urzędników, rybaków i robotników. Nędzne z kilku trzcin cukrowych, ze szmat i kawałków starej blachy zbudowane domki, wyglądają jak cygańskie koczowiska, rozsypane bez ładu tu i owdzie wokoło drewnianego dworca kolei żelaznej. Okolice *Salaverry* są suche jak pustynia, najmniejszy krzew ni trawka nieprzerywają jednostajnego żółtawego tła piasku; to też z *Trujillo*, albo też z okrętu trzeba przynieść chleb i wodę, aby z głodu nie umrzeć. Pomimo tego *Salaverry* jest jednym z głównych portów departamentu, nietylko jako brama wjezdna do stolicy *Trujillo*, ale także jako miejsce handlowe, przez które przechodzą niezmierne ilości cukru, wyrabianego w wspaniałej dolinie *Chicama*; wiadomo mi bowiem z ust samego prefekta, że w roku 1876 naładowano na statki w portach *Salaverry* i *Malabrigo* 35 tysięcy ton cukru, nielicząc ryżu, bawełny i innych. Prawda że

mały porcik *Huanchaco*, leżący przy ujściu rzeki *Chicama* do Oceanu, był daleko sposobniejszy do wywozu tych znakomitych płodów, bo chociaż równie burzliwy, leży przynajmniej bliżej bogatych *haciendas* trzciny cukrowej; ale mieszkańcom zamarłego miasta *Trujillo* zachciało się także kolei żelaznej, więc zamiast otworzyć port w *Huanchaco* i położyć szyny wzdłuż żyznych łanów doliny *Chicama*, zbudowano kolej przez *Trujillo* i przez puszcze co je dzielą od morza, ażeby Trujillanie mogli jeździć wygodnie do kąpiel morskich. Oto jedyny powód, dla którego założony śmieszny a niebezpieczny port w zatoce *Salaverry*.

Naturalnie nietracąc czasu, wyjechaliśmy koleją żelazną o godzinie 9-tej do *Trujillo*, z zamiarem wybrania się tegoż dnia do *Otuzco*, gdzie znajdują się owe pokłady węgla, będące przedmiotem naszej wycieczki. Zeszły jednak dwa dni na przygotowaniach, bo gospodarz mój dawny kolega z korpusu inżynierów rządowych, a dziś dyrektor kolei z *Trujillo* do *Salaverry*, zwlekał nasz wyjazd pod pozorem, że koni niebyło pod ręką. Nie żałuję tego, bo miłe tam chwile spędziłem i poznałem dokładnie dawny gród Hiszpanów.

Trujillo założone przez Franciszka Pizarro* w r. 1535, a ochrzczone tem mianem ku pamięci jego miasta rodzinnego *Trujillo de Estremadura* w Hiszpanii, było w przeszłym wieku jednem z najważniejszych miast Peruwii; dziś jednak liczy tylko ośm tysięcy mieszkańców, rozsiadających się wygodnie po ogromnych domach, mogących pomieścić nie 8 ale 40 tysięcy ludności. Ulice tu proste, szerokie i źle brukowane; co prawda bruku dobrego tu niepotrzeba, bo powozów niema, a na ulicę rzadko się wychodzi, zważywszy, że niema po co. *Trujillo* upadłoby zupełnie, gdyby niebyło siedzibą władz departamentowych, bo handlu i przemysłu własnego wcale nieposiada, jak tego dowodzi główna ulica *Calle de Comercio*, zawdzięczająca to miano kilku skromnym sklepikom, w których często nieznajdziesz nawet rzeczy potrzebnych do codziennego użytku. Ztąd też miasto wygląda ponuro i smutno; zatarasowane ogromnemi bramami domy, o facyatach malowanych *àl fresco*, pełne napisów *anno domini*, wyglądają jak pomniki minionej sławy i znaczenia, w pośród których jak zapomniany towarzysz Pizarrów przesuwa się gdzieniegdzie milcząca jaka postać ludzka. Do smutnego pozoru miasta przyczynia się także niemało wysoki mur forteczny, i stare kościoły i klasztory o odrapanych ścianach a rozbitych dzwonach.

Tak jak i w innych miastach Peruwii, budują tu zwykle domy z *adobe*. Dachy są zupełnie poziome, pokryte deskami, albo trzciną i warstwą błota

* Francisco Pizarro (ok. 1471-1541) – hiszpański konkwistador, zdobywca Peru. Zob. B.A. Somervill, *Francisco Pizarro: Conqueror Of The Incas*, Compass Point Books, Minneapolis 2005 (przyp. autora).

wysuszonego, gdyż deszcz pada rzadko i dość skąpo; nie jest to jednak bardzo bezpiecznie, bo po dłuższej ulewie woda przecieka łatwo do wnętrza mieszkania, niszczy meble, a i sam budynek na szwank naraża, jak np. w latach 1701, 1720 i 1728, w których domy miasta *Trujillo* roztopiły się do połowy, wskutek niespodziewanych a rzęsistych ulew.

Trujillo ma także swój uniwersytet o małej liczbie profesorów i uczniów; wielki targ murowany, na którym nie dostanie ani jaj ani masła, jak to widziałem na własne oczy; tudzież teatr stojący pustkowiem od lat dawnych. Słowem jest to miasto bez życia, na pół umarłe, zamieszkałe przez emerytów, używających spokojnie wygód, zostawionych im w spuściźnie, a żyjących jak krety, każdy w swej norze, nie troszcząc się o świat boży. Jedyną tylko spójnią Trujillanów jest ta jednomyślna ich opinia, że *Trujillo* jest jednem z pierwszych miast świata, i że *Lima* we wszystkiem je naśladuje.

Korzystając z wolnego czasu, pojechaliśmy nazajutrz po przyjeździe spacerem do miejsca zwanego *Chanchan*, a słynnego ze swych ruin pałaców, domów i cmentarzysk, datujących się z czasów przed odkryciem Ameryki? W istocie o milę drogi od miasta, w stronie zachodniej, napotykamy ogromne masy gruzów, murów i grobowisk kształtu kopców, a nieco dalej dwa wielkie mury z *adobe*, należące (jak mówią) do pałacu króla *Chimu*, który wyłamawszy się z pod władzy Inkasów, panował niegdyś na całem pomorzu, począwszy od *Supe* aż do *Tumbez*. Pokazują tam także ślady twierdz i świątyń, a przedewszystkiem liczne kanały irrygacyjne, prowadzące wodę z daleka do uprawiania piaszczystych gruntów, otaczających to niegdyś ludne, a prawdopodobnie i zamożne miasto, skoro jak mówią kronikarze z *huacas* tamtejszych osiągano czasem w przedmiotach złotych i srebrnych do sześćdziesięciu tysięcy piastrów. Nawet wnosząc z okazów znajdujących sie w zbiorze starożytności Dra Macedo w *Lima*, zbiorze, którego fotografie mam już dla Krakowa przygotowane, *Chanchan* nie było wcale osadą biednych ludzi żyjących z dnia na dzień; owszem wyraziste i artystyczne wyroby gliniane tutaj znajdowane, zdają się dowodzić, że cywilizacya plemienia ziemię tę zamieszkującego była stosunkowo wysoko posunięta za czasów przed-Kolumbowych. Miałem też wielką ochotę kazać kopać w ziemi, gdzie niewątpliwie znalazłyby się jeszcze jakie okruszyny przeszłości, ale czas na to nie pozwalał, więc też odłożywszy na później me poszukiwania, wróciłem do *Trujillo*, zabrawszy z sobą pięć trupich głów, z których jedna z włosami.

Także po stronie wschodniej miasta, niedaleko rzeki *Moche*, znajduje się *huaca*, zwana *templo del Sol*, z której wydobyto za czasów Pizarry ośm kroć sto tysięcy piastrów w złocie i srebrze. Grobowiec ten zwany przez Indyan *Tomayoahuan* wskazał w r. 1560 syn pierwszego do chrześciaństwa nawróconego kacyka *Chuinunchaucha* podobno pod zastrzeżeniem, że rozdaną będzie między Indyan połowa skarbów w nim zawartych; ale chciwi

złota Hiszpanie nie dotrzymali danego słowa i okuwszy w kajdany biednego królewicza, trzymali go długo w więzieniu, aż póki Filip II dowiedziawszy się o wyrządzonej niesprawiedliwości, kazał go z więzienia wypuścić i rozdać między Indyan 42 tysiące piastrów tytułem wynagrodzenia.

W dzień następny po zwiedzeniu zamarłego królestwa *Chimu* pożegnałem *Trujillo* i osobnym pociągiem, przygotowanym z rozkazu mego uprzejmego gospodarza ruszyłem w drogę ku dolinie *Chicama*, tak zwanej od imienia *Mama Chicama*, żony a siostry pomienionego króla *Chimu*. W południe po trzechgodzinnej drodze wysiadamy w *Chicamy*, małej wiosce leżącej na brzegu doliny tegóż nazwiska. Gorąco było nie do opisania, więc przeczekawszy godziny południowe w domu gubernatora, wsiadamy na koń dopiero koło godziny drugiej po południu. Cóż to za widok wspaniały tych łanów trzciny cukrowej i bawełny, rozlewających się jak wody jeziora na obszernem dnie doliny, której ściany suche i obumarłe wyglądają jak niedostępne skały Oceanu: tu bujna trzcina tworzy kręty szpaler, w którym ginie jeździec z koniem, tam znowu ryż i bawełna zakrywają mego towarzysza, co wyminął mię na kilka kroków. Daleko, gdzie okiem sięgniesz z zielonego kobierca sterczy dumnie potężny komin fabryki; widać rozległe budynki *haciendy*; ich dachy metalowe lśnią się jak pancerze rycerzy, postawionych na straży europejskiego postępu, co z próżniaczej ziemi Nowego Świata zrobił niewyczerpany skarb bogactw i dobrobytu. Ożywieni otaczającym nas widokiem ludzkiego przemysłu, szybkim kłusem mijamy liczne zakręty wygodnej drogi i stajemy koło godziny 6ej wieczorem w *haciendzie Sauzal* należącej do pana Albrecht, Niemca z rodu, ale osiadłego już od dawna w Peru i używającego najlepszej opinii, a najwięcej postępowego *hacendado* w dolinie w *Chicama*.

Sauzal obejmuje dzisiaj dwa tysiące hektarów doskonałej gleby, pokrytej lasem: trzciny cukrowej, ryżu, winnic i koniczyny. Dzięki swemu położeniu w górnej części doliny, *hacienda* ta znajduje się w doskonałych warunkach nietylko co się tyczy klimatu, ale także pod względem obfitości wody, jaką rozporządzać może do zwilżania gruntów, na których potężna ręka przemysłu co rok to nowe robi podboje. W szesnaście miesięcy po zasadzeniu, trzcina *haciendy Sauzal* jest już do ścięcia gotową, a parowy *trapiche* (mały młyn cukrowy) ledwie nastarczyć może wyciskania soku z tej rośliny, przynoszącej sześć do dziesięciu żniw bez trudności. Główną dotąd przeszkodą do rozszerzenia gospodarstwa była trudność zwożenia trzciny, lecz i trudność ta wkrótce usuniętą zostanie, bo zaczęto już przecinać bujne plantacye kolejami żelaznemi, mającemi wynosić razem, jak mi mówił pan A. 10 kilometrów długości. Do czegóż dojdzie produkcya tej *hacyendy*, jeżeli już dzisiaj daje rocznie pięć tysięcy ton cukru z 350 hektarów gruntu, mnóstwo ryżu i 500 tysięcy krzewów winnych, pokrywających 600 hektarów ziemi.

Nazajutrz rano puściliśmy się dalej w drogę, i jadąc jeszcze kilka godzin w górę rzeki szerokiemi, prostemi jak strzała alejami trzcinowemi, dostaliśmy się nareszcie do podnóża gór prowincyi *Otuzco*. W krotce potem stajemy w *Chala Alta* małej wiosce indyjskiej, mającej stanowić punkt środkowy wycieczek do znajdujących się w okolicy pokładów węgla kamiennego. I był czas wielki przyjechać na miejsce, bo pomimo przyzwyczajenia do jazdy konnej, czułem się tak zmęczonym, że kilkakrotnie w drodze z konia zsiąść musiałem, aby chwilę odpocząć. Przyszła mi na myśl grasująca właśnie febra w Peru, i w istocie *Argolla* trzymała mię w swych objęciach; dzięki jednak silnym dozom ipekakuany i siarkanu magnezyi, które mnie zupełnie z nóg zwaliły, pozbyłem się w trzy dni tej szkaradnej choroby, a w kilka dni później bujne wyrzuty zwane szyderczo *„Emision Meiggs"* (tak zwane od nowo puszczonych w obieg biletów bankowych), ukazały się na rękach. Co jest *Argolla*, zkąd się wzięła i jak ją leczyć należy, tego powiedzieć nie umiem, bo i lekarze w *Lima* nic stanowczego nie mówią, pomimo ciągłych dyskusyj po dziennikach. To tylko pewne, że epidemia tegoroczna jest jedną z najwięcej popularnych, jakie Peru widziało; mało bowiem znałem osób w *Lima*, coby do dnia dzisiejszego nie przeleżało w łóżku dni kilka. Nie jest to choroba śmiertelna, ale dosyć dotkliwa, gdyż sprawia: niezmierną gorączkę, osłabienie umysłowe dość długo po wyzdrowieniu trwające, nieznośny ból głowy, a boleści w stawach i kościach, nieustające nawet po niezmiernej ilości chininy, jaką choremu przepisują. Tradycya mówi, że zawsze w rok przed żółtą febrą nawiedza *Limę* epidemia do tegorocznej nieco podobna.

Nie chcę Cię nudzić opisem wycieczek tyczących się mej missyi do *Otuzco*, ani też cytować łacińskie nazwy roślin kordylierskich, nad których rządkością i pięknością zachwycał się mój uczony towarzysz Martinet, zajęty nieustannie suszeniem kwiatów i bibuły. Przyzwyczajonemu do ciekawszych podróży po górach, trudno było znaleźć tu co nowego; więc też ukończywszy co prędzej roboty i zabrawszy starannie ponumerowane okazy tamtejszego antracytu, wyruszyłem w dni dziesięć z powrotem ku *Chicama*. Chciałem zwiedzić najważniejsze *haciendas* cukrowe, wstąpić do *Trujillo* i wsiąść na statek w *Salaverry*.

Na nocleg zajeżdżamy znowu do *Sauzal*, gdzie jak pierwszym razem gościnnie przyjęci, spędzamy niepostrzeżenie większą część nocy przy wieczerzy, przyprawionej doskonałym humorkiem „rezydenta", podobnego jak dwie krople wody do swego polskiego kolegi. Nazajutrz wybrawszy w stajni najlepsze konie, zapuszczamy się w towarzystwie właściciela w plantacye cukrowe, przecięte licznemi arteryami kanałów irrygacyjnych, a zaludnione chmarami niewolników chińczyków, bladych, chudych, często w kajdany okutych. Zwiedzamy pobieżnie *trapiche haciendy*, które jakkolwiek nie zajmuje pierwszego miejsca w dolinie *Chicama*, posiada jednak potężne ma-

szyny parowe i wodne, a wysunąwszy naprzód przewodnika, kierujem się ku *Facala*.

Facala, to także dzieło pana A., dzieło godne swego twórcy, bo stanowiące jedną z głównych plantacyj okolicznych i posiadające najlepszą może fabrykę cukru na całem wybrzeżu peruwiańskiem. *Hacienda* ta, należąca dzisiaj do pana Pflucker, niemca urodzonego w Peru, znajduje się w najświetniejszych warunkach: tak pod względem łatwości transportu jak i urodzajności gruntu; można powiedzieć, klimat i ziemia walczą tu o pierwszeństwo, by utrzymać w zdrowiu przez lat piętnaście lub dwadzieścia tę samą łodygę trzciny. Toteż kolej żelazna idąca z *Ascope* do *Salaverry* przewozi co rok pięć milionów kilogramów cukru, wyrabianego w *hacienda Facala*.

Sąsiednia własność ziemska należy do banku: *Banco nacional del Peru*. W przeciągu lat kilku doświadczony rządca *haciendy Tulape*, wysuszył 200 hektarów gruntu bagnistego, zasadził trzcinę i z dwóch podniosł na siedm milionów kilogramów roczną produkcyę cukru. Dowodem to, że ziemia rodzi znakomicie, że zamiast wywozić rocznie sześćdziesiąt tysięcy ton cukru, Peru mogłoby wywozić daleko więcej, a nawet walczyć o pierwszeństwo z Brazylią, której produkcya wynosi obecnie 170 tysięcy ton. Ale do tego potrzeba pracy i wytrwałości, na której w ogóle zbywa mieszkańcom Peruwii; boć jeżeli prowincya *Chicama* dostarczająca dziś pod panowaniem ludzi i kapitałów cudzoziemskich, większą połowę całkowitej produkcyi cukru, powinnyby i inne prowincye położone w równie dobrych warunkach, dawać ilości odpowiednie, gdyby krajowcy byli tak pracowici jak cudzoziemcy. „Trzy razy tylko (powiada pan S. rządca tej ziemi) sprzykrzyła mi się ta *via cruris* w haciendzie. Raz gdyśmy przewozili z portu *Malabrigo* trzy żelazne walce naszego *trapiche*; drugi raz, gdym wysuszał te łany, co lat dwa temu były źródłem chorób w okolicy; wreszcie po raz trzeci i ostatni, gdy mnie zbudził krzyk 400 chińczyków, żądających mej śmierci". Walka to była nielada: dwór w płomieniu, chmary upojonych opium chińczyków wdzierające się przez drzwi i okna, siały śmierć na każdym kroku; już wierniejsza służba tarzała się w kałuży krwi własnej, a rodzina p. S. polecała Bogu swe dusze, gdy tknięty naturalnym instynktem odważnego człowieka, p. S. rzucił się sam między bandy rozwścieklonych chińczyków, i położywszy trupem kilkunastu, wstrzymał ślepy zapał tych nieszczęśliwych. Na rękę była mu pomoc, co właśnie nadciągała z sąsiedniej *haciendy*; w paru chwilach rozgorączkowane tłumy chińczyków leżały okute w dyby, a w godzinę później dogorywający pożar dworu oświetlał egzekucyę dziesiątkowanych buntowników. Dopiero teraz zrozumiałem, dla czego p. S. odesłał na zawsze swoją żonę i dzieci do *Lima*.

Po zwiedzeniu fabryki i plantacyi, po obejrzeniu świetnej stajni i kurnika, który p. S. z niezwykłą starannością pielęgnuje do ulubionej mu walki

kogutów, żegnamy nazajutrz po południu rozkoszną *hacyendę Tulape*, i ruszamy po żelaznej drodze *haciendy* ku *Casa Grande*. Nie można było zatrzymać się w tem miejscu, gdyż straciwszy już dni kilka z powodu mej choroby w górach, musiałem pośpiechem czas zyskiwać i wsiąść na pociąg czekający na nas w *Chocope*. Niepoznałem więc tego bogatego okręgu, posiadającego tylko dwa tysiące mieszkańców, ale mającego zato ośm fabryk cukru i sześć dystylarni, a rozporządzającego siłą 430 koni parowych, rozłożonych między dwadzieścia i trzy maszyn.

Z żalem opuszczałem bogatą i płodną dolinę *Chicama*, pełną ruchu i przemysłu, a dowodzącą jasno, do czego doprowadzić mogą: dobre chęci, praca i rozum. Istniały tam już za czasów Hiszpanów niektóre *haciendas* cukrowe, ale dopiero od roku 1865 datuje się świetny ich rozwój i to dzięki pracy i energii jednego tylko człowieka, który nieszczędząc kosztów i zachodów, zaprowadził najprzód wzorowe gospodarstwo w *Sauzal*, wystawił na sposób nowoczesny fabrykę *Facala*, i otworzył olbrzymią *haciendę Casa Grande*. Prędko za przykładem pracowitego Niemca poszli: kapitaliści, bankierzy i towarzystwa, jakby sztuką czarodziejską w przeciągu lat kilku wystrzeliły z ziemi plantacye i fabryki, a najnowszego systemu maszyny w ruch puszczone zostały. Dziś zaledwie po dziesięciu latach szczerej pracy, dolina *Chicama* wysyła co rok więcej niż 30 tysięcy ton cukru i niepodlega najmniejszej wątpliwości, że ilość ta z każdym rokiem większe będzie przybierać rozmiary.

Lima 10 lipca 1877 r.

Już dwa miesiące upłynęło od chwili strasznej katastrofy tegorocznej, której szczegóły miałem Ci posłać natychmiast po mym powrocie z *Trujillo*, a dziś dopiero zabieram się do pisania; bo niełatwo było zebrać dokładne daty tyczące się owego wypadku. Jak wszędzie tak i tutaj chcąc dowiedzieć się prawdy, trzeba słuchać opowiadań cierpliwie, grzebać powoli w chaosie wspomnień i opinij, a odkładać na bok starannie rzeczy mające pozór prawdy, aby ułożyć z nich wierny obraz tej krótkiej, kilka minut trwającej tragedyi. Z tegoto powodu list mój doznał tak wielkiego opóźnienia.

Było to 9go maja bieżącego roku. Ciemna noc zalewała wybrzeże zachodniej Ameryki, a niezmordowany w swym ruchu zegar wskazywał godzinę w pół do dziewiątej, gdy nagle uczuć się dało mocne trzęsienie ziemi na całem pomorzu, między 10tym a 35tym stopniem szerokości geograficznej. Zrazu znośne (jak zwykłe trzęsienie ziemi w Peruwii), zamieniło się wkrótce w wyraźne wahania idące w kierunku od południa ku północy, a w portach *Chañaral* w Chili, *Cobija* i *Tocopilla* w Boliwii, *Pabellon de Pica*, *Iquique* i *Arica* w Peru, zaczęło wzmagać do tego stopnia, że już trudno było utrzymać się na nogach w równowadze. Duch śmierci i zniszczenia wstępował właśnie w progi tych nieszczęśliwych miast, pod jego ciężkiemi krokami drżała ziemia jak pokład wątłego statku miotanego burzą, a już nie do drzwi chat i domów pukał złowrogi przybysz, ale wstrząsał całemi budynkami, wypędzając sparaliżowanych przestrachem mieszkańców. Nagle dał się słyszeć podziemny huk przeciągły, a równocześnie grzmot walących się budowli, spadających naczyń i mebli oznajmił dopełnienie strasznego wyroku. Zgromadzeni na placach publicznych mieszkańcy, w osłupieniu czekali końca tej tragedyi, co ich pozbawiała chleba i przytułku, ale daleko jeszcze było do tej chwili; bo zaledwie zmęczona swem dziełem ziemia zaczęła się uspakajać, a nadzieja wstępować w serca, już nowa klęska spadała na te nieszczęśliwe miasta. Pożar pochodzący ze spadających: lamp, świateł i kuchni, których naturalnie przy ucieczce niebyło czasu zagasić, wypowiedział wojnę drewnianym budynkom, co dzięki swej sprężystości i lekkości zdołały oprzeć się trzęsieniu ziemi. Jakoż wkrótce jasna łuna oblała chmurną powłokę nieba, a jej złowieszcze światło zdarło ciemną zasłonę nocy, co dotąd przed okiem ludzi zakrywała to straszne pobojowisko. Wszystko to było, można powiedzieć, dziełem jednej chwili; bo od początku trzęsienia ziemi do wybuchu pożaru upłynęło minut trzy. Okropny to widok ujrzeć w tak

krótkim czasie zniszczone swe mienie i zniweczone wszystkie nadzieje, jakie się pokładało w owocach długoletniej czasem pracy; tuż obok materyalnej straty i żalu, moralny wpływ trzęsienia ziemi i groźnego pożaru dobija nieszczęśliwą ofiarę. Ale noc 9go maja miała zapisać się wyraźniej na liście wielkich kataklizmów i niedość jej było na trzęsieniu ziemi i na pożodze.

Jeszcze nieustały konwulsyjne drgania ziemi, bo zaledwie minut dwie upłynęło od zwalenia się budynków, co niezdołały wytrzymać nagłego wstrząśnienia, gdy nagle okrzyk: „morze wzbiera" rozległ się po mieście. Woda, ten spokojny Ocean ujarzmiony przemysłem człowieka i spoczywający u stóp jego; to morze, na które się patrzało spokojnie, gdy rozdrażnione burzą z wyciem i hukiem rozbijało swe potężne fale i bałwany o silniejsze od niego mury, groble i wały, teraz burzy się coraz bardziej, wzdyma swe fale po nad suche dotąd brzegi, przewala się przez szczyty murów i wkracza w ulice! Biada temu kto chcąc ocalić swe kosztowności, biegnie teraz w stosy ruin i traci chwilę czasu; biada matce co oglądając się za zgubionem w tłumie dzieckiem, nie wyrzecze się w tej chwili krytycznej najpotężniejszego z uczuć, jakie Stwórca wlał w serce ludzi: zginą oboje, bo woda ich zatopi, a fale rozbiją ich czaszki o gruzy własnego domu.

Uczucie naturalne ocalenia życia, choćby nawet to życie miało być nędzne, przeważyło nad wszystkiemi innemi. Zgrozą przejęta ludność rzuciła się w stronę wyższą miasta; ztamtąd dostawszy się do najbliższych pagórków, jak kto mógł, spinał się rękami i nogami na najwyższe szczyty skał i kamieni. I w istocie któż patrząc na morze zalewające miasto, powie z góry, na jakiej wysokości zatrzyma się ta powódź pędzona jakąś tajemniczą siłą? Gdzież jest miejsce bezpieczne? Któż wie, czy potężne morze nie chce zdobyć za jednym zamachem tego, co utraciło w przebiegu całych wieków? W chwili tak groźnej niema dla człowieka bezpiecznego punktu, wszystko mu się zdaje możebnem i najwyższe góry nie budzą w nim zaufania. Zresztą któż przewidzi szybkość, z jaką morze zaleje grunta ruszające się jeszcze pod nogami, jakby na dowód, że w jednej chwili ta ziemia uważana dotąd za stałą a niewzruszoną podstawę, może zapaść się w jednej chwili. Takie to myśli i przypuszczenia zajmowały umysł na pół nieprzytomnych rozbitków, którzy uciekając przed grożącym potopem, nie zwracali nawet uwagi na bliższe niebezpieczeństwo znalezienia śmierci pod stosem skał i kamieni, spadających z osłabionej trzęsieniem góry. To też w *Punta Blanca* (w południowej Peruwii) zginęło tym sposobem 18 osób.

Wysokość na jakiej morze się zatrzymało, była w każdem z miast różną, a nawet zmieniała się w jednym i tym samym porcie. W *Tocopilla* np. morze wzniosło się po stronie południowej o pięć metrów wyżej, niż w stronie północnej miasta; ale można powiedzieć, że w przecięciu wysokość wylewu ponad średni stan morza wynosiła 9-go maja 12 metrów. Było to aż nadto

wystarczającem, aby zniszczyć do szczętu wszystko, co się na drodze znajdowało. Budowle morskie, mury podporowe, *mole* tj. długie na słupach zbudowane mosty i wchodzące w morze dla ułatwienia ładowani a towarów, zniosła woda za jednym zamachem.

W *Arica* kosztowny *mol* żelazny kilka lat temu zbudowany, wyrwało morze i przeniosło go w inne miejsce; stojący na nim parowy żóraw ważący sześć tysięcy kilogramów, rzuciła woda na plac główny i zabrała go potem z sobą; przeniosła także dwa przed dziewięciu laty na piasku osadzone okręty w inne miejsce, rozburzyła do połowy magazyny celne i domy blisko brzegu stojące, przeniosła ciężkie wagony kolei żelaznej z dworca na dziedziniec komory celnej, a samą kolej żelazną zniszczyła do tego stopnia, że jeszcze do dziś dnia nie otwarto komunikacyi z *Tacną*. Mniej więcej takie same spustoszenia i szkody poniosły i inne porty południowej Peruwii i Boliwii.

Wszystko to odbyło się w przeciągu pięciu minut. Wezbrane morze zaczęło powoli wracać w swe zwykłe granice, a znęceni ciekawością mieszkańcy, zaczęli już schodzić z gór i zbliżać się ku miastu, gdy nagle (a było to około 10-ej w nocy), gwałtowne wstrząśnienie ziemi i nowy łoskot zapadających się domów, wstrzymały odważnych. Morze po raz drugi wzdymając się jak żagle okrętu, zalewa miasto; krzyk i lament nie do opisania; już nie zatrzymują się rozwścieklone bałwany w miejscu, którego dosięgły przy pierwszem wezbraniu; owszem zwolna przekraczając dawną granicę, zalewają wyższe dzielnice i wznoszą się na dwa metry ponad powierzchnię pierwszego wylewu.

Strach nie do opisania ogarnął wszystkich; bo morze nabierało widocznie siły coraz większej. Kto wie, czy za trzecim razem nie będzie jeszcze gorzej. Na szczęście zadowolony swem dziełem Ocean zaczął powoli wkraczać w swe łożysko, trzęsienie ziemi ustało zupełnie i na miejscu zaludnionych przed godziną placów i ulic, ukazały się stósy gruzów, albo po prostu piasku.

Tak więc trzy żywioły: ogień, woda i ziemia sprzysięgły się przeciw ludzkiej siedzibie. Tylko powietrze zostało do końca wiernym stróżem żyjącej istoty, zanosząc jej huk wzburzonego morza, wystraszając szumem podziemnym i zapowiadając niebezpieczeństwo łoskotem walących się z gór kamieni. Morze otwarło w swem łonie grób wspólny, góry grabarskiej podjęły się roboty, a ogień pożogi przyświecał tej scenie. Natura, dobroczynna i niezmordowana twórczyni, zapomniawszy na chwilę o swem zadaniu, zamiast stwarzać, rozsiała śmierć i postrach. Dziesiątki ludzi, setki bydła, koni i ptaków leżą trupem na brzegu morza; stworzenia żyjące powietrzem stałej ziemi porwał inny element, a zadusiwszy je w swem łonie, wyrzucił później z pogardą na miejsce, zkąd je zabrał; tysiące ryb i miękczaków żyjących na dnie morza, znalazło śmierć na zabójczym dla nich gruncie stałym. Ale czyż niemożna było zapobiedz choć w części tym wypadkom? Myślę, że tak, a to

z dwóch powodów: raz, że pewne symptomata zapowiadały już od dawna zbliżającą się katastrofę; drugie, że smutnem doświadczeniem nauczone miasta Peru i Boliwii, powinny były mieć się na baczności. W ostatnim kataklizmie główną rolę grał ruch ziemi; bo ogień jako rzecz czysto przypadkowa niewchodzi w rachunek, a wzburzenie morza było tylko skutkiem trzęsienia ziemi. Otóż ziemia dawała już od kilku miesięcy oznaki niezwykłego stanu; grzmoty podziemne podobne do tych, które się rozlegały w chwili katastrofy, a naśladujące kotłowanie się wody w maszynie parowej, już od dawna słyszeć się dawały.

To podobieństwo grzmotów przed i przy trzęsieniu ziemi zdaje się dowodzić, że zrodziła je ta sama przyczyna, a przynajmniej, że zachodzi między trzęsieniem a hukiem podziemnym pewien stosunek, podobny do powinowactwa grzmotu z błyskawicą, t. j., że trzęsienie ziemi zapowiadało już od dawna swe przybycie. Najważniejszą z tych oznak było wstrząśnienie dnia 26 października zeszłego roku, które było tak mocne, że jak mówi p. Otto Harnecker, autor broszurki nadesłanej mi z *Iquique*, zniszczyło prawie do szczętu zakład saletrzany w *Toco* w Boliwii. Od tej chwili ziemia uspokoiła się zupełnie i niedawała znaku życia aż do pamiętnej nocy 9 maja, w której jakby tknięta prądem elektrycznym, zerwała się nagle z długiego letargu. Trzy ruchy zupełnie różne od siebie wzięły ją w swe obroty: ruch falujący podobny do biegu fal morskich, ruch powolny z góry na dół i z dołu do góry, wreszcie nagłe, gwałtowne jednorazowe wstrząśnienie. Dowodem istnienia pierwszego była trudność utrzymania się na nogach i kołysanie się wahadłowe dla utrzymania równowagi; zauważono nawet, że kierunek tych fal ziemnych był południowo północny, albo północno-południowy, bo naczynia znajdujące się w szafach, opartych o mury wschodnio-zachodnie potłukły się daleko bardziej, niż w szafach przylegających do ścian południowo-północnych; w tym bowiem ostatnim razie ruch szaf był niezależny od ruchu ścian, gdy tym czasem w pierwszym przypadku miały miejsce uderzenia w skutek tego, że gdy mury nachylały się naprzód w nowej oscylacyi, naczynia zaledwie powracały do swego pierwotnego położenia. Dowodem podnoszenia się i opadania ziemi był niezwykły przypływ i odpływ morza; ci bowiem co widzieli Ocean 9 maja zapewniają jednomyślnie, że morze nie wezbrało bynajmniej na raz, jak to w ogóle utrzymywali ludzie prości, zwykli przesadzać w swem opowiadaniu; nie bałwan „wysoki jak góra" zalał porty peruwiańskie, ale wolny przypływ morza stanowił wezbranie. Utrzymują nawet niektórzy, że odpływu wcale nie było poniżej stanu średniego wody; tymczasem na suchym brzegu znaleziono mnóstwo miękczaków, zwanych „*loco*", żyjących głębiej niż najniższy stan wody; zwierzęta te przy odpływie odczepiały się od kamieni, aby zdążyć ku wodzie, tymczasem wracający ku brzegom prąd wody zabrał je z sobą i na brzeg wyrzucił? Nie podlega więc

wątpliwości, że podczas trzęsienia ziemi dno morskie podnosiło się i zniżało stopniowo. Wreszcie dowodem trzeciego ruchu, t. j. nagłego wstrząśnienia i wynikających ztąd drgań, były tumany kurzu wznoszące się z powierzchni ziemi, obrywanie się skał i kamieni, pękanie ziemi, a przedewszystkiem raptowne trzeszczenie budynków drewnianych. Działaniu wspólnemu tych trzech ruchów przypisać należy okropne skutki ostatniego trzęsienia ziemi; bo żaden z nich nie był w stanie sprawić sam przez się tyle zniszczenia. Oczywiście wolnego wznoszenia się morza nie mogło wywołać ani chwilowe wstrząśnienie, ani prędkie falowanie gruntu.

Rozpisałem się tak obszernie, aby Cię przekonać, że ruch ziemi jest główną rolą 9 maja, a tem samem, że nie było niedorzecznością przypuszczać bliską kryzys, skoro z łona tej ziemi wychodziły już od dawna niezwykłe oznaki niepokoju. Naturalnie opinia taka nie mogła przechodzić granic zwykłego przypuszczenia, ale przygotowałaby umysły do zbliżającego się nieszczęścia i położyła pewne podstawy pod seryę spostrzeżeń, mogących oddać na przyszłość wielkie usługi. Dzisiejszy stan wiadomości ludzkich nie upoważnia wcale do tworzenia bodaj prawdopodobnych teoryj trzęsienia ziemi; ale temu zaprzeczyć nie można, że często kilka szczegółów razem zestawionych tworzą całość, a przynajmniej dają o niej wyobrażenie; czemużby więc rozmaite, dobrze zauważane symptomata trzęsienia ziemi nie miały prowadzić do odkrycia prawdy, lub przewidzenia skutków nieznanej przyczyny. Zapewnia *Paz-Soldan* w swem „*Compendio de Geografia*" wydanem w Lima w r. 1863, że Indyanie umieją wnosić z czarnych chmur nadciągających ku wieczorowi i z wiatru panującego, czy noc będzie spokojna i że często jednomyślnie utrzymują, że będzie trzęsienie ziemi, w czem rzadko się zawodzą. Istnieją zatem na niebie pewne znaki prawdopodobnego trzęsienia. Z drugiej strony lista wielkich kataklizmów w ciągu ostatnich lat ośmdziesięciu prowadzi do przekonania, że w przecięciu bywa co lat dziewięć trzęsienie ziemi na wybrzeżu zachodniem Ameryki południowej; że spokój nie trwał nigdy dłużej nad lat 15, i że przestanek najkrótszy wynosił lat 5. Zatem *Iquique* i *Arica*, zniszczone właśnie przed laty dziewięciu, bo w roku 1868, miały na zasadzie tej listy pewne dane do spodziewania się nowej katastrofy; tem więcej, że już od kilku miesięcy wrzało pod skorupą ziemi.

Nie wchodząc już w to, czy to powyższe me przypuszczenie ma w sobie jaki błysk prawdy, wracam do tego, co powyżej powiedziałem: o możności zapobieżenia w części okropnym skutkom trzęsienia ziemi. Człowiek istota myśląca, powinna kierować się rozumem, a nie postępować jak zaślepione, instynktem kierujące się zwierzę. Otóż pomimo tylu klęsk, nieszczęść i spustoszeń, sprawionych trzęsieniami ziemi na wybrzeżu Ameryki południowej, ludzie budują na nowo swe siedziby na ruinach świeżo zatopionego

miasta, zapominając o tem co było, a nie myśląc wcale o przyszłości; zupełnie jak bezmyślny robak buduje swe mrowisko na gruzach, dopiero co rozwalonych labiryntów. Wieleż to nieszczęść uniknąć można było, gdyby mieszkańcy *Arica* pamiętając rok 1868, byli odbudowali swe miasto nieco wyżej niż granica wezbrania. Granica to przecież widoczna. Długa ponura linia ciągnie się po wybrzeżu: z jednej strony suche gruzy wątłych domów i zwycięzkie mury wytrzymałych budowli, z drugiej śmierć i zniszczenie; tu krzyż, tam trup niepochowany, ówdzie łódź przewalona i tysiące rozbitych sprzętów. Dwa to zupełnie różne królestwa: w pierwszem wieki całe dobroczynne słońce grzać będzie suchą ziemię; w drugiem kto wie, czy jutro blady księżyc nie odbije swej twarzy na falach niespodziewanego potopu. Pogranicze to niebezpieczne, bo i Wulkan i Neptun chcą je pod swe berło zagarnąć, a któż jeśli nie człowiek będzie ofiarą tych kłótni!

Władysław Kluger

DZISIEJSZA PERUWIA*

Z uwagi na problemy zdrowotne, Władysław Kluger zrezygnował ze stanowiska inżyniera rządowego w Peru i opuścił ten kraj w roku 1880. Wyjechał do Krakowa. Pomimo rozwijającej się gruźlicy, nie rezygnował z aktywności na polu zawodowym i naukowym. W grudniu roku 1880 napisał przedstawiony poniżej tekst – *Dzisiejsza Peruwia*, w którym dokonał szczegółowej i wieloaspektowej charakterystyki państwa peruwiańskiego. Zaprezentował warunki naturalne, życie społeczne oraz ustrój polityczny i ekonomiczny Peru, a także opisał rozwój sieci komunikacyjnej oraz postęp urbanistyczny i architektoniczny owego kraju.

Walcząc z chorobą, podjął leczenie w Krynicy oraz w San Remo, gdzie zmarł w roku 1884 w wieku 35 lat**.

* * *

* Tekst Władysława Klugera *Dzisiejsza Peruwia* ukazał się w częściach w wydawanym w Warszawie tygodniku „Wędrowiec". Zob. W. Kluger, *Dzisiejsza Peruwia*, „Wędrowiec" 1881, nr 251, s. 241-244; Tamże, nr 252, s. 258-260; Tamże, nr 253, s. 274-275; Tamże, nr 254, s. 290-291; Tamże, nr 255, s. 312-313; Tamże, nr 256, s. 321-322; Tamże, nr 257, s. 338-339; Tamże, nr 258, s. 359; Tamże, nr 260, s. 391-392; Tamże, nr 261, s. 408-409.

** E.S. Urbański, *Inż. Władysław Kluger w Peru*, op.cit., s. 209; *Los Polacos en el Perú*, op.cit., s. 93.

Notując starannie wrażenia, jakich doznawałem w ciągu mego siedmioletniego pobytu w Peuwii, a zbierając przytem skrzętnie daty, tyczące się jej stosunków etnograficznych i ekonomicznych; uzbierałem trochę materyałów, przydatnych do opisu tego kraju w jego dzisiejszym stanie kultury. Nie zużytkowałem ich jednak w mniemaniu, iż przedmiot ten, dość już obszernie we Francyi i Niemczech obrabiany, znany jest doskonale i w naszym kraju; spostrzegłszy atoli po mym powrocie do ojczyzny, że pojęcia o krajach Ameryki południowej są bardzo niedokładne u ogółu naszej publiczności czytającej, postanowiłem poświęcić chwil kilka opisowi Peruwii w sposób treściwy, ale też pominąwszy przesadę i uprzedzenia. Zamiar ten tem więcej wydawał mi się uzasadniony, że w dziełach niemieckich i francuskich, opisujących Peruwią, znałazłem mnóstwo rzeczy przestarzałych, mylnych a nawet zmyślonych; nie brakowało widać autorów, którzy, zabawiwszy tam zaledwie kilka tygodni, rozpisywali się obszernie o zwyczajach, urządzeniu, handlu i przemyśle, wypełniając luki własną fantazyą, albotеż podając zwyczaje lub nawyknienia osób pojedyńczych, z jakiemi mieli do czynienia w ciągu swego krótkiego pobytu, za obraz zwyczajów wszystkich mieszkańców. Zabrałem się więc do pisania w nadziei, że znajdę czytelników lubiących zwięzłe, a prawdziwe opowiadania o tym kraju, około którego, jak mówi Humboldt, „ma się wcześniej czy później skupić cywilizacya świata całego". Dziś opis ten poddaję pod sąd czytelnika, nie jako rzecz wyczerpującą, ale jako lekko naznaczony szkic obecnego stanu Peruwii pod względem: geograficznym, etnograficznym, politycznym i ekonomicznym.

I. Położenie geograficzne.

Peruwia stanowi główną część obszernego a kwitnącego niegdyś cesarstwa Inkasów, które założone w XIII-ym wieku przez Manco Capac'a, a podbite w wieku XVI-ym przez garstkę awanturników pod dowództwem Franciszka Pizarry, do korony hiszpańskiej przyłączonem zostało. Dwa blisko wieki jęczał ten kraj obszerny pod macoszem berłem królów Kastylii, bo aż do 28 lipca 1821 roku, w którym dzielny jenerał San Martin* ogłosił wolność

---

* José de San Martín (1778-1850) – generał, jeden z przywódców walk o wyzwolenie Ameryki Południowej spod panowania hiszpańskiego. Zob. *Legacies. An Encyclopedia of People Who Hanged the World. Government Leaders, Military Rulers, and Political Activists*, [red.] D.W. Del Testa, The Oryx Press, Westport 2001, s. 164 (przyp. autora).

i niepodległość Peruwii, co też w trzy lata później stwierdził świetnem zwycięztwem, odniesionem nad Hiszpanami na równinach Ayacucho.

Peruwia leży, jak wiadomo, w południowej półkuli świata, między 1-ym i 22-im stopniem szerokości geograficznej, a 70-ym i 84 stopniem długości na zachód południka paryskiego. Na północ graniczy z rzplitą ekwatoriańską i Nową Grenadą, na wschód z Brazylią i Boliwią, na południe z Boliwią, a na zachód z oceanem Spokojnym. Wybrzeże peruwiańskie wynosi około 2500 kilometrów długości, a powierzchnia kraju przechodzi półtora miliona kilometrów kwadratowych. Według ostatniego spisu ludności, zrobionego w roku 1876, Peru nie posiada nawet trzech milionów mieszkańców. Jakkolwiek kraj ten leży cały w strefie gorącej, to jednak pod względem klimatu przedstawia wielkie odmiany, począwszy od zimna krajów północnych, a skończywszy na upałach właściwych krajom podzwrotnikowym. Także pod względem higrometrycznym znajdziesz tam wprost przeciwne okolice: w jednych ziemia, wiecznie sucha, przypomina najdzikse pustynie, w drugich wilgoć niezmierna i deszcz rzęsisty zdają się iść w zapasy z najwilgotniejszemi miejscami świata. Jedną z główniejszych przyczyn tego dziwnego zjawiska jest olbrzymie pasmo Anów, ciągnące się od cieśniny Berynga wzdłuż pomorza peruwiańskiego aż do Ziemi Ognistej, i wywierające wskutek swego wyniosłego kształtu stanowczy wpływ na stosunki meteorologiczne Ameryki południowej, a przedewszystkiem Peruwii.

Andy stanowią w tym kraju dwa pasma równoległe gór ciągnących się od północy ku południowi, a znanych pod nazwiskiem Kordyliery wschodniej i zachodniej. Pasma te dzielą go na trzy części zupełnie od siebie odmienne pod względem klimatu, fauny i flory. Pierwsza z nich, zwana *Costa*, co znaczy „pomorze", rozciąga się aż do stóp Kordyliery zachodniej, dosięgając wzniesienia 1500m do 2000m ponad poziom morza; druga zwana *Sierra*, to jest okolica górzysta, zajmuje cały płat ziemi, zawarty między pasmem wschodniem a zachodniem Andów, to jest stanowi owe sławne wyżyny kordylierskie, których wzniesie nie nad poziom morza jest co najmniej 2000m., a dosięga nawet 4500m.; wreszcie trzecia i ostatnia, tak zwana *Montaña*, leży cała na wschodnim stoku Andów, kierującym swe wody ku oceanowi Atlantyckiemu. Te trzy pasy równoległe, na jakie podzieliłem Peruwią, przedstawiają charaktery tak pod każdym względem odmienne, że każdy z nich osobno uważać i rozbierać należy.

II. Costa peruwiańska.

Jakże smutno patrzeć na te łany piaszczyste, ciągnące się jak całun śmiertelny wzdłuż oceanu Spokojnego! Piaskiem do szczytu pokryte góry, odbijają jak widma na pogodnem niebie Peruwii; nigdzie nie barwi ich

zieloność, ani rozweseli żaden krzew ich jednostajnej powierzchni. Pomorze peruwiańskie to jedna wielka pustynia, na której, jak prawdziwą oazę znajdziesz co mil kilkadziesiąt wązką dolinkę o małym strumyku, którego woda wsiąka do ostatniej kropli w spragnioną ziemię, zanim dojdzie do morza. Wybrzeże peruwiańskie nie ma rzek wielkich, raz dlatego że Kordyliery są po tej stronie bardzo spadziste, a więc nie dostarczają wielkiej ilości wody, drugie, że na samem pomorzu peruwiańskiem deszcz nigdy nie pada. „Więc istotnie w Peru deszcz nigdy nie pada?" pytało mię i pyta jeszcze mnóstwo osób, niedowierzających temu zjawisku. Nie, na wybrzeżu deszcz nigdy nie pada, bo deszczem nazwać nie można mgły *garua*, nawiedzającej te okolice w sześciu chłodniejszych miesiącach roku. Najlepszym tego dowodem jest ta okoliczność, że dachy budują płaskie, a raczej, że ich całkiem nie budują; drewniany bowiem sufit mieszkania stanowi jedyne pokrycie budynku. Gdzieżby tego rodzaju konstrukcya mogła utrzymać się w kraju nawiedzanym od deszczów?

Ale czemuż przypisać ten zupełny brak deszczów? Rzecz to jeszcze niezupełnie wyjaśniona, ale zdająca się mieć napewno źródło swe w stosunkach orograficznych i geologicznych gruntu. Dwie mianowicie przyczyny składają się na urzeczywistnienie tego zjawiska.

Najprzód uważmy, że głównym wiatrem panującym w całej Ameryce południowej jest wiatr wschodni, który, nasyciwszy się wilgocią w przebiegu swym nad oceanem Atlantyckim, wieje ponad Brazylią ku prowincjom wschodnim Peruwii. Napotkawszy olbrzymie pasmo Kordyliery wschodniej, wznosi się stopniowo dla przekroczenia przeszkody, a zmieszawszy się u szczytu gór z zimnemi warstwami powietrza, skrapla swą parę w kształcie deszczu lub gradu. Wiatry te wschodnie dostają się więc na wybrzeże w stanie zupełnie suchym, a więc niezdolnym do tworzenia deszczów.

Jednakże na pomorzu peruwiańskiem wieje także wiatr południowy, który w sąsiednich krajach wywołuje obfite deszcze. Czemuż więc w Peruwii zachowuje się tak biernie? Przyczynę tego zjawiska upatruje *Raimondi*, uczony naturalista mieszkający w Limie, w stosunkach geologicznych gruntu, a to mianowicie jak następuje:

Wybrzeże peruwiańskie podniosło się z łona oceanu, wynosząc nad sobą grubą warstwę piasku, mającą w niektórych miejscach 15 do 20 mil szerokosci, a pokrywającą nawet do samego szczytu góry, tworzące podnóże Kordylierów. O pochodzeniu morskiem piasku świadczy mnóstwo muszli w nim znajdywanych, a należących do zwierząt dziś w oceanie Spokojnym żyjących. Ponieważ piasek ten jest dobrym przewodnikiem ciepła, przeto rozgrzewa się mocno pod działaniem słońca, i tworzy prąd pionowy powietrza, którego temperatura wysoka nie dopuszcza żadnego zgęszczania się par wodnych. Ta ostatnia dostaje się do Kordyliery, gdzie, ochłodziwszy się

w zimnem powietrzu, spada w kształcie deszczu, gradu i śniegu; tym sposobem największe deszcze w Kordylierach odpowiadają największym upałom na wybrzeżu; co też sprawdza się w naturze. Przeciwnie, w chłodniejszej połowie roku, mianowicie od kwietnia do października, gdzie słońce znajduje się w północnej półkuli, piasek, jako dobry przewodnik ciepła, oziębia się więcej niż woda morska i para wodna pochodząca z morza, zgęszcza się w zetknięciu z gruntem, tworząc owe mgły, ukazujące się tak często nad brzegami Peruwii. Równocześnie i właśnie dlatego, że piasek jest zimniejszy od wody morskiej, wytwarza się prąd powietrzny w kierunku od brzegu ku oceanowi, tak, że mgły, gromadzące się nad lądem, wkrótce na morze rozpędzone zostają. Z tego to powodu nawet w chłodniejszych miesiącach roku nie może padać deszcz na pomorzu peruwiańskiem[1].

Naturalnie nie ma prawidła bez wyjątku. Pojawia się czasem deszcz wcale nie w porę i jako gość wcale nie proszony. Sam w podróżach mych widziałem deszcz rzęsisty, choć niedługo trwający w *Trujillo*, mieście leżącem na północ Limy; w *Taknie* zaś padał za mego tam pobytu w roku 1879 deszcz tak obfity, że w wielu domach ogromne w meblach poczynił szkody. Ale fakta te należą do wyjątków.

W obec tak szczęśliwych warunków meteorologicznych, roślinność wybrzeża peruwiańskiego przedstawia charakter odrębny, wyjątkowy. Nie znajdziesz tam roślin charakteryzujących zwykle ziemie podzwrotnikowe, leżące blisko równika; owszem flora tamtejsza, odpowiadając raczej krajom mniej podzwrotnikowym, zdaje się stanowić przejście między płodami roslinnemi stref gorących i umiarkowanych. Jednakże rośliny uprawiane w krajach gorących przyjmują się tam z równą łatwością jak rośliny ze strefy umiarkowanej; czego dowodzi mnóstwo gatunków importowanych w celach rolniczych z Azyi i Europy jak: trzcina cukrowa, kawa, ryż, winorośl, jabłoń, grusza etc. Ale w ogóle cóż to za różnica między schorzałą, nędzną roślinnością wybrzeża, a bujną wegetacyą innych krajów podobnych pod względem położenia geograficznego, jak np. Brazylii, gdzie deszcze i upały wytwarzają tak silne życie roślinne, iż cały kraj zdaje się być jednym wielkim lasem.

Jeżeli jednak brak deszczów w Peruwii nie dopuszcza rozwijania się życia roślinnego z równą potęgą, jak w innych krajach podzwrotnikowych, to za to przedstawia on korzyści pod względem rolniczym, jakich osięgnąć nie można w owych krajach uroczych. Jakoż wskutek jednostajności pogody, zbiory wypadają zawsze nieuszkodzone, a nie potrzeba się obawiać owadów

[1] Tym samym sposobom wytłumaczyć się daje brak deszczów w Egipcie i na wschodniem wybrzeżu Afryki.

ani w plonach na pniu ani w spichlerzu. Zresztą, choć płody rolnicze nie mogą się zawsze porównać pod względem obfitości z płodami innych krajów podwrotnikowych, to zato pod względem pożywności i przemysłu są one wyższe od tych ostatnich.

Drugą osobliwością pomorza peruwiańskiego jest stosunkowo niska średnia temperatura powietrza i jej niezmiernie mała zmienność. Przez cały rok 1879 mierzyłem ją starannie w Limie; otóż najwyższa ciepłota wyniosła +27° C, a najniższa +14°; w ogóle zaś między godzinami południowemi a porannemi lub wieczornemi jest najwięcej 1.5° różnicy. Średnia temperatura roczna w Limie wypadła +19° R. Według *Raimondi'ego* temperatura najwyższa, obserwowana przez lat kilkanaście, jest +29.5° C, a najniższa +12°; temperatura zaś średnia Limy +19° C, tak samo jak w innych pomiarach. Otóż jak na miasto odległe zaledwie 12 stopni od równika, jest to temperatura ogromnie niska. Prawdopodobnie przyczyną tego zjawiska są wiatry zimne południowe, wiejące od bieguna, tudzież prąd morski Humboldta, również toczący od bieguna zimne wody wzdłuż brzegów peruwiańskich.

Jednakże te suche, smutne okolice wybrzeża są głównem siedliskiem cywilizacyi całego kraju, a rolnictwo w nich tylko rozwija się korzystnie. Podczas gdy w innych częściach kraju uprawa roli ogranicza się tylko na zaspokojeniu potrzeb rolnika, konsumującego jej płody na miejscu (bo o transporcie ich w braku dróg mowy być nie może), to na pomorzu istnienie kolei żelaznych, a głównie mnogość komunikacyj morskich ułatwia zwożenie plonów na targi krajowe i zagraniczne. W ostatnich latach rolnictwo peruwiańskie przybrało charakter przemysłowy i eksportacyjny, objawiający się głównie hodowaniem i przerabianiem trzciny cukrowej; stało się to naturalnie z krzywdą uprawy roślin do miejscowego użytku potrzebnych, które to jednak produkta taniej z zagranicy sprowadzić się dadzą, jak np. zboże z Chili, ryż z Chin i Japonii, mięso z rzplitej argentyńskiej albo chilijskiej. Dzięki stosunkom klimatycznym, pomorze jest nader uzdolnione do uprawiania trzciny cukrowej. Niema tam urakanów, ani deszczów ulewnych niszczących plony, zawodzących najpiękniejsze nadzieje rolnika; owszem Kordyliera zasłania je od wiatrów wschodnich, a olbrzymia masa wód oceanu broni ciągle od upałów. To też produkcya trzciny cukrowej rośnie z rokiem każdym, tak, że obecnie wyrabia się w Peruwii blisko 100000 tonn cukru rocznie.

Oprócz trzciny cukrowej uprawiają tam jeszcze na wielką skalę winorośl i bawełnę. Kawę i ryż rodzą tylko północne prowincye kraju, winna zaś latorośl jest hodowaną na wielką skalę na południe Limy, mianowicie w dolinach *Ica* i *Moguegua*. Wina wyrabiane w tych dwu miejscach byłyby wcale nie złe, gdyby ta gałąź przemysłu krajowego nie leżała jeszcze w kole-

bce, i gdyby zamiast przerabiania ich za pomocą różnych ingredyencyj na fałszywe wina Bordeaux i burgundzkie, dążono tylko do udoskonalenia ich przez poprawienie wyrobu. Najlepiej a nawet wcale nie źle wina te naśladują wino Xeres. Obecnie wyrób wina zmniejsza się z każdym rokiem, a za to rośnie produkcya doskonałej wódki z dystylacyi winogradu pochodzącej. *Pisco* i *italia* należą do pierwszorzędnych spirytualiów, a śmiało mogą iść w zawody z najlepszym koniakiem.

Na mniejszą już skalę niż poprzednie, uprawiają także na pomorzu wszelkiego rodzaju płody pożywcze stref umiarkowanych, mianowicie: owoce, jarzyny, rośliny zbożowe i zieloną paszę. Ogrodnictwo a szczególniej hodowanie drzew owocowych są zupełnie zaniedbane; nie dziw też, że owoce, jak jabłka i gruszki, są najgorszego gatunku. Brzoskwinie bywają niezłe, ale śliwek, wiśni, migdałów niema wcale, choć co prawda nikt ich hodować nie próbuje. Ze zbożowych uprawiają jedynie ryż i kukurydzę; gdzieniegdzie zaś, u podnóża gór, jęczmień i pszenicę. Co do płodów właściwych ziemiom podzwrotnikowym, to na *Costa* peruwiańskiej jest ich wcale niewiele. Główniejsze są: *camote*, rodzaj olbrzymiego ziemniaka, nader mącznego, słodkiego, o smaku przypominającym kasztany pieczone; *yuca* w kształcie ogromnego korzenia, bogatego w skrobię i bardzo smacznego; *arbuz* uprawiany na dużą skalę, i wyborny, choć prawie dziko rosnący *melon*. Na wielką skalę uprawiają tam pieprz zwany *aji*; mieszkańcy bowiem konsumują go w niezmiernej ilości, zaprawiając nim wszystkie swe potrawy a nawet pogryzając go prawie nieustannie w czasie jedzenia. Z owoców prawdziwie podzwrotnikowych wyszczególnić tu należy doskonałą peruwiańską *Chirimoya*, rodzaj mącznej, białej, w środku aromatycznej gruszy; *palta*, masło roślinne spożywane z solą i chlebem; *platano* t. j. banan w rozmaitych odmianach; *granadilla*, owoc podobny z kształtu i barwy do małej pomarańczy, o skorupie twardawej, z wnętrzem wypełnionem ziarnkami, podobnemi zupełnie z wejrzenia i ze smaku do ziarnek naszego agrestu; *papayo*, rodzaj dużego chleba świętojańskiego z wnętrzem bawełniastem, nasyconem słodyczą; *lucuma*, o mięsie słodkiem, bryjowatem; *pepino* kształtu i koloru ogórka, owoc sprowadzający febry; *mango*, owoc mięsisty z mnóstwem nerwów, wydający mocny zapach terpentyny; *nispero*, z pozoru i ze smaku podobny do żółtej śliwki; dalej znane wszystkim: grenady, pomarańcze, cytryny, ananasy i t. p. Niektóre z kaktusów wydają owoce wcale dobre do jedzenia, a między tymi najwięcej uprawiany jest *tuna*, owoc zaopatrzony w tak ostre a subtelne kolce, że go palcami bezkarnie dotykać nie można. Drzewo oliwne, figowe i daktylowe wydaje doskonałe owoce, a winogrona stołowe są znakomite.

III. Sierra.

Sierra peruwiańska zaczyna się tam, gdzie deszcze padać zaczynają. Dobry mój znajomy botanik Martinet, z którym podróżowałem w Kordylierach w roku 1877, powiada dość trafnie, że aby poznać, czy się jest na pomorzu, czy też, na „Sierra", dość patrzeć na dachy domów i chałup otaczających; jeżeli są płaskie, to niezawodnie „costa", jeżeli pochyłe, to już „sierra". Ale czytelnikowi nie zda się na nic ta uwaga mego przyjaciela; wolę więc wytłumaczyć rzecz inaczej.

Powiedziałem już, że część lądu zwana „costa", rozciąga się od morza aż do podnóża Kordylierów, a to mianowicie aż do wysokości 2000m ponad poziom morza. Od tego miejsca począwszy, coraz to rzadziej napotyka się rośliny właściwe okolicom podzwrotnikowym, a ich miejsce zastępują zwolna płody stref umiarkowanych i to aż do wysokości 3500m, gdzie znika lucerna, po której, jako ostatnią pikietę świata rolniczego znajdzie się tylko trochę nędznego jęczmienia. Barometr wskazuje tam 3800m wzniesienia nad poziom oceanu. Tu ustaje wszelka uprawa roli, a z krzewów dziko rosnących ukazuje się tylko „tola", krzew żywiczny, kruchy, krępowaty; „queñua", drzewko palące się na pniu z największą łatwością, a wreszcie „yareta", rodzaj olbrzymiej narośli, wewnątrz suchej i łupkiej jak próchno, a pokrytej ślizkim i równym kobiercem gwiazdek zielonych, przez które wychodzą obficie czyste jak łza krople żywicy. Żywica ma stanowić ochronę od zbytecznego parowania, wynikającego z rozrzedzenia powietrza na tej wysokości.

Chcąc dostać się na wyżynę Andów, trzeba jeszcze przekroczyć grzbiet zachodniej Kordyliery, i zejść później na olbrzymie płaskowzgórza, 4500 do 5500 metrów nad poziom morza wzniesione, a znane pod nazwiskiem „Puna". Temperatura dochodzi tu w południe do +13° C., a w nocy spada czasem do -10° C. Płaszczyzna puny nie jest jednak poziomą; owszem wzniesienie jej zmniejsza się w miarę, jak posuwamy się ku wschodowi; to też i roślinność, zrazu tak skąpa, rozwija się stopniowo tak, że na wzniesieniu 3500 metrów zaczyna się znowu uprawa jęczmienia i ziemniaków, a głównie rośliny „quinoa", stanowiącej główne pożywienie Indyanina. Liście siekane i gotowane jadają się jako jarzyna, a ziarno zmielone za stępuje mąkę. Postępując tak dalej po punie kordylierskiej, trafia się po kilku dniach marszu na wschodnie pasmo gór, zupełnie do zachodniego podobne, a poza którem rozciągają się owe przesławne okolice Peruwii, zwane „montaña". Tamto cudowna natura wynagradza podróżnika za wszystkie zawody poniesione w zwiedzaniu smutnego wybrzeża.

W „sierra" peruwiańskiej wieczne śniegi zaczynają się zwykle na wysokości 5000 m; jednak w niektórych miejscach znajdują się już na 4700 metrów. Jest to zjawisko bardzo zależne od otoczenia i położenia topograficznego góry, czego najlepszym dowodem, że w kopalniach „el toro",

znajdujących się u szczytu Kordyliery w departamencie „Ancach", lód utrzymuje się wiecznie aż do głębokości 50 metrów pod ziemią, to jest aż do wysokości 4800m ponad poziom morza, choć na górach śnieg zawsze taje.

Przejście przez Kordyliery nie jest rzeczą tak łatwą, jakby się to na pierwszy rzut oka wydawać mogło; pominąwszy już bowiem mróz, brak wygodnej drogi i zajazdu, jest się wystawionym na chorobę górską, która nie zwykła nikogo oszczędzać. Choroba ta, powstająca ze zbyt rozrzedzonego w górach powietrza a zwana „sorochi", polega na szalonym bólu głowy, krwotoku z nosa, z uszu i z oczu, połączonym bardzo często z wymiotami. Płuca, urządzone do oddychania na poziomie morza, nie wystarczają bez przywyknienia w swym mechanizmie do zasiągania dostatecznej ilości rzadkiego powietrza, pracują więc z natężeniem. W obec tego bieg krwi niezmiernie się przyśpiesza, a tętno w swej chyżości pomnaża się, jakby w największej gorączce. Krew w swej pośpiesznej cyrkulacji przepełnia najmniejsze naczynia krwionośne, prąc do ostatecznych kończyn, pod ciśnieniem wewnętrznem nieodpowiadającem już zewnętrznemu. Stąd owe bóle głowy i krwotoki. Żołądek tym stanem cyrkulacyi upośledzony źle trawi, a narząd nerwowy podrażniony wywołuje rozliczne nerwobóle i wymioty. Co do mnie, doznawałem w mych licznych wycieczkach do, Kordyliery tylko bólu głowy, z wyjątkiem pierwszej mej podróży, w której dziąsła i podniebienie spuchły mi jak poduszki, przyczem krew uchodziła z nich obficie. W ogóle osoby słabowite, wątłe lub bezkrwiste, mniej są podległe przypadłościom „sorochi", aniżeli ludzie silni i krwiści, którzy przy wysokiem wznoszeniu się w górę i piciu wódki łatwo dostają apopleksyi.

Konie i muły, nieprzyzwyczajone do gór, również dostają ,,sorochi"; widocznie dostają obłędu z uderzenia krwi do mózgu, bo z głową na dół spuszczoną kręcą się w kółko, nagle padają i zdychają, Koniom na „sorochi" zapadającym puszczają krew z ogona, z uszu i podniebienia.

Jak widzimy klimat „sierry" jest zupełnie różny od klimatu pomorza, i można powiedzieć zbliża się do klimatu stref umiarkowanych. Deszcze padają tam prawie nieustannie, począwszy od października aż do marca; od kwietnia zaś do września niebo kordylierskie nie zachmurza się najmniejszym obłokiem, a tylko mróz naówczas panujący przypomina, że słońce przeniosło się już do półkuli północnej.

Pomimo tak ostrego zimna, chowa się na wyżynach „puny" mnóstwo zwierząt Kordylierze właściwych; mianowicie stada „lam", „alpak", „wigonii" i „guanaco". Lama, to zwierzę figurujące w herbie Peruwii obok drzewa kokowego i rogu obfitości, było jedynem zwierzęciem domowem dawnych Amerykanów; dziś jest zaś przedewszystkiem używane do noszenia ciężarów, które jednak nie mogą przenosić 50 kilogramów. Lama chodzi powoli, robi tylko 3 do 4 mil dziennie; ale nie potrzebuje gościńca, bo spina

się jak sarna po urwiskach, gryząc po drodze trawkę stanowiącą jej jedyne pożywienie. Widziałem w mych podróżach lamy, które, mimo ustawicznej pracy, nic nie jadły przez kilka dni z rzędu; nie lubiąc bowiem gryść trawy przypruszonej śniegiem, wolą czekać cierpliwie aż śnieg staje, aż wątła, między kamieńmi rosnąca „paja", osuszy się na słońcu. Są to zwierzęta nader łagodne, żyjące i chodzące zawsze stadami pod komendą na pół dzikiego Indyanina, przemawiającego do nich gwizdkami i procami. Zwierzęta te nieocenione przedstawiają bardzo malowniczy widok, dzięki nieskończonej rozmaitości ich maści i pięknej postawie, przypominającej nieco girafę; rozgniewane parskają ostrą i cuchnącą śliną, która sprawia na ciele czerwone plamy i pryszcze. Wełna ich służy do wyrobu tkanin indyjskich; mięso zaś jest wcale „mangeable", gdy nie ma wołowego, jak o tem miałem sposobność przekonać się tylokrotnie. „Wigonia", „alpaka" i „guanaco", zwierzęta podobne do lamy, ale mniejsze i zgrabniejsze, dają przepyszną, dobrze na targach europejskich znaną wełnę; żyją one w stanie dzikim z wyjątkiem alpaki, zaczynającej się oswajać pomału. Rycina (str.257)* przedstawia właśnie lamę peruwiańską i dwu pastuchów, z których jeden Indyanin boliwiański ma włosy splecione w cztery długie warkocze.

Tam gdzie żyją zwierzęta bezbronne, znajdować się muszą także i drapieżne, dla utrzymania harmonii w tym świecie organicznym, w którym jedno drugie zjada. Na szczycie Kordyliera ze zwierząt mięsożernych zna tylko lwa amerykańskiego (Felix puma) i lisa (Canis azarae).

IV. Montaña.

Minąwszy śnieżne szczyty potężnego pasma Andów, z których niektóre dochodzą 6700m wysokości, dostajemy się w dzielnice rzek „Ucayali", „Huallagi" i wreszcie „Amazonki", tej królowej rzek całego świata. Niezmierne lasy, częścią zupełnie dziewicze, częścią zamieszkane przez dzikie hordy Indyan, rozwijają się z zadziwiającą potęgą pod wpływem słońca i wielkiej wilgoci. Roślinność, znajdując się tu w warunkach zupełnie odmiennych od reszty Peruwii, przybiera charakter czysto podzwrotnikowy; żywotność zaś jej jest tak wielka, że trzciny cukrowe dojrzewają tam w 10 miesięcy, ryż w 5, kukurydza w 4 miesiące i daje trzy zbiory rocznie na tej samej glebie. W trzy lata po zasianiu, krzew kawowy wydaje już owoce, które też nie przestają rodzić się przez lat 40 z rzędu; a liść tytuniowy zbiera się trzy razy do roku.

Oprócz zwykłych roślin podzwrotnikowego nieba, „montaña" peruwiańska produkuje jeszcze wiele rzeczy, nadających się znakomicie do wywozu.

* Ilustracja nr 1 w niniejszej publikacji (przyp. autora).

Na pierwszem miejscu stoi „coca", którego liście posiadają mocne własności podniecające, a które też są ulubionym przysmakiem Indyan, przypisujących im ogromne własności pożywcze. Indyanin żuje kokę ustawicznie, przeciągając od czasu do czasu przez usta patyczek zmoczony w wapnie, albo też w pewnej mieszaninie pieczonych ziemniaków i popiołu drzewnego, zwanej „llucta". Przyprawa ta gra wobec koki rolę soli kuchennej. Nie trzeba jednak myśleć, że liść koki, zdolny podtrzymać siły człowieka, pozbawionego pokarmu przez dni kilka, jest w istocie pożywny; posiada on tylko własności podniecające, zabija głód chwilowo, ale nic więcej. Bawełna rośnie tam także w stanie dzikim około domów, jak również kakao, wanilia, salsaparilla i drzewo chinowe.

Wspomniane tu krzewy są niczem w porównaniu z nieskończoną liczbą roślin, rosnących dziko na tej uprzywilejowanej ziemi. Bujna roślinność, nie mając już miejsca wolnego, skupia się w zbite kłąby, na których porasta istny las w drugiej kondygnacyi. Ale bo też na olbrzymiem dorzeczu Amazonki znajdziesz same tylko warunki, sprzyjające rozwojowi życia roślinnego: ciepło i wilgoć w powietrzu, a urodzajność w ziemi. Gdzie tylko spojrzysz, widzisz taką potęgę życia, że oczyma swemi zdajesz się mierzyć jej drgania; a patrząc na te obłoki komarów i mustyków wszelkiego rodzaju, rzekłbyś, że natura owiała tu tchem życia najdrobniejsze nawet atomy powietrza.

Obfitość fauny dorównywa bogactwu flory. Nieustanny szmer łechce ucho podróżnika; gdzie spojrzysz, widzisz ruch i życie. Tu lekka sarna miga się przez krzaki, tam zgrabna małpa igra na gałęziach, tu znów wiewiórka czmycha w pięknych skokach przy świergotaniu ptaka o różnobarwnych piórach. Nie trudno usłyszeć ryk jaguara, albo złowrogie syczenie węża, ale niepodobna zmierzyć okiem legionów owadów, pełzających, chodzących, spinających i latających, które, zaopatrzone w najdrobniejsze narzędzia, kłują, dziurawią, szarpią i niszczą wszystko co mają pod sobą.

V. Mieszkańcy.

Poznawszy położenie topograficzne kraju i jego stosunki klimatyczne, zapoznajmy się teraz z mieszkańcami Peruwii.

Początkiem dzisiejszej rasy Peruwianów są Indyanie, zamieszkujący Kordylierę, rodzimi mieszkańcy dawnego cesarstwa Inkasów. Najważniejsi co do liczby, stoją oni jednak w stosunkach społecznych na drugiem miejscu. Pierwsze zajmuje rasa białych, potomków Hiszpanów, mniej lub więcej zmieszana z krwią indyjską, rasa znana pod nazwiskiem „cholo", a najwięcej na pomorzu i po miastach rozpowszechniona. Ludzie tej rasy mają, równie jak indyanie, włosy twarde, grube i niezmiernie czarne, a ręce i stopy nóg zadziwiająco małe; tylko skóra zamiast być bronzową, jest lekko brunatnawa.

Pod względem inteligencyi „cholo" peruwiański jest bardzo szczęśliwie od natury uposażony; nałogowe jednak próżniactwo a przedewszystkiem zamiłowanie do zbytków nie daje mu postępować wytrwale na drodze nauki; woli on z narażeniem własnego życia robić rewolucye lub do nich należeć; w nadziei dobicia się stanowiska rentownego na drodze protekcyi, niż cierpliwą pracą wywalczyć sobie materyalną niepodległość. Nie dziw też, że Peruwia była, jest i będzie zapewne długo jeszcze polem krwawych walk, mających na pozór cel przewrotów politycznych, a będących w istocie rozbojem spokoju i mienia publicznego.

Chłop peruwiański należący do rasy „cholo", nie lubi zajmować się uprawą roli, praca to dla niego za ciężka; woli on służyć po miastach jako „majordomo" do lekkich posług używany. Krnąbrni, próżni i leniwi służący peruwiańscy są prawdziwą plagą ludzkości; stawiając się na równi z panem, nie znoszą żadnych uwag, a służbę opuszczają bez wypowiedzenia, nie troszcząc się wiele o zapłatę.

Drugą z rzędu rasą, zamieszkującą pomorze peruwiańskie, jest „zambo" czyli mulat z białej i czarnej krwi pochodzący. Stanowi on jednę wyłączną krajową klasę ludzi pracujących; w mieście używany do ciężkich posług, na wsi do uprawy roli, zambo byłby doskonałym czynnikiem postępu krajowego, gdyby zmniejszająca się od czasów zniesienia niewolnictwa liczba, murzynów, nie była zredukowała się do nic nieznaczącej ilości.

Z mieszaniny „zambów" z „cholami" powstały dopiero niezliczone odcienia dzisiejszych mieszkańców Peruwii, tak w inteligencyi jak i między ludem, zarówno na pomorzu jak w górach, z wyjątkiem tylko dzikich mieszkańców nadbrzeża Amazonki, mających zupełnie inne pochodzenie.

Łatwo pojąć, iż w obec tak do pracy wstrętnego ludu jak lud peruwiański, rolnictwo krajowe nie mogło obyć się bez sił obcych. Po zniesieniu niewolnictwa, zabrano się do sprowadzania Chińczyków, a handel temi nieszczęsliwemi ofiarami ludzkiej chciwości przybrał wkrótce takie rozmiary, że obawiaćby się można było o zupełną inwazyą żółtej rasy, jak się to dzieje w Kalifornii, gdyby częste choroby, wywoływane ciężką pracą i złem obejściem się, nie zabijały ich przed wcześnie. Aż do ostatnich lat mego pobytu w Peruwii, przywożono do Callao rok rocznie około sześciu tysięcy Chińczyków, zaangażowanych do pracy, każdy na lat osiem; ludzie to rekrutowani między żebrakami, złodziejami i wszelkiego rodzaju wyrzutkami społeczeństwa. Jednakże mimo licznych zbrodni, jakich się dopuszczali i dopuszczają, czy to wskutek wrodzonej złości czy też dla pomszczenia obelg i razów, Chińczycy oddali rolnictwu peruwiańskiemu niezmierne usługi; bez nich nie byłoby dziś mowy o uprawie bawełny i trzciny cukrowej.

Chińczycy rzadko kiedy wracają do ojczyzny; po większej części oddają się oni handlowi po ukończeniu kontraktu, zakładają kramiki i restauracye,

zwane „fonda", a po zaoszczędzeniu grosza, otwierają nawet większe hotele na prowincyi. Do służby domowej bardzo są zdatni, zwłaszcza jako kucharze, a nie rzadko przywiązują się duszą do swych państwa, co tylko dowodzi, że ludzie ci są w gruncie nieźli, i że dobrem obejściem się łatwiej ich ujarzmić, niż przemocą.

Zupełnie odmiennemi od ras powyżej opisanych są mieszkańcy montaña. Całe dorzecze Amazonki i jej rzek ubocznych było przed odkryciem Ameryki zamieszkałe przez dzikie ludy, niezależne od rządu Inkasow, a zachowujące po większej części aż do dziś dnia swą niepodległość. Część jednakże dawnych mieszkańców dała się oswoić z cywilizacyą tak że departament „Loreto", stanowiący przeważną część montañy peruwiańskiej, liczy dziś na 90 tysięcy mieszkańców: 50 tysięcy Indyan poddanych rządowi, a 40 tysięcy dzikich niewiernych.

VI. Język.

Językiem urzędowym a zarazem najwięcej używanym jest język hiszpański; Indyanie jednakże używają prawie wyłącznie dawnego języka „quichua" lub „aymara". Język „quichua" jest miękki, bogaty w wyrazy a przytem bardzo jędrny. Ma on swe przypadkowanie i czasowanie tak jak najwięcej udoskonalone języki; niektórzy nawet, jak d'Orbigny, utrzymują, że jest on bogatszym i doskonalszym od wszystkich języków europejskich, i że ma uderzające podobieństwo do „sanskrytu". Quichua ma kilka dyalektów, z których główne są: „el quiteño" najwięcej zanieczyszczony, „el lamana" używany w środkowej Peruwii, „el yunca" w okolicach Trujillo, „el cauqui" w prowincyi Yauyos, na wschód Limy, i „el cuqueño" w okolicach miasta „Cuzco", dawniejszej stolicy Inkasów. Ten ostatni jest najczystszy i stanowi właściwy język „quichua". Ażeby dać o nim pojęcie zacytuję tu „Ojczenasz" w tym języku (czytaj jak po polsku, tylko *c* wymawiaj jak k, a ch jak *cz*.)

„Yayacu hanacpachacunapi cac, sutiyqui muchhasca cachun; ccapaccayniyqui nocaycuman hamuchun; munayniyqui ru rasca cachun, imainam hanacpachapi, hinatac, cay pachapipas; ppunchaunincuna ttantaycucta cunan cohuaycu; huchaycuctari pampachapuhuaycu imanaw nocaycupas, nocaycuman huchallicuccunacta, pampachaycu hina. Amatac cacharihuaycuchu huateccayman urmanccaycupac; yallinzac, mana allimantac quespichihuayen. Amen".

Jednakże język „quichua" nie jest wyłącznym językiem Indyan peruwiańskich, zamieszkujących Kordyliery. Owszem między 15-ym a 18-ym stopniem szerokości geograficznej mówi się tylko językiem „aymara", zupełnie różnym od poprzedniego. W podróży mej do „La Paz" w Boliwii wysłuchałem w kościele w „Calacoto" całe ajmarskie kazanie księdza „Cusi-

canqui", który mię zapewniał, że mu bez porównania łatwiej przychodzi wyrażać się w tym języku, niż w ojczystym hiszpańskim. Język to gardłowy, męzki, pełen żydowskich tonów „kha", „tha"; ma swe przypadkowanie i czasowanie równie jak „quichua", ale jest mniej bogaty i mniej melodyjny.

Dzicy peruwiańscy należą do rozmaitych plemion, niemających między sobą nic spólnego co do języka i zwyczajów. Nad rzeką „Ucayali", przecinającą przez środek departament Loreto, i na całem jej dorzeczu, najwięcej używany jest język „pana", zupełnie odmienny od quichua, który, jak mówiłem, jest językiem Indyan cywilizowanych. Język to ma być trudny co do wymowy, ale bogaty, bo posiadający mnóstwo wyrazów, które w innych językach całem zdaniem tłumaczyć trzeba. Zupełnie niepodobnym do języka pana jest język plemienia „Piros", zamieszkującego głównie sąsiedni departament „Cuzco"; również niepodobny jest język plemienia „Campas", żyjącego na brzegach rzeki „Santa Ana Chanchamayo" i „Tambo". Język ten jest miękki i przyjemny dla ucha, posiada zaś tę właściwość spólną językowi „Piros", że każdy członek ciała ludzkie go jest oznaczony wyrazem zaczynającym się od tej samej litery. W języku „Piros" wszystkie nazwy członków ciała ludzkiego zaczynają się od litery *w*, a w języku „Campas" od litery *n*.

Jako ciekawy fakt nadmienić tu muszę tę właściwość, spólną wszystkim językom dzikich plemion peruwiańskich, że do rachowania mają tylko wyrazy przedstawiające „raz", „dwa", „trzy", ,,cztery", a co najwyżej „pięć". Liczby większe pokazują na palcach, a gdy palców nie starczy, wymawiają wyraz znaczący „dużo".

VII. Ubiory i zwyczaje.

Nad brzegiem oceanu Spokojnego, to jest w części Peruwii najwięcej cywilizowanej, ubiory mężczyzn i kobiet są czysto europejskie; z tem tylko wyszczególnieniem, iż u kobiet są one nader zbytkowne, choć pod względem gustu w doborze kolorów wcale niepoprawne. Jednakże w godzinach rannych nie godzi się kobiecie uczciwej wyjść na miasto w kapeluszu; zwyczaj miejscowy nakazuje zastąpić go „mantą" (ob. str. 273)*, to jest kaszmirowym czarnym albo jedwabno krepowym, mniej lub więcej bogato haftowanym szalem, pokrywającym hermetycznie głowę i biust. Nie jest łatwo nosić mantę z gustem i fantazyą, a rzadko która europejka potrafi zarzucić ją na siebie ze swobodą pań peruwiańskich. Dodam tu jeszcze, iż bez manty wejść „niewolno" kobiecie do żadnego z kościołów.

* Ilustracja nr 2 w niniejszej publikacji (przyp. autora).

Po wsiach kobiety noszą długie szlafroki perkalowe, i białoniebieskie, niciane chusteczki, które zarzucają na sposób szalika około szyi; włosy splecione w dwa warkocze puszczają swobodnie na plecy, a głowę nakrywają zwykłym męzkim kapeluszem słomianym, znanym u nas pod nazwiskiem „panama", a wyrabianym na miejscu lub w sąsiedniej republice ekwatoriańskiej. Kapelusze te noszą także mężczyzni. „Cholo" na wsi ubiera się po europejsku, ale na suknie kładzie „poncho", t. j. wełniany kolorowy kocyk czworograniasty z rozporkiem w środku dla zarzucenia go przez głowę. „Poncho" zastępuje wierzchnie ubranie, w dzień chroni od słońca, w nocy od chłodu, a równie jak „manta" zakrywa nie zawsze czystą koszulę i resztę ubrania aż do kolan. Schludność nie jest cnotą Peruwian.

Zupełnie odmienny od miejskiego jest ubiór Indyanina zamieszkującego zimną „sierrę". Nosi on koszulę z grubego płótna, spodnie sukienne ciemne, sięgające tylko niżej kolan, kamizelkę z tej samej materyi wełnianej, a głowę nakrywa albo zwykłym kapeluszem filcowym alboteż tak zwanem „montera", kapeluszem zrobionym z dwu półkołowych kawałków sukna, przyszytych do siebie według obwodu krzywego, tak, że we dwoje złożony, stanowi półkulę. Zwykle oprócz kapelusza nakrywa Indyanin głowę czepkiem wełnianym. Zamiast butów noszą tak zwane „ojota", t. j. podeszwy ze skóry lamy, przymocowane do stopy rzemykami przeplatanemi poprzez palce, jak to widać na figurach (str. 296 i 297)*. Kobiety noszą krótkie spódnice z sukna wełnianego, koloru jednostajnie czerwonego, niebieskiego, zielonego lub kawowego, a ochrzcone spólną nazwą „anaco"; dalej manty kwadratowe, mające niecały metr w krawędzi, a koloru czarnego z pasem różnokolorowym w pośrodku. Mantę taką, zwaną „lliclla", przypina się na piersiach długą spinką miedzianą, srebrną lub złotą, zwaną „topo", a mającą kształt i wielkość łyżki stołowej, którejby rączkę na długą szpilkę zamieniono (ob. str. 289)**.

Cóż mam pisać o zwyczajach Peruwian? Cywilizacya ich czysto europejska, europejskie też święci zwyczaje. Zbytek raczej niż dobry gust; wystawność raczej niż komfort, charakteryzują ich doskonale; życie nad stan, ta choroba świata całego, rozwija się wzorowo w tym kraju przynoszącym co kilka miesięcy nowe protekcye i urzędy. Po wsiach naśladują miasta, te zaś ostatnie wypierają się starannie wszystkiego tego, coby przypomnieć mogło pochodzenie indyjskie mieszkańców; niedziw też, że nawet po wsiach pomorza peruwiańskiego, t. j. w prawdziwem Peru cywilizowanem, trudno znaleść jakiś wybitny znamionujący je zwyczaj. Wszędzie czuć Hiszpanią, wszędzie pyszalstwo i zarozumiałość kastyliańskego „caballero". Ot chyba tylko

* Ilustracje nr 3 i 4 w niniejszej publikacji (przyp. autora).

** Ilustracja nr 5 (przyp. autora).

w tańcu i w muzyce przebija coś swojskiego, tkliwego. Ale któż opisze „chilenę", ten narodowy taniec hiszpańskiej Ameryki, albo owe rzewne, smętne piosnki „yaravi", śpiewane zwykle przez dwie osoby, a wyrażające zawiedzioną miłość, tęsknoty albo niewdzięczność osoby ukochanej? Najlepsze mógłbym dać pojęcie o muzyce dawnych Peruwian, zamieszczając tu nuty jednego z tysiąca popularnych „yaravi" czego jednak ze względów technicznych w piśmie tem uczynić nie mogę.

Pomimo czysto katolickiego zakroju państwa, niemoralność jest wielka, nietylko w miastach ale i między ludem. Na 3034 niemowląt urodzonych w Limie w r. 1860 było dzieci prawowitych 1384, nieprawego zaś łoża 1650; to jest, że na 100 nowonarodzonych było 45 niemowląt prawowitych, a 55 bez nazwiska! Cóż się to dziać musi po wsiach, gdzie akt ślubu jest uważany za zbytek. Ileżto razy pani domu, prezentując mi osoby siedzące w salonie, mówiła jako rzecz najnaturalniejszą w świecie: „to syn mój, to córka, a to „hijos naturales" mojego męża".

Wybitnie na tle miejskiej cywilizacyi odbija postać Indyanina, mieszkańca gór. Wzgardzony, pokrzywdzony, nieszczęśliwy potomek możnych Inkasów, kryje w śnieżnych szczytach Kordyliery wstyd swój i niemoc; tam, śród urwistych przepaści, pasąc wierną trzodę lam i alpak, wskrzesza minione czasy w grobowych, ponurych tonach „queny". I jego śpiewy i jego tańce i jego zabawy, to nie śpiewy, tańce i zabawy ludzi innych krajów; każde z nich nosi piętno ponurego żalu za straconą wolnością i ojczyzną.

„Quena", to rodzaj fletu z trzciny peruwiańskiej, mającego około 40 centymetrów długości, na $1^1/_2$ ctm. średnicy. Z jednej strony jest pięć otworów, z drugiej zaś jeden tylko. Wydaje tony ponure i melancholiczne, które jeszcze większe robią wrażenie, gdy jeden góral akompaniuje drugiemu. W studyach mych nad brzegiem rzeki „Maure" przysłuchiwałem się z dziwnem zawsze uczuciem żałosnej muzyce mych ludzi, wtórujących do późnej nocy grajkom „queny"; jest bowiem jeszcze tyle w tem osobliwego, iż Indyanin nie gra ani nie śpiewa nigdy za dnia. Niezaprzeczenie jest coś poetycznego i tragicznego w tym rzewnym śpiewie Indyanina, który, niedowierzając już i światłu dziennemu, nocy czeka dopiero, aby w jej ciemnościach podzielić się z puszczą żalami swojemi. Śpiewy te to prawdziwe „Super flumina Babyloniae" Peruwianczyka.

A teraz wejdźmy w praktyczną stronę ich życia. Indyanie Kordyliery peruwiańskiej są leniwi z natury. Już widzieliśmy, że ubrania ich są bardzo proste, jakby żałobne i pozbawione wszelkiej ozdoby; dodam więc, że karmią się równie skromnie. Zwykłą ich strawą jest „chupe", zupa z ziemniaków i sera, „chuno" ziemniaki przemrożone, „charqui", to jest mięso suszone, fasola suszona zwana „puspu": wszystko to mocno zaprawione pieprzem, „aji". Jakkolwiek wyznają religią chrześciańską, to jednak mają

o niej bardzo słabe pojęcie; żyją z sobą na wiarę a obchodzą mnóstwo świąt pogańskich, już to dla tradycyi, już też dla sposobności upicia się. Zajechawszy w roku 1875 do górskiej wioski „Asuncion" na nocleg, zastałem tam całą ludność zgromadzoną na głównym placu, gdzie odbywały się konne turnieje pijanej młodzieży, wydzierającej sobie w szalonym pędzie koguta białego, którego jeden z nich trzymał za nogę ponad swą głową. Biedne stworzenie miało już jednę nogę złamaną i skrzydło urwane, ale przeraźliwy pisk jego zachęcał tylko do zabawy, której, pomimo zadawanego sobie przymusu, dłużej przypatrywać się nie mogłem. Było to święto „de las acequias" t. j. „kanałów irygacyjnych", trwające już od dni trzech, a będące widocznie zabytkiem z czasów pogańskich, bo kościoła, który tuż stoi na placu, wcale nie otwarto, ani nie zaproszono proboszcza z sąsiedniego miasteczka „Carampoma".

Przemysł górali polega na hodowaniu lam i alpak, w celu strzyżenia ich wełny, i na wyrabianiu niektórych ordynarnych materyi wełnianych do miejscowego użytku. Uprawą roli trudnią się kobiety, mężczyźni bowiem są zbyt do tego leniwi; ich udziałem jest jeździć do miasteczka po wódkę, którą zwykli upijać się przynajmniej w niedzielę. Sprzętów żadnych nie mają, bo o prócz kilku garnczków nie widać nic w ich chacie; za posłanie zaś służy im kilka surowych skór baranich, na których sypiają razem rodzice, dzieci, bracia, siostry i narzeczeni!

Równie jak muzyka, taniec Indyan jest smutny i monotonny. Pijany góral (nie tańczą bowiem w stanie trzeźwym) kołysze głową, trzymając ręce w kabłąk zakrzywione i obracając się zwolna przy odgłosach fletu. Taniec ten zwie się „cachua".

Bojaźliwi i niedowierzający z natury a wyzyskiwani już tak haniebnie przez białych, Indyanie kordylierscy nie chcą nigdy dać żadnej rady ani wskazówki, czy to co się tyczy drogi czy innych kwestyj. Gdy się ich zapyta jak daleko jeszcze do tego a tego miejsca, to choćby miejsce to było o sto mil odległe, odpowiadają pokornie w „quichua", „Chaillallapi tatai", co znaczy „tutaj bliziutko, tatusiu", byle tylko zbyć się co prędzej i uciec.

W drodze Indyanie nic nie jedzą oprócz odrobiny kukurydzy pieczonej, którą noszą w kieszeni, i pewnej dozy koki, podtrzymującej siły nerwowo. Paz-Soldan powiada w swojej geografii, że z takiem wojskiem Napoleon I byłby był wygodnie doszedł do Petersburga.

Z drugiej strony Kordyliery w dziewiczych lasach, nieowianych jeszcze tchem cywilizacyi, wyraz „ubranie" jest po większej części nieznanym. Z licznych plemion mieszkających nad brzegiem Amazonki, Ucayali i jej rzek ubocznych, kilka tylko plemion, mających styczność z ludnością cywilizowaną Peruwii, okrywa ciało kawałkiem płótna białego lub niebieskiego. Mężczyźni noszą spodnie i krótkie do pasa sięgające koszule, kobiety zaś rodzaj spódnic płóciennych; nad brzegami zaś Ucayali dzicy pokrywają ciało

workiem z grubej bawełnianej materyi, przez nich samych tkanej, a farbowanej na różne kolory, stosownie do plemienia (ob. str. 305 i 313)*. Przeważna jednak część dzikich chodzi nago, a twarz i ciało maluje na różne kolory.

O zwyczajach dzikich dużo byłoby do powiedzenia, gdyby nie chodziło o oszczędzenie cierpliwości czytelnika. Powiem tu tylko w krótkich wyrazach, że w ogóle są usposobienia próżniaczego, że żyją z polowania lub uprawy roli, ale tylko w granicach koniecznej potrzeby, używając do bicia ptastwa i zwierzyny łuków i strzał, albo też rodzaju dmuchawki. W ogóle plemiona te żyją z sobą w ciągłych wojnach, a przynajmniej w ciągłej niezgodzie i zdają się nie mieć żadnej religii. Każde z nich ma swe właściwości, których kilka dla przykładu zacytować tu muszę. „Orejones" mają zwyczaj wyciągać sobie uszy do tego stopnia, że koniec ucha sięga ramienia; w tym celu przedziurawione od dzieciństwa ucho zapychają kołkiem drewnianym, który, w miarę wzrostu dziecka, coraz to większym zastępują. Niektórzy z nich zatykają patyki drewniane w chrząstce nosowej. „Mayorunas" dziurawią sobie wargi, aby przez nie przewlekać patyczki i pióra. „Piros", plemię najwięcej ze wszystkich śmiałe i inteligentne, czerni sobie zęby jakimś korzeiem nieznanym; naśladują je zaś w tym względzie plemiona „Setebos", „Sipibos" i „Cenibos". Przeciwnie „Campas" utrzymują zęby bardzo czysto; ale zato przedziurawiają sobie uszy dla zawieszenia srebrnej blaszki okrągłej, zasłaniającej górną wargę. „Conibos" mają barbarzyński zwyczaj spłaszczania głowy dzieciom między dwiema deszczułkami, z których jednę przykłada się do czoła, drugą zaś z tyłu głowy, tak że czoło płaszczeje, a czaszka wydłuża się w tył w sposób monstrualny. Raimondi opowiada, że miał sposobność widzieć dziecko, które na spłaszczonem zupełnie czole miało olbrzymią narośl kostną. Nie pojmując, jakim sposobem narośl ta sformować się mogła na czole przyciśniętem deszczułką, zapytał matki, czy deszczułka owa była płaską, na co odebrał odpowiedź, że była w niej dziura, właśnie w miejscu odpowiadającem tej narośli. Łatwo pojąć, że kość czołowa, nie znajdując w tem miejscu żadnego oporu, rozwijała się normalnie, tworząc olbrzymi guz. Ciż sami Conibos napadają na plemiona „Remos" i „Amahuacas" i unoszą im żony i dzieci. Najdzikszem i najwięcej barbarzyńskiem jest plemię „Caschibos" nad rzeką „Pachitea". Są oni ludożercy. Zwyczajem ich religijnym jest zjadać starców, którzy też chętnie poddają się tej operacyi w przekonaniu, iż przyjemniej jest być zjedzonym przez własne dzieci niż przez robactwo. Wreszcie wspomnieć tu muszę o pokoleniach „Muratos" i „Ayules", mieszkających nad brzegami rzek „Morona" i „Pastaza", wpadają-

* Ilustracje nr 6 i 7 w niniejszej publikacji (przyp. autora).

cych do Amazonki, a które to plemiona są w nieustannej z sobą wojnie. Przywiozłem z Peru i mam w swem posiadaniu głowę jakiegoś wojownika z Muratów lub Ayulów, głowę wielkości ośmiu cent, mierzonych od szczytu czoła do końca brody, ze skórą, brwiami i włosami długiemi na 70 centymetrów. Kości nie ma żadnej w tej głowie; wszystkie bowiem, niepojętym jakimś sposobem, wyjęte zostały z jej wnętrza, a skóra z twarzy i czaszki skurczyła się do tego stopnia, że głowa dorosłego mężczyzny zredukowała się do wielkości głowy króliczej. Jakże wyjęto czaszkę? Panuje mianowicie zwyczaj u Muratów czy też u Ayulów, preparowania na sposób powyższy głów nieprzyjaciół, zabitych na polu bitwy, i zatykania ich na palisadach otaczających ich namioty, ku pośmiewisku zwyciężonych. Głowa taka jest rzadkością, nawet w samem Peru; płaci się za nią 500 franków a nawet więcej, gdy rysy twarzy są wybitne.

Co do Indyan podległych dzisiejszym władzom rządowym, to zachowują oni wszystkie zwyczaje dzikich, a różnią się od nich chyba tem tylko, że są ochrzceni, choć o znaczeniu i ważności tego sakramentu nie mają żadnego pojęcia. Wybitną ich wadą jest pijaństwo, spólne zresztą wszystkim dzikim i Indyanom, Jako trunek upajający przyrządzają z korzenia „yuca" napój zwany „masato", którego wyrób, zbyt oryginalny, by miał być pominięty, jest jednak tak wstrętny, iż waham się z jego opisaniem. Ale przystępuję do rzeczy. Korzeń „yuca" gotują najprzód i ugniatają drewnianymi kłocami, poczem mężczyźni i kobiety, zasiadłszy około kupy papki w ten sposób przygotowanej, napychają nią sobie usta i żują ją tak długo, aż nie rozrobią jej śliną na pół wodnistą masę. Następnie wypluwają ją na kupę, poczem gdy już nażuli dobrą porcyą juki, mieszają ją rękami z resztą juki zmielonej. Mieszanina ta, wsypana do garnków przykrytych, zaczyna fermentować. Ślina ludzka, zawierająca materye organiczne, służy za ferment, zamienia skrobię w cukier, a cukier w alkohol. Po czterech dniach yuca sfermentowana jest już dobrą do użycia. Indyanin nosi przy sobie to ciasto alkoholiczne, by w każdej chwili mógł rozpuścić je w odrobinie wody i uraczyć się tym okropnym przysmakiem.

VIII. Ustrój polityczny i ekonomiczny kraju.

Peruwia, wybiwszy się na wolność z pod panowania Hiszpanów przybrała formę rządu demokratyczno-republikańskiego. Władzę dzierżą ciała: prawodawcze, wykonawcze i sądowe, jedno od drugiego zupełnie niezależne.

Według konstytucyi jedyną religią publicznie wyznawaną jest religia rzymsko katolicka. Wyznawanie prywatne innych religij jest dozwolone, byle tylko nie święcono ich publicznie. Konstytucya nie uznaje urzędów, ani

przywilejów rodowych, ani majoratów. Aż do końca roku zeszłego, w którym Pierola*, zrobiwszy w Limie rewolucyę, dyktatorem się ogłosił, istniała wolność prasy, a nie wolno było nikogo aresztować bez wyraźnego rozkazu sędziego. Konstytucya gwarantowała nietykalność własności i mieszkań, wolność zawodu i przemysłu, tajemnicę listów, prawo tworzenia stowarzyszeń i robienia petycyj, czy to osobistych czy zbiorowych.

Władzę prawodawczą dzierży Kongres, złożony z dwu izb: senatu i izby deputowanych. Każdy departament, mający przynajmniej 8 prowincyj, mianuje czterech senatorów i tyluż zastępców, gdy zaś prowincyj jest tylko od 7 do 4, to posyła się do senatu trzech tylko reprezentantów. Co się tycze deputowanych, to wybiera się ich w stosunku jednego na 30 000 mieszkańców, lub jednego na prowincyę, gdy ta nie dosięga tej liczby. Izby te odnawiają trzecią część swych członków co dwa lata.

Władza wykonawcza jest w rękach prezydenta rzeczypospolitej, wybieralnego, równie jak członkowie kongresu, na lat cztery. Prezydent mianuje i zmienia podług swej woli ministrów, mianowicie: ministra spraw wewnętrznych, policyi i robót publicznych, ministra finansów i handlu, ministra sprawiedliwości, dobroczynności i oświaty, ministra wojny i marynarki, i ministra spraw zagranicznych.

Władzę sądową posiadają trybunały, ustanowione po rozmaitych miastach. I tak w Limie, stolicy państwa, zasiada „corte suprema", sąd najwyższy; w stolicach departamentów znajdują się trybunały wyższe, „corte superior" a zaś w głównem mieście każdej prowincyi sąd pierwszej instancyi. Sędziów trybunału najwyższego mianuje prezydent na propozycyę kongresu, członków sądu wyższego proponuje prezydent a mianuje trybunał najwyższy, wreszcie sędziów trybunału pierwszej instancyi mianuje „corte suprema".

Pod względem administracyjnym kraj dzieli się na 20 departamentów, te znowu dzielą się na prowincye, a prowincye na gminy. W departamentach rządzą prefekci w prowincyach podprefekci: jedni i drudzy mianowani przez prezydenta; w gminach zaś wójtowie (gobernadores). Większe miasta mają swe rady miejskie.

Naczelnikiem służby bożej jest arcybiskup limeński, tudzież pięciu biskupów w miastach „Chachapoyas", „Trujillo", „Ayacucho", „Cuzco" i „Arequipa".

Peruwia ma tę właściwość, iż płaci wszystkie prawie swe wydatki dochodami nadzwyczajnemi z guana i saletry. Peruwianie nie płacą żadnych podatków bezpośrednich; owszem starają się oni żyć ile tylko można ze

* Nicolás de Piérola – prezydent Peru w latach 1879-1891 i 1895-1899. Zob. G.T. Cushman, op.cit., s. 141-142 (przyp. autora).

skarbu publicznego, czy to zajmując rentowne urzęda, czy też wyrabiając sobie dożywotnie pensye dla siebie, dla wdów i dla swych sierót. Kiedy przybyłem do Peruwii, było na liście pensyonistów skarbowych około trzy tysiące pułkowników albo wdów po pułkownikach, choć cała armia w czasie pokoju wynosi osiem tysięcy ludzi! Ale bo każda rewolucya mianowała nowych oficerów, a rząd zwycięski nie miał zwyczaju mścić się na reakyonistach, tylko, uznając ich stopień wojskowy, przyrzekał im płacić pensye dożywotnie dla pozyskania ich sympatyj. W ten sposób po kilkunastu rewolucyach utworzyły się istne legiony wyższych oficerów, którzy znowu, gdy nie byli żonaci, zawierali śluby małżeńskie na łożu śmiertelnem, aby zostawić po sobie prawo pobierania „sueldo" wdowiego.

Dochody rządu pochodzą: ze sprzedaży guana i saletry, z dochodów celnych, z opłaty 3% od sprzedaży nieruchomości i od sukcesyj, z podatku od trudnienia się jakim zawodem lub przemysłem, ze stempla we wszystkich kontraktach i aktach urzędowych, a nadewszystko stępla od procesów. I tak np. budżet na peryod dwuletni 1876-78 wykazał 40 857 210 soles[1] dochodu, a 40 580 547 rozchodu; w sumie tej jednak nie figurują 25 200 000 soles, pochodzące ze sprzedaży guana w Europie, a przeznaczone do spłaty pożyczki na produkt ten zaciągniętej.

Guano, które, jak powiedziałem, stanowi główny dochód państwa, jest zbiorem ekskrementów ptastwa morskiego, zaludniającego przed odkryciem Ameryki ciche wybrzeża dawnego cesarstwa Inkasów. Używane jako nawóz już od czasów niepamiętnych przez Indyan, zamieszkujących wnętrze dzisiejszej Peruwii i Boliwii, guano długi czas było nieznane w Europie, bo aż do czasu Humboldta, który, posławszy je do rozbioru chemikom Fourcroy i Vanquelin, dopiero w roku 1804 zwrócił uwagę świata na wielką ilość soli amoniakalnych wniem zawartych, i zapowiedział wielkie jego zdolności użyźniające.

Nie odrazu zgodzono się na jedno pod względem pochodzenia guana. Historycy, a nadewszystko podróżni zwiedzający Peruwię za czasów kolonizacyi, uważali jednomyślnie guano za ekskrement ptasi, ale nie brakowało też uczonych, chcących wytłumaczyć formacyą tej substancyi za pomocą najdziwaczniejszych hypotez i teoryj pogrążających w nocy przetworów geologicznych to najprostsze w świecie zjawisko. Że jest ono zupełnie prostem, mianowicie, że istnienie swe zawdzięcza istnieniu miliardów ptastwa morskiego na spokojnych brzegach oceanu, tego dowodzi najprzód chemia, wykazująca uderzające podobieństwo guana do ekskrementów gołębich, następnie liczne mumie, szkielety i jaja ptaków, znajdywane w pokładach

[1] Jeden „sol" znaczy 5 franków.

guana na rozmaitych głębokościach, a wreszcie sama nazwa, pochodząca od rodzimego keczuańskiego wyrazu „huanu" oznaczającego ekskrement. Peru było krajem uprzywilejowanym do tego rodzaju organicznych formacyj dzięki klimatowi ciepłemu i zupełnemu brakowi deszczów; gdy bowiem guano peruwiańskie zawiera w przecięciu 34% części użyźniających, to guano chilijskie, tracąc z deszczem znaczną część swego amoniaku, zawiera ich tylko 10% a boliwiańskie zaledwie 5%.

Eksportacyę guana na wielką skalę rozpoczęto dopiero w roku 1841. Od lat dwudziestu przynosi ono rocznie około 70 milionów franków, a w ostatnich latach sprzedaż przynosiła do 90 milionów.

Jak szczęśliwie uposażoną jest Peruwia pod względem ekonomicznym, dosyć powiedzieć, że rozwijająca się dziś niezmiernie w Europie i Ameryce fabrykacya nawozów sztucznych nie robi żadnej ujmy handlowi krajowemu, jakby się tego spodziewać można, mając na myśli konkurencyą guana sztucznego i naturalnego. Rzecz ma się jak następuje. Fosforan wapna, znachodzący się obficie na starym kontynencie, nie jest jedynym i niezbędnym składnikiem guana sztucznego; potrzeba jeszcze saletranów, których nie ma w Europie, a które znajdują się w kształcie niezmiernych pokładów w całej niemal prowincyi „Tarapaca" w Peruwii. Wszelkie zatem pomniejszenie wywozu guana, jest szczodrze wynagrodzone powiększeniem pokupu saletry i „vice-versa".

Oprócz guana i saletry, Peruwia posiada jeszcze inne produkta mineralne, nadające się doskonale do wywozu. Na pomorzu znajdują się liczne kopalnie miedzi i petrolu. W Kordylierze metale znachodzą się w takiej obfitości, iż, mówiąc bez przesady, trudno jest wskazać miejsce, wktóremby nie znajdował się jaki kruszec, czyto srebro, miedź, ołów, czy żelazo, albo wreszcie węgiel kamienny. Nakoniec w żyznych okolicach peruwiańskiego raju, na wschodnim stoku Andów, napotyka się częste żyły kwarcu złotodajnego. Jednakże pomimo tej zadziwiającej hojności, z jaką natura rozsypała najrozmaitsze kruszce po całem terytoryum kraju, przemysł górniczy podupadł do tego stopnia, iż te same kopalnie, które od roku 1780 do 1789 przyniosły Hiszpanii 184 miliony franków, produkują dziś zaledwie część tego dziesiątą. Nie zaginęły ani nie zubożały owe 70 kopalń złota, 884 kopalń srebra, owe kopalnie rtęci, miedzi i ołowiu, które były przez lat tyle dojną krową Hiszpanii; owszem istnieją one i mają swych właścicieli, ale, na nieszczęście, nie dadzą się dziś należycie eksploatować bez poprzedniego osuszenia zalanych galeryj. Podczas wojny o niepodległość porzucono wszelkie roboty, a woda nagromadziła się w takiej ilości, że dziś olbrzymich trzebaby kosztów i maszyneryj, aby wydobyć na jaw te skarby, pokryte grubą warstwą wody.

IX. Środki komunikacyjne.

Pomimo znaczenia, jakie mają drogi komunikacyjne w kraju obszernym, posiadającym tyle bogactw mineralnych i roślinnych, rozsianych po całem terytoryum, Hiszpanie nie zwracali na nie żadnej uwagi, tak, że gdy w 1825 Peru wybiło się na wolność, nie było w całym kraju jednej drogi wozowej. Jednakże samorząd republikański, także nie wiele sprzyjał rozwojowi komunikacyj lądowych, czego dowodem, że dopiero w roku 1873 otworzono pierwszą, przez ś. p. *Aleksandra Miecznikowskiego** zbudowaną, drogę wozową z Callao do Limy. W górach było jeszcze gorzej. Jedynym środkiem transportu były muły, osły i lamy; gdy zaś zwierzęta te nie są w stanie unieść więcej nad 150, 100 i 50 kilogramów ciężaru, przeto o przenoszeniu przedmiotów bardzo ciężkich mowy być nie mogło, a transport rzeczy lekkich wypadał niezmiernie drogo.

Ale choć Peru nie posiadało dróg wozowych, to jednak miało już w roku 1848 dwie drogi żelazne, liczące po kilkanaście kilometrów długości, a prowadzące z Lima do portu „Callao" i do kąpiel morskich „Chorillos". Linie te rentowały się znakomicie, zaczęto więc wierzyć w możność zaprowadzenia obszerniejszych komunikacyj kolejowych, i w istocie zabrano się do dzieła z niezwykłą energią. Jak wynika z warunków topograficznych kraju, koleje żelazne w Peru muszą być dwojakiego rodzaju: jedne transandyńskie, mające przekroczyć Andy w celu połączenia żyznych okolic zakordylierskich z oceanem Spokojnym, drugie zaś znaczenia czysto miejscowego, przeznaczone do połączenia portów z celniejszemi miastami rzeczypospolitej. Do pierwszej kategoryi policzyć trzeba linię „Mollendo", „Arequipa", „Puno", „Cuzco" najdłuższą ze wszystkich linij Ameryki południowej, bo mającej 860 kilometrów długości, tudzież wspaniałą przez *Ernesta Malinowskiego* projektowaną i w znacznej części ukończoną linię z „Callao" do „Oroya", miasteczka leżącego w progu cudownych okolic „Chanchamyo"; do drugiej zaś koleje krótkie, ale mogące również służyć kiedyś do przekroczenia Andów, jak kolej z „Arica" do „Tacna" (63 km) albo z „Paita" do „Piura" (100 km). Słowem Peruwia posiada dziś 22 odrębnych dróg żelaznych rządowych albo towarzystw prywatnych; długość ich wynosi razem 2510 kilometrów, tak, że wypada mniej więcej kilometr kolei żelaznej na 1000 mieszkańców. Rezultat to wcale piękny, gdy się rozważy, że we Francyi

* Aleksander Miecznikowski (1836-1873) – polski inżynier, który współpracował z E. Malinowskim podczas budowy kolei transandyjskiej, po czym poświęcił się zbudowaniu drogi z Callao do Limy (pierwszej pokrytej asfaltem w kraju). Był ponadto współpracownikiem K. Jelskiego. Zob. B. Orłowski, *Z badań nad biografią Aleksandra Miecznikowskiego*, „Kwartalnik Historii Nauki i Techniki" 1975, nr 20/3-4, s. 541-551; *Polacos en el Perú*, op.cit., s. 98; R. Tarkowski, op.cit., s. 81-82 (przyp. autora).

np. albo w Austryi wypada na każde 1000 mieszkańców zaledwie trzecia część kilometra.

Linia z „Callao" do „Limy" i „Oroji" bezwarunkowo *pierwsza* na całym świecie pod względem trudności zwalczonych i wysokości przekroczonej, stanowi główną gałęź sieci, mającej połączyć „Callao" z przesławnemi kopalniami srebra w „Cerro de Pasco", „Ayacucho" i t. d., tudzież z punktami żeglownymi rzeki „Pachitea", to jest z całą doliną Amazonki i jej rzek ubocznych. Jest to bez wątpienia i bez żadnego porównania najwyższa kolej na świecie[1], bo wznosząca się począwszy od morza na wysokość, równą szczytami najwyższej góry europejskiej „Mont-Blanc", wszystko to śród przepaści, skał i przeszkód wszelkiego rodzaju, do zwalczenia których potrzeba było wywiercać 35 tuneli, stanowiących razem 5 kilometrów długości, i zbudować dwadzieścia mostów i wiaduktów, z których jeden, zwany „Verrugas", a przedstawiony na str. 337*, jest najwyższy ze wszystkich na świecie, wynosi bowiem 84 metrów wysokości. Długość linii wynosi 219 kilometrów, a najwyższy tunel stanowiący szczyt linii i podział wód do oceanów Spokojnego i Atlantyckiego leży na wysokości 4768 metrów ponad poziomem morza. Ale też doprowadzenie do skutku tego olbrzymiego dzieła kosztuje 135 milionów franków, a rozgałęzienie linii i doprowadzenie jej do owych miejscowości, które płodami swemi, mają kiedyś zapłacić koszta budowy, pochłonie jeszcze nie małe kapitały. Jednakże koszta te są niczem wobec niezmiernego znaczenia, jakie ma kolej orojska tak pod względem handlowym, przemysłowym i rolniczym jak i cywilizacyjnym. Ona łączy z sobą dwa oceany za pośrednictwem Amazonki, otwiera wygodne bramy do bogatej „montani" i oświetla promieniem cywilizacyi dzikie jazy i knieje. Chwała i cześć za dzieło to olbrzymie należy się na pierwszem miejscu rodakowi naszemu *Ernestowi Malinowskiemu*, który pierwszy podał myśl tej budowy, a później jako naczelny inżenier arcytrudne roboty wykonał.

O komunikacyach wodnych mało mam do powiedzenia, kanałów bowiem żeglownych niema całkiem w Peruwii, a rzeki wpadające do oceanu Spokojnego są potokami górskiemi, zupełnie niezdatnemi do żeglugi. Po drugiej stronie Andów parowce brazylijskie dochodzą Amazonką aż do „Loreto", a parowce peruwiańskie do „Yurimaguas" (5°30') na rzece „Huallaga", tudzież do ujścia rzeki „Morona" do „Maranonu" punktu, od którego począwszy, zaczynają się wodospady. Za to porty morskie Peruwii są dobrze

[1] Najwyższa po kolei orojskiej jest linia „Pacifie" przerzynająca w poprzek Stany Zjednoczone Ameryki północnej; dosięga ona zaś zaledwie 1800 m. wzniesienia. Kolej peruwiańska góruje więc niezmiernie nad innemi kolejami świata całego.

* Ilustracja nr 8 w niniejszej publikacji (przyp. autora).

obsłużone statkami kompanii angielskiej „Pacific-Steam Navigation Company" i kompanii hamburskiej „Kosmos".

Pod względem komunikacyj telegraficznych Peruwia ma jeszcze wiele do zrobienia; dziś bowiem posiada oprócz kolejowego tylko 1280 kilometrów drutu lądowego. Drut podmorski bieżący do „Callao" wzdłuż brzegów ku południowi, łączy Peruwię z resztą Ameryki i świata.

X Główne miasto Peruwii.

Stolicą kraju jest Lima. założona przez Franciszka Pizarrę w roku 1535. Rozciąga się po obu brzegach górskiej rzeki „Rimac", i zajmuje powierzchnię 11 miljonów metrów kwadratowych. Miasto całe zbudowane jest nadzwyczaj regularnie w szachownicę: ulice, których jest 346, mają po większej części 10 metrów szerokości, a 34 placów publicznych, jeden największy ma 135 metrów w kwadrat (ob. str. 360)*. Według ostatniego spisu ludności Lima ma 160 tysięcy mieszkańców.

Ulice Limy są znakomicie kanalizowane i doskonale gazem oświetlone. Zdroje publiczne i fontanny, dostarczają biednej klasie ludności dobrej wody do picia; po domach zaś rury rozprowadzają wodę na wszystkie piętra po cenie stosunkowo tak nizkiej, iż niema domu, w którymby każdy lokator nie miał osobnej łazienki, zlewu „o tutti quanti". O wieleż to pod tym względem Lima stoi wyżej od wielu naszych miast polskich, a szczególniej Warszawy.

Środek miasta stanowi „Plaza Mayor", rynek pięknie brukowany z ogrodem i spiżowym wodotryskiem w pośrodku, a ozdobiony po stronie wschodniej katedrą w stylu odrodzenia, w której spoczywają zwłoki Franciszka Pizarro, (ob. str. 361)**. Pałac rządowy „Palacio de Gobierno" zajmuje północą stronę placu. Ani zewnętrzne jego wejrzenie, ani wewnętrzne urządzenie nie odpowiadają wcale tej nazwie, jest to bowiem bezładny labirynt salonów, korytarzy i dziedzińców najrozmaitszej konstrukcyi i kształtu; mieści on jednak w sobie mieszkanie prezydenta, wszystkie pięć ministerstw, kasę rządową i dyrekcyę policyi. Dwie pozostałe strony rynku tworzą cieniste portale, pod którymi lśnią się pyszne wystawy sklepów: francuskich, niemieckich i angielskich. Z ośmiu ulic wychodzących z „Plaza Mayor", sześć jest nadzwyczaj handlowych i ruchliwych, szczególniej zaś ulica „Mercaderes", której magazyny zdają się być świeżo z Paryża przeniesione. Ale Paryż nie ma takich kupujących, takiego nawału pięknych czarnych oczów, kru-

* Ilustracja nr 9 w niniejszej publikacji (przyp. autora).

** Ilustracja nr 10 (przyp. autora).

czych włosów i śniadych twarzyczek! Od południa do godziny trzeciej zwykły limenki biegać po sprawunkach, ulica Mercaderes i portale są wtedy niezwykle ożywione, a Lima nabiera cechy prawdziwie wielkiego miasta.

Ulice Limy przedstawiają widok wcale malowniczy. Domy są nizkie, zwykle jednopiętrowe , o dachach zupełnie płaskich; duże oszklone balkony wysterczają z poprzed fasad, przerywając jednostajną perspektywę ulicy i rzucając mocne plamy cienia na szklące się od słońca chodniki. Materyałem budowlanym jest „adobe", cegła surowa, suszona na słońcu, ściany zaś pierwszego piętra są zrobione z trzciny wypełnianej na sposób ścian pruskich mieszanin glinki i sieczki. Domy limeńskie wyglądają więc bardzo lekko, a sztukaterye gipsowe przylepione do trzcinowego szkieletu, ubierają je z kokieteryą włoskiej ornamentyki. Wnętrza domów przedstawiają się nadzwyczaj dobrze od strony ulicy, sień bowiem prowadzi zawsze do marmurem wysłanego dziedzińca, z którego wchodzi się wprost do salonu. Starannie utrzymane kwiaty, posągi a nawet i małe wodotryski, zdobią zwykle te schludne przedsionki mieszkań peruwiańskich.

Na ulicach ruch spory. Mnóstwo jezdnych przesuwa się wolnym kłusem, tu i owdzie luźny koń osiodłany stoi z głową spuszczoną przed bramą domu, czekając na swego pana. Z opieszaością mieszkańców podzwrotnikowego nieba, nikomu się nie spieszy. Tu „sportsman" limeński wykręca się z pod dyszla tramwaju, udając flegmę angielską, tam poważny lekarz śmiga rzemieniem swego wiernego bieguna, jakby mu pilno było pędzić do swych licznych chorych, tam znowu wychudły osieł ugina się pod ciężarem chińczyka i kosza owoców. W Limie wszyscy jeżdżą konno: mleczarka, piekarz, handlarz ryb, rzeźnik, owocarka, rozwożą towary swe konno, poborcy podatkowi, agenci handlowi i przemysłowi, wszystko to pełni służbę konno, ale bo też konie peruwiańskie są tak do jazdy wygodne i tak łagodne, jakby były naumyślnie do tej posługi stworzone.

Kościołów jest pięćdziesiąt. Najgodniejsze uwagi są: katedra, kościół św. Piotra, św. Franciszka, św. Augustyna, la Merced, i św. Dominika. W budowie swej i wewnętrznem urządzeniu przypominają kościoły hiszpańskie o drewnianych madonnach ubranych w krynoliny i koronki. Na rycinie był przedstawiany piękny kościół św. Franciszka.

Limeński Uniwersytet, najdawniejszy w Ameryce, bo założony w r. 1561, składa się z sześciu wydziałów, mianowicie z teologicznego i prawniczego, medycznego, filologicznego, nauk ścisłych i w końcu z wydziału nauk politycznych i administracyjnych. Dawniej instytucya ta wydawała mnóstwo doktorów, a bardzo mało uczonych; ale od roku 1876, w którym zreorganizowano system edukacyjny podług wzorowych modeli, liczba doktoryzowanych corok mędrców zmniejszyła się niezmiernie ku wielkiemu pożytkowi kraju. Najwięcej rozwinął się wydział nauk matematyczno-przy-

rodniczych pod światłem i energicznem kierownictwem dziekana swego, *Władysława Folkierskiego*, znanego w Polsce autora Rachunku różniczkowego i całkowego.

Polacy odgrywają niezaprzeczenie ważną rolę w rozwoju oświaty w Peruwii. Najważniejsza obok Uniwersytetu instytucya naukowa w Limie mianowicie szkoła „Inżynierów cywilnych i górniczych", zawdzięcza istnienie swe wyłącznie tylko zabiegliwości i wytrwałości dyrektora swego, a naszego rodaka *Edwarda Habicha*, który nie zrażając się bynajmniej obojętnością władz i macoszem ich traktowaniem, mysl swoją przeprowadził i w krótkim czasie postawił zakład na stopie doskonałej szkoły inżenierskiej. W gronie profesorów tej szkoły najwybitniejsze stanowisko zajmuje *Ksawery Wakulski*, a imię autora tego artykułu jest również zapisane w liście byłych profesorów.

Lima ma swą szkołę wojskową, tudzież szkołę marynarki w sąsiednim porcie „Callao". Jest jedno tylko gimnazyum rządowe, a liczba „colegios" prywatnych jest nieograniczona. Wspomnę tu nawiasem, że w całem Peru jest 68 szkół średnich a 790 elementarnych, i że do szkół tych uczęszcza 46 tysięcy uczniów płci obojga, co zestawione z trzechmilionową ludnością kraju wykazuje, że na stu mieszkańców chodzi $1^1/_2$ dziecka do szkoły. Ogród botaniczny jest zupełnie zaniedbany, ogród zaś zoologiczny, pośród którego wznosi się piękny budynek do wystaw przeznaczony, jest porządnie utrzymywany; ale oprócz ślicznych lwów, tygrysów i trochy ptactwa nie ma tam wiele ciekawych ekzemplarzy.

Ruch literacki objawia się prawie wyłącznie tylko publikacyą dzienników politycznych, których sześć do siedmiu wychodzi dziennie w Limie. „Gaceta médica" i kilka innych pism treści mniej więcej ściśle naukowej utrzymuje się nie bez trudności. Biblioteka narodowa liczy 40,000 tomów. Muzeum narodowe niegodne jest wzmianki, a między prywatnemi muzeami wyszczególniają się zbiory starożytności peruwiańskich „dra Macedo", których fotografie oglądać można w Akademii Umiejętności w Krakowie. Galeryj obrazów nie ma żadnych w Limie, a rzeźbiarstwo jest reprezentowane tylko przez statuę konną Boliwara, odlaną w Monachium przez Millera, przez posąg Krzysztofa Kolumba z marmuru, dłuta Salvatora Revelli, i wreszcie przez piękną kolumnę granitową ze śpiżowym posągiem przedstawiającym „zwycięstwo odniesione nad Hiszpanami 2 maja 1866". Jużto w ogóle sztuki piękne nie kwitną na gruncie limeńskim, nawet sztuka dramatyczna nie przyjęła się dotąd. Lima posiada jednak trzy teatry, z tych jeden, zwany „Odeon", daje wyłącznie przedstawienia chińskie, trwające noc całą; drugi „Politeama" daje najczęściej przedstawienia cyrkowe, wreszcie trzeci „Teatro Principal" służy za miejsce gościnnych występów kompanij dramatycznych, oper i operetek. Ten ostatni jest bardzo dobrze urządzony i może pomieścić do 2,000 widzów.

Ale jeżeli Lima nie zdobyła się na rodzinny dramat świata cywilizowanego, to za to pielęgnuje z prawdziwem zamiłowaniem grę życia ludzkiego w cyrku, przeznaczonym do walki byków. Czytelnikom „Wędrowca" znane są już opisy tych aktów krwawych; dodam więc tylko, że publiczność limeńska, znudzona już jednostajnością tych przedstawień, napawała się w ostatnich czasach walkami lwów i tygrysów z bykami, żubrów z buldogami i t. p. Cyrk „Acho" mogący pomieścić 10 tysięcy widzów, bywał wtedy przepełniony, a brocząca się krew i ryki zwyciężonych zwierząt wywoływały huczne oklaski. Niemniej ulubione są walki kogutów. Cztery mosty łączą lewy z prawym brzegiem Rimac'u, a sześć linij kolei żelaznych wskazuje limeńczykom drogę do gór i do kąpiel morskich, mianowicie: jedna transandyńska wiedzie do samego szczytu Kordyliery, dwie prowadzą do Callao, jedna do „Ancon" i do „Chancay", jedna do „Magdalena" a ostatnia do „Barranco, Miraflores i Chorillos". Mieszkańcy Limy lubią spędzać nad morzem najgorętsze miesiące roku t. j. grudzień, styczeń i luty; koleje te więc rentują się znakomicie, równie jak malownicze, a czasem bardzo bogate wille okolic limeńskich.

W ogóle Lima jest pięknem miastem, ludnem i ruchliwem. Żywioł cudzoziemski, silnie w handlu reprezentowany, nadaje stolicy pozór miasta handlowego, a maniery hiszpańskie mieszkańców, traktujących wszystko z pewną, „nouchalance" dumnego, „caballero", łagodzą zbyt jaskrawą żywotność dzieci Merkurego. Wynika z tej mieszaniny barwa przyjemna, sympatyczna, nie rażąca zimnem tchnieniem amerykańskiego patryotyzmu, ani zbytkiem fanfaronady.

Drugiem co do ludności po Limie miastem jest „Cuzco", dawna stolica Inkasów, założona w r. 1021 przez cesarza „Manco-Capac". Zawiera ona mnóstwo archeologicznych pamiątek ze wspomnień owej minionej wielkości. Liczy dziś 21 kościołów, z których jeden św. Dominika zajmuje miejsce dawnej świątyni słońca, a drugi św. Katarzyny wznosi się na miejscu przeznaczonem dawniej dla dziewic, które słońce poślubiły. Uniwersytet jest założony w r. 1692, jednym z pięciu peruwiańskich „Univeversidades minores" mających tylko niektóre wydziały, a niemających prawa nadawania wszystkich stopni akademickich. Gimnazyum kuzkeńskie mieści się w dawnym pałacu cesarza „Huayna-Capac", z doskonale zachowaną facyatą. Po Cuzco następuje „Arequipa", zbudowana u stóp wulkanu „Misti", a licząca dziś 40 tysięcy ludności; dalej „Trujillo, Cajamarca, Cerro de Pasco, Ayacucho, Tacna, Piura", i mnóstwo innych miast pomniejszych. Dołączony rysunek (str. 333)* przedstawia ulicę jednego z tych miast drugorzędnych, mianowicie ulicę miasta Tacny.

* Ilustracje nr 11 w niniejszej publikacji (przyp. autora).

Z portów morskich najważniejszym jest Callao, liczący 26 tysięcy mieszkańców, a połączony z Limą dwiema drogami żelaznemi i jedną wozową. Zatokę odwiedza rocznie 1200 okrętów, a urząd celny przynosi półmiljona franków miesięcznie. Potężne wały, groble i machiny, ustawione w porcie kosztem 50 milionów franków, ułatwiają ładowanie towarów wprost z wagonów na okręty na wzór europejski. Inne porty peruwiańskie, jak „Arica, Islay, Ilo, Iquique, Pisco, Pacasmayo, Paita" są to poprostu zatoki, niektóre nawet wcale burzliwe i płytkie, w których okręty stoją na kotwicy daleko od brzegu. Wyładowywanie towarów i podróżnych odbywa się za pomocą łodzi i galarów, dobijających do żelaznych w morze wchodzących pomostów, a których długość wynosi czasem kilkaset metrów. Dziś jest dla handlu otwartych portów głównych 9, mniejszych 10 i 31 rybackich. Wybrzeże peruwiańskie jest jeszcze bardzo źle oświetlone; z projektowanych bowiem trzydziestu ośmiu latarń morskich, pali się dopiero kilka świateł.

Pisałem w Krakowie, d. 20 grudnia 1880 r.
Władysław Kluger

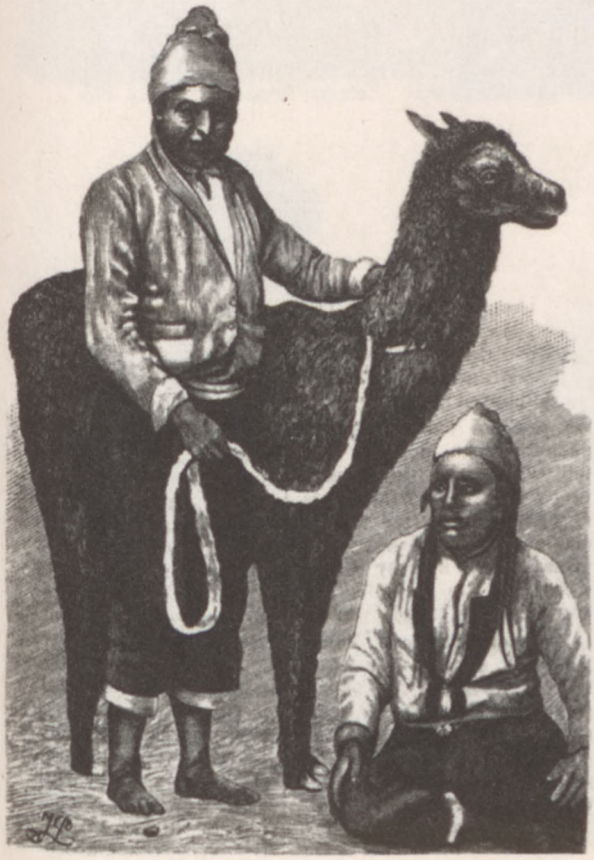

Ilustracja nr 1.
Pasterze lam w Peruwii
Źródło: W. Kluger, *Dzisiejsza...*, op.cit., nr 252, s. 257.

Ilustracja nr 2.
Peruwianka w mancie
Źródło: Tamże, nr 253, s. 273.

Ilustracja nr 3.
Góral peruwiański
Źródło: Tamże, nr 254, s. 296.

Ilustracja nr 4.
Góral peruwiański
Źródło: Tamże, nr 254, s. 297.

Ilustracja nr 5.
Mieszkanka peruwiańskiej sierry (góralka)
Źródło: Tamże, nr 254, s. 289.

Ilustracja nr 6.
Indyanin z nad brzegów Ucayali (Peruwia)
Źródło: Tamże, nr 255, s. 305.

Ilustracja nr 7.
Indyanin z nad brzegów Ucayali
Źródło: Tamże, nr 255, s. 313.

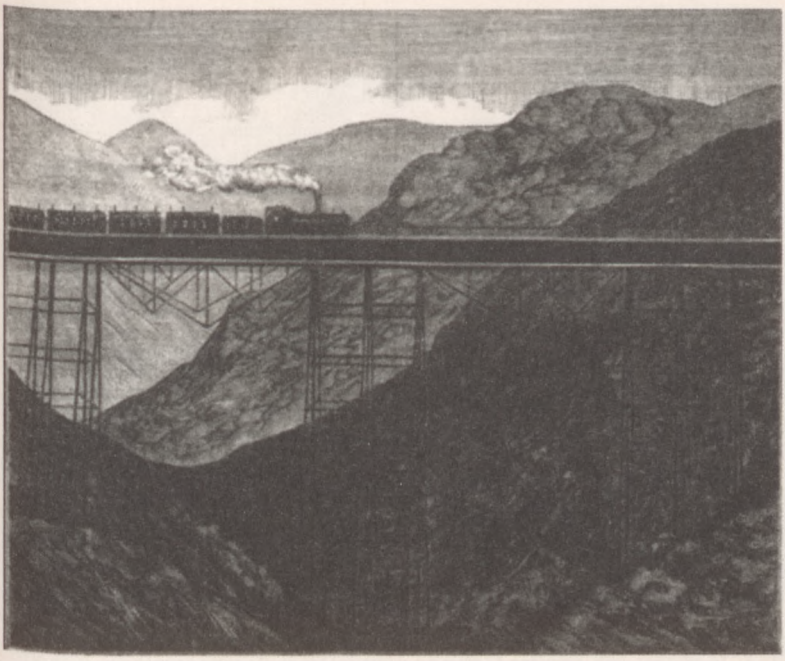

Ilustracja nr 8. Kolej żelazna w Andach peruwiańskich
Źródło: Tamże, nr 257, s. 337.

Ilustracja nr 9. Główny plac „Plaza Mayor" w Limie
Źródło: Tamże, nr 258, s. 360.

Ilustracja nr 10. Ogólny widok Limy
Źródło: Tamże, nr 258, s. 361.

Ilustracja nr 11. Ulica peruwiańskiego miasta Takny
Źródło: Tamże, nr 261, s. 409.

Polsko-Amerykański Syndykat Kolonizacyjny

GOSPODARCZE I KOLONIZACYJNE STOSUNKI PERU*

Polsko-Amerykański Syndykat Kolonizacyjny była to spółka akcyjna, która została zawiązana przez grupę finansistów i zamożnych ziemian w latach 20. XX stulecia. Powstanie Syndykatu stanowiło odpowiedź na wysuwane przez rząd peruwiański propozycje skolonizowania rozległych obszarów Montanii osadnikami z Europy. Jednym z założycieli spółki był Kazimierz Warchałowski, który po krótkiej współpracy z Syndykatem zrezygnował z członkowstwa i postanowił podjąć działania na własną rękę (co zostało opisane w następnym rozdziale). Spółce udało się uzyskać koncesję osadniczą od peruwiańskiego rządu 23 kwietnia 1928 roku. Pozwolenie na werbunek otrzymano z kolei w roku 1930. Wtedy to dyrektorem Syndykatu był Ludwik Roehr. Poczyniono pewne przygotowania do zasiedlenia terenów koncesyjnych, jednakże z uwagi na liczne problemy organizacyjne i finansowe, przewidywana akcja kolonizacyjna nie doszła do skutku. Koncesja spółki wygasła w roku 1933**.

Tekst Polsko-Amerykańskiego Syndykatu warto porównać z artykułem doktora Adama Jarzyny (*Peru. Widoki dla osadnictwa rolnego na terenach polskich koncesyj*), który został zamieszczony w prezentowanym zbiorze. Należy zwłaszcza zwrócić uwagę na różnice, jakie występują w przedstawianych przez autorów opiniach na temat warunków panujących w Montanii.

Przywołane poniżej treści są w przeważającej mierze odzwierciedleniem tekstu wydanego w roku 1928 we Lwowie przez Zakład Narodowy im. Ossolińskich, zatytułowanego: *„Peru". Referaty wygłoszone przez P. P.*

---

* *Gospodarcze i kolonizacyjne stosunki Peru ze specjalnem uwzględnieniem terenów koncesyjnych Polsko-Amerykańskiego Syndykatu Kolonizacyjnego we Lwowie*, Drukarnia Księgarni Polskiej B. Połoniecki, Lwów 1930.

** M.B. Lepecki, *Opis polskich terenów kolonizacyjnych w Peru*, Naukowy Instytut Emigracyjny, Warszawa 1930, s. 7-11; J. Mazurek, *Kraj a emigracja: ruch ludowy wobec wychodźstwa chłopskiego do krajów Ameryki Łacińskiej (do 1939 roku)*, Instytut Studiów Iberyjskich i Iberoamerykańskich Uniwersytetu Warszawskiego/Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego, Warszawa 2006, s. 111-114.

Dr. Ludwika Roehra i Edwarda Zawidowskiego na odczycie urządzonym przez Radę Stowarzyszenia Techników w Warszawie, dnia 30 czerwca 1928 r.* Zawarte w owej publikacji rozważania Roehra nosiły tytuł *Gospodarcze i kolonizacyjne warunki w Peru*, z kolei opisy dokonane przez Zawidowskiego – *Rolnictwo w Peru*. W broszurze Syndykatu powtórzono obszerne fragmenty opublikowanych wcześniej referatów, w niektórych częściach dokonując ich kompilacji, w innych natomiast uzupełniając o aktualne ówcześnie informacje.

* * *

* Stowarzyszenie Techników w Warszawie założone zostało w roku 1898. Od roku 1919 funkcjonowało pod nazwą Stowarzyszenie Techników Polskich. Działalność organizacji została przerwana w roku 1939, na skutek wybuchu II wojny światowej. Zarówno statut, jak i nazwy oraz kompetencje poszczególnych organów Stowarzyszenia ulegały na przestrzeni lat pewnym zmianom. Niemniej jednak podstawowe założenia organizacji, pomimo przemian sytuacji politycznej, społecznej i gospodarczej, nie zostały diametralnie przekształcone. Stowarzyszenie skupiało inżynierów oraz techników, a jego głównym celem było wspieranie rozwoju i szerzenie wiedzy technicznej, a także popieranie idei koleżeńskości oraz zbliżenia zawodowego i towarzyskiego pomiędzy członkami związku. Działalność organizacji przybierała różne formy – od pogadanek czy odczytów, przez działalność wydawniczą i powołanie do życia biblioteki, aż po aktywność społeczną oraz rozrywkową. Organem Stowarzyszenia (najpierw nieformalnym, a w ostatnich latach międzywojnia – formalnym) był tygodnik „Przegląd Techniczny".

Tematykę poruszaną podczas odczytów cechowała duża różnorodność. Wystąpienia odnosiły się do niemal wszystkich dziedzin technicznych. Omawiano zarówno najnowsze zdobycze techniki, jak i dzieje myśli technicznej. Wiele miejsca poświęcono również problematyce politycznej oraz społeczno-gospodarczej, relacjom zachodzącym pomiędzy osiągnięciami nauki a rozwojem techniki, zagadnieniom urbanistyczno-architektonicznym czy tematom dotyczącym infrastruktury technicznej miast. Wśród dyskusji inicjowanych przez członków Stowarzyszenia znalazła także swe miejsce kwestia potencjału kolonizacyjnego Polski. Zob. J. Piłatowicz, *Stowarzyszenie Techników Polskich w Warszawie 1898-1939*, Cz. I: *1898--1918*, Federacja Stowarzyszeń Naukowo-Technicznych, Warszawa 1993; Tamże, Cz. II: *Dwudziestolecie międzywojenne*, Federacja Stowarzyszeń Naukowo-Technicznych, Warszawa 1993; *Stowarzyszenie Techników w Warszawie. Sprawozdanie z działalności Stowarzyszenia Techników za rok 1913*, „Przegląd Techniczny" 1914, nr 21, s. 273-283.

Źródła:

Prof. Dr. BÜRGER OTTO – Peru,
CARREY EMILE – Le Pérou,
LEPECKI M. B. – Opis polskich terenów kolonizacyjnych w Peru,– Wschodnie Peru czyli Montanja,
MONNIER MARCEL – Von den Anden nach Para,
ORTON JAMES – Die Anden und der Amazonen-Strom,
PAŃKIEWICZ MICHAŁ – Ustrój społeczny Montanji peruwiańskiej,
Dr. SCHICHTEL KARL – Der Amazonen-Strom,
SCHÜTZ von HOLZHAUSEN Freiherr von Damian – Der Amazonas,
SZTOLCMAN JAN – Peru,
UP de GR AFF F. W. – Bei den Kopfjägern des Amazonas,
WALLE PAUL – Le Pérou économique (ouvrage couronné par L'Academie française), Sprawozdania inż. TADEUSZA SUCHORSKIEGO przedkładane Polsko-Amerykańskiemu Syndykatowi Kolonizacyjnemu.

Gospodarcze i kolonizacyjne stosunki Peru ze specjalnem uwzględnieniem terenów koncesyjnych Polsko--Amerykańskiego Syndykatu Kolonizacyjnego we Lwowie

Peru leży po obu stronach gór Kordyllierów między 1° 25' a 19° 12' południowej szerokości geograficznej, zatem odległość północnej granicy Kraju od południowej wynosi w przybliżeniu tyle ile Stokholmu od Neapolu.

Według urzędowej statystyki z roku 1896 wynosi powierzchnia Peru 1,833.916 km. kwadratowych, jest zatem okrągło cztery i pół razy tak wielka jak Polski, liczba zaś ludności dosięga 6,000.000.

Zachodnia część Kraju t. zw. Costa, granicząca w całej swej długości z Oceanem Spokojnym, stanowi wązki pas nadmorski. W odległości około 100 km od wybrzeża wznoszą się już pierwsze stoki Kordyllierów, które dochodzą do wysokości 6.000 m n. p. m.

Poza pierwszym łańcuchem Kordyllierów leży drugi łańcuch tychże, który przerżnięty jest głębokiemi dolinami i płaskowyżami. Teren ten zwie się Sierra, a wysokość jego n. p. m. wynosi 1.000–3.000 m.

Reszta Kraju porosła przeważnie puszczą dziewiczą spada w łagodnych stokach ku wschodowi, t. j. ku granicy brazylijskiej, w dolinę dopływów Amazonki. Ziemie te zwane są Montanją.

W tym tak rozległym, do różnych wysokości n. p. m. wznoszącym się Kraju są też stosunki klimatyczne nader różne. Na wysokości 3.000 m n. p. m. znajdują się tylko ubogie pastwiska, na których wypasa się tamtejszy wielbłąd-lama, podczas gdy w dolinie Amazonki, klimat jest wybitnie podzwrotnikowy z roślinnością zupełnie tropikalną, jak kauczuk, bawełna, kawa, kakao, trzcina cukrowa, banany, palmowce etc.

Trudno jest znaleźć wytłumaczenie, dlaczego utarło się w opinji publicznej przekonanie, że stosunki klimatyczne w Peru są dla Europejczyków nieodpowiednie, a nawet niebezpieczne. Opinja taka polega tylko na niedokładnej znajomości stosunków geograficznych i klimatycznych Kraju, tudzież na pobieżnem traktowaniu odnośnego problemu. Jak się rzecz ma w rzeczywistości, wskazuje okoliczność, że jeszcze w roku 1854 znany podróżnik baron Schütz von Holzhausen, z pochodzenia Tyrolczyk, odbył z gronem ponad 100 osób pochodzących przeważnie z Europy i północnej Ameryki podróż doliną Amazonki przez Kordylliery i na podstawie kilkuletnich doświadczeń w Peru zdecydował się założyć właśnie we Wschodniej Montanji pierwszą kolonję w Pozuzo, która leży pod 10° połudn. szerokości geograficznej.

W kolonji tej osiedlili się przedewszystkiem Tyrolczycy, z których część założyła z czasem nową kolonję zwaną Oxapampa. Obie te kolonje prosperują pod względem zdrowotnym i rolniczym znakomicie, a rozwój ich gospodarczy zahamowany został tylko przez powstanie wielkich trudności komunikacyjnych, gdyż w czasie wojny między Peru a Chile wysadzono na głównej drodze łączącej te kolonje z resztą Kraju most, którego następnie już nie odbudowano. Dopiero obecnie rozpoczęte budowy linji kolejowych, oraz dróg automobilowych połączą te kolon je ze stolicą Państwa Limą.

Dla ścisłości przytacza się tu z dzieła Schütz-Holzhausena pod tytułem „Amazonka" (str. 174 i 175) ustęp dotyczący doliny dopływów Amazonki, t. j. Wschodniej Montanji – Schütz-Holzhausen mówi tam: „Jaki niezmierny wprost rozwój mogłyby osiągnąć kraje dorzecza Amazonki, gdyby znajdowały się we władaniu innego narodu aniżeli rasy kreolskiej, która działa hamująco na cały ich rozwój! Naturalne bogactwa tych okolic są większe jak bogactwa Indji, lub któregokolwiek kraju na świecie. W górach u jej źródeł t. j. jej dopływów znajduje się srebro, rtęć, miedź, cyna, żelazo, węgiel i sól, w piasku kilku rzek pobocznych złoto i djamenty.

W lasach dziewiczych wartościowe zioła lecznicze i korzenie, pożyteczne żywice i balsamy, wosk i kauczuk, wspaniałe barwiki i najpiękniejsze, tudzież najtwardsze gatunki drzewa na meble i budulec.

Na wyżynach otaczających dolinę Amazonki udaje się pszenica i wszystkie europejskie płody rolne; wielkie stada owiec i alpak pasą się na połoninach.

W górnym biegu dopływów Amazonki rozciągają się szerokie prerje, które mogłyby wykarmić miljony sztuk bydła, zaś w niżej położonych dolinach udają się wszystkie płody tropikalne, a więc kawa, kakao, trzcina cukrowa, ryż, bawełna, tytoń, jedwab, indigo, i najsmaczniejsze owoce.

Lasy przepełnione są zwierzyną, a rzeki rybami i żółwiami, lecz prawie wszystko to marnieje bezużytecznie. Wszystkie klimaty w tych obszarach spotykamy. Na szczytach, w tak zwanej Puna, w Peru i Boliwji, panuje klimat Syberji, niżej klimat Włoch, a na nizinach panuje wieczne lato, ze żniwami w ciągu całego roku. Tylko tereny nad najniższym biegiem głównego koryta rzeki, tak daleko jak sięga przypływ i jego fale (350 godzin), a także tutaj tylko przejściowo, są dla Europejczyków, którzy za wiele wystawiają się na działanie słońca, niezdrowe, zresztą nie spotyka się wzdłuż całego biegu Amazonki chorób.

Nasza ekspedycja naprzykład, która składała się prawie tylko z Europejczyków i północnych Amerykanów w ilości ponad 100 osób, nie miała w czasie całej podróży żadnych wypadków choroby aż do granicy brazylijskiej.

W średnim biegu niektórych dopływów brazylijskich Rio Negro, Madeira, Trombetas i Rio Napo, panuje czasami powrotna febra, podczas gdy cały bieg rzeki Huallaga, Ucayali i Tapajoz jest zupełnie zdrowy.

Ciepłota wynosi nad Amazonką w cieniu między 19 a 35° C. Nigdy nie zaobserwowałem takiego gorąca, jakie panuje w Nowym Yorku i w Nowym Orleanie w lipcu, tylko na mieliznach rzeki w słońcu jest czasami temperatura nieznośna.

Tylko niektóre części tych tak bogatych okolic są słabo zaludnione, zresztą są puste.

Puszcza ta, którąby mogła wyżywić miljony pracowitych ludzi, jest zamieszkałą przez rzadko rozrzucone koczownicze szczepy indjan i dzikie zwierzęta".

Z wywodami Schütz-Holzhausena co do Wschodniej Montanji zgadzają się zapatrywania całego szeregu podróżników, z których kilka tutaj przytacza się.

Badacz Południowej Ameryki Paul Walle w dziele swem „Ekonomiczne stosunki Peru" („Le Pérou Economique"), odznaczonem (couronné) przez Akademję francuską, wyraża się w następujący sposób (str. 240) o Wschodniej Montanji: „Okolice leśne zwane „Montana" są i będą jeszcze długo rezerwoarem niewyczerpanych bogactw Peru – Montana jest rzeczywiście rajem pod względem roślinności i nie ma w tem przesady, jeśli się powie, że w żadnym

innym Kraju świata nie roztoczyła natura takiego przepychu i nie zgromadziła więcej różnorodnych, użytecznych i wysoce cennych produktów, które odznaczają się nietylko pięknością, ale także nadzwyczaj cennemi właściwościami. Ci, którzy znają tylko nasze europejskie okolice leśne, nie mogą sobie nawet wyrobić pojęcia o bogactwie wegetacji peruwiańskiego dorzecza Amazonki".

Marceli Monnier mówi w swem dziele p. t. „Od Andów do Para" (str. 355): „Sławni badacze przyrody, jak Humbold, La Condamine, Castelnau i inni podróżnicy przepowiadają tej okolicy nadzwyczajną przyszłość. Jest to może najżyźniejszy Kraj na ziemi, a w każdym razie ten, w którym podzwrotnikowa roślinność przejawia się w największym przepychu. Wiele widziałem, ale nic w Indjach Wschodnich, ani na wyspie Ceylon, ani na Półwyspie Malajskim nie przewyższa pięknością tego klejnotu peruwiańskiego dorzecza Amazonki".

W dziele „Amazonka" Dr. Karola Schichtla, czytamy (str. 37): „Gdy po obu brzegach dolnej Amazonki leżą szerokie otwarte przestrzenie, to u górnego biegu rzeki coraz silniej występuje bujność wegetacji, jako też bogactwo i przepych roślinności. – Owoce dzikie, czy też uprawiane ręką ludzką, które u dolnego i górnego biegu Amazonki występują, są im dalej na zachód tem większe, a niektóre drzewa, które koło Pará i Santarem tylko raz w roku kwitną, są koło Egas przez cały rok pokryte kwiatem i owocem. Bujność wegetacji jest największa u stóp Andów, a roślinność jest tu tak potężna, jak to miało miejsce chyba w epoce węglowej".

James Orton mówi w swem dziele „Andy i Amazonka" (str. 332): „W tej dolinie, w której każda roślina jest wiecznie zielona bez względu na porę roku, gdzie jest najwspanialszy, najzdrowszy klimat świata z cudowną wręcz temperaturą, który można porównać tylko z klimatem Quito – w której nie są znane zmiany pór roku, leży, można to śmiało stwierdzić, raj dla tych, którzy małym nakładem pracy chcą zapewnić sobie egzystencję.

Pozyskanie środków żywności potrzebnych dla utrzymania wymaga tu tak małego wysiłku, jak chyba w ogrodzie Edenu. Niema może na ziemi kraju, gdzieby rolnictwo mogło dawać takie dochody – zdawaćby się mogło, że natura stworzyła ten kraj jako ojczyznę dla wielkiego, dzielnego ludu i w tym celu zgromadziła tu zapasy wręcz niedających się opisać bogactw: Owoce o najlepszym smaku, drzewa szlachetne największej wartości, rośliny farbiarskie o najbardziej błyskotliwych barwach i rośliny lekarskie o najrzadszych właściwościach".

Emil Carrey w dziele swem „Peru" daje wręcz entuzjastyczny opis Wschodniej Montanji, którą nazywa „najlepszym krajem świata" (str. 498), sławiąc jej niezrównany klimat, niesłychaną żyzność i niezmierną łatwość życia, a na zakończenie swych wywodów mówi (str. 503): „Więc wierzcie mi wy, których dusza krwawi się jakąś raną nie dającą się tu zagoić, wy, którzy urodziliście się bez dachu nad głową lub wasz własny postradaliście,

a którzy znużeni jesteście trawiącą a bezskuteczną walką na naszej półkuli w pogoni za nieuchwytnem szczęściem, wy wszyscy wreszcie, którzy z tej czy innej przyczyny tu ledwie wegetujecie, a będąc jeszcze młodymi możecie jechać – jedźcie, emigrujcie tam! Ubi felicitas, ibi patria – Ojczyzna jest tam, gdzie jest szczęście! Idźcie do Nowego świata, do Peru, do podnóży Kordyllierów! Tam niebo jest jasne, ziemi dość dla wszystkich, życie swobodne..."

Niezwykle pochlebne opisy Wschodniej Montanji tak wspomnianych podróżników, jak i innych tu nieprzytoczonych, spowodowały zawiązany we Lwowie Polsko-Amerykański Syndykat Kolonizacyjny do wysłania do Peru dwóch ekspedycji celem zbadania stosunków na miejscu, a zabiegom tych ekspedycji zawdzięcza Syndykat uzyskanie od Rządu Peru rozległych koncesji terenowych nad spławnemi rzekami Urubamba, Tambo, Ucayali i Unini.

Wyboru tych terenów dokonano na podstawie dokładnych studjów, tak co do stosunków gospodarczych tych okolic, jak i pod względem przydatności tychże do kolonizacji.

Gdy na płaskowyżu Kordyllierów występują całkiem wyraźnie 4 pory roku, we Wschodniej Montanji trwa od kwietnia do listopada sucha pora roku, w czasie której zdarzają się też opady, natomiast od grudnia do marca pora deszczowa. W czasie pory deszczowej deszcz nie pada bez przerwy; przedpołudnia są zwykle bez opadów i nawet słoneczne, chmury zbierają się dopiero koło południa, a w godzinach popołudniowych i wieczornych następują zwykle dość silne opady.

Przeciętna ilość opadów rocznych we Wschodniej Montanji wynosi 150--180 cm.

Wyżej powołany Schütz-Holzhausen, który spędził szereg lat w dorzeczu Amazonki, konstatuje w swem dziele „Amazonka", że już nawet w tak nisko położonej miejscowości, jak mieście Iquitos, w najgorętszych miesiącach temperatura nie przekracza 35° C. w cieniu, podczas gdy w miejscowościach leżących na wysokości 400–800 m. n. p. m. temperatura sięga najwyżej 30° C. w cieniu, ileże w miarę wznoszenia się terenu o każdych 100 m spada ciepłota o 1–1^1/$_2$° C. – Należy to przypisać okoliczności, że od Kordyllierów pokrytych wiecznym śniegiem wieją chłodne wiatry południowo-wschodnie zwane „alisio", a rzeki płynące z lodowców także wydatnie ochładzają temperaturę, tak że nocami termometr spada w tych okolicach nawet do 14° C., zatem organizm ludzki odpoczywa w porze nocnej.

Pod względem zdrowotnym klimat Wschodniej Montanji wymaga jedynie przestrzegania podstawowych zasad hygieny, które w tych szerokościach geograficznych muszą być stosowane*.

* W referacie *Gospodarcze i kolonizacyjne warunki w Peru* z 1928 roku Roehr ową wzmiankę na temat higieny uzupełnia komentarzem: „Nie da się zaprzeczyć, że nasz kolonista

Malarja jest obecnie coraz racjonalniej zwalczana, a Instytut Rockefellera przeprowadza w tej mierze ustawiczne studja i osiąga coraz to lepsze rezultaty – dość wspomnieć, że osławione dawniej jako malaryczne okolice Kanału Panamskiego, stanowią dziś tereny idealne pod względem zdrowotnym. Jest też notorycznem, że z chwilą, gdy puszcza dziewicza spalona przemienia się w rolę, komar szerzący malarję uchodzi stamtąd nie mając odpowiednich dla siebie warunków, a zresztą używanie mosquitery chroni wydatnie Europejczyków w krajach podzwrotnikowych od tej choroby.

Opowiadania o ogromnych ilościach jadowitych wężów we Wschodniej Montanji są zupełnie bezpodstawne. W tej mierze wystarczy zacytować zdanie znakomitego polskiego podróżnika ś. p. Jana Stolzmanna, który w swem dziele p. t. „Peru" (tom I. rozdz. IV) mówi, jak następuje:

„Węże są dość rzadkie i należą w znacznej części do gatunków niejadowitych. Zdarza się wprawdzie słyszeć tu i ówdzie od krajowców o żmiji zwanej „culebra equis" (Bothrops) dochodzącej nieraz znacznych rozmiarów i bardzo jadowitej, podczas jednak naszego pobytu, który się przeszło rok przeciągnął, nie słyszeliśmy o żadnym smutnym wypadku".

F. W. Up de Graff, podróżnik, który zwiedził te okolice w ostatnich czasach, stwierdza w swem dziele „U łowców głów ludzkich nad Amazonką" (str. 282): „W czasie mego 6-cio letniego pobytu nad brzegami Amazonki nie widziałem nawet pół tuzina jadowitych wężów".

Należy zresztą zauważyć, że medycyna wytworzyła już specjalne serum, którego zastrzyknięcie chroni od skutków nawet najjadowitszych wężów. Serum to produkuje brazylijski Instytut „Butantan" w Sao Paulo.

Głównym gospodarczym czynnikiem przed rozwinięciem rolnictwa we Wschodniej Montanji jest obecnie puszcza dziewicza pokrywająca brzegi rzek Ucayali, Urubamba i innych. Bogactwa drzewne tej puszczy nie są teraz nawet w setnej części eksploatowane, a większość ich jest prawie nieznana.

Tłuszcze roślinne, barwiki, jedwab roślinny, kość słoniowa roślinna, przeróżne rośliny lekarskie, kilkadziesiąt gatunków najcenniejszych drzew użytkowych, jak palisander, mahoń, ceder, nogaj i t. d. są zupełnie nieeksploatowane.

Już obecnie istnieją możliwości wywozu drzew użytkowych z puszczy położonej nad rzekami, ileże do miasta portowego nad Amazonką Iquitos

przeważnie w domu nieprzestrzegający żadnych wymogów higjeny, trudno nałamuje się do tych wskazówek. Przy stałej jednak opiece lekarza na miejscu i stosowaniu odpowiednich wykładów już w czasie podróży okrętem, popartych produkcjami świetlnymi, można wiele zdziałać i zapobiegawczo przeciw niedbalstwu występować". Zob. *„Peru". Referaty wygłoszone przez P. P. Dr. Ludwika Roehra i Edwarda Zawidowskiego na odczycie urządzonym przez Radę Stowarzyszenia Techników w Warszawie, dnia 30 czerwca 1928 r.*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Lwów 1928, s. 10 (przyp. autora).

zawijają statki oceaniczne, które wyładowawszy tonaż przywieziony z Ameryki albo z Europy, gotowe są celem wykorzystania tonażu powrotnego zabierać za nader niskiemi stawkami przewozowemi wszystkie produkty.

Obok Iquitos w Nanay jest duży tartak amerykański Borella, który jest stałym odbiorcą na drzewo okrągłe.

Co się tyczy możliwości rolniczej produkcji w Montanji, to są one ogromne wobec niezmiernej żyzności ziemi, obfitych opadów i znakomitych warunków klimatycznych.

Przysposobienie puszczy do uprawy rolnej odbywa się w ten sposób, że drobniejsze drzewa, pnącze i chwasty ścina się nożem zwanym „macheta", albo ciężkim sierpem zwanym „foica", w ciągu pory suchej, a gdy do kilku tygodni ścięte rośliny już zeschły, podpala się takowe w dzień bezwietrzny (t. zw. „rossa"). Las płonie i pozostają jedynie większe osmalone, przepalone pnie, lub drzewa olbrzymy z opalonemi gałęziami. Dokonanie takiej roboty, jak też i następujące oczyszczenie odnośnej powierzchni (t. zw. „sorto"), wymaga najwyżej 45 dni pracy na 1 ha lasu. W tak prymitywnie oczyszczonej ziemi, użyźnionej jeszcze popiołem, robi się zapomocą okutego kija otwory, w które rolnik rzuca kukurydzę, lub fasolę, przydeptuje je nogą i już uprawa gotowa.

Zbiór następuje w ciągu kilku miesięcy.

Plantuje się przedewszystkiem fasolę i kukurydzę, potem yucę i banany, a następnie gdy ziemia przez dwa lub trzy zbiory się oczyściła, bawełnę, kakao, kawę, trzcinę cukrową etc.

Krzew bawełny, która według dzieła prof. Dr. Ottona Bürgera „Peru" (str. 145) jako wysokowartościowa zajmuje specjalne stanowisko na targu, produkuje tu przez kilka lat z rzędu, kukurydza i fasola daje 3 do 4 żniwa rocznie, trzcinę cukrową ścina się po 10–11 miesiącach, a trwa ona około 25 lat. Zbiór yuci następuje po 9–10 miesiącach i wynosi około 200.000 kg z 1 ha. Yucę spożywa się w rozmaity sposób przygotowaną, pieczoną, gotowaną, albo smażoną – dostarcza ona mąki zwanej „farina", tudzież produktu mącznego zwanego „almidon", cieszącego się wielkim popytem na targu światowym. Zbiór bananów następuje po 8–9 miesiącach i wynosi około 200.000 kg z ha, a spożywa się je w stanie surowym lub gotowane.

Yuca i banany stanowią najważniejsze artykuły żywności miejscowej ludności, a używa się ich też z najlepszym rezultatem do tuczenia świń i bydła.

Kawa peruwiańska ma na targu swą specjalną dobrą markę, a wszystkie rodzaje owoców udają się we Wschodniej Montanji znakomicie pod względem jakości, zaś co do ilości zbiory ich są, jak na europejskie stosunki, wręcz nieprawdopodobnie wielkie.

Hodowla bydła i świń, przy nadmiarze środków żywności i doskonałych warunkach atmosferycznych, daje znakomite rezultaty.

Miejscowa ludność indyjska najmuje się chętnie do robót, szczególnie przy wycinaniu, paleniu i czyszczeniu lasu, tudzież przy budowie domów – jest to robotnik tani, szczególnie gdy za wykonaną robotę otrzymuje zapłatę w potrzebnych mu artykułach jak tytoń, ubrania, noże etc.

Co się tyczy środków komunikacji łączących terena koncesyjne Polsko-Amerykańskiego Syndykatu Kolonizacyjnego z miastem portowem Iquitos, to obecnie droga wodna na spławnych rzekach Urubamba, Tambo, Unini a następnie Ucayali, głównego dopływu Amazonki, stanowi najtańszy i najwygodniejszy sposób komunikacji.

Na rzece Ucayali szerokiej 500–700 m, kursują okręty 50 do 80 tonnowe z doczepionemi berlinkami przez cały rok do miejscowości Cumaria, a przez 7 miesięcy w roku także na rzekach Tambo i Urubamba. Mniejsze płaskodenne statki o pojemności 30 tonn, lub łodzie motorowe nie zanurzające się głębiej jak 3 do 4 stóp mogą kursować przez cały rok po rzece Ucayali, a częściowo także po Tambo i Urubamba.

Na wspomnianych rzekach kursują prócz statków rządowych wiozących pocztę, liczne statki należące do domów handlowych w Iquitos. Statki te są urządzone przeważnie jako pływające sklepy, a kursują bez programu i rozkładu jazdy, zależnie od handlu, jaki w pojedynczych przystaniach prowadzą.

Co się tyczy kolei żelaznych, to przez budowę kolei prowadzącej z Callao, portu nad Oceanem Spokojnym, przez stolicę Państwa Limę do Oroyi, przekroczone zostały Kordylliery, a przez przedłużenie tych kolei przez Jauja i Conception do Huancayo uzyskanem zostało połączenie Wschodniej Montanji z Oceanem Spokojnym. Linja kolejowa zaczynająca się w porcie Mollendo nad tym Oceanem położonym i idąca przez Arequipę wzdłuż rzeki Urubamby do Cuzco przecięła łańcuch Kordyllierów od południa, a obecnie w budowie jest linja kolejowa z Cuzco do Sta Ana, która w niedalekiej przyszłości dojdzie zapewne do rzeki Ucayali, ileże w roku 1929 Rząd Peru zawarł z firmą Peruvian Corporation kontrakt co do budowy linji kolejowej z Sta Ana do koncesji Syndykatu.

Pozatem rząd Peru dokłada starań celem rozwoju szos automobilowych we Wschodniej Montanji – budowa szosy takiej, która ma połączyć miejscowość Puerto Ocopa, będącą siedzibą biskupstwa* ze stacją kolei Conception,

* Patrz: uwaga Adama Jarzyny w części V. jego tekstu, zatytułowanej *Wnioski końcowe* (punkt 6. *Propaganda*): „Informacje zawarte w broszurach propagandowych są oczywiście tendencyjne, a niejednokrotnie wprost fałszywe. Np. w «Peru» wydanem przez Syndykat w 1930 r., przestawiono małą misyjkę na odludziu w Puert Ocopa jako siedzibę biskupstwa (17 str.). Taki szczegół zachęca i ośmiela chłopa". Zob. A. Jarzyna, *Peru. Widoki dla osadnictwa rolnego na terenach polskich koncesyj*, B. Połoniecki, Lwów 1930, s. 25 (przyp. autora).

powinna być już do końca roku 1930 wykończoną, poczem będzie przedłużoną z Puerto Ocopa aż do zlewu rzeki Tambo z Urubambą.

Również i połączenie drogą powietrzną stolicy Kraju Limy ze Wschodnią Montanją nie uszło uwagi Rządu Peru.

W roku 1928 utworzono stałe połączenie aeroplanowe miasta portowego Iquitos przez Massiseę, Puerto Bermudez ze San Ramon, a w roku 1929 urządził Rząd Peru u zlewu rzek Urubamba i Tambo lotnisko, aby zaraz po przybyciu osadników na tereny koncesyjne Polsko-Amerykańskiego Syndykatu Kolonizacyjnego połączyć linją lotniczą te tereny z linją kolejową wiodącą do Limy.

Stacje nadawcze radjowe istnieją prócz stolicy kraju Limy także w Iquitos, Massisei, Bermudez, a w najbliższych miesiącach będzie taka stacja urządzona również na terenach koncesyjnych Syndykatu.

Jak z powyższego wynika, Rząd Peru nie szczędząc znacznych wkładów uczynił w ostatnich czasach bardzo wiele, aby Wschodnią Montanję, tak niezwykle hojnie przez naturę uposażoną, połączyć gospodarczo ze stolicą Kraju Limą i Oceanem Spokojnym.

Wykończenie wspomnianych wyżej arterji komunikacyjnych musi spowodować ogromny rozwój gospodarczy Wschodniej Montanji, ileże wązki pas ziemi nad Oceanem Spokojnym zwany Costą, na którym znajduje się tak stolica Kraju Lima, jak i tegoż najważniejszy port Callao, tudzież najsilniej zaludnione okolice, nie może wyprodukować środków żywności potrzebnych dla wyżywienia tak tych miast, jak i reszty ludności Costy, wskutek czego mnóstwo artykułów żywności sprowadza się tam obecnie z Ameryki Północnej, jak bydło, zboże, mleko kondensowane, tłuszcze, owoce etc.

Ogromnie doniosłą dla rozwoju Kraju jest okoliczność, że Kongres Panamerykański, który się odbył w roku 1928 w Hawannie, postanowił wybudować Panamerykańską kolej i takąż szosę automobilową, których kierunek uwidoczniono w przyległej mapie*.

Według tego projektu tak Panamerykańska kolej, jak i takaż szosa automobilowa, mają przechodzić albo w pobliżu terenów Syndykatu, albo nawet przez same te terena. Ich budowa spowoduje naturalnie szybki, „amerykański" rozwój całej okolicy i niechybnie też wielką zwyżkę cen ziemi, która już obecnie na podstawie dekretu Rządu Peru z 23 grudnia 1927, kosztuje po 2, 2.5 i 3 libry peruwiańskie (t. j. 8, 10 i 12 dolarów) za hektar, zależnie od odległości gruntu od kolei, szosy automobilowej, lub spławnej rzeki.

Należy również zauważyć, że według oświadczenia profesora Uniwersytetu warszawskiego, p. Romana Kozłowskiego**, który aż do roku 1926***

* Mapa nr 3 w niniejszej publikacji (przyp. autora).

** Roman Kozłowski (1889-1977) – paleontolog światowej sławy, twórca paleontologii polskiej. W latach 1913-1921 przebywał w Boliwii. Przystając na propozycję boliwijskiego rządu,

był przez szereg lat dyrektorem szkoły górniczej w Boliwji i zna dokładnie strukturę geologiczną Andów, należy przyjąć, że tereny Syndykatu jako leżące na wschodnich stokach gór tych, przedstawiają wielkie szanse jako tereny naftowe i złotodajne.

Dla podkreślenia, jak szczęśliwą decyzję powziął Polsko-Amerykański Syndykat Kolonizacyjny przy wyborze terenów koncesyjnych, zaznacza się wreszcie, że wyżej wspomniany Paul Walle w swem dziele „Le Pérou Economique" wyraża się (str. 228 i 229) w następujący sposób o okolicach, gdzie leżą te tereny:

„Można dostać się do zlewu rzek Tambo i Urubamba podążając rzekami Apurimac, Ene i Tambo, które to rzeki nie przedstawiają żadnych poważnych trudności dla żeglugi. Cała okolica przecięta temi rzekami jest niesłychanie, w sposób niedający się opisać bogata, a w tych stronach znajdują się obszerne równiny pokryte wręcz niezrównaną roślinnością. Rzeki wspomniane można przebyć przez cały rok na tratwach i na mniejszych łodziach, a zastosowanie tu małych okrętów parowych zagłębiających się nie ponad 0,70 m bardzo byłoby wskazane.

Wszystkie okolice przez które przepływają Alto, Ucayali, Pachitea i wyżej wspomniane rzeki, leżąc na podnóżach wschodnich stoków Andów, mają nadzwyczaj zdrowy klimat – nie ma wogóle stron, któreby mogły wzbudzić większe zainteresowanie z powodu wartości swych naturalnych produktów i bajecznej żyzności gruntu. Wszyscy podróżni, którzy przebywali w tych okolicach, zgodni są w tym kierunku, że należy się im pierwszeństwo przed wszystkiemi innemi i to nietylko dla celów eksploatacji, ale także i kolonizacji".

Tereny koncesyjne Syndykatu były w roku 1928 przedmiotem komisyjnego badania Ekspedycji urzędowej, delegowanej przez Urząd Emigracyjny w Warszawie, którato Komisja wydała o tych terenach nader korzystną opinję wyrażoną w protokole z dnia 11 września 1928, którego odbitka tu przylega. – Opinja ta spowodowała Rząd Polski do udzielenia

objął stanowisko profesora nauk geologicznych w Szkole Górniczej w Oruro. W latach 1916-1919 był dyrektorem tej uczelni, którą przekształcił w Szkołę Inżynierów Górniczych. Po opuszczeniu Boliwii w roku 1921 przebywał we Francji, a w 1923 roku powrócił na stałe do Polski. Zarówno w okresie międzywojennym, jak i po II wojnie światowej, związany był z Uniwersytetem Warszawskim. Zob. G. Biernat, *Roman Kozłowski (1889-1977)*, „Rocznik Polskiego Towarzystwa Geologicznego. Annales de la Société Géologique de Pologne" 1977, T. XLVII/4, s. 643-648 (przyp. autora).

*** Podana w tekście data jest błędna. Patrz: informacje zawarte w poprzednim przypisie (przyp. autora).

Polsko-Amerykańskiemu Syndykatowi Kolonizacyjnemu koncesji do werbowania osadników dla osiedlenia ich na tych terenach.

Polsko-Amerykański Syndykat Kolonizacyjny rozpoczął już w roku 1928 roboty przygotowawcze na swych terenach koncesyjnych wybudowawszy szereg domów dla osadników, budynki administracyjne i magazyny, założył plantacje dla wyżywienia osadników, stację radjową etc., zaś z początkiem roku 1930 uruchamia tam tartak parowy, łuszczarnię ryżu i kukurydzy, zakład dla przeróbki yuci, a następnie też fabrykę tłuszczów jadalnych.

* * *

Jak z powyższych wywodów wynika, posiadają tereny koncesyjne Polsko-Amerykańskiego Syndykatu Kolonizacyjnego w Peru wszelkie warunki zapewniające im już w najbliższej przyszłości świetny rozwój gospodarczy, a gdy Syndykat przystępuje obecnie tak do osiedlania tam 3.000 rodzin kolonistów, którzy otrzymają działki ziemi po 30 ha na rodzinę etc., jak niemniej do sprzedaży ziemi na nader przystępnych warunkach, otwierają się dla licznych rzesz szukających „za morzami" polepszenia bytu, względnie odpowiedniego warsztatu pracy, doskonałe widoki*.

Protokół spisany w sprawie wyniku badań terenów koncesyjnych polskich w Peru, przeprowadzonych przez komisję urzędową wydelegowaną w r. 1928 przez Urząd Emigracyjnyw Warszawie

W wyniku przeprowadzonych badań ekspedycja przedstawia następujące uwagi i opinje końcowe.

* W tekście z roku 1928 Roehr położył większy nacisk na przedstawienie zalet kolonizacji obszarów państwa peruwiańskiego, która przynieść miała znaczne korzyści zarówno Polsce, jak i pojedynczemu koloniście. Pisał: „Skoro polski robotnik walcząc z konkurencją rasy anglosaskiej na terenie Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki, potrafił zdać egzamin, a z czasem wytworzył kupca, przemysłowca, a nawet bankiera polskiego, nie ulega wątpliwości, że w warunkach, w których nie będzie miał innej konkurencji prócz leniwej rasy kreolskiej, dzięki swej inicjatywie i pracowitości, wysunie się na czoło życia gospodarczego tych okolic. Rzeczą kraju macierzystego będzie natomiast utrzymać z tem osadnictwem stały kontakt i to nietylko duchowy, ale i ekonomiczny, aby bodaj częściowo dorobek gospodarczy przyszłej kolonji był dla Polski należycie zużyty i wytwarzał coraz to nowe drogi rozwoju". Zob. *„Peru". Referaty wygłoszone...*, op.cit., s. 17 (przyp. autora).

Klimat, aklimatyzacja.

Ekspedycja stwierdza, że znaczna część terenów, leżących w dorzeczach Tambo, Urubamba i Ucayali posiada klimat podzwrotnikowy, łagodzony jednak sąsiedztwem z zachodu wysokogórskiej strefy Andów, zasilającej zimnemi wodami wymienione rzeki, oraz wiatrami południowo-wschodnimi. Te warunki klimatyczne umożliwiają pracę rolnika, a różnice w temperaturze dnia i nocy zapewniają mu niezbędny wypoczynek, co pozwoli przyszłemu koloniście polskiemu na konieczny wysiłek fizyczny.

Zdrowotność.

Spotykane na terenach koncesji specyficzne choroby tropikalne (pian, leishmaniosis, dysenterja amoebica, malaria tertiana, ankylostomosis etc.) zaniedbane i nie leczone mogą powodować charłactwo, niezdolność do pracy i zwyrodnienie rasy, jednakże umiejętnie zastosowane zapobieganie, ewentualnie odpowiednio przeprowadzone leczenie, oraz odpowiednie mieszkanie, ubranie i właściwy system odżywiania dostosowane do warunków specjalnych życia tropikalnego, wystarczą przy obecnym stanie wiedzy lekarskiej w zupełności, aby niebezpieczeństwo zredukować do minimum.

Topografja.

Układ pionowy południowej części koncesji, jak i sąsiednich terytorjów przedstawia teren pagórkowaty, o niskich (średnio do 500 m) falistych wyniosłościach, oparty na zachodzie o strome pasmo podgórzy andyjskich. Strefa północna koncesji stanowi nizinę aluwjalną, urozmaiconą erosyjną działalnością dopływów Ucayali. Cały teren pokryty jest dziewiczemi lasami. W części południowej występują golizny pokryte stepem. Tereny ze względu na swój układ topograficzny, są dogodne do eksploatacji rolnej i leśnej.

Rolnictwo, hodowla.

Gleby bardzo urodzajne o podłożu przewiewnem, z dużą wierzchnią warstwą humusu pozwalają na długoletnie uprawianie yuci, kukurydzy, fasoli, ryżu, bawełny, kawy, kakao, koki, bananów, trzciny cukrowej i t. p. Prymitywny sposób uprawy i eksploatacji rolniczej, nie wymagający kapitału, zapewnia dochodowość bardzo znaczną przy umiejętnem zorganizowaniu eksportu wyprodukowanych artykułów. Hodowla zwierząt domowych (w szczególności trzody chlewnej) i drobiu ma bardzo dobre warunki rozwoju.

Gospodarka leśna.

Las dziewiczy pokrywający omawiane terytorjum, zawiera dużą ilość gatunków drzewa z których kilkadziesiąt posiada ustaloną wartość użytkową. Obecnie produktem eksportu jest mahoń, cedr, kakao, orzech, jak

również kauczuk, gutaperka z obficie rosnących tu drzew gumowych i produkty palmowe: włókna, orzechy, roślinna kość słoniowa.

Komunikacja.

Komunikacja osobowa z Europą odbywa się w chwili obecnej za powolnie i winna być usprawniona. Teren prócz centralnej arterji komunikacyjnej, jaką jest Ucayali – przecięty jest szeregiem jej dopływów, dostępnych dla małych parowców lub łodzi i tratew. Komunikacja pocztowa istnieje na rzece Ucayali i Pachitea. W Masisei, położonej na terenach koncesyjnych, znajduje się stacja hydroplanów i aeroplanów, kursujących między Iquitos i końcowym punktem drogi samochodowej, wiodącej do linji kolejowej Oroya - Puerto Victorja i S-ta Rosa de Ocopa - Puerto Ocopa, które zbliżą znacznie tereny koncesyjne do cywilizowanej reszty kraju.

Ekspedycja stwierdza, że istniejące drogi wodne stwarzają pomyślne warunki rozwoju dla przyszłych kolonji polskich.

Handel i przemysł.

Montanja stanowi samoistną jednostkę gospodarczą, posiadającą pomyślne warunki do rozwoju eksportu światowego, jak również i handlu wewnętrznego z resztą kraju, z którym dotychczas jej życie handlowe i przemysłowe nie jest organicznie związane. Metody handlu są prymitywne, dotychczas panuje handel zamienny. Cały handel jest zmobilizowany w rękach kilku jednostek, środków obiegowych brak, kredyt nie istnieje. Eksport i import do Montanji odbywa się drogą na wschód przez Amazonkę. Od maszyn i artykułów przemysłowych służących dla rozbudowy i użytku rolnictwa sprowadzonych do kraju, Rząd nie pobiera cła. Warunki powyższe otwierają pole dla ekspanzji gospodarczej ze strony Polski, dając możność łatwego wejścia na rynek Montanji i oparcia się następnie na powstających kolonjach, względnie w środowiskach sąsiednich o własną organizację kupiecką.

Praca zarobkowa.

Warunki gospodarcze kraju wykluczają narazie wszelkie możliwości emigracji zarobkowej.

Warunki polityczne, współżycie i bezpieczeństwo.

Panujące w części wschodniej Peru warunki polityczne nie stwarzają zasadniczych przeszkód dla zorganizowania przyszłych kolonij, obecny stosunek centralnych władz Peru do sprawy polskiej kolonizacji jest bardzo przychylny. Współżycie i współpraca z tubylcami zarówno białymi jak i Indjanami, z uwagi na ich małą liczebność, dadzą się przeprowadzić pomyślnie. Bezpieczeństwo przyszłych kolonij z uwagi na pokojowe

usposobienie Indjan, dziko i półdziko żyjących, może być łatwo zapewnione.

Penetracja.

Położenie geograficzne koncesji przy rozwidleniu najważniejszych arterji komunikacyjnych jest tego rodzaju, że daje możliwości rozwoju osadnictwa we wszystkich kierunkach. Prócz tego powstanie nad Ucayali kolonji polskich może posłużyć za doskonałą podstawę dla penetracji gospodarczej, przyczem obok eksploatacji rolnej i leśnej należy stworzyć odpowiednią organizację handlową.

W konkluzji ekspedycja uważa, że moment dla rozpoczęcia kolonizacji polskiej w Montanji jest dogodny, i że przy odpowiedniej organizacji próba kolonizacji w tym kraju ma wszelkie widoki powodzenia.

Jeśli chodzi o przyszłość osadnictwa polskiego w Montanji, ekspedycja widzi poważne niebezpieczeństwo w zbyt wielkiej łatwości życia w dorzeczu Ucayali, czemu, jednakże, jak sądzi, można zapobiec przez rozbudzenie jak największych potrzeb życiowych u przyszłych osadników i rozbudowę przemysłu[1].

(–) Inż. F. Gadomski (–) M. Pankiewicz (–) Dr Freyd
(–) M.B. Lepecki kpt. (–) Zarychta (–) K. Warchałowski *

Warszawa, dnia 11 września 1928 r.

* * *

Sprzedaż ziemi w działkach po 30 ha, według przyległego planu, przeprowadza Polsko-Amerykański Syndykat Kolonizacyjny na terenach przyznanych mu na własność dekretem Prezydenta Republiki Peru, z dnia 6 września 1929. Obszar 15.000 ha przeznaczony obecnie na ten cel, poło-

[1] **Uwaga:** W powyższej odbitce protokołu opuszczono ustępy odnoszące się do terenów zwróconych przez Syndykat Rządowi Peru, tudzież do obcej koncesji.

* Mieczysław Bohdan Lepecki pisze na temat składu ekspedycji badawczej, która udała się do Peru w roku 1928, w książce *Na Amazonce i we Wschodniem Peru* w ten oto sposób: „Po długich korowodach i targach, został ustalony następujący jej skład: inżynier Feliks Gadomski, kierownik biura naukowo-informacyjnego w Urzędzie Emigracyjnym, Kazimierz Warchałowski, znawca stosunków południowo-amerykańskich, doktór medycyny Aleksander Freyd, kapitan korpusu geografów Apolonjusz Zarychta, redaktor „Wychodźcy" Michał Pankiewicz, oraz ja". Zob. M.B. Lepecki, *Na Amazonce i we Wschodniem Peru*, KSIĄŻNICA-ATLAS. Zjednoczone Zakłady Kartogr. i Wydawnicze Tow. Naucz. Szkół Śr. i Wyż., Sp. Akc., Lwów-Warszawa, 1931, s. 1 (przyp. autora).

żony bezpośrednio nad rzeką Urubamba, leży między jej dopływami Cumarillo i Uru, o 6 kilometrów z biegiem rzeki od głównej osady Sepa, będącej siedzibą miejscowego Zarządu Kolonji.

Cena sprzedażna ziemi za jeden hektar wynosi narazie 5 dolarów U. S. A., płatnych w dogodnych ratach, zaś kontrakty kupna zawiera się w Konsulacie Generalnym Republiki Peru w Warszawie.

Zgłoszenia reflektujących na kupno ziemi przyjmuje Centrala Syndykatu we Lwowie, ul. Romanowicza 1 (telefon 20-58) i Oddział Syndykatu w Warszawie, ul. Mazowiecka 4/14 (telefon 89-54).

Kazimierz Warchałowski

WARUNKI GOSPODARCZE MONTANII PERUWIAŃSKIEJ*

Inicjatywę skolonizowania obszarów Montanii osadnikami z Europy rząd peruwiański podjął w latach 20. XX wieku. Wtedy to Kazimierz Warchałowski, ówczesny naczelnik wydziału zamorskiego Urzędu Emigracyjnego w Warszawie, rozpoczął starania o uzyskanie od władz w Limie prywatnej koncesji osadniczej na zasiedlenie części owych ziem. Otrzymał ją 20 maja 1927 roku. Z uwagi jednakże na niemożność zebrania środków finansowych na zorganizowanie akcji wychodźczej, postanowił zrezygnować z części swych uprawnień na rzecz innych osób prywatnych, chcących zainwestować posiadany kapitał w kolonizację terenów Montanii peruwiańskiej. W ten sposób powstała Spółdzielnia Osadnicza „Kolonia Polska", której Warchałowski odstąpił prawo zasiedlenia 220 z 350 hektarów, jakie zostały mu przyznane na ten cel przez rząd Peru. Zezwolenie na werbunek kolonistów Spółdzielnia uzyskała 8 sierpnia 1929 roku. Pierwsza, nieliczna grupa osadników polskich dotarła do ziemi peruwiańskiej w roku 1930. Co więcej, w całym okresie swej działalności „Kolonia Polska" zdołała wysłać do Montanii jedynie 159 kolonistów. Chaos organizacyjny, liczne nadużycia, niewłaściwy dobór zawodowy emigrantów oraz brak pieniędzy przesądziły o klęsce przedsięwzięcia. W roku 1933 koncesja Spółdzielni Osadniczej wygasła, a ona sama ogłosiła upadłość**.

Jak w przypadku broszury Polsko-Amerykańskiego Syndykatu, zamieszczony poniżej tekst warto skonfrontować z artykułem Adama Jarzyny, przywołanym w kolejnym rozdziale. Autor wyraził w nim między innymi swe zdanie na temat działalności Kazimierza Warchałowskiego i „Kolonii

---

* K. Warchałowski, *Peru. Warunki gospodarcze Montanji Peruwjańskiej*, „Kolonja Polska". Spółdzielnia Osadnicza z odpowiedzialnością udziałami w Warszawie, Warszawa 1930.

** Kwestię polskich koncesji osadniczych opisał szczegółowo Adam Jarzyna w części IV przytoczonego w następnym rozdziale tekstu. Za godne uwagi uznać można ponadto opracowanie autorstwa Jerzego Mazurka, odnoszące się do tematyki polskiej emigracji. Zob. J. Mazurek, op.cit., s. 111-114.

Polskiej". Co więcej, na uwagę zasługują również dokonane w obu tekstach opisy rejonu Montanii peruwiańskiej – warunków tam panujących oraz korzyści, jakie może przynieść osadnictwo na tym terenie. Porównanie relacji Jarzyny z informacjami prezentowanymi w publikacji Warchałowskiego, uznać należy za szczególnie interesujące, przede wszystkim ze względu na występujące rozbieżności.

* * *

Rzeczpospolita Peru

Obszar Peru wynosi 1.400.000 kilometrów kwadratowych, zaludnienie około 5.300.000 mieszkańców (Polska 387.000 kilometrów i 30.000.000 mieszkańców).

Peru na zachodzie graniczy z Oceanem Spokojnym, na północy z Ekwadorem, na wschodzie z Kolumbją i Brazylją, na południu z Boliwją i Chile.

Peru jest rzecząpospolitą; na czele rządu stoi przezydent obierany na 5 lat. Posiada ono dwie izby, sejm i senat. Podzielone jest na 23 departamentów, które się dzielą na 110 prowincji i 850 dystryktów. Na czele departamentów stoją prefekci, na czele prowincji subprefekci, na czele dystryktów gubernatorzy[1].

Panującym językiem w Peru jest hiszpański, jest to język oficjalny. Górale mówią tam językiem Kechua (czytaj keczua), również indjanie Montanji mówią własnemi narzeczami, których jest kilkanaście; tak w górach rak i w Montanji język hiszpański jest językiem białych i mieszańców, ludność tubylcza posiada go bardzo rzadko. Panująca religja w Peru jest katolicka.

Stolicą Peru jest Lima, posiadająca 300 tysięcy mieszkańców; leży ona w odległości 12 kilometrów od głównego portu Peru - Callao (czytaj Kaljao).

Najważniejsze miasta Peru są: Arequipa, Truchillo, Cuzco, Chiclayo, Ica, Iquitos; najbardziej uczęszczane porty prócz Callao są: Payta, Pimentel, Pacasmayo, Salaverry, Pisco, Mollendo.

Największe rzeki Peru toczą swe wody w kierunku Atlantyku. Najważniejszą jest Amazonka, która w Peru nosi nazwę Maranjonu aż do ujścia rzeki Ucayali. Amazonka przepływa na terytorjum Peru na przestrzeni 2300 kilometrów (cała długość Amazonki wynosi około 6.200 kilometrów), rzeka ta na przestrzeni blisko 5.000 kilometrów jest dostępną dla dużych parowców transatlantyckich Głębokość jej przy ujściu Ucayali wynosi około 40 metrów. Poza Amazonką, najważniejszą rzeką w Peru jest Ucayali. Jest ona żeglowna na całym swym biegu od zlewu rzek Tambo i Urubamba do ujścia

---

1) Stanowisko prefekta odpowiada naszemu wojewodzie, subprefekta naszemu staroście; gubernator niema odpowiednika w naszym układzie administracyjnym. Stanowisko to najbardziej zbliżone jest do naszego wójta, ale wyższe społecznie. Teniente gubernator (zastępca) jest stanowiskiem trochę wyższym od naszego sołtysa.

na Amazonce. Jedynie w suchej porze roku żeglowność jej ustaje od osady Cumaria w górę, mniej więcej na przestrzeni 120 kilometrów.

Z większych dopływów Amazonki, które nas mogą interesować należy wymienić z prawego brzegu: Yavari i Huallagę, z lewego: Napo, Tigre, Pastazę i Moronę. Na południu, rzeką o dużym znaczeniu gospodarczym jest Madre de Dios i jej dopływ Manu, toczące swe wody do Beni, a przez Beni i Mamore do Madejry, największego dopływu Amazonki.

Do Oceanu Spokojnego wpada bardzo mało rzek, są one charakteru górskiego, posiadają mało wody i są przeważnie niespławne. Największa z nich Chira posiada 330 kilometrów długości.

Monetą państwową Peru jest funt peruwjański, równający się przy kursie al pari funtowi angielskiemu. Obecnie stoi on o 20% niżej, co sprawia, że płacą za niego 4 dolary (za funt angielski około 5 dolarów). Funt peruwjański dzieli się na 10 soli, sol na 100 centavos; w monecie polskiej funt równa się mniej więcej 35 złotym, sol trzem i pół złotym, centavo trzem i pół groszom. Złota niema obecnie w obiegu. Kursują pieniądze papierowe; bilon, zaczynając od sola, 50 centavos, 20, 10, 5, bity jest z niklu.

Peru posiada niewiele kolei, za to bardzo znaczną sieć górskich dróg automobilowych; dróg takich istnieje 12.614 kilometrów, w budowie przeszło 9.000 klm. Kolei w eksploatacji jest 4.000 kilometrów; w budowie przeszło 1000, między innemi kolej z Tambo del Sol do Pucalpy i z Huancayo na płaskowyżu do Ayacucho, jak również z Pacasmayo do Cajamarca. W ostatnich czasach rozpoczęto przygotowawcze roboty do budowy kolei od Oceanu Spokojnego na północy kraju do Yurimaguas nad Huallagą.

Peru znane jest ze swoich obfitych bogactw kopalnianych. Na pierwszym miejscu należy postawić miedź, dalej srebro, złoto, węgiel, żelazo, sól. cynę, antymon, vanadjum, arsen i t. p. Istnieją tu bardzo bogate kopalnie nafty, z których niektóre leżą na wybrzeżu Oceanu Spokojnego i są już eksploatowane, niektóre na płaskowyżu jak np. w okolicy jeziora Titicaca; obecnie bardzo intensywne poszukiwania prowadzone są przez Tow. Standard Oil na całym terenie Montanji.

Sytuacja gospodarcza i finansowa Peru jest wysoce pomyślna.

W 1927 roku między innymi wydobyto:

nafty za sumę (okrągło) złotych	544.000.000
miedzi	131.000.000
srebra	99.000.000
złota	18.000.000

w tymże roku pod uprawą było:

bawełny 120.000 hektarów, które dały 60.000 ton bawełny na sumę złotych 243.000.000: trzciny cukrowej 54.000 hektarów. które dały 366.000 tonn cukru na sumę złotych 164.000.000.

Ogólna suma wywozu w 1928 roku wyniosła – 1 miliard 16 miljonów złotych.

Wwóz w tym czasie wyniósł 684 miljonów, czyli saldo bilansu handlowego wyniosło 332 miljony złotych na korzyść Peru.

Budżet kraju wynosił w 1927 roku 396 miljonów złotych. pokrytych całkowicie podatkami, wpływami z monopolów i ceł.

Geograficznie i gospodarczo Peru dzieli się na trzy terytorja:

1) Wybrzeże Oceanu Spokojnego (jedna dziesiąta całego kraju) przedstawia wąski nizinny pas ziemi, o klimacie gorącym, bardzo ubogi w opady atmosferyczne; rolnictwo prowadzone tam jest jedynie na terenach nawadnianych, hodują tu przeważnie bawełnę i trzcinę cukrową; ceny ziemi nawodnionej od 300 do 400 dolarów hektar. Mieszkańców blisko miljon. z tego pochodzenia europejskiego lub mieszańców — pół miljona, reszta miejscowi indjanie.

Tu się koncentruje handel i przemysł po za hutnictwem; tu leżą główne miasta i ośrodki kultury; gospodarczo jest to najważniejsza część kraju, to też i zaludnienie tego pasa jest najbardziej gęste.

2) Płaskowyż Andów, leżący na wysokości 3000 do 4500 metrów nad poziomem morza, obejmuje prawie połowę terytorjum Peru, klimat tu jest umiarkowany, ziemie mało urodzajne, nadają się przeważnie na pastwiska; pozatym hodują tu nasze zboża: pszenicę, owies, jęczmień, kartofle i t. p. Ziemia tu należy częściowo do prywatnych właścicieli (wielka własność), częściowo do gmin, niepodzielnie, na zasadzie wspólnoty; ludność po za urzędnikami państwowymi, pracownikami przedsiębiorstw przemysłowych i nielicznymi obszarnikami stanowią Indianie, potomkowie narodu Inkasów, jest ich tu przeszło cztery miljony.

3) Wreszcie, pas wschodni lesisty, leżący na niższych zboczach Andów i w nizinie Amazońskiej, zwany tu Montanją; obejmuje on cztery dziesiąte powierzchni kraju, jest bardzo mało zaludniony, cała ludność Montanji wynosi około 300 tysięcy mieszkańców, w czem większość stanowią indjanie.

Montanja peruwjańska.

Na terytorium departamentu Loreto, gdzie leży obszar przeznaczony przez Rząd Peru na kolonizację polską, mieszka około 70 tysięcy indjan i 30 tysięcy białych i mieszkańców. Departament ten posiada przeszło czterysta trzydzieści tysięcy kilometrów kwadratowych, czyli jest większy niż Polska.

Tereny te były dotąd mało znane i omijane przez podróżników, gdyż zwykle próbowano dostać się do wnętrza kraju od stolicy Limy, położonej w pobliżu Oceanu Spokojnego i odciętej od wschodnich terytorjów potężnym pasmem górskim Andów, co zmusza do przebywania przełęczy na

wysokości 5000 metrów i do uciążliwej podróży na grzbiecie mułów po karkołomnych ścieżkach — podróży, trwającej nieraz tygodniami.

Dopiero w ostatnich czasach pomyślano o dostawaniu się do Montanji z Europy przez Ocean Atlantycki, Amazonkę i Ucayali i podróż tę odbyła w roku 1928 Polska Ekspedycja Badawcza wysłana przez Rząd Polski.

Drogę tę aż do samego Ucayali mogą odbywać statki morskie o znacznej pojemności. Port Iquitos leżący nad Amazonką o 4600 kilometrów od jej ujścia (stolica departamentu) może być z całą słusznością uważany za port morski, ponieważ zawijają tam bezpośrednio parowce z Nowego-Jorku, Hawru, Liverpoolu, Bremy, Callao i t p.

Odległość z Gdyni lub innego portu europejskiego do Iquitos jest mniejsza niż do południowych portów Brazylji, a tembardziej do Argentyny*.

Po Ucayali kursują stale parowce o mniejszej pojemności, ponieważ narazie niema tam ani ludzi w dostatecznej ilości, ani ładunków; również niektóre dopływy Ucayali dostępne są dla parowców, łodzi i tratew. Komunikacja pocztowa istnieje na rzekach Ucayali i Pachitea. W Masisei, osadzie położonej na prawym brzegu Ucayali, w rejonie terenów koncesyjnych, istnieje stacja telegrafu iskrowego, jak również stacja hydroplanów i aeroplanów, kursujących między miastem Iquitos i San Ramon skąd wiedzie droga samochodowa do Oroya, stacji kolei żelaznej wiodącej do stolicy państwa Limy. — Czas potrzebny na komunikację samolotem z Masisei do Iquitos wynosi $4^1/_2$ godziny, do Limy $1^1/_2$ dnia niespełna, z czego $2^1/_2$ godziny samolotem (do San Ramon). Obecnie buduje się od strony stolicy droga samochodowa w kierunku Pachitei i dalej do Ucayali. W roku ubiegłym 1928 w Pucalpie, miasteczku położonem na brzegu Ucayali na terenie koncesji p. Warchałowskiego rozpoczęto budowę drogi żelaznej w kierunku stacji Tambo del Sol na linji kolejowej, prowadzącej do Limy.

Na terenie Montanji prócz Iquitos, o którem wspomnieliśmy na początku, i które posiada blisko 25.000 mieszkańców, leży szereg mniejszych miasteczek. Nad Ucayali – Requena, Orellana, Contamana, Casilla i Pucalpa;

---

* Patrz: uwaga Adama Jarzyny w części V. jego tekstu, zatytułowanej *Wnioski końcowe* (punkt 6. *Propaganda*): „Warchałowski w broszurze «Peru» (Warszawa 1930) wprowadza czytelnika w błąd, pisząc na str. 9, jakoby Iquitos było bliżej portów europejskich, niż południowa Brazylja lub Argentyna. (...) W rzeczywistości z Iquitos do brzegu Atlantyku jest 4.270 km., oczywiście biegiem Amazonki, a stąd do Liverpoolu 4.158 mil morskich (Pará – Madera – Liverpool), a zatem droga okrętowa Liverpool – Iquitos mierzy 6.462 mil m., natomiast Liverpool – Rio de Janeiro 5.158 mil m., a Liverpool – Buenos Aires 6.258 mil. m. Dla przygwożdżenia wykazanego fałszu trzeba dodać, że z Iquitos do koncesyj płynie się jeszcze 2.040 km., najprymitywniejszym parostatkiem". Zob. A. Jarzyna, *Peru...*, op.cit., s. 25 (przyp. autora).

nad Huallagą – Yurimaguas; z nich Contamana posiada 2.000 i Yurimaguas około 4.000 mieszkańców, reszta poniżej tysiąca.

Ludność.

Na terenie Departamentu Loreto zamieszkuje jak to już powiedzieliśmy, około 100 tysięcy ludności z czego 30 tysięcy białych lub mieszańców, reszta są to indjanie, należący do rozmaitych szczepów. Ludność biała w przeważnej części zamieszkuje miasta i większe osady. Indjanie rozsiani są po puszczy.

Miasta i osiedla białych znajdują się wyłącznie przy brzegach rzek, które służą do komunikacji. Indjanie w przeważającej części również mieszkają przy brzegach rzek, ponieważ najłatwiej jest przy rzece o wyżywienie; wyjątkowo tylko niektóre szczepy zapuszczają się w głąb puszczy, przeważnie dla myśliwskich celów. Ludność biała montanji jest mieszaniną rozmaitych narodowości, częściowo są to potomkowie hiszpanów lub mieszańców z góralami; murzynów, w przeciwieństwie do Brazylji, jest tu bardzo mało. Ludność białą cechuje zewnętrzna ogłada, analfabetów nie spotyka się wcale, najmniejsze skupienie białych zakłada natychmiast szkołę. W Iquitos istnieje gimnazjum męskie, szereg szkół początkowych o zakresie naszych szkół powszechnych i jedna szkoła zawodowa. W miasteczku Requena nad Ucayali istnieją dwie szkoły prowadzone przez Franciszkanów – męska i żeńska z internatem. W roku 1928 było tam przeszło 300 uczni i uczennic z całego Ucayali. Sport również jest tu rozpowszechniony. Spotkać można osady z 20 do 30 domków, gdzie istnieją 2 boiska piłki nożnej.

Charakter ludności jest pogodny i spokojny, przestępstwa, bójki i t. p., są rzadkie, mimo bardzo rzadko rozmieszczonej policji.

Indjanie w przeważnej mierze są również usposobienia pokojowego, niektórym szczepom możnaby zarzucić za wielką uległość, które prowadzi do pańszczyźnianego stosunku wobec białych; niektóre szczepy jak Campos (czytaj Kampos) i Cachibos (czytaj Kaszibos), są charakteru niezależnego i postępowanie z nimi wymaga taktu i ostrożności; są oni bardzo wrażliwi na niesprawiedliwość i stąd kilkakrotnie mścili się już na białych za nadużycia. Znaczna część indjan została już nawrócona na chrześcijaństwo, reszta jednak trwa w dalszym ciągu w swych wierzeniach. W Montanji pracuje oddawna szereg misji katolickich należących do zakonu Franciszkanów.

Indjanie prawie wcale nie trudnią się rolnictwem, żyją z rybołóstwa i polowania; dostarczają oni siły roboczej dla nielicznych przedsiębiorstw leśnych i gospodarstw rolnych, najchętniej zajmują się spławem drzewa i obsługą łodzi, służących do komunikacji na nieskończonych szlakach wodnych tego olbrzymiego terytorjum. Jak dotychczas są oni mało albo wcale

nie płatni, pracując za strawę i niezbędne artykuły w gospodarstwie rodzinnem, nic też dziwnego, że nie kwapią się oni do pracy.

Biali mieszkający poza granicami miast i większych osad należą przeważnie do dawnych poszukiwaczy kauczuku, niektórzy ciągle jeszcze oczekują zwyżki cen na ten produkt i dlatego nie biorą się do żadnego zajęcia; nieliczni tylko wzięli się do rolnictwa, które nierzadko daje im zupełnie zadawalniające rezultaty, mimo że nie posiadają ani rutyny, ani znajomości fachowych w tym względzie.

Ze zwierząt dzikich istnieją tu jaguary, pumy, małe oceloty, tapiry, sarny, dziki drobnego gatunku, cały szereg gryzoniów, mrówkojady, małpy i t. p. Kilka gatunków węży i żmij, pozatym masy wszelkiego ptactwa od papug począwszy, a kończąc na kaczkach, czaplach, flamingach i t. p.

Rzeki są niezwykle rybne, niektóre ryby dochodzą do znacznych rozmiarów, dwuch metrów i wyżej; istnieją tam duże jadalne żółwie, dochodzące do 50 kilo wagi, foki rzeczne dużych rozmiarów, nazywane tam krowami rzecznemi o mięsie jadalnym, delfiny; pozatem krokodyle, jaszczury i pancerniki.

Należy wyjaśnić, że zwierząt dzikich poza ptactwem jest tam niewiele i tak samo jak w całej Południowej Ameryce nie są one wielkich rozmiarów i mało niebezpieczne dla ludzi; wreszcie uciekają one od osiedli, płoszone stukotem siekier, a szczególnie palącemi się lasami; o napaści na ludzi nie słyszy się wcale; więcej niebezpiecznemi są moskity, rodzaj komarów, które roznoszą malarję; od tych owadów należy się bronić, utrzymując w czystości obejście, osuszając okoliczne kałuże lub bagienka, jak również zabezpieczając swe domostwa od tych stworzeń przy pomocy siatek w oknach, które tam zastępują szyby. W ten sposób osadnik ma dopływ świeżego powietrza i chroniony jest od owadów, które zresztą ukazują się jedynie po zachodzie słońca.

Las Montanji.

Tereny pokryte są lasami zawierającemi znaczną ilość cennych gatunków drzew. Drzewa te już dziś przy oczyszczaniu gruntu dla celów rolniczych służą jako materjał budowlany na miejscu. Również dziś są materjałem wywozowym. Na obszarach tych rośnie kilka gatunków drzew dostarczających gumy i kauczuku.

Nazwa kauczuku w potocznej mowie obejmuje szereg pokrewnych produktów, z których niektóre dają się zastosowywać w przemyśle do tych samych wyrobów z mniejszem lub większem powodzeniem. Handel określa jednak dość ściśle rozmaite gatunki kauczuku, stosownie do pochodzenia, jak też i do drzew, które go dostarczają.

Najbardziej rozpowszechnionym gatunkiem kauczuku jest produkt z drzewa „Hevea brasiliensis", na światowych rynkach znany jest pod nazwą

„Indja rubber" lub „Parà rubber"; w Peru nosi on nazwę „jebe", w Brazylji „borracha". Gorsze gatunki otrzymuje się z drzewa „Havea guyanensis", jest to tak zwane „jebe deil", (czytaj chebe).

Właściwy kauczuk „caucho" (po hiszpańsku), jest produktem drzew „Castilloa elastica" i „Ficus elastica", ma on mniejsze zastosowanie i niższą cenę.

Z powodu wielkiej produkcji kauczuku z plantacji w Indjach Wschodnich cena na ten produkt spadła znacznie. Na skutek przedłużającego się kryzysu kauczukowego zaczęto w Montanji poszukiwać produktu, któryby zastąpił powyższe gatunki gumy w handlu. Produktem takim okazała się balata, zbliżona swym składem i własnościami do gutaperki, posiada ona zastosowanie przy wyrobie kabli elektrycznych, szczególnie podziemnych i podmorskich, przy wyrobie pasów napędnych, jakoteż zastępuje z powodzeniem gutaperkę przy wyrobie uszczelnień i klap przy pompach hydraulicznych, piłek golfowych i t. d. i t. d.

Balata pochodzi z drzewa „quinilla", najwyższy gatunek „balata rosada" daje „Quinilla dairore", niższy „Sachavaca Quinilla". Cena „balaty rosady" jest prawie dwa razy tak wysoka, jak „balaty blanca". Gutaperka jest produktem drzewa „Sacha Caimito", w Brazylji nazywanej „Abiurana".

„Chicle" guma do żucia jest produktem drzewa „Raya Caspi". Guma ta dotąd była wywożona z Meksyku, jako produkt drzewa „Achras Sapote", drzewo to zostało niedawno również znalezione w Montanji peruwjańskiej.

Eksploatacja „Hevea brasiliensis" odbywa się za pomocą nacinania kory, jak u nas np. przy żywicowaniu sosny. Drzewo może być eksploatowane corocznie to samo dotyczy „Chicle". Balatę i właściwy kauczuk otrzymuje się w ten sposób, że drzewo się ścina, ponieważ nacięte drzewa i tak giną. Przy ścinaniu zaś dają one znacznie większą ilość produktu. Quinilla, prócz balaty daje doskonały materjał budulcowy, między innymi używany na progi kolejowe.

Guma właściwa, kauczuk, balata i t. p. w stanie surowym, natychmiast po zebraniu, przedstawia sok mniej lub więcej gęsty o wyglądzie mleka; sok ten ścina się pod działaniem różnych czynników. Najbardziej rozpowszechnionym sposobem w Montanji jest lekkie nagrzewanie soku nad dymiącym ogniskiem w żelaznych warząchwiach, przyczem dymowi przypisywane jest duże znaczenie; balata ścina się pod wpływem powietrza w dołkach wykopanych w ziemi.

Na terenach tych często spotyka się cedr i mahoń, rzadziej orzech i palisander, na które zbyt w Europie i w Stanach Zjednoczonych jest znaczny. Przy łatwym spławie do Iquitos wyrąb tych drzew stanowić może znaczny zarobek nawet przy obecnych niskich cenach płaconych przez pośredników miejscowych. Cena obecna za cedr w Iquitos, wynosi od 3 do 5 dolarów za metr sześcienny, za mahoń od 6 do 12 dolarów, zależnie od gatunku; śred-

nie drzewo wydaje od 4 do 6 metrów sześciennych. Większe drzewa jak dotychczas nie są spławiane, ponieważ tubylcy nie stosowali dotąd ani zwierząt ani maszyn do ściągania klocy, posługując się wyłącznie siłą ludzką do przetaczania klocy do wody. Prócz drzew dających materjał tartaczny istnieją tam palmy, które dają orzechy używane w przemyśle guzikowym, t. zw. kość słoniową roślinną (tagua), inne dają orzechy dostarczające cennego oleju palmowego jak *chapaja* (czytaj czapacha) – (*babassu w Brazylji*), jeszcze inne dostarczają rodzaju żywicy dającej wosk roślinny (*cera de carnauba*), całe ich szeregi dostarczają owoców bądź zdatnych do jedzenia, bądź nadających się do wyrobu wina (assai) i t. p. Szereg palm, drzew i ljan dostarcza włókna używanego na rozmaite wyroby od kapeluszy począwszy, a na sznurach i morskich kablach skończywszy.

Tereny nadające się do kolonizacji położone są na południe od rzeki Pisqui, lewobrzeżnego dopływu Ucayali, leżą one między 8 a 12 stopniem szerokości geograficznej, nad górnym brzegiem dużej żeglownej rzeki Ucayali i podzielone są na dwie części, północną i południową. Granicę północnej części stanowi rzeka Pisqui, południowej od północy rzeka Chesea (czytaj Czesea) i od południa rzeka Urubamba.

Część północna przecięta jest rzeką Aguaytią, prócz tego kilkanaście mniejszych rzeczek przecina terytorjum i wpada do Ucayali.

Terytorjum to przedstawia równinę o nieznacznej falistości, leży na wysokości od 150 do 300 metrów nad poziomem morza i nie podlega zalewom. Na zachodzie terytorjum to graniczy z pasmem podnóży andyjskich. Na wschodzie graniczy z niskim pasmem gór stanowiących rozdział wód między Ucayali i rzekami Yurua i Purus, jednymi z większych dopływów Amazonki. Cała przestrzeń pokryta jest dziewiczemi lasami. Klimat jest tu podzwrotnikowy, łagodzony sąsiedztwem śnieżnych szczytów Andów, przewiewem wiatrów południowo-wschodnich, oraz zimnymi prądami rzek wypływających z wysokich gór. Odległość od wschodniego pasma wysokich Andów wynosi od 150 do 200 kilometrów w prostej linji. Temperatura w godzinach południowych zwykle waha się od 24 do 27 stopni i nie przekracza nigdy 38 stopni Celsjusza, w nocy następuje znaczne obniżenie temperatury do 15 stopni, co zapewnia organizmowi niezbędny wypoczynek i umożliwia w zupełności pracę.

Podczas dżdżystej pory, od października do kwietnia deszcze padają prawie codziennie, ale tylko wyjątkowo w rannych godzinach, przeważnie zaś wieczorami i w nocy, co pozwala na pracę na roli lub w lesie. W czasie koło Bożego Narodzenia pora deszczowa ulega przerwie, która trwa od dwuch do trzech tygodni. W porze suchej deszcze są rzadsze z przerwami po 2 i 3 tygodnie.

Tropikalne choroby posiadają miejscowy charakter i przeważnie dotykają tubylców; przy obecnym stanie wiedzy lekarskiej i przy odpowied-

nim zachowaniu się, to znaczy – przy odpowiednim mieszkaniu, zabezpieczonem od komarów i robactwa, czystości, częstych kąpielach, używaniu wody źródlanej lub studziennej, a w razie ich braku przegotowanej, jak również nie nadużywaniu mięsnych pokarmów, nie grozi żadne niebezpieczeństwo.

Gleba tutejsza jest niezwykle urodzajną, o podłożu przepuszczalnem z dużą zawartością humusu, nadaje się do długoletniej uprawy bawełny, ryżu, kawy, kakao, koki, bananów, trzciny cukrowej, kukurydzy, fasoli, juki (manioku), batatów i t. d. jak również drzew gumowych i owoców; doskonale tu rosną i owocują: figi, pomarańcze, cytryny, goiaby, mangi, ananasy, papaje (mamony), nie licząc kawonów i melonów; mniej znane, ale bardzo rozpowszechnione w tych okolicach są: czirimoje, anony, palty, lukmy, sapote, granadille, caimito, sapotilje i t. p. owoce te należą do najsmaczniejszych na świecie, niektóre z nich są miejscowemi drzewami leśnemi, przesadzone i hodowane w sadach dają doskonałe urodzaje, część z nich została już zaaklimatyzowana w okolicach bardziej zaludnionych, gdzie stanowi wysoko ceniony i dochodowy produkt.

Rolnictwo.

Rolnictwo nie wymaga tu prawie zupełnie nakładu; na razie zbędna jest orka, bronowanie, i t. p., niepotrzebne więc są pługi, brony, siewniki i t. p., a także konie i woły do pociągu; bogata gleba nie wymaga nawożenia. Uprawa polega na ścięciu lasu i spaleniu go. Cięcie lasu odbywać się powinno w czasie od Maja do Sierpnia, kiedy nie zagrażają deszcze i kiedy ma się pewność zupełną że wyschnięte podszycie, liście i mniejsze gałęzie spalą się dokładnie i szybko, – oszczędza to pracy koloniście, wytwarza większą ilość popiołu i tłumi na jakiś czas wszelkie porośla, co ułatwia uprawę. W powstałe popielisko sieje się lub sadzi wszystkie wyżej wymienione rośliny przy użyciu zwykłego zaostrzonego kija lub co najwyżej gracy. Chwasty na takiej roli w pierwszym roku nie porastają, pojawiają się dopiero w drugim i dopiero w trzecim wymagają większego zachodu. Drzew o znacznej grubości rolnik nie ścina, posiadają one korony bardzo wysoko i nie przeszkadzają uprawie, zresztą las podzwrotnikowy chociaż niezwykle gęsty z powodu bardzo obfitego i wysokiego podszycia, składającego się z palm, trzcin i wszelkiego rodzaju porośli, posiada znacznie rzadziej rozstawione drzewa niż u nas, są one zato znacznie bardziej wyniosłe. Drzewa po 50 i 60 metrów wysokości nie stanowią tu rzadkości.

Urodzajność gleby podzwrotnikowej wogóle, a w Montanji peruwjańskiej w szczególności, jest znacznie wyższa niż u nas, prócz tego uprawiane tu rośliny jak np. bawełna, kawa, kakao, są znacznie droższe od roślin kli-

matu umiarkowanego, wydajność zaś niektórych jest również o wiele znaczniejsza, i tak: trzcina cukrowa daje pięć razy conajmniej tyle cukru z hektara, co buraki, czasami więcej; juka (manjok po portugalsku), roślina dająca jadalny korzeń zastępujący nasz kartofel, bardzo smaczny i pożywny, daje z hektara trzy razy tyle produktu co kartofel; hektar bananów może wyżywić kilka rodzin i t. p.

Większość uprawnych roślin może być siana lub sadzona przez szereg miesięcy, niektóre zaś przez cały rok; zapewnia to rolnikowi pożywienie bez przerwy, niepotrzebne jest przechowywanie produktów, dołowanie i t. p.; manjok (jukę), bataty, banany, kukurydzę, fasolę, trzcinę cukrową zbierać można przez wszystkie miesiące w roku. Zbiór bawełny, kawy, kakao, ryżu, orzechów ziemnych (chińskich) trwa przez pół roku conajmniej, to samo dotyczy owoców, z tych ostatnich najdłużej utrzymuje się pomarańcza, bo prawie przez cały rok, tak że na drzewach ma się jednocześnie kwiat, małe pomarańcze niedawno zawiązane, dojrzewające owoce i zupełnie dojrzałe do jedzenia; ananasy trwają również przeszło pół roku.

Kawa.

Kawa, jest to roślina wyrastająca w krzaczaste drzewko od 3 do $3^1/_2$ metrów wysokości, zaczyna owocować w trzecim roku, w szóstym roku jest już sformowana całkowicie; na średnich ziemiach żyje lat 30, na dobrych znacznie dłużej. Plantacja kawy jest jedną z najzyskowniejszych na świecie; samo sadzenie i pielęgnowanie nie jest trudne, wymaga jednak czystości i częstego motykowania, opieszałość odbija się bardzo wydatnie na plonie. Owoc przypomina naszą wiśnię, nie posiada jednak korzonków i oblepia bezpośrednio wszystkie drobne gałązki drzewka. To co znamy pod nazwą kawy, jest właściwie pestką owocu. W każdej wisience znajduje się po dwie takie pestki. Trudność polega na umiejętnem oczyszczeniu i przygotowaniu tych pestek, do czego potrzebne są cementowane boiska i odpowiednie maszyny. Ztąd uprawa nadaje się dla wielkich gospodarstw bardziej niż dla małych. Koloniści mogą podejmować się tej uprawy jedynie pod warunkiem, że złączą się w odpowiednie kooperatywy, które pozwolą na niezbędne inwestycje i fachową administrację. W pierwszych latach między kawą można sadzić bawełnę, kukurydzę, ryż, fasolę, bataty, orzechy ziemne i t. p. bez najmniejszej szkody dla plantacji. Sadzenie kawy odbywa się w ten sposób, że sieje się ją w szkółkę w miejscu zacienionym, ponieważ w młodości kawa cierpi jeśli jest narażona na bezpośrednią operację promieni słonecznych, zwłaszcza w południe. Roczne flance przesadza się na miejsce starając się również ażeby do czasu zakorzenienia się były ochronione od słońca. W Brazylji w gospodarstwach postępowych, przygotowywanie flanców odbywa się w ten sposób, że kawę

sadzą w rodzaj inspektów bez gnoju oczywiście, gdzie okna są zastąpione matami umieszczonemi na rusztowaniu z bambusu lub żerdzi na wysokości 80 centymetrów do jednego metra. Ziarna nie sadzi się tam bezpośrednio w ziemię ale w małe koszyczki mało co większe od głowy ludzkiej, splecione bardzo prosto z łupanego bambusu lub jakichkolwiek witek. Koszyczki te wypełnia się ziemią i sadzi się z reguły po 4 ziarna. Koszyczki te ustawia się koło siebie ciasno, ażeby lepiej utrzymywały wilgoć, gdy kawa wyrośnie na 10 cali przenoszą lub przewożą ją na plantację, gdzie wysadzają z koszyczkiem razem w ziemię. W ten sposób unika się obnażania korzonków i wogóle uszkodzenia roślin; metoda ta daje absolutną pewność że posadzona kawa się przyjmie. Koszt sporządzania koszyków jest minimalny – robi się je w chwilach wolnych od innych zajęć gospodarczych, w dnie dżdżyste i t. p. jeden robotnik łatwo zrobi 50 do 80 koszyczków dziennie. Krzak kawy stanowią tu właściwie cztery rośliny, które splątują się razem tworząc jeden pień kawy (pe de cafe). W ten sposób zasadzona kawa nie pnie się tak w górę, mocniej opiera się wiatrom i nie ulega nachyleniom, które pod ciężarem owocu nie daje się wyrównać i które szkodzi bardzo roślinie.

Kawę w Peru zaczęto plantować niedawno i jeszcze nie zostały tu wypracowane należycie metody jej sadzenia. Kolonista wychodząc z założenia, że jeśli będzie miał dużo krzaków kawy na hektarze to będzie miał i dużo kawy stara się zasadzić jej jaknajwięcej i stąd wszystkie plantacje są tam zagęszczone, co daje wręcz przeciwny skutek, to znaczy nie zwiększa ale zmniejsza plony; pospolicie sadzą tam po 1200 krzaków kawy na hektarze. W Brazylji gdzie uprawa kawy jest stasowana od bardzo dawna, popełniano ten sam błąd; obecnie jednak pod wpływem doświadczeń zmieniono dawny system i sadzą ją w odstępach nie mniejszych jak 4 na 5 metrów co daje 500 krzaków na hektarze. Wiele majątków kawowych daje jeszcze większe odstępy tak że ilość krzaków nie przenosi 460. Kawa potrzebuje dużo słońca i powietrza. Sadzona gęsto idzie oczywiście w górę i stąd zbiór jej jest trudniejszy, pędy cieńsze i słabsze a stąd i owocowanie mniejsze. Kawa posadzona rzadko, rośnie w krzak, daje silniejsze i dłuższe witki, które dają większy urodzaj, a prócz tego owoce mając większy dostęp słońca lepiej i równomierniej dojrzewają co wpływa na gatunek produktu. Kawa daje pierwszy urodzaj po 3 latach; przy pomyślnych warunkach zbiór z hektara może dać 300 kilo ziarna czystego. Pięcioletnia kawa może dać 800 kilo, starsza 1000 do 2000 kilo, jest to jednak maksymum z poszczególnych hektarów.

Kakao.

Kakao wyrasta w drzewka od 5 do 6 metrów wysokości, w młodości wymaga ono większej opieki, niż kawa. Owoc przypomina małą trochę

wydłużoną dynię o szorstkiej powierzchni, wypełnioną ziarnem, wyrasta na pniu drzewka, i grubszych gałęziach. Czyszczenie ziarna i jego przygotowanie na rynek jest łatwiejsze niż kawy, wymaga jednak pośpiechu, ponieważ dojrzałe ziarno, niewyłuskane z powłoki, łatwo się psuje. Kakao owocuje krócej niż kawa, średnio 20 do 25 lat, pierwszy zbiór daje kakao po trzech latach.

Kakao jest rośliną dziko rosnącą w Montanji; w lesie, bez słońca, jest brzydkim drzewkiem o bardzo słabym ulistwieniu, po wyrąbaniu lasu rozwija się bujnie i staje się jednym z najbardziej dekoracyjnych drzewek Ameryki.

Sadzi się je w rzędy gęściej niż kawę; kakao trudniej się przyjmuje przy przesadzaniu i dlatego bezpieczniej sadzić je odrazu na miejsce, gdzie będzie rość, osłaniając każdą roślinę od zbytniego słońca; gdy się wzmocni, nie potrzebuje już żadnej opieki. Kakao daje średnio od 1000 do 1500 kilo z hektara.

Trzcina cukrowa.

Trzcina cukrowa jest również rośliną wieloletnią, w Brazylji, na Kubie, na zachodzie Peru, trwa od 5 do 7 lat. W Montanji peruwjańskiej Polska Ekspedycja Badawcza w roku 1928, w Cumarii obserwowała plantację 20-letnią, która jeszcze trzymała się doskonale. Uprawa trzciny i zbiór wymagają znacznie mniej zachodu, niż kawa i kakao, warunkiem jednak jest obecność w pobliżu cukrowni, dalszego bowiem przewozu trzcina cukrowa nie wytrzymuje, w stanie ściętym może trwać 6 — 7 dni zaledwie. W małych gospodarstwach leżących daleko od cukrowni opłaca się wyrób cukru nawet domowym sposobem. Cukier otrzymuje się za pomocą zwykłego odparowywania, jest on bardzo ciemny, ale dla domowych potrzeb można go oczyścić zwykłym wielokrotnym szumowaniem. Sok wyciska się zapomocą najprostszych walców, chociażby drewnianych. Sok ten w stanie świeżym jest bardzo przyjemnym w smaku, gasi pragnienie i posiada znaczną wartość odżywczą. Trzcinę sadzi się w zwarte rzędy, oddalone od siebie o półtora metra, do sadzenia używa się kawałków porąbanych dojrzałej trzciny, byleby posiadała w każdym kawałku 3 do 4 oczek. Pierwszy zbiór następuje po 12 miesiącach, następne po 8 miesiącach; liście i młode łodygi jedzone są chętnie przez inwentarz.

Bawełna.

Bawełna jest rośliną jednoroczną; w Montanji peruwjańskiej, zawdzięczając nadzwyczaj bogatej glebie i bardzo sprzyjającym warunkom atmosferycznym trwa jednak kilka lat na jednym miejscu; istnieje w Montanji gatunek, który trwa po kilkanaście lat i dostarcza bardzo cennego i poszukiwanego produktu, urodzajność jego jednak jest mniejsza, niż zwykłych gatunków bawełny. Sadzenie i zbiór bawełny jest łatwy, wymaga czystego

pola, w przeciwnym razie łatwo ulega zarazom. Zbiór bawełny wypada w nasze miesiące letnie, gdy w Montanji panuje najpiękniejsza pogoda. Bawełna daje zbiór w 5 do 8 miesięcy zależnie od gatunku.

Bawełna idzie na sprzedaż w stanie surowym, tak jak zostaje zebrana; w stanie tym ceni się jednak znacznie niżej, niż oczyszczona z ziarna. Oczyszczenie nie przedstawia wielkiej trudności, uskutecznia się za pomocą specjalnej maszyny, którą kilkunastu sąsiadów łatwo może nabyć do spółki. Ziarna bawełny przedstawiają znaczną wartość ze względu na olej, który zawierają i który również można produkować na kolonji wspólnemi silami. Hektar daje 1000 i nawet do 1500 kilo bawełny nieoczyszczonej, której cena wynosi około 25 centów peruwjańskich; na nasze złote wyniesie to średnio 800 do 1000 złotych z hektara. Średnia rodzina kolonisty może uprawić 4 do 5 hektarów. Należy pamiętać, że bawełnę sadzi się rzędami, przeciętnie na półtora metra szeroko; pomiędzy rzędami można sadzić z powodzeniem batatу, fasolę, ryż i cały szereg prędko dojrzewających warzyw, uprawa ich niczem nie zaszkodzi bawełnie.

Ryż.

Ryż przypomina trochę nasz jęczmień; pewne jego gatunki udają się jedynie na terenach nawadnianych, ale są inne, które rodzą jedynie na ziemiach suchych i te właśnie należy siać w Montanji. Uprawa ryżu nie wiele się różni od uprawy jęczmienia, zbiór daje po czterech miesiącach. Sprzedaż ziarna niełuszczonego opłaca się gorzej i dlatego niezbędne jest posiadanie własnych łuszczarni, co nie przedstawia wielkich trudności dla zrzeszonych w kooperatywę osadników. Należy tu podkreślić, że ryż w Montanji przeważnie po skoszeniu odrasta i jeszcze w tymże roku może dać dodatkowy urodzaj, chociaż niższy od pierwszego. Hektar ryżu daje średnio 2000 kilogramów ziarna, co przy cenie 12 centów peruwjańskich za kilo niełuszczonego ryżu wyniesie 840 złotych z hektara. Najniższa cena za łuszczony ryż w Iquitos wynosiła w r. 1928 — 30 centów, czyli przeszło złotego za kilo. Koszt łuszczenia łącznie ze stratą za plewę i mączkę, jako też pobite ziarno można ocenić, licząc bardzo dużo, na 40% surowego produktu, znaczy to, że urodzaj z jednego hektara może wynosić 1200 kilo łuszczonego ryżu netto dla rolnika, co równa się mniej więcej 1200 złotych z hektara nie licząc mączki i pobitych ziaren, które w gospodarstwie zawsze znajdą zastosowanie.

Kukurydza.

Kukurydza, znana roślina i u nas, w Montanji z łatwością daje dwa zbiory w roku, to znaczy, że po zbiorze kukurydzy i przemotykowaniu pola

sadzi się ją powtórnie na tym samym miejscu; lepiej jeszcze sadzić ją kilka razy do roku, z przerwą miesięczną naprzykład, co pozwala na lepsze zużytkowanie czasu i ułatwia zbiór. Urodzaje kukurydzy są rozmaite, zależnie od gatunku; szybko dojrzewające, to znaczy w 4 miesiące dają około 2000 kilo z hektara, gatunki o powolniejszym dojrzewaniu 3 do 4 tysięcy kilo. Kukurydza zastępuje z powodzeniem koloniście nasze zboże. Kasza i mąka daje pożywienie smaczne i posilne; chleb pieczony z domieszką mąki manjokowej jest dobry zupełnie; z domieszką pszennej jest doskonały.

Kukurydza jako produkt na sprzedaż nie powinna być plantowana. Większe jej ilości rzucone na rynek miejscowy niechybnie obniżą jej cenę, bo nie jest to produkt eksportowy, osadnik spożytkowywać ją winien dla karmienia wieprzy, jako dodatek do manjoku i batatów.

Fasola.

Fasola istnieje tam w kilku gatunkach, rodzi doskonale, jest ona podstawowym pokarmem ludności białej ze względu na wysoką swą wartość odżywczą. Sadzi się ją kilka razy do roku, gatunki tak zwane szparagowe, to znaczy używane jako jarzyna, dają niesłychanie obfity plon i owocują przez kilka miesięcy; zbiór daje fasola po trzech miesiącach.

Banan.

Banan jest to rośliną, którą słusznie można nazwać błogosławieństwem tego kraju, rozmnaża się za pomocą odkładów (korzeniowych pędów). Roślina trwa długie lata na jednem miejscu. Wypuszcza od korzenia silne łodygi, które zależnie od gatunku owocują po 8-9-10 miesiącach. Po wydaniu owocu łodyga usycha, obok uschniętej łodygi banan wypuszcza nowe pędy i to przez cały rok; uprawa po zasadzeniu polega na wycinaniu nożem licznych pędów, aby nie dopuścić do zagęszczenia krzaka, co odbiłoby się niekorzystnie na wydajności rośliny. Z jednej posadzonej rośliny po kilku latach otrzymuje się rocznie 10 owocujących łodyg, każda łodyga wydaje kiść, która zawiera od 120 do 200 bananów. Bananów istnieje znaczna ilość gatunków, jedne jada się na surowo, jako owoc, inne używa w kuchni. Jedzą je gotowane, pieczone i smażone, robią z nich mączkę, używają je suszone jak figi. Banany bardzo chętnie jedzone są przez trzodę i drób. Dojrzewają przez okrągły rok. Średnie pole bananów może dać 2500 do 3000 kiści, licząc tylko po 20 kilo kiść (niektóre gatunki ważą 25-30 i więcej kilo), wynosi to 50 do 60 tysięcy kilo z hektara. Jest to wogóle roślina najbardziej płodna na świecie i ztąd naukowa nazwa – Musa paradisiaca, – co znaczy w tłumaczeniu, muza rajska.

Yuca.

Yuca (czytaj juka) (manjok w Brazylji) jest to roślina niemniej pożyteczna niż banan; daje długie i grube korzenie-bulwy, smakiem bardzo przypominające nasz kartofel, tylko o wiele bardziej mączniste, przez co stanowią znacznie silniejszy środek odżywczy. Jedzą ją gotowaną, pieczoną i smażoną. Waga korzeni z pod jednego krzaka nierzadko dochodzi do 20 kilogramów. Z juki wyrabiają mąkę, która stanowi doskonałą przyprawę do mięsa; z juki wyrabiają rozpowszechnionę i u nas w Polsce tapiokę, juka, przyprażona na smalcu z powodzeniem zastępuje wszelkie nasze kasze. Przy wyrobie mąki otrzymuje się bardzo ceniony krochmal. Wyrób mąki i krochmalu jest łatwy i każdy kolonista może je sobie sam wyrabiać przy minimalnym nakładzie. Jukę chętnie je bydło, chlewnia i ptactwo domowe. Uprawa juki jest łatwa, rozmnaża się ona z łodyg czy pędów nadziemnych, które tną na kawałki zawierające 3 do 4 oczek i sadzą w odległości m. w. jednego metra do półtora, od siebie. Zbiór zaczynać się może już po 6 miesiącach, pełny urodzaj daje juka w Montanji w 8-9 miesięcy.

Camote.

Camote (kamote) – batata-doce w Brazylji – czyli słodkie kartofle, jest to roślina dająca duże bulwy, dochodzące nieraz wielkości głowy ludzkiej, rozmnaża się za pomocą naci, którą zrywa się w stanie zielonym z dawniej zasadzonego pola i sadzi się pod motykę, lub szpadel; rodzi prędzej niż juka, podbierać ją można już po 4 miesiącach; w Stanach Zjednoczonych uchodzi za wykwintną jarzynę, płacą za nie znacznie drożej niż za kartofle.

Mani.

Mani (amendoim w Brazylji) – chińskie orzeszki podwójne, nazywane ziemnemi, jest to roślina motylkowa, rosnąca na najsłabszych nawet gruntach. W stanie zielonym przypomina bób. Daje najlepsze urodzaje, jeśli się ją podgarnie wysoko, zasypując ziemią kwiat. Orzeszki, zlekka przyprażone w piecu są bardzo smaczne i bardzo chętnie jedzone i u nas; dostarczają one doskonałego oleju i dlatego są chętnie poszukiwane na wywóz. Zbiór daje roślina po 4 miesiącach.

Tytoń.

Tytoń – znana roślina która daje doskonałe rezultaty w Montanji, niestety plantować go można jedynie w porozumieniu i na rachunek monopolu

państwowego. Plantacje na swój wyłączny użytek są dozwolone, nie mogą jednak przekraczać pewnej normy; urodzaj daje po czterech miesiącach.

Rycynus.

Rycynus – roślina znana i u nas w ogrodach jako krzak dekoracyjny. W Montanji wyrasta w drzewko 6-7 metrowe, średnicy 20 centymetrów i więcej, trwające latami. Dostarcza ona bardzo cennego ziarna, dającego olej używany w aptekach i przemyśle. Zbiór trwać może przez szereg miesięcy.

Warzywa.

Z warzyw udają się doskonale jarzyny znane u nas, nie wyłączając, kapusty, sałat, ogórków i t. p. Prócz tego sadzą tu szereg miejscowych, nieznanych w Europie, ale smacznych i pożywnych.

Hodowla inwentarza.

Hodowla bydła, trzody chlewnej, a szczególnie drobiu w Montanii posiada warunki znakomitego rozwoju. Kury np. wysiadują kurczęta kilka razy do roku, nie słabną przy tym jak u nas, ponieważ w dzień mogą schodzić z gniazda, ze względu na panujące ciepło bez szkody dla wylęgu; las dostarcza pożywienia dla ptactwa domowego i trzody chlewnej, tak że gospodarz nie potrzebuje dokarmiać inwentarza, rzuca mu się trochę ziarna wieczorami, aby je przyzwyczaić do powrotu na noc do domu.

Handel i przemysł.

W Iquitos istnieją duże firmy handlowe, prowadzące handel eksportowy i importowy z Europą i Stanami Zjednoczonemi; w kilku osiedlach na brzegach Ucayali istnieją sklepy detaliczne, prowadzące jednocześnie skup towarów, produkowanych na tym terytorjum; również handlem trudnią się wszystkie parowce, które kursują po Ucayali, są to właściwie pływające sklepy. Bardzo często spotykaną formą handlu jest handel zamienny, to też w tej dziedzinie jest duże pole dla bardziej przedsiębiorczych i fachowych ludzi, jak również dla wszelkich organizacji spółdzielczych.

Przemysł jest rozwinięty bardzo słabo. Koło Iquitos nad Amazonką, przy ujściu rzeki Nanay, istnieje tartak parowy obliczony na eksport, drugi podobny znajduje się również nad Amazonką niedaleko ujścia Ucayali, kilkanaście mniejszych rozrzuconych jest nad Amazonką i Ucayali obliczone są one na potrzeby lokalne jedynie i nie są stale czynne; ostatnie te tartaki są jednogatrowe.

W Iquitos istnieje niewielka stocznia dla rzecznych parowców, trudniąca się przeważnie naprawami; fabryczka mydła, dwie fabryczki lodu sztucznego i wody sodowej, parę zakładów stolarskich posiadających maszyny, jeden warsztat mechaniczny większy. W okolicy Iquitos istnieją dwie cegielnie.

Pozatym w Iquitos i w kilku większych osiedlach istnieją elektrownie dostarczające prądu, przeważnie dla oświetlenia.

Od maszyn i artykułów przemysłowych, służących dla rozbudowy i użytku rolnictwa rząd peruwjański nie pobiera cła, inne artykuły przemysłowe prócz luksusowych, opłacają połowę cła płaconego w portach nad Oceanem Spokojnym.

Zbyt.

Zbyt na produkta rolne i hodowlane istnieje na miejscu. Produkta te skupują miejscowi kupcy i przepływające parowce. W tej dziedzinie panuje obecnie wyzysk rolnika, jego jest rzeczą zorganizować się, aby bez udziału drobnych pośredników produkt swój zbywać w pierwsze ręce.

Ceny.

Ceny artykułów spożywczych na targu w Iquitos w marcu 1928 roku były następujące:

	złotych od	do
mięso wołowe	2.80	3.50
mięso wieprzowe	2.00	2.40
słonina	2.80	3.50
smalec	5.00	6.00
ryba świeża, zwykłe gatunki	1.20	1.70
ryba suszona	2.00	2.40
kukurydza	0.20	
fasola	0.35	0.50
ryż	1.00	1.20
cukier	2.00	3.50
mąka pszenna	1.70	
mąka manjokowa	0.50	0.70
orzeszki chińskie	1.00	
banany kiść (od 100 do 200 sztuk)	1.00	3.50
juka (manjok) kosz około 15 kilo	2.00	3.00
bataty (słodkie kartofle) kosz 15 kg		3.50
cebula		1.70
kura	3.50	7.00

Polacy w Peru.

Polaków w Peru jak dotychczas jest bardzo mało. Do czasu przekopania kanału Panamskiego, to znaczy do roku 1915 podróż trwała blisko dwa miesiące. Koszt podróży był znaczny i nie zachęcało to wychodźców do obierania tego kraju na siedlisko dla siebie, wolano bliższą Brazylję lub Argentynę.

Pierwsi polacy, którzy przybyli do Peru byli to przeważnie inżynierowie i profesorowie wyższych uczelni, część ich zmarła, inni wrócili do Polski. Dopiero po wojnie udało się do Peru kilkudziesięciu Polaków z Borysławia, Krosna i Krościenka, zaangażowanych na tamtejsze pola naftowe. Ludzie ci, to przeważnie wiertacze naftowi i kowale, są oni bardzo cenieni jako fachowcy i bardzo wysoko płatni, muszą jednak wyjeżdżać na kontrakty zawarte w Polsce; pracownicy zgłaszający się na terenach już w Peru nie są albo wcale przyjmowani do pracy, albo są płatni na dniówkę na równi z miejscowymi robotnikami.

W ostatnich latach co raz więcej Polaków zaczęło przybywać do Peru, liczba ich nie przekracza jednak setki, część z nich udała się na kolonje rządowe w dolinie rzek Pangoa, Satipo, część zamieszkuje w stolicy, kilkunastu zaś rozproszyło się po kraju.

Dopiero obecnie po udzieleniu przez rząd polski pozwolenia na rekrutację osadników na tereny Spółdzielni Osadniczej „Kolonja Polska", przejętych z koncesji p. Warchałowskiego można spodziewać się liczniejszej emigracji do Peru.

Rynek pracy.

Peru posiada bardzo ograniczony rynek pracy i stąd udawanie się tam w poszukiwaniu pracy zarobkowej jest bezcelowe. Część nadmorska Peru posiada duże gospodarstwa rolne i przemysł cukrowniczy, zatrudniające dużą ilość rąk roboczych przeważnie miejscowego pochodzenia; ceny płacone za robociznę są niskie, koszta zaś utrzymania znaczne. Na płaskowyżu istnieje liczna ludność a bardzo niewiele przedsiębiorstw poszukujących rąk roboczych, stąd płace tu są jeszcze niższe.

W Montanji zapotrzebowania na ręce robocze, jak dotychczas niema prawie wcale. Montanja jest krajem dokąd mogą jechać tylko ludzie, życzący sobie osiąść na ziemi na własnych gospodarstwach. Zdobycie własnego gospodarstwa nie jest tu trudnem, a korzyści są niewątpliwie o wiele większe, niż przy zarobkowaniu u obcych.

Należy pamiętać, że człowiek pracujący na własnym kawałku ziemi zużywa cały swój czas, całą swoją umiejętność, całą swoją energję wyłącznie dla siebie; jeśli nawet początki będą trudne, jeśli będzie miał do zwalczenia pewne trudności i braki, to jednak może być pewien, że po paru latach

zostanie niezależnym panem u siebie i może być spokojnym o swoją starość i byt swoich dzieci. Jeśli zabierze się energicznie do pracy, to może w krótkim czasie dojść do znacznego majątku. Pamiętać należy również, że o ile dla robotnika rodzina jest przeważnie ciężarem, to dla gospodarza na własnej ziemi jest ogromną pomocą. Stąd celem wychodźcy do Peru, winno być jedynie osiadanie na roli i zdobywanie sobie jak największego obszaru ziemi zawczasu, ponieważ cena ziemi będzie wzrastać w miarę zaludnienia kraju.

Opieka konsularna.

W Peru istnieje tylko jeden Konsulat honorowy w Limie.

Konsul załatwia wszelkie czynności związane z uzyskaniem nowych paszportów, prolongowanie starych, poświadcza wszelkiego rodzaju dokumenty, wydawane przez władze miejscowe, w celu nadania im mocy w Polsce, bez czego nie mają one wartości. Konsul prowadzi postępowania spadkowe, metryki urodzeń i ślubów, o ile żadna z osób zgłaszających się nie jest obywatelem Peru.

Konsul broni obywateli polskich przed nadużyciami władz, osób i przedsiębiorstw miejscowych.

Za pośrednictwem Konsula można wysyłać pieniądze do kraju za co płaci się 2% od sumy wysyłanej.

Do konsula polskiego należy zwracać się w wypadkach krzywdy lub nadużycia.

Listy do Konsula adresuje się w ten sposób: Consulado de Polonia, Avenida Soldado Desconocido 477 Lima.

Telegramy: Polconsul Lima – te dwa słowa tylko, bez dodawania nazwiska lub adresu.

Adam Jarzyna

PERU – PERSPEKTYWY POLSKIEGO OSADNICTWA ROLNEGO*

Doktor Adam Jarzyna był w okresie międzywojnia jednym z czołowych autorów zajmujących się problematyką emigracji. W swych pracach prowadził między innymi rozważania na temat polityki emigracyjnej państw, jej determinantów oraz skutków**. W przedstawionym poniżej tekście skupił się natomiast na kwestii perspektyw polskiego osadnictwa rolnego w Peru. Podstawowym celem jego rozważań była odpowiedź na pytanie, czy na terenach objętych koncesjami kolonizacyjnymi, które przyznane zostały Kazimierzowi Warchałowskiemu oraz Polsko-Amerykańskiemu Syndykatowi Kolonizacyjnemu, osiedlenie się Polaków jest dla nich korzystne i bezpieczne. Warto zwrócić uwagę na wydźwięk tekstu. Adam Jarzyna skłonił się w nim bowiem przeciw polskiemu osadnictwu rolnemu w Peru, uważając je za formę zarobkowania posiadających koncesje jednostek prywatnych, nie za rozwiązanie mogące przynieść jakiekolwiek zyski wychodźcom. Co więcej, określał zachęcające do wychodźstwa broszury i odczyty koncesjonariuszy jako treści propagandowe, tendencyjne, a nawet fałszywe. Artykuł Jarzyny jest więc nie tylko nieoceniony dla niniejszej publikacji ze względów poznawczych, stanowi również istotny komentarz dwóch zamieszczonych uprzednio tekstów, pierwszego, którego autorem był Warchałowski oraz drugiego wydanego nakładem Polsko-Amerykańskiego Syndykatu.

* * *

* A. Jarzyna, *Peru...*, op.cit.

** Zob. A. Jarzyna, *Polityka emigracyjna*, Dom Książki Polskiej, Warszawa 1933; A. Kicinger, *Polityka emigracyjna II Rzeczpospolitej*, Central European Forum for Migration Research, Warszawa 2005, s. 7-46, 69-71, http://www.cefmr.pan.pl/docs/cefmr_wp_2005-04.pdf, [dostęp: 08.07.2013]; K. Kopeć, *II RP wobec problemu wychodźstwa. Regulacje prawne, kolonie, faktorie*, http://www.krzysztofkopec.pl/podstrony/historia/emigracja.html, [dostęp: 08.07.2013].

Widoki dla osadnictwa rolnego w Peru na terenach polskich koncesyj.

Problem osadnictwa rolnego w Montanji peruwiańskiej zajmuje dopiero od niedawna opinję publiczną. W 1925 r. zapoczątkowana została między rządem polskim a peruwiańskim wymiana zapatrywań na temat możliwości osadnictwa polskiego w Peru. Urząd Emigracyjny nie kontynuował jednak z naszej strony dalszych pertraktacyj i w najbliższych kilku latach odnosił się z rezerwą do pomysłów kolonizacji Montanji. Dopiero prywatne jednostki, otrzymawszy w 1927 r. koncesje na tereny, położone w dorzeczu Ucayali, rozpoczęły „amerykańską" agitację za kolonizacją wschodniego Peru, atakując nieustannie władze i opinję publiczną memorjałami, odczytami, artykułami w prasie i t. p. Początkowe niepowodzenia nie zraziły koncesjonarjuszy, szło przecież o setki tysięcy hektarów podzwrotnikowych lasów, mających im przypaść niemal za darmo. Reklama osiągnęła swoje: o kolonizacji Peru jest dzisiaj w Polsce głośno, powiedzmy odrazu – za głośno.

Spróbujemy problem ten, w miarę dostępnych materjałów, oświetlić. Najwięcej danych w tej mierze zawierają relacje członków polskiej ekspedycji badawczej, która eksplorowała dorzecze Ucayali w czasie od kwietnia do maja 1928 r. włącznie, t. j. przez około dwa miesiące. Inne źródła są bardzo skąpe; tereny koncesyjne nie były dotąd przedmiotem szczegółowych badań naukowych.

I. Kraj.

1. *Położenie i ukształtowanie kraju.* Peru rozpada się pod względem topograficznym na trzy strefy: wąski pas pobrzeża Pacyfiku „costa", obszar górzysty potężnych masywów Andów „sierra" i nizina, opadająca na wschód od Andów w kierunku Amazonki „montana", w danym wypadku nazwa ta oznacza puszczę (el monte), a nie góry.

Montanja przedstawia, z wyjątkiem wschodnich stoków Kordyljerów, równinę aluwialną, poprzecinaną dopływami Amazonki i jej własnem korytem. Puszcza tropikalna pokrywa ten wielki, gorący i wilgotny obszar, rozciągający się pomiędzy ca 3° i 14° południowej szerokości geograficznej,

oraz 78° i 70° długości zachod. od Greenwich. Obszar ten należy do departamentów Loreto i Madre de Dios, a częściowo do departamentów Amazonas, San Martin, Huanuco, Junin i Cuzco, które obejmuje także tereny, należące w części do sierry.

Od reszty kraju oddzielają Montanję pasma Kordyljerów (Andów), przez które niema dotąd możliwej komunikacji. Wprawdzie od strony Limy, stolicy Peru, kolej przekroczyła już jedno pasmo Kordyljerów, przedzierając się przez góry na wysokości 4.775 metrów, aby się dostać do Oroya (3.773 m.), poczem jedna odnoga wspina się na północ do Cerro de Pasco, druga na południe do Huancavelica. Chcąc jednak dostać się do Montanji, należy od ostatnich stacyj kolejowych przebyć jeszcze dwa pasma górskie. Wskutek tych trudności komunikacyjnych Montanja jest jak najszczelniej oddzielona gospodarczo od reszty kraju.

2. *Tereny polskich koncesyj* leżą w dorzeczu Ucayali, uważanej za dopływ Amazonki. Koncesja Warchałowskiego składa się z dwóch części:

a) odcinek północny stanowi pas ziemi wzdłuż lewego brzegu Ucayali, szerokości 35 km., ograniczony od północy rzeką Pisqui, od południa rzeką Pachitea;

b) odcinek południowy zajmuje obszar, położony na prawym brzegu Ucayali, w pasie 35 km. od biegu rzeki, ograniczony od północy rzeką Chesea (Chesca), a od południa rzeką Urubamba. (Zobacz tereny, zakreskowane na szkicu)*.

Polsko-Amerykański Syndykat Kolonizacyjny, który odtąd będziemy nazywać „Syndykatem", otrzymał koncesję na ziemie, położone w widłach rzek Tambo i Urubamba, łączące się w wspólne koryto, zwane odtąd Ucayali. Ponadto 35 km. pas na prawym brzegu rzeki Urubamba. Południową granicę koncesji stanowi linja, łącząca ujście rzeki Yavero z ujściem rzeki Anapati, wkońcu do koncesji należy obszar, położony na lewym brzegu rzeki Tambo, ograniczony od półn.-zachodu rzeką Unini. (Zobacz szkic)**.

Tereny koncesyj przedstawiają nizinną równinę, wyniesioną 150-300 m. nad poziom morza. Jedynie w południowej części terenu Syndykatu znajdują się wyniosłości, nieprzekraczające zresztą 700 - 800 m.[1].

Na zachód od terenów koncesyjnych rozciąga się pomiędzy rzekami Tambo, Perene i Pachitea wyż, zwany Gran Pajonal, długi około 220 km., szeroki około 165 km., odgraniczony od dorzecza Ucayali pasmem bezimiennych gór, nieprzekraczających 2.000 m. wysokości[2]. Wyż ten pokrywa step, tu i ówdzie porośnięty krzakami i mniejszemi trawami. Gran Pajonal

* Mapa nr 4 w niniejszej publikacji (przyp. autora).
** Tamże.

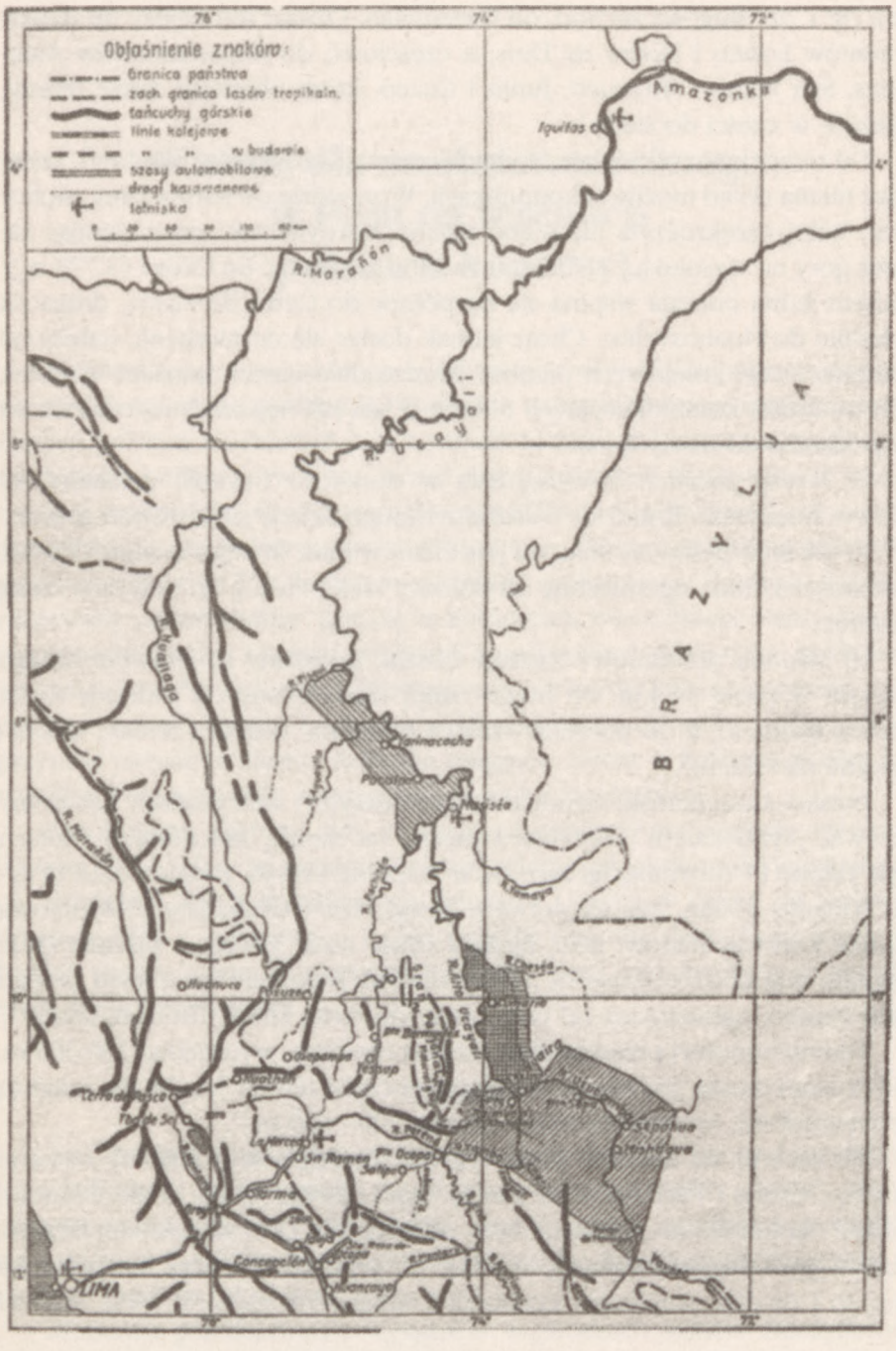

Mapa nr 4. Peru – tereny polskich koncesyj

Źródło: A. Jarzyna, *Peru*..., op.cit., s. 27.

nie jest dotąd zbadany, jest ojczyzną dzikich plemion indyjskich, z których najliczniejsi są Kampowie.

3. *Rzeki.* Nizinną równinę Montanji przerzynają liczne rzeki, mające brzegi dość niskie, zalewne, o korytach pokrytych mnóstwem wysp i mielizn. W czasie przyboru wody zalewają nadbrzeżne lasy. Wszystkie rzeki Wschodniego Peru mają silny prąd, co wobec małego nachylenia, przypisać należy raczej ciśnieniu wielkich mas wód. Najpotężniejsze arterje rzeczne Montanji, to Maranon i Ucayali, które pod Payarote łączą się; wspólny ich dalszy bieg nazywa się odtąd Amazonką. Podczas pory suchej wyłaniają się z pod wód olbrzymie piasczyste lub kamieniste mielizny i to zarówno przy brzegach, jak i pośrodku koryta, żegluga wówczas wymaga wielkiej uwagi i zręczności. Brzegi rzek pokrywa puszcza podzwrotnikowa. Wskutek częstej zmiany koryt tworzą się w pobliżu głównego biegu rzek liczne jeziora, nie zawsze wykazane przez mapy.

Rzeka Ucayali w górnym swym biegu aż do ujścia Pachitei nosi nazwę Alto Ucayali, poniżej nazywają ją Bajo Ucayali. Jest ona spławna na całej swej długości. Przy złączeniu z Maranon liczy 1.500 m. szerokości.

Rzeka Tambo jest długa na 170 km., powstaje ze zlewu rzek Ene i Perene. Przy ujściu liczy około 400 m. szerokości. W przeciwieństwie do innych dopływów Ucayali, Tambo posiada wysokie brzegi.

Sieć dróg wodnych Montanji wynosi łącznie około 16.000 km. W porze suchej, w czasie niskiego stanu wód, cyfra ta maleje prawie do połowy.

4. *Klimat.* Wschodnie stoki Kordyljerów cechuje duża ilość opadów, powodowanych przez passaty. Opady wyładowują się w niższych strefach w formie gwałtownych upustów deszczowych. W strefie średniej i wyższej wielka ilość wilgoci powoduje tworzenie się tam stałych mgieł (Weberbauer: Nebelwaldgebiet). Im niżej, tem ilość opadów się zwiększa. Przypadają one zwykle na godziny popołudniowe. Pora deszczowa trwa od października do końca kwietnia włącznie, pora sucha całą resztę roku[3]. Przeciętna opadów w Iquitos, stolicy departamentu Loreto, wynosi 2.623 mm.[4] (w Polsce 585 mm.). Nie posiadamy danych, przemawiających za tem, by na terenach koncesyj polskich ilość opadów była mniejsza jak w Iquitos. Sztolcman* pisze, że na wschodniej stronie Andów deszcze padają w takiej ilości, że można strony te uważać śmiało za najbogatsze w opady atmosferyczne może

* Adam Jarzyna w prezentowanym tekście powoływał się na dwutomowe dzieło J. Sztolcmana zatytułowane: *Peru. Wspomnienia z podróży.* Publikacja ta, wydana w 1912 roku w Warszawie, w roku 1927 została szczególnie wyróżniona przez peruwiański Kongres. Co więcej, w specjalnej uchwale polecono ją przetłumaczyć na język hiszpański i wydać w Peru. O projekcie z czasem zapomniano. Zob. B. Konarska-Pabiniak, op.cit., s. 12; E.S. Urbański, *Jan Sztolcman w Peru i Ekwadorze*, op.cit., s. 149 (przyp. autora).

na całym świecie[5]. Według Bürgera, u wschodniego podnóża Andów panuje wysoka przeciętna temperatura, odpowiadająca danej szerokości geograficznej[6]. W odniesieniu do polskich koncesyj, przyjąć należy poprawkę polskiej ekspedycji badawczej, że klimat w tej stronie łagodzi wpływ zimnych wód, płynących z niedalekich już Andów. Przeciętną temperaturę u zbiegu Ucayali i Maranon podaje Lepecki* na +26° C, na odcinku północnym koncesji Warchałowskiego +25° C, u zlewu Urubamby i Tambo +22° C. Wedle J. G. Bartolomew, „Atlas of Meteorology" przeciętna roczna temperatura wynosi tu +24° C. Dla porównania podajemy, że w Warszawie przeciętna temperatura roczna wynosi +7,2° C. Pora deszczowa dokuczliwa jest szczególnie z powodu wielkiej wilgotności powietrza, co utrudnia znoszenie gorąca. Ogólnie biorąc Montanja posiada klimat typowo tropikalny, na obszarach górnego dorzecza Ucayali nieco złagodzony.

5. *Roślinność.* Montanja pokryta jest na całej niemal swej przestrzeni puszczą podzwrotnikową, obfitującą w najrozmaitsze gatunki drzew. Spotyka się tu liczne odmiany palmowców i gumowców, mahonie, cedry, laur, drzewo różane, chlebowiec i nieskończenie wiele innych. Pomiędzy olbrzymami leśnemi ciśnie się mnóstwo krzewów, z tych wiele dostarczających barwików roślinnych i służących do wyrobu lekarstw; wszystko to splątane jest ljanami i przeróżnemi pnączami. Promienie słońca nie przenikają sklepienia gęstwiny, więc w lesie panuje wilgoć. Gdy wejść pod pokrywę lasu, uderza zaduch, powstały z wyziewów gnijących pni drzewnych i resztek roślinnych. W puszczy tej nie można się poruszać na dalszą odległość bez użycia specjalnego noża (macheta) do wycinania ścieżki w gąszczu. Lepecki twierdzi, że lasy nadukajalskie są jednak łatwiej dostępne od puszcz parańskich lub paragwajskich.

6. *Świat zwierzęcy.* Bogactwo świata zwierzęcego Montanji jest przedłużeniem zasięgu fauny brazylijskiej (Amazonji). Żyje tu puma, jaguar, obok innych gatunków kotów, niedźwiedź, dzika świnia, pancernik, liczne odmiany małp, krowa rzeczna, delfin, sarna, lis, wampir i t. d. Bogactwem ptaków, gadów i ryb dorzecze Amazonki przewyższa Afrykę. W rzekach spotyka się bardzo liczne krokodyle (Caiman niger, Caiman sclerops).

Lasy rozbrzmiewają od krzyku pstrych papug i innego niezwykle licznego ptactwa.

---

* Mieczysław Bohdan Lepecki (1897-1969) – polski podróżnik, literat i publicysta. Był członkiem ekspedycji badawczej, składającej się z delegatów Urzędu Emigracyjnego i Banku Gospodarstwa Krajowego, która w styczniu 1928 roku wyruszyła do Peru, aby zbadać możliwości polskiego osadnictwa w tym kraju. Zob. J. Mazurek, op.cit., s. 152; M. Mołotkin-Dopierała, *Lepecki Mieczysław Bohdan*, [w:] *Encyklopedia polskiej emigracji i Polonii*, [red.] K. Dopierała, T. 3, Oficyna Wydawnicza Kucharski, Toruń 2004, s. 147-148 (przyp. autora).

Z wężów jadowitych istnieje mnóstwo odmian. Do pospolitych należą: koralówka (Elaps corallinus), grzechotnik, grożnica niema (Lachesis mutus), obok kilku innych odmian Lachesis (żararaka) i t. p. Dość rzadkim, lecz może najniebezpieczniejszym, jest shushupi, wąż, który sam atakuje człowieka, a nawet potrafi go ścigać. Z niejadowitych najgroźniejszy jest boa dusiciel i jego wodna odmiana, anakonda[7].

Brzegi wód Montanji roją się od żółwi wszelkich rozmiarów, aż do olbrzymów o 2 m. średnicy. Jaja żółwie są poszukiwane do jedzenia, a także do wyrobu oleju, służącego do przyprawiania potraw, oświetlenia, smarowania skór i t. p.

W rzekach i jeziorach znajduje się niezwykle obfity i różnorodny rybostan. Do największych ryb należy paichi (Vastres gigas), dochodząca do trzech metrów długości i trzech cetnarów wagi. Poluje się na nią harpunem, następnie kraje na kawałki, które się soli i suszy. Ryby stanowią najważniejszą podstawę alimentacyjną indjan i uboższej ludności cywilizowanej. Z niebezpiecznych mieszkańców wód spotyka się tu strętwę elektryczną, raję, czyli jadowitą płaszczkę amerykańską, piranję, czyli kąsacza, canero (Vandellia plazaii) i w. in.

II. Ludność.

1. *Wschodnie Peru* jest słabo zaludnione. Największy pod względem obszaru departament Loreto, o powierzchni 332.000 km.^{2}, ma około 86.000 ludności[8]. Wypada stąd gęstość zaludnienia ca 0,27 mieszkańca na kilometr kwadratowy. (Dla porównania podajemy, że Polska na obszarze niewiele większym, bo 388.000 km.^{2}, ma 30 miljonów mieszkańców).

W miarę posuwania się w górę rzeki Ucayali, ludność biała staje się coraz nieliczniejsza, a ludność indyjska coraz dziksza. Przypuszczalnie ludność departamentu Loreto składa się w 10% z białych, 20% z metysów i 70% z indjan.

2. *Biały* nie jest ściśle od metysa rozróżniany, raczej powszechne jest pojęcie „civilizado", co oznacza obywatela, w którego żyłach płynie choćby drobny odsetek białej krwi i który pędzi tryb życia ucywilizowany. Ponieważ indjanie mają stosunkowo jasne zabarwienie skóry, przeto trudno jest odróżnić mieszańca od smagłego kreola czystej krwi.

Ludność biała Montanji składa się z wychodźców z głębi Peru, pozatem w okresie gorączki kauczukowej w latach przedwojennych napłynęło sporo awanturników różnych ras i narodowości. Ponieważ biali wchodzili najczęściej w legalne lub nielegalne związki z indjankami, przeto ilość mieszańców nieustannie wzrastała. Civilizados używają języka hiszpańskiego, usposobienie mają spokojne, raczej leniwe, przestępczość wśród nich jest mała, nie są pochopni do bójek i nie oddają się kradzieży. Żyją głównie z eksploatacji

lasów, mniej chętnie uprawiają rolę, używając przytem do pracy półniewolnych indjan.

Peruwańczykom naogół nie brak zalet umysłowych, lecz najczęściej brak im energji do przeprowadzenia konkretnych zamierzeń. Uchodzą za zniewieściałych i mało wytrwałych. Kobiety przewyższają mężczyzn energją, inicjatywą i stanowczością sądu. Potrzeba oświaty znajduje u białych zrozumienie, departament Loreto liczy 98 szkół powszechnych.

Domy ludności cywilizowanej zbudowane są z belek, przytem ściany, podłogę i sufit robi się z dzikiej trzciny. Zamiast gwoździ używa się ljan, a za dach służą odpowiednio związane liście palmowe. Domów z desek nie widzi się prawie zupełnie. Budulca dostarcza bezpłatnie puszcza[9].

Lekkich ubrań używa ludność cywilizowana głównie jako ochrony przed owadami i ze względów przyzwoitości.

Cudzoziemcy osiedlający się jako koloniści otrzymują czynne prawo wyborcze i mogą sprawować urzędy autonomiczne. Nie podlegają powszechnemu obowiązkowi służby wojskowej, który nie jest zresztą zbyt uciążliwy, ponieważ wybiera się małą ilość rekruta. Dzieci cudzoziemców, urodzone w Peru, uważane są za tamtejszych obywateli. Uzyskanie obywatelstwa przez imigranta nie jest trudne.

3. *Indjanie.* Ludność wschodniego Peru skupia się przedewszystkiem nad brzegami spławnych rzek. Plemiona indjan żyjące zdala od tych dróg komunikacyjnych są zupełnie dzikie, pędzą koczowniczy tryb życia, oddając się rybołóstwu, polowaniu, a w drobnej tylko części uprawie roli. W Montanji mieszka koło stu plemion indyjskich, różniących się językiem i obyczajami. W pobliżu koncesyj polskich żyje liczne plemię kampów (Campa) zamieszkujących kraj od rzeki Pachitei i Pichis, aż do górnej Madre de Dios i Urubamby. Kampowie są pracowici i zapobiegliwi, odznaczają się walecznością i poszanowaniem cudzej własności. Ustalonej zresztą w Montanji opinji o indjanach, że są nierobami, brudasami i złodziejami, nie można stosować do kampów. Wprawdzie można się zgodzić, że indjanie naogół nie stanowią dobrego robotnika, ale przyczyny tego nie należy dopatrywać się tylko w lenistwie. Dzicy ludzie nie znoszą stałej systematycznej pracy, nużą się szybko, a już szczególnie gardzą zajęciami rolniczemi. Są za to doskonałymi drwalami, wioślarzami i rybakami. Ilość kampów oblicza Lepecki na 20 - 25 tysięcy.

Pomiędzy rzeką Pachiteą, Aguaitią, Pisqui i Huallagą mieszka ludożercze plemię kaszybów (Cashibos). Są oni najdzikszymi z pośród indjan, białych nie znoszą i nie dopuszczają nikogo na swe terytorja[10].

4. *Stosunek białych* do indjan pozostawia bardzo wiele do życzenia, można powiedzieć, że jest on dotychczas wrogi. Civilizados zmuszają indjan do pracy, wyzyskując ich w sposób bezwzględny. Gdy przeszkadzali im

niegdyś w zbieraniu kauczuku tępili ich doszczętnie. Obecnie wszystkie plemiona mieszkające nad Ucayali obrócili w niewolników i posługują się ich bezpłatną pracą. Gdzie nie można było zdobyć indjanina do pracy siłą, tam użyto innego sposobu, aby indjanina od siebie uzależnić. Podstawą tej zawisłości indjanina od białego są długi. Indjanin chętnie bierze na kredyt potrzebne mu przedmioty jak noże, siekiery, scyzoryki i t. p., a „patron" każe mu cenę tych rzeczy odrobić, pilnie czuwając, aby przez coraz to nowe zaliczki dług indjanina ciągle się odnawiał. W rezultacie wytworzyły się stosunki podobne do pańszczyzny. Indjanin osiedla się tam, gdzie mu rozkaże biały, a dla niezbędnego wyżywienia siebie i swej rodziny uprawia kawałek przydzielonego gruntu. Indjanie „pańszczyźniani" szybko marnieją fizycznie i giną, gdyż ich pierwotny organizm nie znosi ciężkiej pracy.

O ile civilizados nie lubią indjan, to ci ich wprost nienawidzą. Wszystkie plemiona, z kampami i kaszybami na czele, zawsze są gotowe do nowego powstania, których w Montanji było już bez liku[10].

5. *Zdrowotność.* Choroby podzwrotnikowe są największą plagą Montanji, tem dotkliwszą, że opieka lekarska i szpitalnictwo poza miastem Iquitos niemal zupełnie nie istnieją.

Najbardziej rozpowszechnioną chorobą jest robaczyca (ankylostomiasis – tęgoryjec dwunastnicy). Przyczynę schorzenia stanowi pasorzyt przewodu pokarmowego, który przyczepia się do błony śluzowej dwunastnicy i ssie krew. Choroba przybiera na sile w miarę rozmnażania się robaków i ubytku krwi. Objawami są: osłabienie, zanik energji, obrzęki, charłactwo. Chorobę tę leczy się olejkiem chenopodjowym lub czterochlorkiem węgla.

Pian (framboesia) jest groźnem schorzeniem zakaźnem, zbliżonem do kiły (syphilis). W dorzeczu Ucayali pian stanowi obok robaczycy największą klęskę dotykającą ludność. Trzeba nadmienić, że do rozpowszechniania się tej choroby przyczyniają się owady przenoszące infekcję. Nazewnątrz występuje choroba ta w postaci owrzodzeń (wykwity pianowe). Głównem ogniskiem zarazy jest Iquitos. W niektórych osadach 75% mieszkańców jest dotkniętych tą chorobą[11].

Częstem powikłaniem przy framboesis jest wrzód tropikalny, który przyłącza się na skutek zdrapania naskórka i powoduje przewleczenie choroby.

Leishmaniasis, zwana przez krajowców uta, polega na tworzeniu się trudnych do wygojenia owrzodzeń, jest bardzo rozpowszechnioną nad Ucayali, a pozatem spotyka się ją niemal w całem Peru.

Zimnica (malarja) najbardziej nawiedza dorzecze dolnego Ucayali. Idąc w górę rzeki, zimnica, wedle d-ra Freyda*, pojawia się coraz rzadziej

* Aleksander Freyd – polski podróżnik, doktor medycyny, specjalista od chorób tropikalnych; wchodził w skład ekspedycji, która udała się do Peru w styczniu 1928 roku,

i to raczej w porze deszczowej. Infekcja następuje wskutek ukąszenia przez komara widliszka (Anopheles), którego chmury roją się nad wodami Montanji. W szeregu miejscowości możliwość nabawienia się zimnicy dochodzi do 100%[12].

Europejczycy mogą się zabezpieczyć w krajach tropikalnych przed infekcją malarji przez systematyczne zażywanie chininy, które musi być jednak przeprowadzone z nieubłaganą surowością i dokładnością, gdyż najmniejsze zaniedbanie prowadzić może do wybuchu choroby[13].

Trąd nieobcym jest mieszkańcom Montanji. Ilość trędowatych wynosi tu przypuszczalnie około 400. Pomimo formalnego przymusu internowania w jedynem trędowisku w San Pablo nad Amazonką znajduje się tylko 46 chorych, z czego oczywiście wynika, że reszta trędowatych przebywa na wolności, ocierając się o zdrowych ludzi[14].

Czerwonka pełzakowa występuje w Montanji epidemicznie co kilka lat, dziesiątkując wówczas tubylców. Ekspedycja stwierdziła, że w Monte Carmelo na 34 robotników indjan – 29 było chorych na czerwonkę[15].

Do szerzenia się chorób przyczynia się okoliczność, że ludność Montanji nie kopie studzien i używa wyłącznie wody czerpanej z rzek.

Pomijamy omówienie rozpowszechnionych wzdłuż pobrzeża Ucayali w zastraszający sposób chorób wenerycznych (kiła, rzeżączka)[16], chorób oczu i dermatoz skóry, nie wspomnimy o plagach muszek, mrówek, olbrzymich pająków, skolopender i t. p.

Ze zwierząt niebezpiecznych dla zdrowia człowieka zasługuje na wzmiankę mała rybka canero (Vandellia plazaii). Wciska się ona kąpiącym się do uretry lub rectum, skąd wyciągnięcie jej zwykłą drogą jest niemal wykluczone ze względu na twarde i zadzierzyste płetwy. Niewyjęta rybka szybko zdycha powodując ciężkie infekcje, gangreny i nawet śmiertelne posocznice. Jedynie natychmiastowy zabieg operacyjny może być skutecznym sposobem wyleczenia[17].

O pchełce ziemnej napiszemy krótko, że wchodzi w skórę ludzi i zwierząt składając tam potem jajka. Miejsce wejścia pchełki staje się wrotami zakażenia dla całego szeregu infekcyj z wrzodem tropikalnym na czele[18].

Zarówno przy trzebieniu puszczy, jak i przy uprawie roli osadnik narażony będzie na ukąszenie przez jadowite węże lub żmije. Celem ratowania ukąszonego należy mu zastrzyknąć surowicę przeciwjadową i to najdalej w ciągu 1 - 2 godzin po ukąszeniu. Sprawa komplikuje się o tyle, że rodzaj surowicy musi odpowiadać gatunkowi węża, co nie zawsze po ukąszeniu da się stwierdzić. Surowice przeciwjadowe wytwarzają wyłącznie

aby zbadać perspektywy dla osadnictwa polskiego w tym kraju. Zob. J. Mazurek, op.cit., s. 152 (przyp. autora).

4 specjalne zakłady w Brazylji, – jak dotychczas w trzech gatunkach, jedną przeciw ukąszeniom węży z gatunku Lachesis, drugą przeciwgrzechotnikową, trzecią stanowi mieszanina dwóch pierwszych surowic, stosowana na wypadek, gdy nie jest wiadomy gatunek żmiji. Surowicy przeciw ukąszeniu koralówki, spotykanej w Montanji, dotąd się nie wytwarza[19].

Poglądy lekarzy na terapję ukąszeń nie są zgodne. Prof. dr. Bujwid pisze, że zastrzyk surowicy jest jedynym pewnym i skutecznym lekiem[20]. Zarazem podaje, że surowica nie psuje się nawet przy dłuższem przechowaniu[21]. O stosowaniu nadmanganjanu potasu mówi, że środek ten nie posiada żadnej skuteczności[20]; wręcz odmiennego zdania jest dr. Freyd, podając, że surowice są nietrwałe i szybko tracą swe własności pod wpływem gorąca. Więcej ufa nadmanganjanowi[22].

W opisach Peru spotyka się ostatnio zapatrywanie, jakoby niebezpieczeństwo grożące ze strony jadowitych węży było przesadzone, czego dowodem ma być, że n. p. pewien podróżnik napotkał niewielką ilość węży. Opinja ta wymaga pewnego wyjaśnienia. Osadnik trzebiący puszcze, albo oczyszczający plantacje, jest nieustannie narażony na ukąszenie przez bardzo liczne w Amazonji peruwiańskiej węże, czego o podróżnikach lub o członkach ekspedycji eksploracyjnej powiedzieć nie można.

W braku statystyki trudno podać ilość ofiar ukąszeń w Montanji. W Brazylji, mającej mniej więcej tę samą faunę, przed zaprowadzeniem surowicy leczniczej liczono 19.000 ukąszeń rocznie, z nich 4.800 śmiertelnych[23]. I o tych cyfrach nie można powiedzieć, by obejmowały wszystkie wypadki.

Śmiertelność w Peru jest wysoka, wynosi około 40 zgonów na tysiąc[24] (w Polsce 16,7 za rok 1928). Gruźlica stanowi w Peru w 33% przyczynę śmierci, a 25% wypadków śmierci obejmuje dzieci[25].

Członek polskiej ekspedycji badawczej dr. Freyd tak charakteryzuje stosunki zdrowotne na terenach polskich koncesyj: „spotyka się tu cały szereg specyficznie tropikalnych jednostek chorobowych (pian, laishmaniasis, dysenterja amoebica, ankylostomiasis), które zignorowane lub niedostatecznie zwalczane mogą powodować charłactwa, niezdolność do pracy i zwyrodnienie rasy. Umiejętnie zastosowane zapobieganie, ewentualnie odpowiednio przeprowadzone leczenie, opracowanie wzoru mieszkania, odżywiania i ubrania, dostosowanie do specjalnych warunków życia tropikalnego, – wystarczy, przy obecnym stanie wiedzy lekarskiej, w zupełności, aby niebezpieczeństwo zredukować do minimum"[22].

Z opinji tej jedno rzuca się nieodparcie w oczy: stosunki zdrowotne na terenach koncesyj są tego rodzaju, że kliniczna niemal opieka lekarska jest nieodzowną dla osadników.

Zupełnie usprawiedliwione wydaje się być odwrócenie przytoczonej opinji: niewiele znamy terenów emigracyjnych, gdzie białemu osadnikowi groziłoby tyle niebezpieczeństw ze strony klimatu, szkodliwych zwierząt

i chorób, powodujących konieczność nieustannej opieki lekarskiej, co w Montanji. Możemy przytoczyć fakty, że pomoc lekarska nie zawsze może zło usunąć. N. p. w kolonji Satipo inż. Gliński dostał laishmaniasis na nosie i ręce. Aby się leczyć, musiał wyjechać do Limy pomimo, że w Satipo jest lekarz. Inny wypadek: jeden z członków polskiej ekspedycji cierpiał w ciągu dwóch i pół miesięcy na uporczywą dermatozę wewnętrznych powierzchni ud, oczywiście pomimo troskliwego leczenia. Sztolcman nieustannie chorował w czasie kilkuletnich podróży po Peru.

6. *Ustrój polityczno-administracyjny* rzeczypospolitej Peru został przedstawiony wyczerpująco w pracach B. Lepeckiego. Ograniczymy się do przypomnienia, że na terenach obu koncesyj, stykających się z sobą u zlewu Urubamby i Tambo niema żadnego przedstawiciela władz administracyjnych, niema policji ani wojska. Odbija się to na *stosunkach bezpieczeństwa*, którego nikt gwarantować nie może. Pewne obawy żywić można w stosunku do indjan z plemienia Campa. W 1915 r. wódz kampów Tasulinczi na czele półtora tysiąca wojowników wymordował całą niemal białą ludność górnego dorzecza Ucayali i do 1919 r. nie dopuszczał nikogo w te strony. Głównie ze względu na sąsiedztwo kampów i innych dzikich plemion brzegi Tambo i Urubamby nie zostały dotąd zaludnione przez „civilizados"[26]. O słabości władz w Montanji świadczy fakt, że Tasulinczi dotąd za ową rzeź nie został ukarany, ale, co jest w tej sprawie najcharakterystyczniejsze, mieszka obecnie z kilkuset rodzinami, sprowadzonemi z Gran Pajonalu, na terenach koncesji Syndykatu nad Tambo, u ujścia rzek Puyeni, Cheni i Anapati[27]. Chwilowo kampowie nie objawiają wrogich zamiarów, ale rok 1915 nie jest tak odległy, by móc lekceważyć to niebezpieczeństwo.

III. Gospodarstwo.

1. *Konjunktura.* Montanja przeżywa od kilku lat dotkliwy kryzys gospodarczy, spowodowany katastrofalnym spadkiem cen kauczuku. Przed wojną panowała tu istna gorączka kauczukowa, ściągająca do kraju przybyszów najróżnorodniejszego pochodzenia. Ludność białą kraju stanowili w tym czasie niemal wyłącznie zbieracze kauczuku – „caucheros" i kupcy. W 1910 r. cena kauczuku osiągnęła poziom 26 fr. złotych za 1 kg. W miarę rozbudowania plantacyj kauczuku w innych częściach świata (Indje, Malakka), ceny tego produktu, któremu Montanja zawdzięczała dobrobyt, spadły aż do 2.50 fr. zł. za 1 kg w 1928 r. Równolegle z obniżaniem się cen kauczuku pogłębiał się kryzys ekonomiczny. W 1928 r. było w Iquitos 2.000 mężczyzn bez pracy (t. j. 8% mieszkańców, a ca 30% żywicieli rodzin)[28]. Dziś ludność Montanji poszukuje innych źródeł zarobkowania. Obok eksploatacji gatunków drzew,

roślinnej kości słoniowej (owoce palmy Phytelephas), balaty (artykuł o właściwościach, zbliżonych do kauczuku), rozpoczynają się próby zakładania plantacyj bawełny, kawy, trzciny cukrowej i t. p., ale dotąd żaden produkt nie potrafił gospodarstwu Montanji zastąpić kauczuku. Ruch parostatków na rzece Ucayali stale się zmniejsza, a w porcie w Iquitos stoi ich kilkanaście bezużytecznie i rdzewieje.

2. *Produkcja rolna.* Przez kilka lat wydawało się, że bawełna zajmie miejsce kauczuku, tymczasem ostatnio uprawa bawełny wykazuje tendencję do zmniejszania się. W wielu miejscach ekspedycja stwierdziła zaniechanie uprawy bawełny zarówno przez większych jak i mniejszych posiadaczy ziemskich. Jako powód podawano nieopłacanie się uprawy. Koszty produkcji niejednokrotnie przekraczają wartość zbioru, a w dodatku częste choroby niszczą plony[29].

Równocześnie powiedzieć jednak należy, że civilizados oddają się niechętnie zajęciom rolniczym, nie przeprowadzają planowej gospodarki i obliczenia kosztów produkcji. Ponieważ wyłączny rynek w Iquitos reaguje natychmiast zniżką cen na produkt, pojawiający się w większej ilości, przeto obliczanie rentowności produkcji rolnej jest w dużym stopniu iluzoryczne. Większych plantacyj wogóle w Montanji niema, a istniejące mają pod kulturą maximum po 30 wyjątkowo do 60 ha ziemi.

Nie można przeprowadzać porównania pomiędzy rentownością uprawy bawełny na pobrzeżu Pacyfiku, a produkcją w Montanji z powodu różnych cen robocizny, diametralnie odmiennych warunków zbytu, braku połączenia Montanji z rynkiem światowym, wkońcu i z powodu niemożności oparcia się o jakiekolwiek pewne dane co do wyników produkcji we Wschodniem Peru, gdzie bawełnę od niedawna i na małą skalę próbuje się uprawiać. W każdym razie deszcze częstsze w Montanji, jak w obszarze Costy, ułatwią rozwój szkodników (chorób) bawełny.

Te same uwagi stosują się do pierwocin plantacyj kawy. O ich przyszłej rentowności trudno w chwili obecnej wyrazić się optymistycznie, jeśli się zważy, że rynek światowy przytłoczony jest nadmiarem zapasów kawy, wyprodukowanej w Brazylji, dotkniętej z tego powodu od kilku lat ciężkim kryzysem. Ostatnio Sao Paulo otrzymało pożyczkę 20.000.000 $ za zlombardowaniem 16,5 miljonów worków kawy, który to zapas ma być pozbyty w ciągu najbliższych 10 lat. Bliskość portów oceanicznych, długoletnie doświadczenie plantatorów sao-paulitańskich, posiadana organizacja kredytu i sprzedaży czynią stanowisko Brazylji predominującem na polu produkcji kawy. W dodatku kawa wschodnio-peruwiańska będzie musiała być wywieziona przez terytorjum Brazylji (Manaos), która będzie miała pełną możność podwiązania obcego konkurencyjnego eksportu.

Uprawa trzciny cukrowej również znajduje się w zaczątkach.

Rolnika zawodowego w Montanji właściwie niema. Były cauchero uprawia tylko minimalny kawałek gruntu 0,5 - 1 ha celem zdobycia środków żywności na własne potrzeby, pracując dwie do trzech godzin dziennie i posługując się robotnikiem indjaninem. Przy niesłychanej urodzajności gleby w Montanji ten mały obszar zasadzony bananami, juką, fasolą i kukurydzą wystarcza do wyżywienia jednej rodziny. Bo trzeba uwzględnić, że banany owocują po upływie ca 10 miesięcy, każda łodyga wydaje kiść obciążoną około 100 owocami. Banany spożywa się surowe, pieczone, smażone, lub suszone, sporządza się z nich mąkę, a także używa się ich na karmę dla bydła. O juce (manjok – manihot utilissima) można powtórzyć to samo, o ile chodzi o jej użyteczność i wydajność, która jest olbrzymia. Jeden krzak dostarcza około 20 kg. korzeni - bulw, mających smak podobny do ziemniaków.

Zboża chlebowe nie udają się w Montanji zupełnie.

Z roślin uprawianych u nas udają się: kukurydza, fasola, pomidory, cebula, sałata i t. p. Z nieuprawianych oprócz już wymienionych: ryż, kakao, pataty, mangi, ananasy, melony i wiele innych. Okres dojrzewania jest u różnych roślin uprawnych rozmaity. Kukurydza potrzebuje do doścignięcia czterech miesięcy, fasola trzech miesięcy, juka i trzcina cukrowa ośmiu miesięcy, ryż pięciu miesięcy, kawa i kakao dają zbiory po 3-4 latach.

Do wydarcia puszczy kawałka gruntu pod uprawę przystępuje kolonista w ten sposób, że najpierw w czasie pory suchej wycina nożem (macheta) i ciężkim sierpem (foica) pnącze i krzaki, gdy te podeschną, zapala je, powtarzając ten proceder, w miarę potrzeby, kilka razy (rosowanie). W końcu pozostają tylko opalone olbrzymy leśne, rosnące rzadko, co nie przeszkadza już w uprawie roli. W ziemi użyźnionej popiołem sieje się, względnie sadzi, rośliny zapomocą okutego kija lub gracy.

3. *Hodowla* stoi nisko, drobni rolnicy trzymają głównie nierogaciznę i ptactwo. Krowa jest zjawiskiem rzadkiem[31]. Udój mleka jest skąpy (do 2 l. dziennie mimo obfitości paszy). Przypisać to należy w dużej mierze nieumiejętności hodowców, brakowi dozoru i stajen. Cena krowy wynosi około 10 Lp. (40 $). Hodowla obliczona jest głównie na mięso.

Zwierząt pociągowych niema prawie wcale, bo nie istnieją drogi kołowe[32].

4. *Ziemia* nie jest dotąd przedmiotem handlu. Rząd ogłosił się właścicielem wszelkich niezajętych terenów w Montanji. Pomimo to nikt ziemi od rządu nie kupuje, choć cena jest niska 1 do 3 Lp. za 1 ha. Każdy osiedla się gdzie chce i uprawia tyle ziemi, ile chce[33]. Gleba jest – jak to już mówiliśmy – niezwykle urodzajna, przepuszczalna, wierzchnią warstwę stanowi humus z domieszką piasku na podkładzie gliniastym.

5. *Eksploatacja lasów* stanowi główne źródło bogactwa kraju. Dotąd zbiera się jeszcze kauczuk i soki innych gumowców, pozatem roślinną kość

słoniową, korę chinową, wanilję, i szereg innych roślin użytecznych. Tnie się masowo mahoń, cedr, palisander i t. d. Eksport mahoniu z departamentu Loreto wynosił od lipca 1926 r. do września 1927 r. 1,046.000 stóp sześciennych, cedru 558.000 stóp[34].

6. *Handel.* Największą bolączką ząbkującego rolnictwa jest fatalny stan handlu, znajdującego się przeważnie w rękach cudzoziemców. Wskutek tego, że Kordyliery odcinają Montanję od reszty kraju, wymiana towarów pomiędzy wschodniem Peru a środkowem i zachodniem nie istnieje. Rynek wewnętrzny sprowadza się wyłącznie do miasta Iquitos, gdzie nieliczne większe firmy dyktują ceny. Pozatem handel odbywa się w ten sposób, że kilka przedsiębiorstw wysyła małe parostatki na odległe nawet rzeki, wzdłuż których leżą osady. Kapitanowie stateczków skupują produkty rolne i leśne, dając w zamian wyroby przemysłowe. Oznaczają przytem ceny zupełnie dowolnie. Handel ten jest zamienny, gdyż wobec ciasnoty środków pieniężnych obroty gotówkowe są wogóle bardzo rzadkie. Wyzysk uprawiany w stosunku do rolnika powoduje, że civilizado ogranicza swą aktywność produkcyjną do minimum.

Wszelkie towary, poza najtańszemi produktami rolnemi, są znacznie droższe jak w Europie. Ogólnie biorąc ceny artykułów pierwszej potrzeby są w Peru wyższe o ca 100% od miejscowych cen przedwojennych[35]. W Montanji szczególnie jest droga manufaktura, artykuły zaś żywnościowe wykazują pewną nierówność cen w porównaniu z naszemi stosunkami. W 1928 r. sprzedawano na targu w Iquitos:

mięso wołowe	po 2.80 do 3.50 zł. za kg.[36]
szmalec	5.– do 6.– za kg.
ryby	1.20 do 1.70 za kg.
kukurydza	0.20
ryż	1.– do 1.20 za kg.
cukier	2.– do 3.50 za kg.
mąka pszenna	1.70
banany kiść	1.– do 3.50 (100 - 200 sztuk)
kura	3.50 do 7.- (100 - 200 sztuk)

Wywóz produktów Montanji oddaje w dużej mierze statystyka portowa Iquitos.

	1913 r[37]	1918 r.[38]	1926 r.[38]
przywóz w tonnach:	11.175	4.226	5.634
wywóz w tonnach:	25.255	7.555	9.237

Z rynkiem zewnętrznym posiada stosunki jedynie wielki handel, eskontujący zyski z każdej konjunktury.

Przedmiotem eksportu jest kauczuk, balata, szlachetne gatunki drzewa, roślinna kość słoniowa i bawełna.

7. *Przemysł*, poza kilku tartakami, fabryczkami mydła, cukru i wódki z trzciny cukrowej, nie istnieje.

8. *Komunikacja*. W Montanji niema dotąd ani jednego kilometra drogi kołowej[39]. Jedynie ku obszarowi sierry wspinają się ścieżki karawanowe. Żegluga zatem stanowi wyłączny środek komunikacyjny. Po rzece Ucayali od Amazonki aż do przystani w Contamanie kursować mogą przez cały rok statki o wyporności 300 - 400 tonn. Masisea jest już dla nich dostępna tylko w okresie wysokiego stanu wody. Do ujścia Urubamby zawijają mniej więcej raz na miesiąc małe parostatki. W porze suchej posługiwać się można na Ucayali łodziami, popychanemi drągami (tanganami) [40]. Rzeki Tambo i Urubamba są dostępne dla łodzi przez cały rok.

Z terenów koncesyjnych dostać się można do Limy, dwojaką drogą:

a) szlakiem południowym, – łodzią do Puert Ocopa, stąd 6 dni wierzchem, ścieżką karawanową przez kolonję Satipo, poprzez pasmo Andów przełęczami, dochodzącemi do 4.300 m. do Bellena, stąd samochodem do Conception, poczem koleją via Oroya do Limy. Przy przekraczaniu tych znacznych wysokości zapada się na chorobę górską. Koszt podróży (1 osoba z 100 kg. bagażu) 25 Lp, t. j. 100 $, czas – 16 dni;

b) szlakiem centralnym: rzeką Ucayali do Masisei, stąd również statkiem rzeką Pachiteą i Pichis do Puerto Bermudez, potem ścieżką karawanową poprzez pasmo Andów do La Merced, a później samochodem do Oroya i koleją do Limy. Koszt podróży z Masisei 27 Lp, t. j. 108 $, czas – 23 dni[41].

Obydwie drogi, ze względu na wąskie przesmyki górskie nad przepaściami, nie należą do bezpiecznych.

Stosunki komunikacyjne Montanji ulegną poprawie, gdy zostanie przeprowadzona projektowana i rozpoczęta linja kolejowa Cerro de Pasco – Pucalpa. Ukończenia tej trasy nie należy się spodziewać przed upływem 7 - 9 lat[42]. Dojazd z Europy tą drogą (via Callao - Lima) będzie bardzo drogi, gdyż sama podróż morska kosztuje dziś 142 $ (III kl.).

Przewóz towarów z Montanji do Limy będzie kosztowny z powodu zrozumiałej drożyzny wysokogórskich taryf kolejowych.

W ostatnich latach zaprowadzona została komunikacja lotnicza pomiędzy Iquitos - Contamaną - Masiseą i miasteczkiem San Ramon, od którego prowadzi droga samochodowa do stacji kolejowej w Oroya. Przelot całej przestrzeni kosztuje 260 dolarów, z Iquitos do Masisei – 140 $, z Masisei do San Ramon – 160 $. Samoloty biorą też pocztę lotniczą.

W Masisei znajduje się stacja radiotelegraficzna nadawczo-odbiorcza. Rząd Peru zobowiązał Syndykat do wybudowania stacji na terenie koncesji Syndykatu.

Pocztę przewożą parostatki handlowe. Sprawność urzędów pocztowych pozostawia nieco do życzenia.

Podróż morska z Europy do Manaos (port nad Amazonką w Brazylji) trwa 24 dni. Kursują tu okręty Booth Line, małe i starej konstrukcji, o wyporności 3 - 7 tysięcy tonn. Z Manaos płynie się Amazonką 18 dni do Iquitos, gdzie należy się po raz drugi przesiąść. W Iquitos czeka się kilka dni na statek i płynie się dalej przez około 14 dni do terenów koncesji (La Huaira). Razem, jak widzimy, podróż trwa ponad 60 dni. Przejazd z Europy do Manaos III klasą kosztuje 60 - 70 $, z Manaos do Iquitos ca 12 $ (2.200 km.). Z Iquitos do La Huaira podróż kosztuje też około 12 $. Razem około 85 - 95 $[43]. Zaznaczyć należy, że na statkach rzecznych trzecia klasa nie jest przystosowana do warunków klimatycznych, a przy użyciu droższej klasy koszt przejazdu podnieść się może nawet o 50 $.

IV. Koncesje osadnicze.

1. Dekretem z dn. 20.V. 1927 r. nadał rząd Peru Kazimierzowi *Warchałowskiemu koncesję* kolonizacyjną na terenach, które opisaliśmy. Główne postanowienia koncesji są następujące:

Jeżeli koncesjonarjusz w określonych terminach rocznych osiedli sukcesywnie na obszarze kolonizowanym tysiąc rodzin osadników, wówczas rząd peruwiański przepisze na własność K. Warchałowskiego – w miarę ilości corocznie sprowadzanych rodzin – 350.000 ha ziemi.

Każda rodzina osadnicza musi się składać z conajmniej trzech osób w wieku 18 - 45 lat.

Obszary, nadawane koncesjonariuszowi, stanowią rekompensatę za przejazdy, narzędzia, domy mieszkalne i t. d., których koncesjonarjusz ma dostarczyć kolonistom.

Oprócz powyższego obszaru koncesji kolonizacyjnej na 350.000 ha rząd Peru zarezerwował na tych samych terenach 150.000 ha, z których wolno koncesjonariuszowi sprzedawać ziemię z wolnej ręki w pierwszym roku po 5 soli (2 $), a w latach następnych po cenie minimum 1 Lp (4 $) za 1 ha. Sumy, pochodzące ze sprzedaży, przypaść mają rządowi i koncesjonariuszowi po połowie.

Przez obszar koncesji rozumieć należy teren, z którego w miarę dopełniania umownych postanowień, wolno będzie koncesjonariuszowi zajmować odmierzone części gruntów na własność, aż do wyczerpania kontyngentu 500.000 ha.

Nie mogąc uczynić zadość postanowieniom koncesji i otrzymać w Polsce zezwolenia na werbunek, Warchałowski odstąpił z koncesji kolonizacyjnej, obejmującej 350.000 ha, część swoich praw co do 220.000 ha spółdzielni osadniczej „Kolonja Polska" kontraktem z dn. 27.VI.1929 r. Teren „Kolonji Polskiej" rozciąga się wzdłuż rzeki Alto Ucayali pasem 25 km. na

prawym jej brzegu (na szkicu oznaczony prostopadłą kratą). Za warunek umowy postawił Warchałowski osadzenie przez Kolonję Polską cały ciężar zasiedlenia terenu, zachowując bez tytułu przywilej nabycia 130.000 ha. Umowa jest tak ułożona, że przyniesie Warchałowskiemu znaczne korzyści już w pierwszym roku. Mianowicie, jeżeli Kolonja Polska osiedli w tym czasie 150 rodzin, wówczas Warchałowski otrzyma od Peru 50.000 ha (ust. 1 dekretu z dn. 20.V.1927 r.), natomiast wedle par. 3 ust. a) kontraktu z Kolonją Polską, przeleje na nią tylko 18.000 ha[44]. W drugim roku przypadnie darmo Warchałowskiemu znowu obszar większy, niż Kolonji Polskiej. Interes zatem jest dobrze pomyślany dla Warchałowskiego.

Jeżeli przyjrzymy się kontraktowi z dn. 27.VI.1929 r., zauważymy, że strony umawiające się pominęły zupełnie ważne obowiązki, nałożone przez rząd Peru na Warchałowskiego: nie wspomniano o tem, kto poniesie koszty przejazdu osadników z Polski, dostarczenia im narzędzi, nasion i domów mieszkalnych, co wyraźnie zastrzegł rząd Peru w ustępie 1), 4) i 5) dekretu[45].

W praktyce Kolonja Polska domaga się od kandydata na osadnika wpłacenia po 36 $ tytułem pokrycia kosztów organizacyjnych i po 150 $ od osoby na koszty przejazdu. Postanowienie o ponoszeniu przez koncesjonarjusza kosztów przejazdu kolonistów, o bezpłatnem dostarczeniu domu mieszkalnego, narzędzi i nasion, wzamian za nabywane darmo olbrzymie tereny leśne – zostało zignorowane.

2. *Drugą koncesję* na terenach Montanji otrzymał Polsko-Amerykański *Syndykat* Kolonizacyjny, Sp. z o. o., uzyskując od Peru niektóre warunki, korzystniejsze od Warchałowskiego, w szczególności kredytowanie przejazdu osadników do Peru.

Wedle kontraktu z daty Lima 23.IV.1928 r. rząd Peru nadał Syndykatowi na własność, w miarę sprowadzania osadników, po 33.333 ha za każdych 100 osadzonych rodzin, aż się wyczerpie kontyngent 1.000.000 ha (3.000 rodzin). Ponadto Syndykat otrzymał ostatnio od Peru 100.000 ha lasów na własność tytułem rekompensaty za dotychczasowe wkłady (rezolucja z 6.IX.1929 r.), a to bez poprzednich ograniczeń.

Rząd Peru pokryje tymczasowo koszty przejazdu kolonisty z bagażem.

Natomiast Syndykat zobowiązany jest dać każdej rodzinie osadniczej działkę 30 ha, dostarczyć mieszkanie, żywność na 6 miesięcy, nasiona, szczegółowo wymienione narzędzia i karabin, urządzić na terenach koncesji magazyny, wybudować szpital, kaplicę i stację radjo-telegraficzną, a także zorganizować szkolnictwo, tudzież komunikację rzeczną z Iquitos. Oprócz tego Syndykat ma zapewnić osadnikom opiekę lekarską i duchowną i zorganizować wzorowe plantacje spółdzielcze. Należy powiedzieć, że rząd peruwiański wykazał dbałość o osadnika, zwracając uwagę na zaopatrzenie go w dach nad głową, narzędzia rolnicze, a pozatem dał osadnikowi

możność wywiązania się z długu za przejazd. Mniej korzystne jest postanowienie, że osadnik otrzyma definitywny tytuł własności dopiero wtedy, gdy spłaci swój dług wobec rządu i wypełni wszelkie zobowiązania, przyjęte wobec Syndykatu, co niesłychanie i bezterminowo uzależnia osadnika od Syndykatu.

Intencja rządu peruwiańskiego, by koncesjonarjusz wzamian za nadane setki tysięcy hektarów lasu, sprowadził kolonistów i dostarczył im bezpłatnie wszelkiej pomocy w zagospodarowaniu się, uległa w praktyce odchyleniu. Syndykat domaga się zapłaty za dom, narzędzia, wyżywienie przez 3 - 6 miesięcy, nasiona etc. i to w bardzo znacznej kwocie.

3. *Wspólne postanowienia.* Obaj koncesjonarjusze są przez rząd peruwiański zobowiązani do wybudowania na kolonizowanych terenach, za częściowem przyczynieniem się rządu Peru, głównych dróg do najbliższych arteryj komunikacyjnych, oraz bocznic do połączenia osad z główną drogą. Zaznaczyć należy, że obie koncesje zostały nadane z zastrzeżeniem ewentualnych praw osób trzecich, co nie wyklucza możliwych, chociażby mało prawdopodobnych narazie, rugów. Obydwie koncesje zawierają postanowienia o zrzeczeniu się przez koncesjonariuszy, względnie osadników prawa interwencji dyplomatycznej w razie zatargów z rządem Peru. Ostatnie to postanowienie należy z punktu widzenia prawa narodów ocenić jako bezskuteczne.

4. *Zezwolenie na werbunek* otrzymała Kolonja Polska dekretem rządu polskiego z dn. 8.VIII.1929 r., Syndykat zaś z dn. 24.IV.1930 r.

Kolonja Polska ma prawo zaangażować narazie tylko 200 rodzin, Syndykat 250 rodzin. Postanowienia obu tych zezwoleń nie odbiegają wiele od siebie. Werbunek i selekcja osadników dokonywane będą przez organy Urzędu Emigracyjnego, warunki podróży i odpowiedzialność majątkowa koncesjonariuszy określane zostają osobno. Kontrolę nad działalnością koncesjonariuszy wykonywać będzie osobny komisarz rządowy. W razie naruszenia postanowień zezwolenia, zostanie ono cofnięte.

Jak widać z postanowień obu dekretów, rząd polski wykazał daleko posuniętą troskliwość o los osadników, jakkolwiek z natury rzeczy wszechstronne zabezpieczenie kolonistów jest trudne, jeśli nie wręcz niemożliwe.

W „zezwoleniach" koncesjonariusze zostali zobowiązani do:

1) bezpłatnego nadzielenia każdej trzyosobowej rodziny działką 30 ha ziemi, a pięcioosobowej - działką 60 ha;

2) wymierzenia i oczyszczenia na działkach obszaru conajmniej $^1/_2$ ha;

3) nadania osadnikom definitywnego tytułu własności, co Kolonja Polska winna uskutecznić po upływie jednego roku, Syndykat po upływie trzech lat od osiedlenia się kolonisty;

4) zabezpieczenia osadnikom wyżywienia przez początkowy okres;

5) zabezpieczenia kolonistom mieszkania;

6) pomocy w zagospodarowaniu działki (np. dostarczenie żywego inwentarza po cenie kosztów własnych);

7) zapewnienia osadnikom bezpłatnej opieki lekarskiej i kulturalno-oświatowej;

8) sprzedaży artykułów pierwszej potrzeby na warunkach ulgowych;

9) dostarczenia osadnikom pracy w miarę zapotrzebowania na nią przez koncesjonarjuszy;

10) zawarcia z głową rodziny umowy osadniczej jeszcze przed wyjazdem z Polski;

11) założenia i prowadzenia własnym kosztem wzorowych gospodarstw rolnych w proporcji do liczby osadzonych rodzin;

12) wybudowania dróg lokalnych;

13) wybudowania budynków szkolnych i szpitalnych;

14) utrzymywania żeglugi między kolonją a Iquitos;

15) stworzenia organizacji handlowej dla kupna i sprzedaży produktów kolonji, oraz dla nabywania przez osadników artykułów pierwszej potrzeby.

Kolonja Polska ma jeszcze zapewnić osadnikom kredyt na zagospodarowanie się, a Syndykat kredytowany przejazd z Warszawy do kolonji, pomoc przy wyrabianiu paszportów i t. d.

Kolonja Polska dostarczyć ma koloniście parę prosiąt i drobiu.

Wedle par. 6 ust. 4. zezwolenia Syndykat jest zobowiązany na działce osadniczej wybudować *bezpłatnie* dom mieszkalny. Inaczej postanawia par. 7 ust. 2. tego samego zezwolenia, a mianowicie, że osadnik ma wpłacić na rachunek Syndykatu sumę 70 $ tytułem części należności za dom, kuchnię i moskitery, oraz całej należności za nasiona na obsianie 2 ha. Z tekstu formularza umowy z osadnikiem, której wzór zatwierdziło Ministerstwo Pracy i Opieki Społ., z brzmienia ustępu X. dowiadujemy się, że przy podpisaniu umowy osadnik płaci połowę należności za dom, kuchnię i moskitery, a także, że druga rata (? druga połowa) za dom wynosić będzie 50 $, płatnych ratami w ciągu drugiego roku po osiedleniu się. Widzimy więc, że sprawa zapłaty za dom przechodziła dziwne przemiany. Obecnie wnioskować wypada, że dom kosztować będzie osadnika ca 100 $. Ponieważ typ domu, poza rozmiarami, nie został w instrukcji osadniczej określony, nie wiemy, czy cena nie jest zbyt wygórowana, co musielibyśmy przyjąć, jeśli dom jednoizbowy będzie z belek, a ściany i podłoga z dzikiej trzciny. (Taki bowiem dom byłby wart tylko ca 100 złotych).

Trudno jest z całą pewnością ustalić, ile osadnik zapłacić ma łącznie za świadczenia Syndykatu. W przybliżeniu można podać koszty osiedlenia trzyosobowej rodziny następująco:

wedle par. 7 zezwolenia wpłaca głowa rodziny osadniczej:

I. *Przed odjazdem:*		
a) za narzędzia i tytułem kosztów przygotowawczych	$ 33	
b) tytułem części należności za dom, kuchnię, moskitery, oraz całej należności za nasiona na obsianie 2 ha	$ 70	
c) za wyżywienie przez pierwsze 3 miesiące po 35 $ od osoby	$ 105	
d) tytułem rezerwy na wyżywienie przez następne 3 miesiące po 35 $ od osoby	$ 105	$ 313
II. *Po osiedleniu:*		
e) druga część należności za dom, kuchnię i moskitery.	$ 50	
f) koszty przejazdu, które przyjmujemy analogicznie do ceny pobieranej przez Kolonję Polską po 150 $ od osoby	$ 450	$ 500
	razem	$ 813

czyli po $ 271 od osoby.

5. *Instrukcja osadnicza* zakreśla szczegółowo sposób wykonania akcji kolonizacyjnej. Uzyskawszy wgląd w instrukcję, wydaną dla Syndykatu, omówimy tylko tę instrukcję, suponując, że instrukcja dla Kolonji Polskiej opiera się na podobnych zasadach.

Znajdujemy tu przepis o konieczności zapewnienia kolonji dogodnego dostępu od zewnątrz i czystej wody. Ważne jest postanowienie, że koncesjonarjusz winien własnym kosztem założyć wzorowe plantacje i szkółki roślin. Na plantacjach wzorowych ma Syndykat wydzielić każdej rodzinie oczyszczoną działkę 1 - 2 ha i dostarczyć bezpłatnie sadzonek i nasion. Osadnicy będą musieli na tej wzorowej plantacji uprawiać płody, wskazane przez Syndykat. Z plonów ma być, począwszy od 6-go roku, opłacana corocznie $^1/_{10}$ część należności za przejazd z Polski do kolonji. Widocznie zamierzona jest przedewszystkiem uprawa kawy, owocującej w pełni w ciągu 6-go roku. Będzie to zatem rodzaj robót przymusowych.

Osadnicy będą tylko użytkowcami tych 1 - 2 ha działek we wzorowej plantacji. Po spłaceniu całej należności za przejazd działka wraca do Syndykatu.

Inaczej przewidywał to art. 13 kontraktu Syndykatu z rządem Peru, wedle treści tego artykułu, działki 1-hektarowe miały leżeć na gruncie osadnika (t. j. na jego 30 ha), miały być uprawiane przez osadników pod kierownictwem fachowych inspektorów, a z plonów otrzymywać miał rząd peruwiański 10% każdorocznego zbioru, na zwrot poniesionych kosztów podróży osadników. Spłata ratalna miała trwać 10 lat. Osadnik na każdy

wypadek pozostawał udziałowcem (współwłaścicielem) wzorowej plantacji. Postanowienie to było niewątpliwie korzystne dla osadnika, zapewniając mu źródło stałych dochodów.

Do korzystnych dla osadników postanowień należy przepis, wedle którego każdy z kolonistów ma otrzymać książeczkę robotniczą, w której wpisywane będą dni robocze i należność za wykonaną robociznę. Rozliczenia będą dokonywane gotówkowo, conajmniej dwa razy na miesiąc.

Należałoby jeszcze ustalić zgóry, w jakich granicach wahać się winna płaca robotnika. Jest to tem ważniejsze, że Syndykat w memorjale swym z 1928 r. podał wysokość płacy robotników na 25 ct. amer. dziennie, t. j. po 2 zł. 22 gr., stanowczo zamało, jeśli się uwzględni wysokość płacy lichego robotnika - indjanina, pobierającego przeciętnie po 1,50 sola, t. j. po 5 zł. 35 gr. dziennie; pożądane byłoby również ustalenie zgóry, że potrącenia z płacy osadnika jakichkolwiek należności Syndykatu nie mogą przekraczać $^1/_5$ części zarobków, analogicznie do postanowienia art. 39 ustawy o umowie o pracę robotników z dn. 16.III.1928 r. Dz. U. R. P. Nr. 35, poz. 324.

Inne przepisy instrukcyj dotyczą utrzymywania komunikacji, roztoczenia opieki kulturalno-oświatowej i t. p.

6. *Umowa koncesjonariusza z osadnikiem*, zawartą zostaje według wzoru ustalonego przez Ministra Pracy i Op. Sp. Z ważniejszych postanowień tego formularza sporządzonego dla Syndykatu warto przytoczyć ustęp XV., normujący, że osadnik może odstąpić swą działkę osobie trzeciej w czasie trwania kontraktu tylko za zgodą Syndykatu. Umowa osadnicza może być rozwiązana tylko za aprobatą administracji kolonji. W razie nieporozumień na tem tle decydować ma Urząd Emigracyjny. Trudno sobie wyobrazić jak to może być przeprowadzone przy odległości Montanji od Polski.

Ustęp XX. umowy postanawia, że w razie sporów pomiędzy osadnikami a Syndykatem zastosowane ma być prawodawstwo Republiki Peru, a strony zawierające umowę, na wypadek sporów z jej wykonania, poddają się rozstrzygnięciu polubownemu kierownika konsulatu Rzeczypospolitej Polskiej odnośnego okręgu konsularnego. Jeśli tym arbitrem miałby być konsul honorowy w Limie p. Szyszło, geograf – to strona jurydyczna wyroku będzie chromać, a pozatem trudności komunikacyjne uniemożliwią osadnikom należytą obronę swych praw. Byłoby zatem pożądane, aby ingerencja dostępnych sądów peruwiańskich w sprawach zarówno cywilnych, jak karnych została dokładnie i rychło unormowana.

Ustęp XXI. postanawia, że 1 egzemplarz umowy otrzymuje Syndykat, drugi administrator kolonji, a trzeci osadnik. Wydaje się być wskazanem, aby czwarty egzemplarz posiadał Urząd Emigracyjny, a także, aby umowę wypełniać w dwóch językach ze względu na możliwą ingerencję sądów peruwiańskich.

V. Wnioski końcowe.

1. Przechodzimy do najważniejszego pytania: *czy tereny polskich koncesyj w Montanji nadają się do polskiego osadnictwa rolnego.*

Opinja polskiej ekspedycji badawczej wypowiada się wprawdzie na korzyść kolonizacji tych ziem, ale z niezwykłą ostrożnością, cechującą n. p. ustęp o zdrowotności, pokrywający się z opinja dr. Freyda, którą przytoczyliśmy w rozdziale II. ustęp 5. Ponieważ jednak ekspedycja badała właściwe tereny osadnicze (Kolonji Polskiej i Syndykatu) w czasie od 6 maja 1928 r. do 20 maja 1928 r., a zatem tylko przez piętnaście dni, oceny tej nie możemy uważać za gruntowną i nieodpartą. Przedstawimy zatem zkolei inne dane:

2. *Położenie i klimat* przemawiają przeciw osadnictwu na terenach koncesji. Bliskość równika, gdyż obszary te leżą pod ca 10° płd. szer. geogr. t. j. na wysokości Gwinei francuskiej lub Adenu, niewielkie wyniesienie nad poziom morza, wynoszące średnio 260 m. (La Huaira), obfitość opadów i połączona z tem wilgotność powietrza, średnia roczna temperatura ca 22--24° C, a zatem tyle, ile w Egipcie lub środkowej Australji[46], wykluczają możność trwałej aklimatyzacji polskiego rolnika na nizinie tropikalnej, rolnika, wyrosłego od pokoleń pomiędzy 50 a 54° płn. szer. geogr. przy średniej rocznej temperaturze 7,2 C (Warszawa). Oddalenie koncesyj od śnieżnych szczytów Andów wynosi w linji powietrznej 170 km. (od La Huaira), następnie fakt, że przez tereny koncesyj płyną rzeki niosące z gór zimne wody – nie wiele tylko złagodzić mogą tropikalny klimat. Zabójcze zaś działanie stref podzwrotnikowych na organizm i psychikę Europejczyków jest dostatecznie znane.

Weźmy *konkretne dane*: Porównuje się tereny polskich koncesyj z niemiecką osadą Pozuzo. Musimy powiedzieć, że leży ona już w górach, na wysokości 900 m.[47], a zatem o 600 m. wyżej. Opisując Pozuzo, prof. Bürger pisze, że niezdrowy klimat wypędził stąd część osadników, którzy założyli nową osadę Oxacampa. Jak widać ze szkicu, Oxacampa leży jeszcze głębiej w górach.

Kolonja Satipo również dość wysoko położona (600 - 800 m.)[48] nie okazała się zdrowa. Panuje tam nagminnie w porze deszczowej malarja. Po niedługim pobycie w Satipo rodzina Bujalskich musiała się przenieść do znacznie wyżej położonej miejscowości Santa Rosa de Ocopa z powodu trapiących chorób. Dlatego Lepecki w pełnem poczuciu odpowiedzialności mówi w artykule o Satipo: „Jedno jest w tem wszystkiem niewyjaśnione należycie, czy w klimacie Montanji będzie mógł zaaklimatyzować się na stałe mieszkaniec centralnej Europy."[48]. Dlatego też Lepecki dodał przy opinji komisji badawczej zastrzeżenie przeciw kolonizowaniu północnego odcinka koncesji Warchałowskiego.

4. Niezwykle rozpowszechnione w Montanji *choroby* tropikalne, *plagi* szkodliwych zwierząt, sąsiedztwo dzikich szczepów indjan, niebezpieczne pasorzyty tworzą warunki wrogie dla osadnictwa. Wprawdzie każdej z tych plag można przy silnem napięciu energji i ciągłych wysiłkach stawić czoło, ale usunąć ich trwale niepodobna.

Nie jest to bez ale, że ziemie te nie są dotąd zamieszkane przez ludność białą. Prof. Bürger pisze tak o Montanji i wschodniem podnóżu Andów: „Beständige Regen, undurchdringliche Wälder, kriegerische Indianerstämme und andere Plagen schreckten den Weissen zurück“[49]. Sztolcman mówi, że Stany Zjednoczone i Argentyna przedstawiają większe bezpieczeństwo i odpowiedniejszy klimat dla immigracji z Europy, jak Peru (str. 63).

5. *Perspektywy rentowności* nowozakładanych plantacyj podzwrotnikowych roślin są dziś gorsze, niż kiedykolwiek. Hyperprodukcja i postępujący w całym świecie proces rewaloryzacji cen wszelkich płodów, a szczególnie kawy, kakao, cukru i t. p., które niestosunkowo zdrożały w okresie wielkiej wojny, podważa byt już istniejących, wzorowo zorganizowanych plantacyj, pociągając za sobą falę bankructw. Jakież zatem widoki mają nasi nowicjusze przy obecnej konjunkturze? Raz jeszcze powtarzamy, że tylko eksploatacja bogactw drzewnych puszczy będzie rentowna.

Momentem osłabiającym konjunkturę dla przyszłych plantacyj w Montanji jest oddalenie od brzegu morskiego o wiele tysięcy kilometrów. Odległość ta wyklucza, by w dorzeczu Ucayali powstać mogły silne i zdrowe skupienia polaków, utrzymujące żywy kontakt z Macierzą i stanowiące jakgdyby przedłużenie gospodarstwa narodowego.

6. *Propaganda* zasugerowała części opinji publicznej celowość ekspanzji do Montanji peruwiańskiej. Fachowe sprawozdania mało są czytane, natomiast propagandowe broszurki koncesjonarjuszy, popularne odczyty docierają do szerszych kół. Mirażami stworzenia nowych polskich kolonij zdołali koncesjonariusze pozyskać szereg poważnych osobistości i zachęcić do wstąpienia do spółdzielni „Kolonja Polska”, której istnienie ułatwia Warchałowskiemu robienie interesów. Informacje zawarte w broszurach propagandowych są oczywiście tendencyjne, a niejednokrotnie wprost fałszywe. Np. w „Peru” wydanem przez Syndykat w 1930 r., przestawiono małą misyjkę na odludziu w Puert Ocopa jako siedzibę biskupstwa (17 str.). Taki szczegół zachęca i ośmiela chłopa. Warchałowski w broszurze „Peru” (Warszawa 1930) wprowadza czytelnika w błąd, pisząc na str. 9, jakoby Iquitos było bliżej portów europejskich, niż południowa Brazylja lub Argentyna. Jako dowód kreśli na mapce linje powietrzne. W rzeczywistości z Iquitos do brzegu Atlantyku jest 4.270 km., oczywiście biegiem Amazonki, a stąd do Liverpoolu 4.158 mil morskich (Pará - Madera - Liverpool), a zatem droga okrętowa Liverpool – Iquitos mierzy 6.462 mil m., natomiast Liverpool - Rio de Janeiro

5.158 mil m., a Liverpool-Buenos Aires 6.258 mil. m.[50]. Dla przygwożdżenia wykazanego fałszu trzeba dodać, że z Iquitos do koncesyj płynie się jeszcze 2.040 km., najprymitywniejszym parostatkiem[40].

Pozostawiamy ocenie władz, czy rzeczone broszurki pozostają w harmonji z rozporządzeniem z 11.X.1927 r. o emigracji, w szczególności z art. 7, 8, 61 i 62, których postanowienia zmierzają do ukrócenia agitacji wychodźczej.

7. Powiedzmy jasno: Montanja posiada niezmierne bogactwa leśne, których eksploatacja przynieść może koncesjonariuszom ogromne korzyści. Ale ceną kupna tych skarbów mają być polscy osadnicy. Na szczęście rząd, który zezwolił tylko na próbną akcję osadniczą w Montanji, może cofnąć zezwolenie na dalsze werbowanie kolonistów.

Cieszyć będzie każdego polaka, jeżeli naszym przedsiębiorczym konkwistadorom uda się zawładnąć częścią bogactw naturalnych wschodniego Peru, niemniej społeczeństwo nie poświęci życia swoich wychodźców, którzy, skierowani właściwie, mogą jeszcze na obczyźnie znaleźć chleb i stworzyć ośrodki kolonizacyjne powiązane z Macierzą.

Źródła.

Prof. dr. Odo Bujwid: Warunki zdrowotne Brazylji, Kwartalnik N. I. E., 1929/III-IV.

Prof. dr. Otto Bürger: Peru, Lipsk, 1923.

Dr. Aleksander Freyd: Patologja Amazonji peruwiańskiej, Kwartalnik N. I. E., 1929/III-IV.

W. Kolle und H. Hetsch: Die experimentelle Bacteriologie und die Infektionskrankheiten, Berlin-Wien, 1917.

Mieczysław Lepecki: Wschodnie Peru, czyli Montanja, Kwartalnik N. I. E., 1929/I-II

" " Opis polskich terenów kolonizacyjnych w Peru, Kwartalnik, 1929/III-IV.

" " Kilka słów i uwag o kolonji Satipo w Peru, Kwartalnik, 1928/11-III.

Michał Pankiewicz: Ustrój społeczny Montanji peruwiańskiej, Kwartalnik N. I. E., 1928/IV.

Eduard Pape: Fortschritte in der Erforschung Nordostperus, Zeitschrift der Gesellschaft für Erdkunde, zu Berlin, 1930/I-II.

Jan Sztolcman: Peru, Warszawa, 1922.

Apolonjusz Zarychta: Polska eskpedycja badawcza do Peru, Wiad. Sł. Geogr., 1928, Nr. 3 i 4.

Zezwolenie na werbunek z 8.VIII. 1929 r. i z 24.IV.1930 r.

Kontrakt rządu Peru z Syndykatem z daty Lima 23.IV.1928 r.

„Instrukcja Osadnicza" z 14.V.1930 r.
Wzór umowy z osadnikiem, zatw. 12.V. 1930 r.
Dane o braku studzien w Montanji i o jakości gleby zostały mi użyczone przez Syndykat z raportu Marjana Sroczyńskiego.
Przy sporządzeniu szkicu uwzględniłem wyniki badań Edwarda Pape'go.
W odsyłaczach cytuję tylko autora i stronę, publikacje, zamieszczone w „Kwartalniku N. I. E.", oznaczam tylko datą rocznika i stroną.

[1] Lepecki, 1929, str. 578, 586, 597.
[2] " , 1929, str. 31-32.
[3] Bürger, str. 9-10.
[4] " , str. 106.
[5] Sztolcman, t. I., str. 70.
[6] Bürger, str. 9.
[7] Lepecki, 1929, str. 41-42.
[8] " , 1929, str. 52.
[9] Pankiewicz, 1928, str. 720.
[10] Lepecki, 1929, str. 48-50.
[11] Freyd, 1929, str. 710-713.
[12] " , 1929, str. 716-718.
[13] Kolle, str. 941-2.
[14] Freyd, 1929, str. 719.
[15] " , 1929, str. 723.
[16] " , 1929, str. 731.
[17] " , 1929, str. 743.
[18] " , 1929, str. 740.
[19] Bujwid, 1929, str. 690, 691, 699.
[20] " , 1929, str. 701.
[21] Bujwid, 1929, str. 691.
[22] Freyd, 1929, str. 744.
[23] Bujwid, 1929, str. 689.
[24] Lepecki, 1929, str. 26.
[25] Bürger, str. 29 i 31.
[26] Lepecki, 1929, str. 57-58.
[27] Zarychta, str. 253.
[28] Pankiewicz, 1928, str. 721-724.
[29] " , 1928, str. 727-728.
[30] Wychodźca Nr. 23/1930.
[31] Pankiewicz, 1928, str. 726.
[32] Ibid.
[33] Pankiewicz, 1928, str. 721.
[34] Lepecki, 1929, str. 63.
[35] Bürger, str. 36.
[36] Warchałowski, str. 41.
[37] Bürger, str. 221.
[38] Lepecki, 1929, str. 66.
[39] " , 1929, str. 58.
[40] " , 1929, str. 71-72.
[41] " , 1929, str. 73-76.
[42] " , 1929, str. 70.
[43] " , 1929, str. 77-78.
[44] " , 1929, str. 553-55.
[45] Kwartalnik 1928, str. 193-195.
[46] J. G. Bartholomew, Atlas of Meteorology.
[47] Mapa E. Pape'go.
[48] Lepecki, 1928, str. 451-456.
[49] Bürger, str. 135.
[50] New Hand Map of Europe Georg Philip & Son, Ltd. 1:3 milj. i Times Atlas of the World J. Bartholomew.

Dr. Adam Jarzyna

Adam Dudek

POSZUKIWACZE W PERU*

Książka *Poszukiwacze* to napisane w formie reportażu wspomnienia z ekspedycji i badań geologicznych prowadzonych w Gwinei, Korei, Algierii i Peru w latach 60. i 70. Autorem publikacji jest Adam Dudek – geolog uczestniczący w owych wyprawach, który po latach spisał swe wrażenia z podróży. Publikacja podzielona została na cztery części – każda z nich przedstawia inny kraj. Ostatnia prezentuje Peru. Pełna jest szczegółowych opisów, stanowiących wynik prowadzonych przez Dudka obserwacji, a także opowieści, wypowiedzi i historii osób napotkanych przez autora podczas jego wypraw.

Poniżej przytoczone zostały jedynie fragmenty rozdziału o tematyce peruwiańskiej z książki *Poszukiwacze*, przede wszystkim z uwagi na poruszane w nich problemy, zgodne z problematyką tekstów przedstawionych w poprzednich rozdziałach niniejszej pracy**.

* * *

* A. Dudek, *Poszukiwacze*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Katowice 1987.

** Tamże, s. 197-211.

Limańskie paradoksy

Mieszkam przy najdłuższej ulicy Limy – Avenida Arequipa, która przecina prawie całe miasto. Zaczyna się przy placu San Martin, a kończy w dzielnicy Miraflores nad Pacyfikiem, ma w sumie siedem kilometrów. Po obu jej stronach ciągną się bogate sklepy, urzędy i hotele. Drugiego oblicza Limy należy szukać w kierunku wzgórza San Cristobal. Wszystkie wzgórza strefy nadbrzeżnej są nagie. San Cristobal przyodziane jest tylko w ludzkie mrowie i slumsy. W prasie pisze się: Pueblo Joven – osiedle młodych. W Pueblo Joven mieszka 30-45 tysięcy ludzi, dokładnie nie wiadomo ilu. Wiadomo natomiast, że nie ma tam wodociągu, studni, szaletu ani kanalizacji. Domy sklecone są z puszek, dykty i rozprostowanych beczek po benzynie. Nad San Cristobal góruje nocą potężny, iluminowany krzyż, bo Pan umiłował nędzarzy, choć dał dobrobyt bogatym.

W owym ludzkim śmietnisku na San Cristobal funkcję duszpasterza pełni polski Kanadyjczyk, Jasio Adamyk. „Jasiu" – tak kazał się nazywać – mieszka w szopie, w której też celebruje mszę świętą. Do mszy nie wkłada powszechnie używanych ornatów ze złotogłowiu. Chrystus na Golgocie miał tylko jedną szatę, z której i tak Go odarli i „los o nią miotali" – jak powiada Pismo. Myślę, że Jasio wypełnia nakazy Pisma. Jest młody, pełen zapału, o twarzy ucznia z ewangelii, umiłowanego przez Pana. Może to atawizm każe mu szlifować język polski z pomocą pracowników limańskiego BRH, a potem odwiedzać rodzinę mieszkającą w Katowicach, na Osiedlu 1000-lecia...

Mówią, że Lima jest najpiękniejszym miastem Ameryki Południowej. Być może – jeśli nie liczyć San Cristobal. Na co czekają mieszkańcy wzgórza, ludzie z bariados? Chyba już nie na Mesjasza. Wypatrują raczej wozów z odpadkami na limańskim śmietnisku, gdzie trzeba przechytrzyć szczury w walce o stęchły kawałek chleba lub nadgniłą jarzynę. Ludzie z Pueblo Joven żywią się na śmietniskach czteromilionowej Limy. Ze stronic reportaży o Limie, które zdarzyło mi się czytać, błyszczy złoto Inków. Tak, na wystawach sklepów przy Avenida Arequipa widać dużo złota, srebra, brokatów, miedzi, regalos. Patrząc na wystawy sklepów jubilerskich, na wspaniałe limuzyny, wciągając w nozdrza zapach kawy, pieczystego, ciasta i wędlin, można na chwilę zapomnieć o rozpaczliwej nędzy slumsów. Ale gdy zaczynają padać ulewne deszcze, w ciągu jednej nocy z gór schodzą tysiące Indian Kiczua i Aimara, obsiadają śmietniska Limy, jedzą odpadki, piją morską wodę. Trupki dzieci grzebie się w piasku wokół śmietniska.

Przy jednej z ulic biegnących równolegle do Avenida Arequipa znajduje się restauracja, która ma tylko kuchnię, kelnerów i ocieniony drzewami parking. Aby w niej zjeść, trzeba mieć samochód. Kelnerzy przyczepiają do drzwi pojazdu specjalne stoliki z jadłem, napojami i naczyniami do mycia rąk. Na widok takiego stolika poczułem głód. Zjadłbym pawo z frytkami i czerwonym winem Atacama, ale... nie mam samochodu. Obok mnie stoi Indianka w łachmanach. Dziwne, że jej jeszcze nie przepędzono.

Nie jestem podobny do ludzi ledwo widocznych zza panoramicznych szyb samochodów i może dlatego zwróciła się do mnie z pokorną prośbą o zapałki. Wręczyłem jej pudełko. Wyjęła coś z kieszeni, podniosła z ziemi papier, owinęła nim to, co wydobyła z kieszeni, ułożyła przy krawężniku i podpaliła. Oddała mi zapałki.

– Weź sobie, mam drugie pudełko.

– Ale ja nie mam już więcej...

– Czego?

– Ziemniaków, señor.

Podłożyła jeszcze parę papierków do zaimprowizowanego ogniska i po kilku minutach zaczęła łapczywie chrupać półsurowego ziemniaka. Opowiedziałem o tym incydencie znajomej Peruwiance, która tak go skomentowała:

– Trzeba mieć wyobraźnię tej Indianki, żeby surowego ziemniaka jeść jak upieczonego.

– Nie, moja droga, trzeba być głodnym jak ta Indianka.

Cóż, zapomniałem, że takich obrazków nie ogląda się z okien bogatych rezydencji. Rodzice znajomej należeli do jednej z czterdziestu rodzin, które przed rewolucją posiadały Peru. Ona sama uważa się za rewolucjonistkę. Ulica nosząca nazwisko jej rodziców prowadzi do parku „De Los Deskalsas" – bosonogich. Ale to przecież tylko nazwa.

Powoli idę w kierunku San Cristobal. Jest już późno, zatrzymuje mnie patrol Guardia Civil:

– Dokąd pan idzie?

Pokazuję, że w kierunku krzyża.

– O nie, tam można pobłądzić.

Zaraz, zaraz, już gdzieś mnie tak ostrzegano. No tak, na algierskiej kasbie, w bebechach wielkiej metropolii.

Nad Pueblo Joven błyszczy krzyż...

Padre Szeliga*

Dziwnym zbiegiem okoliczności poznaję księdza Szeligę, prezesa Górniczego Towarzystwa AU-RA. Z pochodzenia Ślązak, od lat czterdziestu zamieszkały w Peru, na każdym kroku podkreśla swoją narodowość. Był niedawno w Polsce, jest zachwycony tym, co zobaczył, ma w Tychach brata, z którym pozostaje w ciągłym kontakcie. Padre Szeliga zna się prawie na wszystkim, co peruwiańskie; jest botanikiem, lekarzem, mówcą, politykiem, a przede wszystkim górnikiem i geologiem. No i duszpasterzem.

Kiedy moja noga jako tako sklęsła, powędrowaliśmy do kopalń miedzi w rejonie Casapalca. Złoża te odkrył ksiądz Szeliga na wysokości 4800 metrów. Kiedyśmy się już tam znaleźli, znów doznałem uczucia gumowych nóg i pustki w klatce piersiowej; w uszach miałem gwizdy i piski jak sygnały z kosmosu. Nie wolno bezkarnie pokonywać w jednym dniu różnicy poziomów wynoszącej 4800 metrów. Ksiądz Szeliga, choć zbliżał się już do sześćdziesiątki, czuł się w górach jak Indianin Kiczua. Prawie trzydzieści lat zresztą spędził wśród Indian w Departamencie Madre de Dios, Puno, Cusco.

W drodze do Casapalca słucham jego opowieści o udziale Polaków w historii Peru. Ludzi takich jak górnik-geolog Edward Habich, założyciel inżynierskiej szkoły w Limie, jak Ernest Malinowski, budowniczy najwyższej kolei na świecie.

– Cóż to było za przedsięwzięcie! – entuzjazmuje się ksiądz. – Kolej ma 350 kilometrów długości, 61 mostów, które wyglądają jak ażurowe koronki, i 65 tuneli. Co za kunszt, proszę pana! Amerykańskie mosty walą się z niewiadomych przyczyn, a mosty Malinowskiego stoją. A wie pan dlaczego? Amerykanie nie uwzględnili naporu wiatru, a Malinowski tak, bo miał polską wyobraźnię. Przyjeżdżali tu w latach 1870-1908 renomowani inżynierowie angielscy i amerykańscy, żeby się u niego uczyć.

---

* Edmund Szeliga (1919-2005) – polski zakonnik salezjanin. Wyjechał do Peru w latach 30. XX wieku, gdzie pełnił posługę misyjną wśród Indian. Żyjąc pośród nich, poznał tradycyjne metody leczenia miejscowymi ziołami. W swych działaniach starał się propagować wartości lecznicze preparatów z roślinności puszczy amazońskiej oraz rejonów andyjskich. Był założycielem Peruwiańskiego Instytutu Fitoterapii Andyjskiej (Instituto Peruano de Investigación Fitoterápica Andina – IPIFA). Otrzymał liczne odznaczenia i wyróżnienia, między innymi Order Orła Białego. Zob. Z.J. Ryn, M. Lubiński, *Biali bracia Indian*, rozmowę przepr. Anna Cichobłazińska, „Niedziela: tygodnik katolicki" 2012, nr 37, s. 36-37 (przyp. autora).

Dobrze zapisali się tu Polacy, ot, choćby wielki budowniczy Limy, Jaxa-Małachowski, syn jego zresztą też*. Albo rodzina Kalinowskich. Ich protoplastę carowa wysłała do Peru, żeby łowił egzotyczne ptaki i przesyłał je do muzeum w Petersburgu. Ale Kalinowski zbuntował się i pozostał na zawsze w Peru. Pozostawił po sobie wspaniałe dzieło o faunie i florze Peru. Wiele opisanych przez niego gatunków dziś już nie istnieje.

Specjalnym hobby księdza jest geologia. Padre Szeliga ma swoje metody odkrywania złóż. Mimo że żadna z towarzyszących nam osób nie zna języka polskiego, tłumaczy mi przyciszonym głosem:

– Wystarczy tylko, proszę pana, przeanalizować nazwy gór, zboczy i rzek, a przede wszystkim potoków w języku Indian Kiczua i Aimara, żeby przy odrobinie wyobraźni to i owo odkryć.

Dotknięty moim niedowierzaniem zaczyna wymieniać nazwy polskich miejscowości, takie jak: Złoty Stok, Srebrna Góra, Miedzianka, Kuźnice.

– A co, może nie związane z przemysłem górniczym? U Inków, rozumie pan, jest bardzo podobnie. Inkowie w ogóle mają wiele wspólnego ze Słowianami.

Nie oponuję, widzę, że należy tylko słuchać.

– No niech pan zapyta, jak to się nazywa w języku kiczua. – Pokazuje gruby warkocz towarzyszącej nam pani Eugenii A., socjologa, a ona ku memu zdumieniu odpowiada: warkocz.

– No widzi pan, ile tu słowiańskich, a nawet polskich wpływów. Naliczyłem w języku kiczua 364 wyrazy, które mają to samo znaczenie co w języku polskim, np.: kucyk, hucuł – to coś małego, chata, chałat – nakrycie, napijajtis – napijcie się, ciupajtis – ugryźcie, lulać – spać, mama...

No, a już słowo „ukaz" – konstytucja – jest koroną domysłów lingwistycznych padre Szeligi. Nie zabieram głosu w tej materii, bo po prostu nie znam języka kiczua. Owe lingwistyczne podobieństwa, jak również położona wysoko w górach enklawa zamieszkała przez rosłych blondynów to główne dowody na poparcie dość fantastycznie brzmiącej hipotezy księdza Szeligi. Przerzuca ona pomost między mieszkańcami Peru a prasłowianami znad Odry i Łaby. Padre powołuje się przy tym na kroniki dominikańskie

* Ryszard Jaxa Małachowski (1887-1972) – polski architekt, który wyjechał w roku 1911 do Peru, gdzie przebywał aż do śmierci. Twórca wielu monumentalnych budowli oraz szeregu projektów urbanistycznych. Uznany za jednego z najwybitniejszych architektów działających w państwie peruwiańskim. Był ponadto profesorem architektury w Wyższej Szkole Technicznej w Limie. Jego syn – Ricardo – również został architektem i pracował w Peru. Zob. I. Klarner-Kosińska, op.cit., s. 199; *Los Polacos en el Perú*, op.cit., s. 98-99; E.S. Urbański, *Prof. inż. Ryszard Jaksa Małachowski w Peru (1911-1972)*, [w:] Tenże, *Sylwetki...*, op.cit., Vol. II, ARTEX PUBLISHING INC., Stevens Point 1991, s. 22 (przyp. autora).

z okresu powstania Tupac-Amaru w Peru (koniec XVIII wieku), kiedy to jeden z dwóch synów Tupaca, przywieziony do Hiszpanii, zbiegł na wschód – prawdopodobnie do Polski. Dlaczego akurat do Polski? Gnał go tam – jak mówi kronika – „wrodzony atawizm". Na zamku nidzickim żyła kuzynka zbiega, inkaska księżniczka Umina Tupac-Amaru, córka Sebastiana Borżewicziego. Jej męża zamordowano we Włoszech. Wkrótce potem i ją zasztyletowano na zamku nidzickim. Osierociła synka, Antonio Tupac-Amaru.

– I nawet pan nie wie – wyrzuca mi padre – że obecny wicemarszałek sejmu, pan Andrzej Benesz, jest potomkiem Antonia Tupac-Amaru.

Tego istotnie nie wiedziałem, ale przypomniało mi się, że kiedy jako praktykant łaziłem po czorsztyńskich wertepach, słyszałem opowieść, że w roku 1946 odkryto w zamku nidzickim ołowianą tubę, a w niej pismo węzełkowe Inków, zwane kipu.

– Ojciec pana Andrzeja Benesza – kontynuuje mój rozmówca – znalazł testament Inków w kościele Świętego Krzyża w Krakowie, testament spisany przez Sebastiana Borżewicziego i posłańców z Peru. Odnaleziona pod progiem zamku nidzickiego ołowiana tulejka zawierała owo kipu, o którym pan wspomniał. Na przyczepionych do niego złotych blaszkach wyryto: Vigo-Titicaca i Dunajecz, tak nazywał się zamek nidzicki w epoce, w której go zbudowano, to znaczy w XIV wieku.

Mając takie argumenty w zanadrzu, padre Szeliga zagina mnie co krok i udowadnia, że Inkowie i Słowianie to bracia nie tylko po mieczu, ale i po kądzieli.

Zasłuchany w te pełne uroku baśnie czuję nagle, że brak mi tchu. Dziękować Bogu, dotarliśmy już do złoża miedzi i cynku Luminaria, odkrytego przez księdza Szeligę.

– O proszę – mówi padre – Luminaria, świecąca góra. Widzi pan, jak błyszczą te sypiące się minerały chalkopirytu i galeny? Trzeba analizować nazwy.

Ksiądz Szeliga zapomniał, że „luminaria" to już nie język kiczua.

Odpoczywamy, to znaczy, ja odpoczywam, a sześćdziesięcioletni padre znosi mi próbki minerałów, karmiąc przy okazji fascynującymi opowiadaniami o kopalniach złota z epoki świetności Inków i częstując wspaniałym winem, które wyrabiają salezjanie w Limie.

Oprócz księdza poznaję inne osobistości stołecznej Polonii, między innymi panią generałową. Wysoka, o szlachetnych rysach i na wskroś polskim profilu. Gładko przyczesane blond włosy, ciemna długa suknia. Centralna ściana pokoju, do którego mnie poproszono, przyozdobiona jest rzeźbą orła oraz pamiątkami po mężu. Jest szabla, Virtuti Militari, wiele innych orderów i odznaczeń, generalska czapka. Na powitanie wręczam jej bukiet białych i czerwonych róż.

– Tak, dawniej spotykaliśmy się corocznie 3 maja i 11 listopada, po mszy, u hrabiego – opowiada generałowa – ale on już nie żyje. Panie przychodziły w tych samych łysiejących szynszylach... jeszcze z Polski, panowie po raz nie wiadomo który wspominali swoje bohaterskie wyczyny z kampanii wrześniowej. Gorzkniejemy z roku na rok. Tu wszystko staje nam się coraz bardziej obce. Z drugiej strony zdajemy sobie sprawę, że gdybyśmy zdecydowali się wrócić do Polski, nie przywyklibyśmy do nowego. Zbyt długo pielęgnowaliśmy w pamięci stare... Może tylko odwiedzić... Ale skąd wziąć tyle pieniędzy? Wiemy, że jest piękna, piękniejsza niż była, bogatsza, cieszymy się z tego... miejscowi nam zazdroszczą. Ostatnio dzięki staraniom polskiej ambasady w Limie coraz częściej ukazują się w radiu, telewizji i w prasie budujące wieści o Polsce. Dzieci nasze znają ojczyznę swoich ojców tylko z opowiadań. Córka moja była w Krakowie. Spytałam ją, jakie wrażenie zrobił na niej Wawel? Odpowiedziała, że to taki duży dom. Rozumie mnie pan?

Pani generałowa wspomina zapach igliwia, kolor czterech pór roku, soczystą zieleń łąk, szumiące zboża i złotą polską jesień.

– Tutaj tego nie ma, tutaj tego nigdy nie zobaczymy. – Przy pożegnaniu poleca mi: – Niech pan pozdrowi Pabianice. – Patrzy na mnie przymrużonymi, szklistymi oczami, wyrażającymi głęboki smutek wędrowca zdążającego donikąd. – Zazdroszczę panu, że za parę dni będzie pan wśród łąk i wierzb Mazowsza... ech, niech pan pozdrowi Pabianice.

Potem były domy innych polskich rozbitków, emigrantów znad Ukajali i z okresu II wojny światowej: Roztworowskich, Sierleckich, Dunin-Borkowskich i wielu innych.

O tych polonijnych spotkaniach decydowały różne przypadki. Na przykład w sklepowej witrynie między reklamami i informacjami widnieje napis: Sie mówi po polsku. I jak tu nie wejść do takiego sklepu? Czasem na ulicy ktoś, usłyszawszy rozmowę w języku polskim, zatrzymuje się nagle i mówi:

– Przepraszam, panowie z Polski? A potem ci przypadkowo poznani rodacy podawali nas jedni drugim, urządzali na naszą cześć przyjęcia, przedstawiali rodzinom, chwalili się swoimi osiągnięciami i dorobkiem. Z niedowierzaniem słuchali o zmianach zachodzących w kraju. Niekiedy trudno było wymazać z ich pamięci obraz bezrobocia, wyboistych gościńców, obdartych i głodnych dzieci. Nie wierzyli, że mamy kolorową telewizję i asfalt, że w wioskach jest prąd elektryczny, a na polach pracują kombajny.

Polacy znad Ukajali

O Ukajali wiedziałem chyba tylko to, że ryby tam śpiewają. Tymczasem...

– Panie, to nie ryby śpiewają w Ukajali – moi rozmówcy dotknięci są do żywego – to oskarżają dusze zmarłych tam Polaków, ale nie wszystkim dane jest rozumieć ich głos. Ha! Ryby śpiewają!

– Czytam ja tu, panie, polskie książki. O wszystkim piszą, tylko nie o losie Polaków nad Ukajali. No powiedz pan, czy takie nazwy jak Satipo, Kumaria mówią coś panu?

– Istotnie – musiałem przyznawać – niewiele.

– Aż przykro wspominać – kontynuuje mój nowy przyjaciel – jak w latach trzydziestych wysłano ludzi do ziemi obiecanej, do kraju, który stał się dla nich piekłem.

Panie, cóż to było za oszustwo uknute przez polskich wielmożów i peruwiańskie Ministerstwo del Fomento (Ministerstwo Rozwoju). Oj, zrobili oni na tym majątek naszym kosztem. Rozwinęli propagandę w Europie, że trzeba ludzi do amazońskiej dżungli, że ziemia sama tam rodzi, tylko ją patykiem poszturchać. Obiecali, że dadzą nasiona i sprzęt, że wybudują domy. Potrzeba tylko zdrowych rąk do pracy. No to ludziska szli hurmem. A tu upchali nas w starej, nieczynnej fabryce zapałek w Limie-Callao. Ani wody, ani łaźni, na gołym betonie my spali. Zapewniali, że to chwilowo. Panie, póki my mieli swoje zapasy, to jakoś szło, ale potem głód zaczął w oczy zaglądać, wybuchła dezynteria. No, raz na jakiś czas rzucili trochę ochłapów. Wychodzić na miasto nie było wolno, trzymali nas tak kilka miesięcy i wciąż dowozili nowe transporty. Polskie władze wcale się nami nie interesowały. Ludziska z początku się buntowali, potem opadali z sił i uspokajali się. Ściągali z siebie łachy, zamieniali na kromkę chleba, panie, żeby tylko przetrwać.

Podkładali nam tam różne pisma i kwity do podpisania, że to niby już na wyjazd nad Ukajali. To i podpisywali my, ta i duszę diabłu by człowiek sprzedał, żeby tylko ta męka już się raz skończyła. Panie, nie znali my języka ichniego, a na dodatek prawie nikt nie umiał czytać ani pisać, więc skąd miał wiedzieć, co podpisuje. Tymczasem, jak się okazało potem, podpisywali my kwity, żeśmy otrzymali ziarno na zasiew, narzędzia rolnicze, odzież, pieniądze, domy. Cwaniacy upłynniali to wszystko, wypychali sobie kieszenie naszą krzywdą i znikali. Na ich miejsce pojawiali się nowi, co znów nas okradali. Stale i wciąż przypływały statki z osadnikami, z Polakami, a i z Niemcami też. Było tego ze siedem transportów.

Wreszcie po dziesięciu miesiącach nadszedł dzień wymarszu. Panie, my nie szli, my uciekali z tej Limy jak Żydzi z Egiptu, byle dojść do ziemi obiecanej.

Ruszyli my w drogę głodni, obdarci, w butach albo i bez butów, a przed nami pięćset kilometrów marszu przez ośnieżone Kordyliery. W Limie było ciepło, ale w Kordylierach, panie, wiatr przenikał do szpiku kości, byłeś pan tam, to i wiesz, jaki ten wiatr zimny. A spali my pod gołym niebem. Dzieci umierały po drodze, nieboraki. Uwierzysz pan, żeśmy tam doszli? Bo nas podtrzymywało na duchu, że tam na nas wszystko czeka. Warto cierpieć, żeby dotknąć ziarna i poczuć zapach świeżej ziemi. Tymczasem zastali my zielone, wilgotne piekło, moskity, jadowite węże, pająki, ameby, malarię. Żadnego dachu nad głową nie było ani żywności, ani ziarna, ani sprzętu. Nikt z nas nie miał pojęcia, co to ameba, to i pili my nie przegotowaną wodę, jak u siebie w kraju się pije. Bo tylko tej wody było pod dostatkiem. Tośmy chwytali krwawą dezynterię i konali po cichu. Niektórzy chodzili do dżungli, szukali różnych korzonków, pędów i liści. Truli się, łapali tyfus i inne nieznane choroby. Na nasze protesty, że niby gdzie te domy, jedzenie, pokazywano nam podpisane przez nas kwity. Mało tego, panie, jeszcze nas od złodziei wyzywano, że wszystko, cośmy w Limie otrzymali, tośmy sprzedali. Teraz my zrozumieli, cośmy podpisywali za drutami.

Uwierzy pan, że co silniejsi desperaci wybrali się z powrotem pieszo do Limy, upomnieć się o sprawiedliwość. Niektórzy doszli, ale cóż z tego! Tam już czekała policja i zamykała do tiurmy. Oskarżono nas, że wyłudziliśmy od rządu pieniądze, przepili, a teraz nam się nie chce robić, i deportowano na wyspę-więzienie, El-Fronton. I tam się ludzie buntowali. Przywódców buntu wiązano linami i opuszczano ze stromej skarpy na wąską półeczkę tuż nad wodą, gdzie uderzały morskie fale. Nocą smagał wiatr, w dzień piekło słońce. Na takiej półeczce ani się położyć, ani usiąść, puścisz się, to cię rekiny załatwią. Po tygodniowym „dojrzewaniu" wyciągano tych, co przetrzymali, i pakowano do ciupy.

Inna grupka desperatów spośród tych, co pozostali w Kumarii, zdobyła statek rzeczny i pożeglowała do Iquitos – 1700 kilometrów. Opanowali to Iquitos, postrzelali na wiwat, ale żadnego z tych ludzi nigdy już nie spotkałem. Wokół całej sprawy polskich emigrantów zapanowała wstydliwa cisza. Panie, a to trzeba pisać, bo ostatni świadkowie już wymierają i niedługo nikt nie będzie pamiętał, w jakiej męce Polak szukał chleba na obczyźnie.

A pan powiadasz, że teraz w Polsce chleb można na śmietniku znaleźć i że ziemi nie ma kto uprawiać? Nie do wiary. A wtedy, wie pan, ziemi nie starczało dla wszystkich, trzeba się było ludzi pozbyć, bośmy byli niewygodni. Teraz, pan powiadasz, w Polsce ludzie nie chcą na wsi pracować? Oj, Bóg was skarze!

W tamtych Czasach w Peru panował bałagan. Ci, co dochodzili do władzy, nie chcieli pamiętać zobowiązań swoich poprzedników, którzy wzięli za nas pieniądze. Prezydenta Peru, Augusto Leguia*, co to rozpoczął sprawę osadnictwa, znieśli, wysłali na gównianą wyspę, wie pan, tam gdzie kopią ptasie guano na eksport. Przepadł jak kamień w wodę, a następcy nie chcieli o niczym słyszeć.

Ale panie, co tam obcy, a jak o nas swoi pisali? Był, panie, taki polski konsul – Witold Szyszłło**. Zwiedził on Amazonię i potem pisał w książce „Amazoña Revelada", że tam tak pięknie, bajeczny klimat, pachnące kwiaty, węże potulne jak w raju, a nam się nie podoba. Słyszało się też, panie, nazwiska innych ludzi, którzy mieli być odpowiedzialni za całą sprawę: Pancho Vargas***, Geysztord, Warchołowski, Boguszewski... Czort ich tam wie, kto oni. A nas okradziono nie tylko z dobytku, ale i z dobrego imienia. Po dziś dzień się mówi, żeśmy złodzieje, nieroby, pijacy. Chwytaliśmy się wszystkiego, żeby zarobić na kawałek chleba. Ale też każdy wiedział, że nigdy nie zarobi na bilet powrotny do kraju. Niejeden, panie, płakał, niejeden napił się z rozpaczy, to zaraz zrobili z niego „borracho" – pijaka. Nikt z miejscowych nie rozumiał, że można płakać z tęsknoty do jodły, wierzby, razowego chleba. Kpiono z nas na każdym kroku i tak zostało po dziś dzień.

Garstka naszych osiadła w Limie i dorobiła się fortun. Panie, to się dopiero zaczęła zazdrość. I znów te brednie o Polakach – pijakach i złodziejach. Toż my, panie, daliśmy temu krajowi najlepszych ludzi! Taki inżynier Edward Habich założył szkołę inżynierską w Limie, był członkiem Komisji Edukacji Narodowej Peru. A Wakulski, Folkierski, Kluger, Borowski! Wszyscy oni mają pomnik na placu, który się zwie polskim placem, a na tym pomniku są słowa: „Al Ing. Eduardo Habich 1914. Consagrado sin reservas durante cerca de medio siglo saber y sus energias al progresso cientifico e industrial del Peru". Pamiętam to jak pacierz, bo kiedy bolało mnie serce,

---

* Augusto Leguía – prezydent Peru w latach 1908-1912 oraz 1919-1930. Zob. *Chile en los archivos soviéticos 1922-1991*, [red.] O. Ulianova, A. Riquelme Segovia, T. 2: *Komintern y Chile 1931-1935*, Dirección de Bibliotecas, Archivos y Museos/Lom Ediciones, Santiago de Chile 2009, s. 146 (przyp. autora).

** Witold Szyszłło (1881-1963) – polski podróżnik, przyrodnik, geograf, badacz Amazonii peruwiańskiej i brazylijskiej. W roku 1936 został mianowany profesorem na Uniwersytecie w Limie, gdzie wykładał geografię oraz botanikę. Był ponadto członkiem towarzystw geograficznych w Paryżu i Limie, a także pełnił obowiązki konsula polskiego w Peru. Zob. A. Dembicz, *Witold Szyszłło (1881-1963)*, „Przegląd Geograficzny" 1965, T. XXXVII, Z. 1, s. 245-246 (przyp. autora).

*** Franciszek Hernandez Vargas, zwany Pancho Vargasem – pochodzący z La Huairy plantator peruwiański; właściciel indiańskich niewolników, ich łowca i handlarz. Zob. M.B. Lepecki, *Na Amazonce...*, op.cit., s. 154-156 (przyp. autora).

szedłem pod ten pomnik i czytałem, co o Polakach napisano. No a Jaxa-Małachowski, a Malinowski! Tak, panie, oni wszyscy pracowali sin reservas – bez wytchnienia – dla rozwoju Peru.

Jana Roztworowskiego wszyscy tu nazywali Laco – szalony, a wie pan dlaczego? Z zazdrości. Bo kiedy dyskutowano w rządzie problem wyżywienia ludzi na piaszczystym wybrzeżu, Jan Roztworowski zaproponował, żeby zbudować drogę do Montanii nad Ukajali i tam rozwinąć plantacje. Wówczas prezydent Prado* spytał: A kto zrobi most nad Ukajali? Nie namyślając się długo, Roztworowski powiedział: Ja go zrobię za własne pieniądze, panie prezydencie, ale pan za pieniądze państwowe wybuduje do tego mostu drogę przez Andy. Prezydent drogi nie wybudował, a Roztworowski postawił most, po którym nigdy nie przejechał żaden samochód, więc nazwali go „mostem zwariowanego Polaka".

A ilu Peruwiańczyków zrobiło coś dobrego dla Polski – pytam się ja pana. Teraz inne czasy, teraz Polacy uczą Peruwiańczyków łowić ryby, uczą ich własnej historii, szukają tu skarbów w górach, zdobywają szczyty! Serce człowiekowi rośnie, Bogu dzięki, że tej chwili dożyłem. Łatwiej mi będzie umierać.

* Manuel Pardo – prezydent Peru w latach 1872-1876. W czasie swych rządów wspierał postęp gospodarczy kraju i zmierzał do rozbudowy instytucji demokratycznych. Zob. P. Daszkiewicz, R. Tarkowski, *Listy Edwarda Habicha (1835-1909) do Ignacego Domeyki (1802-1889) ze zbiorów Biblioteki Polskiej w Paryżu*, „Kwartalnik Historii Nauki i Techniki" 2007, nr 52/2, s. 211 (przyp. autora).

Kapłani diecezji opolskiej

MISYJNE ZAANGAŻOWANIE KSIĘŻY DIECEZJI OPOLSKIEJ W PERU*

Przywołane w rozdziale teksty pochodzą z publikacji zatytułowanej *Idźcie na cały świat. Kapłani diecezji opolskiej na kontynentach świata.* Książka ta powstała w wyniku Sympozjum misjologicznego, które odbyło się w Opolu 19 maja 2001 roku pod hasłem „XX lat posługi misyjnej kapłanów diecezji opolskiej". W owym zbiorze zawarto zarówno wystąpienia zaprezentowane przez prelegentów w trakcie Sympozjum, jak i biogramy księży misjonarzy, listy kapłanów, a także wspomnienia z wizyt na terenach misyjnych.

Poniżej zamieszczone zostały fragmenty korespondencji księży pracujących na misjach w Peru, a także wrażenia z obserwacji ich działalności, jakie odniosły osoby wśród nich goszczące.

Warto dodać, że diecezja opolska była jedną z pierwszych w Polsce, której kapłani zdecydowali się na posługę misyjną i wyjechali do krajów Afryki oraz Ameryki Południowej. Początkowo, w państwie peruwiańskim pojawili się dwaj wywodzący się z niej księża: Zbigniew Osadnik i Jerzy Rudek. Misjonarze ci udali się do Peru u progu lat 80., by objąć tam diecezje oraz rozpocząć swą działalność. Należy zaznaczyć ponadto, że na terenach peruwiańskich w latach 1981-2001 znalazła się najliczniejsza grupa kapłanów diecezji opolskiej ze wszystkich przebywających w krajach misyjnych Latynoameryki**.

* * *

---

* *Idźcie na cały świat. Kapłani diecezji opolskiej na kontynentach świata*, [red.] S. Klein, J. Urban, Redakcja Wydawnictw Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Opolskiego, Opole 2001.

** Tamże, s. 5-8. Przytoczone na kolejnych stronach wycinki z korespondencji misjonarzy: Zbigniewa Osadnika, Jerzego Rudka i Antoniego Klemensa znalazły się w pracy *Idźcie na cały świat...* w rozdziale *Z listów opolskich księży misjonarzy.* Zob. Tamże, s. 93-94, 97-99. Wspomnienia biskupa Jana Kopca oraz księdza Wolfganga Globischa z wizyt na terenach misyjnych w rejonie andyjskim, w tym na obszarze Peru, umieszczone zostały natomiast w rozdziale *Z pobytu wśród misjonarzy.* Zob. Tamże, s. 125-137.

Z listów opolskich księży misjonarzy

Piszę drugi list do Was, choć nie wiem czy pierwszy doszedł. Dwa tygodnie byliśmy w Limie, gdzie załatwialiśmy sprawy pobytowe. Tam też byłem na meczu między Peru a Chile. Również z chłopcami z Limy grałem w piłkę nożną. Po dwóch tygodniach pojechaliśmy do Chala, bardzo małej miejscowości nad Oceanem Spokojnym, gdzie urzęduje nasz biskup. Byliśmy tam tylko jeden dzień, a potem na drugi dzień pojechaliśmy do Caraveli, gdzie będziemy do końca lipca. Tutaj następuje aklimatyzacja, jak też pogłębianie znajomości języka hiszpańskiego. Jest to wioska leżąca na wys. 1800 m n.p.m. Tam, gdzie będę pracował, to jeszcze większa wysokość, bo prawie 2540 m n.p.m. Z Limy do Chala jechaliśmy cały dzień. Takie tu są duże odległości. Nie mówiąc o tym, że godzinami nie widziało się człowieka. Krajobraz w Peru to puste góry i pustynie. Jest tu bardzo mało zieleni. Są tylko takie oazy zieleni, gdzie mieszkają ludzie. Tutaj gdzie jestem to *pueblo* (wioska) mająca 1600 mieszkańców. Na ulicy rano i wieczorem widać, jak Indianie przeganiają lamy, jeżdżą na osłach. Tutaj już jadłem figi. Wyglądają zupełnie inaczej gdy rosną niż gdy się je spożywa czy kupuje u nas w sklepie. Stołujemy się w *Colegium*, gdzie są chłopcy indiańscy w wieku od 12 do 18 lat. Z nimi też graliśmy mecz. Nawet strzeliłem trzy bramki w czasie tego pierwszego, jedynego dotychczas rozegranego meczu. Na tej wysokości po pewnym czasie, gdy się gra, to dech zapiera.

Ale w ogóle to się tu coraz lepiej czułem. Nie pisałem Wam tego w pierwszym liście, że po przyjeździe miałem małą grypę i katar. Właśnie spirytus, który miałem ze sobą przyśpieszył mój powrót do zdrowia. Jadąc tu z Chala, jechaliśmy górską niebezpieczną trasą. Było kilka niebezpiecznych zakrętów, ostrych spadów czy przepaści, wystarczyłoby małe zawahanie się kierowcy, a można szybko znaleźć się na dole. Właśnie w kilku takich miejscach było kilka krzyży czy grobów postawionych na miejscu różnych nieszczęśliwych, tragicznych w skutkach wypadków. Tutejsze samochody nie mają często hamulców, reflektorów, błotników. Wyglądają jakby co dopiero zeszły z *corridy* samochodowej. Jechaliśmy pełnosprawnym samochodem. Wszystko zależało od kierowcy, od jego refleksu, orientacji. Aby dojechać do Caraveli z Chala trzeba było pokonać wysokość w kilku miejscach sięgającą około 2200 m

n.p.m. Jeszcze na takiej wysokości samochodem nie jeździłem, nie mówiąc o tym, że nie grałem w piłkę.

W Zabrzu ma być gazetka misyjna, gdzie będą wisiały widokówki i zdjęcia z moich terenów misyjnych, jak i też kilka słów o mojej pracy misyjnej tutaj. W Caraveli będę do końca lipca. Jeżeli wysłany został list do Pausa (lub Pauza) to nie szkodzi, trafi do mnie. Drugi list piszcie na adres w Caraveli. Pierwsze imię piszcie: Alejandro. Tak się wymawia Aleksander i pisze również w języku hiszpańskim. Tutaj imię to jest bardzo znane. Poznaję z każdym dniem tutejsze zwyczaje, jak również ludzi. Tutaj mają oni zwyczaj każdego pozdrawiać. Na tym kończę i pozdrawiam wszystkich, pozostający w Chrystusowym pozdrowieniu ks. Zbigniew Osadnik.

(Ks. Z. Osadnik, Caraveli [Peru] – 3 IV 1981 r.)

* * *

Tutaj [w Peru] nie przestaje się w poszukiwaniach coraz lepszych metod duszpasterskich, aby pogłębić życie chrześcijańskie tych ludzi. W maju odbył się Tydzień Pastoralny poświęcony rodzinie, w którym udział brały, oprócz kapłanów i sióstr, również rodziny pragnące włączyć się w pracę pastoralną. Jedno co mi się podobało, to ogromny nacisk na dawanie świadectwa życia chrześcijańskiego, które jest warunkiem przyjęcia sakramentów. W naszym wypadku dotyczyło to przygotowania dzieci do I Komunii św. Okres przygotowania trwa dwa lata. Przygotowanie to muszą przejść również rodzice (udział w przygotowaniu jest warunkiem dopuszczenia dziecka do I Komunii). Dzieje się tak, mimo iż dzieci mają religię w szkołach. Tego rodzaju podejście gwarantuje wzrastanie dzieci w całokształt chrześcijańskiego życia w rodzinie. W przygotowaniu rodziców dzieci komunijnych pomagają odpowiednio przygotowane pary małżeńskie, które spotykają się regularnie raz w tygodniu z odpowiednio dobraną ilością rodziców (od 7 do 10 osób). Ponadto specjalnie wyznaczeni animatorzy spośród młodzieży regularnie spotykają się raz na tydzień z samymi dziećmi pierwszokomunijnymi. Odbywa się to w małych grupach. Zarówno rodzice, jak i animatorzy młodzieżowi spotykają się także raz w tygodniu z kapłanem lub inną osobą dobrze przygotowaną aby pogłębić trudniejsze zagadnienia omawiane później w grupach oraz aby pogłębiać swoje życie wewnętrzne. Trochę przypomina to nasze „Oazy", ale nie do końca. Tutaj ma to większy wymiar parafialny i rodzinny (...). Czuję się tu dobrze i spotykam wiele życzliwości od strony tutejszej ludności, mimo iż jako księża diecezjalni nie możemy im materialnie imponować. Przekazuję pozdrowienia wszystkim Znajomym...

(Ks. J. Rudek, Paula [Peru] – 7 VII 1981 r.)

* * *

(...) Z radością spieszę donieść, że jestem już w Limie. Podróż upłynęła bez jakichkolwiek kłopotów. Na lotnisku oczekiwali mnie już ks. J. Rudek i Ordynariusz, Mons. B. Kühnel, który ostatnio został mianowany przez Ojca Św. Jana Pawła II biskupem prałatury Caraveli. Konsekracja będzie miała miejsce w dniu 29 IV 1983 r. w Caraveli. Monsignor Bernardo spodziewa się, że również nasz ks. Biskup z Opola przyjedzie na tę uroczystość.

Tu w Limie zostałem przyjęty bardzo życzliwie. Pozostanę tu przez dwa tygodnie celem załatwienia formalności pobytowych. Potem do Pauzy. Wielki Tydzień natomiast będzie niejako moją pierwszą próbą. Z pomocą dwóch seminarzystów będę musiał poprowadzić liturgię Wielkiego Tygodnia na jednej z parafii pozbawionej kapłana (...).

(Ks. A. Klemens, Lima [Peru] – 28 II 1983 r.)

* * *

(...) Wróciliśmy z Caraveli z konsekracji biskupiej naszego dotychczasowego Ordynariusza, ks. prałata B. Kühnela, gdzie na tym pięknym i wzruszającym obrzędzie było wielu biskupów z Peru oraz wielu księży i misjonarzy. Napisałem w liczbie mnogiej – wróciliśmy, gdyż po raz pierwszy byliśmy wszyscy trzej Opolanie razem, tj. z naszym beniaminkiem – z ks. Antonim Klemensem. Kiedy piszę te słowa padre Antonio już pracuje w swoich wioskach. Dobrze wykorzystał czas poświęcony na naukę języka hiszpańskiego w Belgii. Gdy 27 lutego przyjechał do Limy, witał go ks. Biskup i ks. Rudek. Ja już przygotowywałem się do podróży do moich wiosek. Rozmawiałem z nim tylko przez radio w dzień przyjazdu.

Od poprzedniego listu do Księdza Biskupa zaszły u nas pewne zmiany i to znaczne. Otóż pod koniec kwietnia odszedł z Pauzy do Caraveli dotychczasowy proboszcz. Na jego miejsce został mianowany proboszczem w Pauzie ks. Rudek, a do pomocy jako wikariusza otrzymał ks. Antoniego Klemensa. Ks. Rudek został także mianowany jako *vicario foraneo*, czyli dziekanem. Obaj mają do obsługi cztery bardzo rozległe parafie.

Ponadto w sąsiedniej parafii w tajemniczych okolicznościach zmarł jeden z ojców Redemptorystów (podejrzenie o otrucie). W tej sytuacji muszę dodatkowo obsłużyć wioski należące do tamtej parafii (moich wiosek mam trzydzieści). W tym roku do kraju na urlop pojedzie ks. Rudek. Pragnie być w okresie Bożego Narodzenia. Byłoby rzeczą dobrą gdyby diecezja nasza ofiarowała sprzęt liturgiczny na cele misyjne, taki jak: kielich mszalny, ornaty itp. Te rzeczy nie ważą dużo i można je zabrać do walizki (...).

(Ks. Z. A. Osadnik, Pauza [Peru] – 3 V 1983 r.)

Z pobytu wśród misjonarzy

Pozdrowienia andyjskie

1. Samolot Królewskich Holenderskich Linii Lotniczych dostarczał pasażerom wielu atrakcji, ale po 14 godzinach chciałoby się już stanąć na ziemi. Wstępem była wyspa Aruba, należąca do Antyli Holenderskich, gdzie było międzylądowanie. Ale poruszył uwagę i serca dopiero majestat Andów, które wnet się wyłoniły, gdy zaczęło się wyszukiwanie Limy na mapie świata, co pilot uczynił bezbłędnie. W blasku słońca można sobie było wyobrazić, co odczuwają od pokoleń znawcy majestatu gór i specjaliści od pięknego, literackiego ich opisania. Gdy oczy wszystkich 272 pasażerów z wysokości 11 tys. metrów przywarły do okienek potężnego *Douglasa*, unoszącego ich wytrwale i odpowiedzialnie z europejskiego Amsterdamu na kontynent, zawsze atrakcyjny i napełniający emocjami, przez chwilę można było próbować wczuć się w odruchy serc poprzedników sprzed pięciu stuleci, którzy nam przetarli drogę do poznania i opanowania tego nowego lądu. Co było wówczas ważniejsze: fascynacja i upór w poznawaniu nowego lądu wraz z chęcią zaspokojenia ciekawości, czy przekonanie, że to musi się znaleźć w sercach i dłoniach naszych europejskich współbliźnich? I zastanawiałem się, czy zbliżając się do tego lądu – zwłaszcza po raz pierwszy w życiu – i naczytawszy się już niemało o tych zmaganiach, wcale nie jednoznacznych do oceny w kontekście sporów o etyczny wymiar naszej obecności w Nowym Świecie, można się w tym momencie cieszyć? Czy nie należy raczej czuć się nieco przygaszonym i zawstydzonym z powodu tego wszystkiego, co się wydarzyło i już nie może zostać zmienione, bo przecież nie można zmieniać biegu dziejów minionych?

Ale ja jednak cieszyłem się w sposób właściwy bardziej spontanicznemu dziecku, niż przedojrzałemu obywatelowi Starego Świata, gdy po krótkiej aklimatyzacji, w dniu 17 sierpnia 2001 roku mogłem stanąć w andyjskim siole, wcale niemałym, w Acostambo, na wysokości 3400 m npm, gdzie przyszło nam najpierw przeciskać się przez zatłoczony, lecz malowniczy targ-bazar, by się znaleźć w kościele, biedniusieńkim, lecz serdecznie otwartym. Nawet w tym dniu wszyscy zgromadzeni czuli się dumnymi: mogli zaświad-

czyć, że ich patron, św. Jacek, czyli San Jacinto (czytaj: Hasinto), jest wspólnym dziedzictwem ich i gości, którzy przybyli z ojczyzny jego narodzenia. I nie trzeba było ks. Norbertowi, pochodzącemu z Gogolina, odświętnie zgromadzonych jego parafian tego dopiero uczyć z okazji przybycia biskupa i rektora seminarium z Opola. To wiedzieli już od swych poprzedników, chociaż może do końca nie są pewni, czy właściwie w swych umysłach umieszczają ową krainę na mapie świata, mimo wszystko dla nich egzotycznego. Nie dziwmy się im, bo i dla historyków nie są dokładnie znane okoliczności powiązania chwały Jacka z rodu Odrowążów z zagubioną w środkowym biegu pasma Andów osadą ludzi biednych, nawet zapomnianych przez wielkich tego świata, gdzie oddaje się mu cześć serdeczną równą doświadczanej w Rzymie, Krakowie i Kamieniu Śląskim. Dumny św. Jacek o hiszpańskich rysach spoglądał na nas wszystkich w kościele, zaświadczał o wysiłkach dominikańskich misjonarzy, którzy od XVI w. te strony ewangelizowali. Towarzyszył nam jeszcze długo po gorącym pożegnaniu i dzięki niemu poczuliśmy się nie tylko pewniej, ale bliżej wspólnego fundamentu. Umocniło się to następnie przez zamyślenie w Limie przy jego ołtarzu, czy nawet w boliwijskiej Copacabanie przy obrazie świętego w klasztornym muzeum.

Wspomniana radość ze spotkania ze świętym patronem ziemi opolskiej wysoko w górach na kontynencie południowoamerykańskim wzbogacona była także pasterskimi wizytami w innych ośrodkach, gdzie posługują nasi opolscy księża. Czy więc i św. Anna z Huaribamba, gdzie proboszczem jest ks. Marek, nie powinna napełniać duszy dalszym uśmiechem z odkrycia kolejnej wspólnej płaszczyzny wiary? I tak na wielu miejscach dane nam było doświadczać owego bogactwa ducha. To przez takie filary łatwo było nawiązać kontakt i nabrać od razu do siebie zaufania i otwarcia.

Dla wyjaśnienia podam, że opolskim księżom przypadło obsługiwać północny rejon diecezji Huancavelica, położonej w środkowych Andach, uznawanej za najuboższy rejon Peru. Cała prowincja Tayacaja, którą obejmują duszpasterskim wysiłkiem, dostarcza wprawdzie niezwykłych krajobrazów, okazji do odbywania wędrówek – ale tak jest, gdy są one pomyślane jako wzbogacanie swych przeżyć, może podejmowanych tylko raz w życiu; ale gdy należy spojrzeć na te przestrzenie w duchu odpowiedzialności za właściwą posługę duszpasterską wtedy powaga napełnia umysł. Bazą jest miasteczko Pampas, z plebanią prądem, wodą telefonem i funkcjonującym komputerem z Internetem. Stąd trzeba wyruszać do Huaribamba, Pazos, Acostambo, Salcabamba, Surcubamba – wymieniłem tylko siedziby jurysdykcyjne parafii, bowiem w ich cieniu kryje się niemal 350 wiosek, osiedli i różnych przysiółków, a nie do wszystkich dojedzie nawet najsprawniejszy samochód. Kiedyś czytaliśmy, jak to misjonarze ładowali na muły swoje bagaże i na tygodnie, a nawet miesiące znikali z pola „cywilizacji", by zmierzać

na spotkanie nieznanych sobie ludzi i zanosić im Chrystusa wraz z Jego orędziem. Dziś przybiera to inny wymiar, ale wyzwanie pozostaje to samo. Od 500 lat chrześcijaństwo jest obecne w tym narodzie i społeczności. Prześledzenie dróg dziejowych byłoby bardzo interesujące i pouczające, ale siedząc na plebanii w Pampas nie tyle zagłębialiśmy się w rozważania o przeszłości, ile chcieliśmy poszukiwać diagnozy na dzień dzisiejszy: dlaczego taki dotkliwy brak rodzimych powołań, dlaczego odbieramy dość płytko tutejsze chrześcijaństwo, zauważamy małe wymagania stawiane wiernym? Równocześnie jednak doświadczamy niezwykłego szacunku dla treści religijnych: kościoły pełne rano, w południe i wieczorem, a widząc modlących się wiernych – także mężczyzn, co Europa uznałaby za kuriozum niegodne ery postępu i emancypacji ducha ludzkiego – nie znajdujemy słów podziwu. To więc nie dopiero pionierskie kroki w służbie ewangelizacji, to duszpasterstwo – rzec by się chciało: normalne – tyle, że w wyjątkowo surowych i trudnych warunkach. Diecezja położona na wysokościach, o obszarze 21 tys. km^2, gdzie mieszka niecałe pół miliona ludzi, ale pracuje ledwo 30 kapłanów, w znacznej części z zagranicy! Duszpasterze poszczególni posiadają bardzo wielki zakres samodzielności, właściwie jakiś odgórny program duszpasterski nie istnieje, bo każda „parafia" wymaga indywidualnego potraktowania. Rodziły się więc niemal spontanicznie dalsze pytania: na ile tutejszy Kościół diecezjalny potrafi już być animatorem swych własnych potrzeb? Czy chrześcijaństwo jest również własną treścią odwiecznych mieszkańców tych stron? Czy zaradzeniem, nawet cząstkowym, byłoby kształcenie i wychowywanie liderów, mogących być pośrednimi ogniwami w animacji chrześcijańskiej poszczególnych wspólnot, zwłaszcza, że sekty czynią wiele spustoszenia, bo kapłan katolicki może być bardzo rzadko w trudno dostępnych rejonach? Na te i inne nurtujące pytania nie znalazłem już pełnej odpowiedzi, ale dzięki wyjaśnieniom i opowiadaniom naszych drogich współbraci księży: Marka Trzeciaka, Joachima Pohla i Norberta Hermana (Henryk Poczęśniok, proboszcz w Pampas, był wtedy na zasłużonym urlopie w domu), znających już po kilku latach swoje owczarnie, bardziej spokojnie i z pokorą spoglądamy dziś na te bardzo złożone ich wysiłki. Z całym przekonaniem odnajdujemy też sens posłannictwa naszych księży wśród godnego szacunku ludu Andów.

Może nieco inaczej jest w Boliwii, gdzie znacznym wsparciem jest posługa zakonów, dysponujących przez to większymi możliwościami personalnymi i nawet materialnymi, chociaż troska o kruche powołania jest ciągle wyzwaniem. Doświadczyliśmy tych prawd w spotkaniach w Copacabana, La Paz i Cochabamba z naszymi franciszkanami z prowincji św. Jadwigi, werbistami i zmartwychwstańcami, franciszkanami konwentualnymi i Siostrami Służebniczkami Dębickimi, także w centralnym seminarium duchownym w Cochabamba, które Ojciec św. poświęcił osobiście w 1988 r. (warto dodać,

że w tym mieście, nazywanym przez naszych misjonarzy „boliwijskim Krakowem" mieści się 70 zakonnych domów formacyjnych!). To wszystko potwierdził nam nuncjusz apostolski w Boliwii, nasz rodak, abp Józef Wesołowski, podczas przecudownej audiencji w swojej rezydencji w La Paz!

A może więc – idąc za duchem Jubileuszu 2000 z zaproszeniem do rachunku sumienia – jest to też droga do wyrażenia skruchy i wchodzenia w partnerską współpracę na miejsce dawnego panowania, by uzupełnić braki, które były częścią europejskiej obecności w przeszłości? Nie wiem tego dokładnie, ale tak chciałbym widzieć naszą obecność na przestrzeniach wysokogórskich osiedli, które Opatrzność wyznaczyła dumnym potomkom wielkich kultur andyjskich. Że uznają naszą obecność i posługę. Z jakim przejęciem i godnością podają rękę na przywitanie. Ile przecież za tym gestem musi kryć się wewnętrznego przełamania, by na to się zdobyć. To wielkie wyróżnienie dla człowieka białego, by dostąpić przywileju wyciągniętej ręki odwiecznych gospodarzy tych ziem. To zrozumiałem dopiero na miejscu, gdy nas nasi Współbracia zachęcali do odpowiadania na wyciągnięte ręce i byśmy nie próbowali jednym uśmiechem wszystkiego załatwić.

2. Ale kolejny raz jeszcze trzeba wrócić do spotkania z górami i ich mieszkańcami. Dawałem się często ponieść wyjątkowym uniesieniom. Przyzwyczajony do naszych środkowoeuropejskich standardów nie mogłem zaprzestać rozważań, jak Pan Bóg oceni te przedsiębrane przez naszych czterech duszpasterzy wyprawy z bazy w Pampas do powierzonych ich pieczy przysiółków, gdy najwięcej czasu pochłania dotarcie do tych ludzi drogami górskimi, nie zawsze na tyle szerokimi, by się zdołały wyminąć dwa pojazdy, nie ryzykując stoczenia się w przepaść (chociażby najpiękniejszą!). A samochód musi służyć – nie limuzyna, błyszcząca, sunąca po równiuteńkim asfalcie, lecz przede wszystkim dobry wóz terenowy, z koniami mechanicznymi pod maską z napędem na cztery koła, z silnym podwoziem i nadwoziem i innymi jeszcze zaletami, na których ja się nie znam, ale ks. Rektor z Markiem i Norbertem mi niekiedy podpowiadali, co jeszcze powinno się znaleźć dla dobra kapłana i jego wysokogórskich wspólnot! Bo nie chodzi o zauważanie po drodze kaktusów, agaw, mieniących się barw gór i roślinności, kwiatów, ptaków z kolibrami włącznie, czym się może zachwycić turysta, ale nie duszpasterz! I w bagażu tego sługi Bożego musi znaleźć się nie tylko Ewangelia, alba i stuła, ale ręce muszą pewnie trzymać się kierownicy. By zdążyć i spojrzeć przyjaźnie w oczy. A jeszcze, chociażby raz w roku należałoby zdążyć do stolicy diecezji, na rekolekcje, czy załatwienie najistotniejszych spraw, a jest to jednak wyprawa znacząca. Ale trzeba, zwłaszcza, że w niższym seminarium aktualnie uczy się 5 młodych i rezolutnych chłopaków także z Pampas! A w wyższym seminarium też są kandydaci z Pampas! Ile było dumy i radości, gdy mogliśmy się z nimi spotkać

w stolicy diecezji. Mogłem też w długiej rozmowie w wyższym seminarium – którą cudownie na hiszpański tłumaczył ks. Marek – nie tylko po bratersku opowiedzieć o egzotycznej dla nich i ich kolegów diecezji na Śląsku, wyrazić uznanie dla naszych księży u nich posługujących, ale przede wszystkim życzyć im samym wytrwania i wzięcia kiedyś odpowiedzialności za swój Kościół u siebie. A jak ładnie przygotowali liturgię Mszy św., którą sprawowaliśmy dla obu seminariów wraz z ich przełożonymi! A jak się stawili do wspólnego zdjęcia! Czy nie warto więc jeździć naszym bohaterom do Huancavelica i to niezawodnym samochodem? By nie zawieść zaufania i móc się uśmiechnąć do siebie nawzajem?

I jeszcze raz chciałbym dać świadectwo: Opatrzność stworzyła Peru przecudownie – zarówno nad Pacyfikiem, jako żyzną i przyjazną nizinę, jak też majestatyczne Andy, i jeszcze nie do ogarnięcia tropikalną dżunglę na powierzchni setek tysięcy kilometrów kwadratowych, rozpościerającą się dalej aż do Brazylii, Boliwii i Kolumbii. Ale piękno tych stron, krajobrazy jak przedsionki nieba, nawet wyjątkowy błękit nieba, nie zastąpią prozy życia. Może dlatego, że w górach i wysoko, i ciężko, i nie zawsze dobre doświadczenia z drugimi ludźmi stworzyły tam specyficzny dystans do rzeczywistości. Mijając postaci, nad wyraz poważne, i to od najmniejszych dzieci, często zastygłe w oczekiwaniu – na co? – z oczami pełnymi wczesnej dojrzałości i przenikliwie patrzącymi jakby obojętnie przed siebie – może i z rezygnacją? – dostawałem dreszczy. Bo wracało wtedy jakby ciągle wciskające się poczucie winy, żeśmy nie dorośli wszyscy razem do solidarności w Chrystusie. Do końca życia nie zapomnę wstrząsu, gdy jechaliśmy z ks. Markiem z bazy w Pampas do jego parafii w Huaribamba – do samochodu zabrał ze sobą kilka kartonów; myślałem, że to jakieś niezbędne przybory do odprawienia uroczystej Mszy św., którą planowaliśmy. A okazało się, że były pełne najzwyklejszych cukierków, po które – nie chciałbym być niesprawiedliwy – nasze dzieci by ręki może już nie wyciągnęły. Po drodze, słysząc znajomy warkot silnika samochodu swego *padre*, z domostw czy z zakamarków wybiegały na drogę pełną tumanów kurzu zabiedzone dzieci. Stawały nieco w oddali, nieufne, poważne, że aż się serce krajało, brudne i nad wyraz doświadczone przez los – wtedy nasz Marek nauczył mnie i rektora, by odkręcić szybę i po prostu kilka cukierków rzucić w ich kierunku. Nawet nie zatrzymując się!!! Samochód przejeżdżał, chwila wahania i potem czarujący uśmiech, jakby niebo się otwarło. Nieraz rzucając spojrzenie do tyłu widzieliśmy, jak z radością i starannością szukały i podnosiły cukierki, zanosiły do matki, czy kogoś im towarzyszącego – i dzieliły się nimi sprawiedliwie! I niech mi ktoś powie w tym momencie, że nie warto było wybrać się tych 14 tysięcy kilometrów z Opola, by przeżyć to muśnięcie Łaski. Tak! Piszę to z pełną świadomością! A gdy potem na nasze spotkanie w parafii przyszła

cała szkoła ze swymi nauczycielami, stojąc w szyku, ks. Marek mi tylko szepnął: „Jestem przekonany, że bardzo wielu z tych dzieci dziś jeszcze śniadania nie jadło!" A gdyby zobaczyć, jak ci ludzie gór żyją w lepiankach, gdzie dopiero powoli dociera prąd i może kiedyś woda, a cały wysiłek kierowany jest na uprawianie nędznych poletek i wypasanie świnek, uwiązanych na sznurku, krów, zaganianie kur! Więcej nie potrafię napisać spokojnie o tym doświadczeniu!

Porządkując po czasie wrażenia i refleksje zastanawiam się, czy dobrze żeśmy wszystko zaobserwowali. Czy nie wzięliśmy *pars pro toto*? Czy zadaliśmy sobie trud, by na wszystko szeroko oczy otworzyć? Chciałoby się w tym momencie oceniać władze, prezydentów, może nawet nieuczciwych samorządowców, uzasadniać nieodzowność rewolucji, zrozumieć *Sendero Luminoso*, czyli Świetlisty Szlak*, dyskutować o korupcji, o malwersacjach, o marnotrawieniu zasobów, bogactw i możliwości, o bezrobociu – według statystyk 54% Peruwiańczyków żyje w nędzy, że wysoki jest odsetek analfabetów... Nie nam jednak to czynić, by także nam z równą mocą druga strona nie odpowiedziała znanym od starożytności powiedzeniem: lekarzu ulecz samego siebie, bo też masz z czego się leczyć!

3. Nie mogę jednak odmówić sobie przyjemności podzielenia się dalszymi doświadczeniami zwiedzenia dwu ważnych krajów, Peru i Boliwii, także jako przybysz z Europy, któremu dane było na własne oczy zobaczyć dziedzictwo wielkich kultur i efektów spotkania się dwu światów na początku XVI w. Przeciętnie wiemy, że większość mieszkańców tych krajów to potomkowie dawnych gospodarzy, dla których jak hasło odnosimy jedno słowo: Inkowie. Wiadomo jednak, że to wielkie uproszczenie. Przestrzenie Ameryki Łacińskiej zamieszkiwały bardzo liczne plemiona przedinkaskie i trzeba przedzierać się pracowicie przez uczone księgi, by się rozeznać w kulturach Huaytara, Pucara, Tiawanacu i wielu jeszcze innych, z królewskimi Inkami włącznie. Stawać należy nie tylko w Cuzco, Saqsaywaman, Q'engo, Tambomachay, Ollantaytambo, Pisaq, czy na Machu Picchu, ale też studiować przekazy inkaskiego Garsilaso de la Vega i kronik hiszpańskich zdobywców. Stwierdzić też można, że na pewno Peru i Boliwia mają to szczęście, czy wręcz przywilej, że ich tereny były teatrem wyjątkowo wielkiego osiągnięcia w XV w. i w pierwszej połowie XVI w., jakim było rzeczywiste imperium Inków. Przyzwyczajeni do truchciku po śladach Rzymian, Greków, Narodu Wybranego i wszystkich ich sąsiadów nie tylko indoeuropejskich, zarówno poprzedników jak i następców, staramy się wyciągnąć

* Świetlisty Szlak – maoistowska organizacja partyzancka w Peru. Zob. L.A. Horvitz, C. Catherwood, *Encyclopedia of war crimes and genocide*, Facts on File Inc., New York 2006, s. 391 (przyp. autora).

z pozostałości dziejowych wydarzeń jak najwięcej odcyfrowanych zdarzeń, myśli, idei i planów. Tak czynimy w odniesieniu do wszystkich kultur i cywilizacji, ale w przypadku Inków wszystko traci swoją wyrazistość i kieruje nas na kolana. Sam zgłębiać starałem się przynajmniej podstawowe odniesienia do tej historii i kultury i wydawało mi się, że nawet posiadłem już sporo wiedzy w tym zakresie. Ale kiedy zwiedzaliśmy Machu Picchu i oprowadzał nas uroczy człowiek, specjalnie tylko naszą czwórkę, zadając sobie niemały trud przeprowadzania nas po tajemnicach Inków, stwierdził w pewnym momencie: co do Inków ciągle jeszcze więcej jest hipotez niż uzasadnionych już zdań! Oni sami, mimo tylu wieków prowadzonych badań, jakby ciągle wymykali się: pokazując twarz, a kiedy nam się wydaje że niby zrozumieliśmy, z tajemniczym uśmiechem rozpływają się i pozostawiają nas prawdopodobnie przybierających wówczas nie najmądrzejszą minę. Jak ten przeuroczy 4- czy 5-letni Indianin, mający na sobie historyczne, kolorowe, inkaskie ubranko i machający przyjaźnie rączką zjeżdżającym autobusem turystom ze szczytu Machu Picchu do stacji kolejowej Aguas Calientes. Autobus musi wówczas pokonać kilkanaście zakrętów, zjeżdżając serpentynami. I co rusz na każdym nowym zakręcie mały Inka się wyłaniał, wznosząc dziecięce pozdrowienie i okrzyk. Wreszcie na ostatnim odcinku kierowca wpuścił go do autobusu, a ujęci turyści znad Mississippi czy Tamizy lub Renu – a nawet znad Odry – odwzajemniali się datkami, ale przede wszystkim szczerym i pieszczotliwym podziękowaniem mu, by ze swego dzieciństwa wyniósł umiłowanie swojej dumnej tradycji, kultury i ducha swego narodu. I malec znikał, obdarowując wszystkim czystym uśmiechem i podejmując na pewno kolejną rundę, a my nawet zapomnieliśmy pstryknąć mu zdjęcie. Nic nie mówiąc, odsłaniał jednak coś z tajemnicy swego ludu, obecnego nadal tutaj i do końca nie zrozumianego przez przybyszów. Pisma, chyba muzyki i literatury w naszym rozumieniu nie stworzyli. Zagadkowe *quipu*, oglądane przez nas chociażby w muzeum w Pachacamac koło Limy, czyli nitki z węzełkami, odgrywające istotne znaczenie w przekazywaniu informacji i funkcjonowaniu państwa Inków, do dziś nie odsłoniły swych tajemnic. Mimo, że od 500 lat trwa ta symbioza – trochę obok, ale jednak, wydaje mi się, naprzeciw przybyszów. A ich duch się unosi. Przywołany już przeze mnie przewodnik po Machu Picchu jakby żył z nimi. A kiedy – niby mimochodem, wspomniał, że pielęgnuje zwyczaje inkaskie, że każdego roku odbywa coś w rodzaju pieszej pielgrzymki inkaską trasą świętą z Vilcanota na Machu Picchu (niemal 80 km) przez kilka dni, albo że niekiedy, w księżycowe noce, spędza godziny wśród zabudowań tego wyjątkowego miejsca, chłonąc boską cześć, jaką oddawali twórcy tej kultury i religii słońcu i księżycowi – to gotów jestem przysiąc, że Inkowie odsłonili twarz, chociaż nie pozwolili żadnemu *gringo* w niej dostrzec właściwego oblicza! A badający muzykę

w redukcjach jezuickich w Chiquitos w Boliwii nasz rodak, ks. Piotr Nawrot, werbista, pracujący w La Paz, podczas uroczego wieczoru w domu swego zgromadzenia w stolicy Boliwii odsłaniał przed nami wyniki swoich dociekań, w których dopatruje się u dawnych Indian subtelnego zmysłu muzycznego! Może to kolejna przestrzeń, gdzie musimy zmienić nasze osądy o prawdziwych gospodarzach tych ziem! Zaskoczeń było i będzie na pewno więcej. Tym bardziej, że Inkowie mieli głębokie wyczucie transcendencji i kosmogonii, osiągnięć w dziedzinie astronomii i hydrografii; pod wprawnymi rękami rzemieślników wyczarowywał się świat kamienny, z budowlami do dziś fascynującymi. Może kiedyś dojdę do dojrzalszego wniosku, ale dziś, pod wrażeniem oglądanych i kontemplowanych miejsc i zabytków, mniej rozumiem, niż byłem gotów o tym zapewniać przed spotkaniem się z ziemią peruwiańską i boliwijską. Bo dużo się robi w dziedzinie ochrony i prezentacji zabytków. Ale czy to tylko ze względu na turystów, by ich ściągnąć, czy zawarte jest też w tej aktywności poszukiwanie identyfikacji z korzeniami własnej cywilizacji i świata duchowego. Kto zdoła to rozwikłać?

4. Z uporem kłębi się w głowie zaraz kolejne pytanie z rodzaju zasadniczych: jak więc spojrzeć na późniejszą historię i europejski udział w kształtowaniu oblicza tej cudownej ziemi? Krzyk od razu się podniesie, że Europa dawno powinna na kolanach przeprosić. I kiedy stałem w katedrze w Limie, w artystycznie bogatej kaplicy blisko wejścia po prawej stronie, gdzie znajduje się grób Francesco Pizarra, nie tyle modliłem się, ile do bólu koncentrowałem uwagę, czy wolno nam jednym zdaniem wyrażać sądy ze świadomością, że nasze (nie chcę wymieniać po imieniu) czystki etniczne, wojny, zamachy, zmuszanie do globalnej polityki ludnościowej, dyktowane rezolucje, zgoda na handel żywym towarem, bezceremonialne polowanie na ludzkie organy aż do sytuacji jawnej i świadomej ingerencji w bieg natury – z pewnością osłabiają siłę potępienia tego, co stało się na początku XVI wieku. I broń, Panie Boże, żeby w tym momencie Szanowny Czytelnik mocnym mazakiem nie podkreślił poprzedniego zdania na uzasadnienie, że należę do ludzi dawnej formacji, czyli zacofanych i nie podlegających już reformie i naprawie! Ja bowiem tak tego nie rozumiem! Staram się tylko spojrzeć na skomplikowany obraz tego procesu. I pokornie przyznaję, że tego nie potrafię jeszcze rozwikłać. Bo zaraz w tej samej katedrze przyklęknąłem – po drugiej stronie – w kaplicy Matki Bożej Ewangelizatorki, ufundowanej przez córkę zdobywcy i pogromcy imperium Inków! A niedaleko od placu centralnego w Limie z przejęciem – naprawdę! – sprawowaliśmy Eucharystię w kościele dominikanów na grobach pierwszych Świętych Ameryki Łacińskiej: Róży z Limy (zm. 1617), Marcina de Porres (zm. 1639) i Juana de Massias (zm. 1645) i powtarzali strofy *Te Deum* za te dojrzałe owoce łaski Jezusa Chrystusa na tej samej nieszczęśliwej ziemi! Jak więc naprawdę to ująć? A w kościele

św. Róży, powstałym na miejscu domu rodzinnego wielkiej Apostołki Łaski i Bożego Uśmiechu, gdzie trwają na modlitwie dosłownie tłumy ludzi o czarnych, kruczych włosach, czyli w prostej linii potomkowie nieszczęśliwych świadków czasów Pizarra, ale i Róży z Limy, adorujący Boga Jezusa Chrystusa? Niech mi ktoś pomoże złożyć tekst prośby do Boga, będącego Miłością, o wybaczenie win naszych poprzedników, ale równocześnie podziękowania za tych, którzy dokonywali heroicznych czynów w służbie tego ludu, ucząc ich dojrzałej odpowiedzialności na swoją wiarę. Jak można musnąć tego wysiłku w klasztorze franciszkanów *Santa Rosa in Ocopa*, 25 km na zachód od wielkiego, nowoczesnego miasta Huancayo, na skrzyżowaniu dróg i położonego niedaleko pierwszej siedziby Pizarra w Jauja, a założonym w 1725 r. Zakonnicy stąd prowadzili prace misyjne i badawcze na obszarze niemal całej dżungli amazońskiej w XVIII i jeszcze w XIX w. Uczyli w narzeczach indiańskich, kształcili już wtedy katechistów, tworzyli mapy i z satysfakcją nanosili każde zbadane miejsce, opisywali i klasyfikowali świat fauny i flory amazońskiej – zachęcam przy okazji do niewielkiego zboczenia z drogi prowadzącej z Limy przez przełęcz Ticlio na wysokości 4818 m (tak, tak!), dalej przez La Oroya właśnie w stronę Huancayo i zwiedzenia klasztoru, ale przede wszystkim biblioteki i muzeum, by z wrażenia usiąść i zapomnieć języka na wyrażenie podziwu dla zupełnie nam, Europejczykom, nieznanego wysiłku zakonników i – jestem o tym szczerze przekonany – bardzo uczciwie traktowanego zadania ewangelizacyjnego. Niech mi Czytelnik wierzy, jak tak odbieram ten wysiłek niemałej rzeszy „szaleńców Bożych". I naprawdę jestem dumny z twórców imponujących kościołów Limy, i Cuzco, i Andahuaylillas (zwanego „Kaplicą Sykstyńską Andów"), i Arequipy, i Trujillo, i także Acostambo, Pampas i Huaribamba, i tysiąca innych jeszcze miejsc na całym kontynencie!

Uczyć się trzeba jeszcze będzie długo, by przygotowywać odpowiedzi na drzemiące pytania. Ale dziś trzeba już kończyć. I nie chciałbym też w tym momencie być zarozumiałym, ale na pewno pozostaje w mym sercu i umyśle wiele jeszcze przeżyć i doświadczeń. Tym się podzieliłem na znak ustawicznego poszukiwania prawdy o świecie i ludzkich losach. Szczególnie radością i swoistą satysfakcją napawa fakt, żeśmy mogli z naszymi opolskim Współbraćmi sprawować Eucharystię w Pampas, Acostambo, Salcabamba, Huaribamba, Puno, Huancavelica, w Limie, Cochabamba, La Paz, Copacabana, w parafiach i seminariach, w sanktuariach i klasztorach – to było jakby przeniesienie na chwilę naszej opolskiej wspólnoty do nich. Nie, żebyśmy udawali, że tylko nasze odwiedziny się liczą ale że zyskała na tym płaszczyzna wspólnego odczuwania i poszerzenia odpowiedzialności. Może św. Jacek w Acostambo w tej chwili znacząco się uśmiecha do nas?

I tak mi się wydaje, jakbym przez te odwiedziny trochę w życiu posunął się w kierunku zrozumienia głębokiego stwierdzenia: wszystko jest Łaską. Pokornie to potwierdzam!

Bp Jan Kopiec

* * *

Niemal tygodnia było trzeba, aby spisać niniejsze słowa! Wiadomości, reportaże, obrazy czynią świat małym! Tymczasem, kiedy trzeba samemu przebyć tysiące kilometrów, to sprawa wygląda nieco inaczej... We wtorek 22.09.1998 r. musiałem już o 7.30 być na lotnisku we Frankfurcie. O 9.00 mogłem jeszcze odprawić Mszę św. w lotniskowej kaplicy. 400 osób (tyle, ile jest osób w niedzielę o 7.30 na Mszy św.) powierzyło swoje życie i bagaże Bożej Opatrzności i *Boeingowi 747* – największemu samolotowi pasażerskiemu. W jednym rzędzie 10 foteli – jest ciasno. Bogu dziękować, jeżeli ktoś nie ma za długich nóg... Trzeba, jak w samochodzie, założyć pas. W takiej ściśniętej postawie trwać 14 godzin, to niezbyt przyjemne. Na monitorach wyświetla się co jakiś czas trasę przelotu, wysokość (7-12 tys. m), prędkość (930-1000 km/h) oraz ile jeszcze godzin zostało do celu. Są to ekrany nadziei: jeszcze tylko 8 godz., 5 godz., 2 godz.! Kilkanaście stewardes dba o dobro ciała – co jakiś czas serwują napoje. Po starcie i osiągnięciu wysokości podaje się obiad na plastykowej tacy i w plastykowych pojemnikach. Cały czas świeci słońce. Jest już 24.00, ale słońce nadal świeci – po prostu lecimy ze słońcem. Dowód, że ziemia jest okrągła.

Dopiero kiedy nareszcie lądujemy w Limie zapada zmrok. 7 godzin różnicy do naszego czasu. Odprawa paszportowa, celna i odbiór bagażu dla 400 pasażerów trwa godzinę. Wreszcie gorące i serdeczne powitanie przez ks. Henryka. 40 kg bagażu ładujemy do jego *jeepa* i jedziemy w kierunku 8-milionowego miasta. Jedno morze świateł, ogromna ilość samochodów i autobusów. Stolica Peru nie posiada ani metra kolejki miejskiej.

W Polsce jest godzina 6.00 rano, kiedy znajdujemy przytułek w gościnnej małej plebanii ks. Czesława z diecezji tarnowskiej. Był to najdłuższy dzień mego życia! Bogu niech będą dzięki!

Przed pięciu laty pożegnaliśmy w Kolonowskiem, z mieszanymi uczuciami, naszego parafianina ks. Henryka Pocześnioka. Posłany został jako misjonarz na kontynent południowoamerykański, do Peru. Po jakimś czasie zaczęły się nalegania: Księże proboszczu przyjeżdżajcie, zobaczcie, odwiedzajcie....

W końcu zdecydowałem się przyjąć zaproszenie m.in. dlatego, żeby na miejscu omówić programy pomocy diecezjalnej. Dobrodzieje z Bawarii pokryli koszty podróży liczącej w sumie 12000 km. I tak znalazłem się

25 września w Pampas, dziesięciotysięcznym miasteczku położonym na wysokości 3200 m npm w Andach Centralnych w Peru.

Razem z ks. Henrykiem pracują tutaj jeszcze z diecezji opolskiej: ks. Marek Trzeciak i ks. Norbert Herman. Tworzą zgrane trio. Ich pasterskiej posłudze powierzono 320 wiosek na obszarze o wielkości około 2800 km^2.

Każdy z trzech misjonarzy ma „swoją parafię", czyli obszar kilkuset kilometrów kwadratowych. Pół biedy, gdyby teren był płaski o normalnej wysokości. Tymczasem są tylko pasma górskie przedzielone głębokimi dolinami.

Jest poniedziałek 28 września. Piękny słoneczny dzień. Samopoczucie nie najlepsze. Brakuje powietrza, jakby człowiek miał astmę. Na wysokości 3200 m brakuje tlenu dla człowieka nizin. Organizm powoli się dostosowuje, chociaż nawet po latach każdy wysiłek fizyczny powoduje przyspieszone bicie serca i łapanie powietrza.

O 8.30 koncelebrujemy Mszę św. w języku hiszpańskim w intencji służby zdrowia. Świętują rocznicę powstania ośrodka zdrowia – obecny jest jedynie lekarz naczelny i kilkunastu pracowników. O 10.00 wsiadamy do samochodu terenowego Toyota. Towarzyszy nam katechista, p. Stefan z Ostropy, dobrodziej ks. Henryka. W chmurze pyłu wyjeżdżamy z Pampas. Droga jest kamienista ze strasznymi dziurami. Trzeba uważać, by nie wypaść z auta. Serpentynami wspinamy się na przełęcz o wysokości 4000 m. Po półtora godzinie wjeżdżamy na „plac wiejski", po którym krzątą się gromada dzieci, osioł, kilka czarnych świnek, owiec i kur.

Kilkadziesiąt metrów powyżej, na małym szczycie, stoi ładna kapliczka, niestety w dosyć kiepskim stanie. Miejscowy katechista przypomniał mieszkańcom rozrzuconych po okolicznych zboczach domków glinianych, że będzie misjonarz. I zaczynają się schodzić. Jedna z podstawowych cnót misjonarza w Peru to cierpliwość! Schodzenie trwa około godziny. Ks. Henryk siada na pniu drzewa eukaliptusowego, a parafianie podchodzą, aby podać nazwiska zmarłych, za których ma być sprawowana Msza św. Trzech chłopów chce się spowiadać. Spowiedź ma miejsce za kaplicą, na stojąco. Śpiew podczas Mszy św. prowadzi katechista. Nie bardzo potrafią uczestniczyć. Zbyt rzadko przyjeżdża kapłan.

Jest też kandydat do chrztu – dwuletni Orlando. Mama ma jeszcze jedno niemowlę w chuście na plecach. Na pytanie, czy nie ochrzcić obie pociechy, pada odpowiedź: później! Serdecznie żegnani zjeżdżamy do doliny, aby następnie znów serpentynami wspiąć się w górę i dotrzeć do kolejnej wioski. Kaplica to właściwie szopa zbudowana z gliny. Dosyć długo czekamy, jest gorąco. Odmawiamy różaniec z kilkoma osobami. Okazuje się, że parafianie są gdzieś daleko na swoich biednych poletkach i nie zeszli, aby po wielu tygodniach spotkać misjonarza i uczestniczyć we Mszy św.

Nie zniechęcać się! To również przymiot, który musi posiadać misjonarz. Wiele godzin i przejechanych kilometrów w trudnych warunkach, zmęczenie, wyczerpanie, a efekt wydawałoby się nikły. Podziwiam ks. Henryka – nie narzeka, nie skarży się, nie wini tych ludzi. Jak mają mieć większe poczucie obowiązku i szacunku dla Najświętszej Ofiary, kiedy ksiądz tak rzadko przychodzi? Gdyby nas było więcej... Kiedy wyboistą drogą wracamy do Pampas jest ciemno. Modlimy się różańcem o powołania misyjne, a przede wszystkim o misjonarzy spośród Peruwiańczyków.

Każdy z księży opiekuje się wydzielonym regionem. Ks. H. Pocześniok jest proboszczem w Pampas oraz w 150 wioskach rozrzuconych na obszarze 1500 km^2, o łącznej liczbie 60 tys. mieszkańców. Jest 120 kaplic. Pomaga mu 20 katechistów. Ks. M. Trzeciak obsługuje 120 wiosek na obszarze 800 km^2, zamieszkałych przez 30 tys. ludzi. Parafia ks. N. Hermana obejmuje 50 wiosek na obszarze 500 km^2, z 13 tys. mieszkańców. Do 30 wiosek może dotrzeć jedynie pieszo. W żadnej wiosce nie ma jeszcze energii elektrycznej.

Księża mają do dyspozycji samochód terenowy (*Toyota* lub *Nissan*) z napędem na cztery koła. Szczególnie w porze deszczowej gliniaste podłoże jest bardzo niebezpieczne i wymaga takiego napędu oraz specjalnych opon. Samochody zostały zakupione za pieniądze niemieckiej organizacji misyjnej „Adveniat". Drogi są utwardzane, ale nie asfaltowane. Poruszać się można z szybkością do 20 km/godz., przy zjazdach do dolin nie wystarcza hamowanie silnikiem, trzeba ustawicznie mieć nogę na hamulcu. Stąd szybkie zużycie opon i tarcz hamulcowych. Od sprawności pojazdu w dużej mierze zależy życie.

Księża tworzą wspólnotę. Po powrocie z wypraw misyjnych do Pampas jest okazja dzielenia się radościami, doświadczeniami i troskami. Jest także możliwość korzystania z osiągnięć cywilizacji: prysznic, WC, posiłek mniej więcej według kuchni europejskiej, własny pokój z łóżkiem, telewizor. Problemem jest brak wody. Dlatego w ubiegłym roku wybudowano małą wieżę ciśnień. W ciągu nocy gromadzi się woda z miejskiego wodociągu i to starczy na dzień. Można pić wodę wyłącznie przegotowaną.

Na wysokości 3200 m i wyżej powietrze jest już bardzo rozrzedzone. Księża muszą uważać, aby nie szkodzić zdrowiu na skutek braku tlenu, by się nie zaziębić. W ciągu dnia jest gorąco, noce są zimne. Podobnie w dolinach jest parno, a na szczytach zimno. Trzeba przyjmować wiele płynów, bo powietrze jest jak na pustyni wysuszone.

Wierni żyją w trudnych i biednych warunkach górskich. Pola uprawiają albo ręcznymi kopaczkami, albo za pomocą drewnianego pługa ciągnionego przez parę wołów. Uprawiają przede wszystkim ziemniaki oraz kukurydzę. Hodują świnie, które się pasą uwiązane na sznurku, bogatsi mają owce i krowy oraz konia, a w wyższych partiach gór pasą z owcami lamy. Miesz-

kają w chatach wykonanych z ubitej gliny. Brak jest kominów. Gotują na otwartym ogniu w izbie, a dym uchodzi przez szpary pod więźbę dachową. Na ogół brak zrozumienia dla higieny. Następstwem są choroby przewodu pokarmowego, u dzieci zarobaczenie, a 70% osób starszych traci wzrok.

Instytucjonalna *Caritas* prowadzi szkolenia dla matek, utrzymuje skromną aptekę z lekarstwami oraz popiera różnego rodzaju projekty, które mają za zadanie pomóc ludności. Religijność Peruwiańczyków jest trudna do określenia. Niedzielę nie święcą przez wstrzymanie się od prac i udział we Mszy św. Pamiętają jednak, że trzeba się modlić za zmarłych. Przyniesienie dziecka do chrztu zależy od znalezienia chrzestnego. W każdej wiosce jest na ogół kaplica, często podobna raczej do szopy. Peruwiańczycy nie palą tytoniu, natomiast podobno zbyt wielu pije „samogon" lub piwo. Rodziny są wielodzietne. W Pampas na 8000 mieszkańców jest 3000 dzieci do lat 13-tu.

Praca naszych księży w Pampas, a więc w miejscu zamieszkania opolskich misjonarzy, duszpastersko jest prowadzona systematycznie: codzienna Msza Św., okazja do spowiedzi św., chrzty poprzedzone spotkaniami przedchrzcielnymi itp. Księża codziennie wyjeżdżają do wiosek, aby odprawić Mszę św., uczyć, rozmawiać z wiernymi. Częstotliwość pobytu jest bardzo różna, zależy od odległości i możliwości. Starają się wracać do „domu" w Pampas, ale nieraz trzeba być na wędrówce przez kilka dni. Aby być bliżej swoich wiernych oraz by nie trzeba było przemierzać dziesiątek kilometrów budują – ks. Marek i ks. Norbert – małe mieszkanie: pokój, kuchnia i łazienka. Pieniądze otrzymali z Niemiec oraz po 3 tys. dolarów amerykańskich z naszej kolędy misyjnej. Są wdzięczni za ten dar. Jeżeli chodzi o remonty kaplic, widać już wyraźny postęp.

Za chrzest *padrini* składają małą ofiarę pieniężną podobnie za Mszę św. To wystarcza na zakup żywności, częściowo na paliwo. Ważną rolę odgrywa katechista – człowiek, którego wierni sami wybierają i który winien troszczyć się o wszystkie sprawy religijne i kościelne w imieniu misjonarza – kapłana. Od poziomu, autorytetu i zaangażowania zależy bardzo wiele. Dlatego wszyscy katechiści zapraszani są co miesiąc do stacji centralnej w Pampas i przez dwa dni są szkoleni. Nocleg i wyżywienie otrzymują bezpłatnie, albowiem pełnią swoją funkcję społecznie. Nauczycielami religii są nauczyciele świeccy o różnym poziomie i stopniu zaangażowania. Oni również przygotowują dzieci do przyjęcia sakramentów.

W diecezjalnym seminarium kształci się dwóch kleryków – jeden po studiach filozoficznych, a drugi już po studiach teologicznych. Kiedy ten drugi otrzyma święcenia, nie wiadomo, bo miejscowy biskup ordynariusz boi się zbyt szybko podjąć decyzję. Dwunastu chłopców z Pampas jest w niższym seminarium. Nauka trwa tam 5 lat. Oprócz naszych księży pracuje w tych stronach Peru kilku kapłanów z diecezji tarnowskiej.

Ks. Wolfgang Globisch

Spis map i ilustracji

Spis map

1. Mapa nr 1. Peru – mapa polityczno-administracyjna
2. Mapa nr 2. Plan parcelacyjny części terenów Polsko-Amerykańskiego Syndykatu Kolonizacyjnego położonych w Peru
3. Mapa nr 3. Peru. Koncesja Polsko-Amerykańskiego Syndykatu Kolonizacyjnego. Plan sytuacji i komunikacji
4. Mapa nr 4. Peru – tereny polskich koncesyj

Spis ilustracji

Ilustracja nr 1. Pasterze lam w Peruwii
Ilustracja nr 2. Peruwianka w mancie
Ilustracja nr 3. Góral peruwiański
Ilustracja nr 4. Góral peruwiański
Ilustracja nr 5. Mieszkanka peruwiańskiej sierry (góralka)
Ilustracja nr 6. Indyanin z nad brzegów Ucayali (Peruwia)
Ilustracja nr 7. Indyanin z nad brzegów Ucayali
Ilustracja nr 8. Kolej żelazna w Andach peruwiańskich
Ilustracja nr 9. Główny plac „Plaza Mayor" w Limie
Ilustracja nr 10. Ogólny widok Limy
Ilustracja nr 11. Ulica peruwiańskiego miasta Takny

Bibliografia

Monografie i opracowania

„Peru". Referaty wygłoszone przez P. P. Dr. Ludwika Roehra i Edwarda Zawidowskiego na odczycie urządzonym przez Radę Stowarzyszenia Techników w Warszawie, dnia 30 czerwca 1928 r., Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Lwów 1928

Chile en los archivos soviéticos 1922-1991, [red.] Olga Ulianova, Alfredo Riquelme Segovia, T. 2: *Komintern y Chile 1931-1935*, Dirección de Bibliotecas, Archivos y Museos/Lom Ediciones, Santiago de Chile 2009

Chłapowski Franciszek, *Władysław Folkierski: wspomnienie pośmiertne*, Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Poznań 1904

Cushman Gregory T., *Guano and the Opening of the Pacific World. A Global Ecological History*, Cambridge University Press, Cambridge-New York 2013

Dudek Adam, *Poszukiwacze*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Katowice 1987

Encyklopedia polskiej emigracji i Polonii, [red.] Kazimierz Dopierała, T. 2, Oficyna Wydawnicza Kucharski, Toruń 2003

Encyklopedia polskiej emigracji i Polonii, [red.] Kazimierz Dopierała, T. 3, Oficyna Wydawnicza Kucharski, Toruń 2004

Gospodarcze i kolonizacyjne stosunki Peru ze specjalnem uwzględnieniem terenów koncesyjnych Polsko-Amerykańskiego Syndykatu Kolonizacyjnego we Lwowie, Drukarnia Księgarni Polskiej B. Połoniecki, Lwów 1930

Horvitz Leslie Alan, Catherwood Christopher, *Encyclopedia of war crimes and genocide*, Facts on File Inc., New York 2006

Idźcie na cały świat. Kapłani diecezji opolskiej na kontynentach świata, [red.] Stanisław Klein, Józef Urban, Redakcja Wydawnictw Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Opolskiego, Opole 2001

Jarzyna Adam, *Peru. Widoki dla osadnictwa rolnego na terenach polskich koncesyj*, B. Połoniecki, Lwów 1930

Jarzyna Adam, *Polityka emigracyjna*, Dom Książki Polskiej, Warszawa 1933

Jelski Konstanty, *Popularno-przyrodnicze opowiadania z pobytu w Gujanie francuzkiej i po części w Peru: (od roku 1865-1871)*, Drukarnia „Czasu" Fr. Kluczyckiego i Spółki, Kraków 1898

Klarner-Kosińska Izabela, *Polonia w Peru*, [w:] *Dzieje Polonii w Ameryce Łacińskiej*, [red.] Marcin Kula, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich, Wrocław 1983, s. 181-201

Kluger Władysław, *Listy z Peruwii i Boliwii*, Drukarnia „Czasu", Kraków 1878

Kluger Władysław, *Listy z Peruwii*, Drukarnia „Czasu", Kraków 1877

Legacies. An Encyclopedia of People Who Hanged the World. Government Leaders, Military Rulers, and Political Activists, [red.] David W. Del Testa, The Oryx Press, Westport 2001

Lepecki Mieczysław Bohdan, *Na Amazonce i we Wschodniem Peru*, KSIĄŻNICA-ATLAS. Zjednoczone Zakłady Kartogr. i Wydawnicze Tow. Naucz. Szkół Śr. i Wyż., Sp. Akc., Lwów-Warszawa, 1931

Lepecki Mieczysław Bohdan, *Opis polskich terenów kolonizacyjnych w Peru*, Naukowy Instytut Emigracyjny, Warszawa 1930

Los Polacos en el Perú, [red.] Kazimierz Kochanek, Editorial Salesiana, Lima 1979

Mazurek Jerzy, *Kraj a emigracja: ruch ludowy wobec wychodźstwa chłopskiego do krajów Ameryki Łacińskiej (do 1939 roku)*, Instytut Studiów Iberyjskich i Iberoamerykańskich Uniwersytetu Warszawskiego/Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego, Warszawa 2006

Oxiński Tomasz, *Peru*, Wydawnictwo Księgarni I. Rzepeckiego, Warszawa 1939

Piłatowicz Józef, *Stowarzyszenie Techników Polskich w Warszawie 1898-1939*, Cz. I: *1898-1918*, Federacja Stowarzyszeń Naukowo-Technicznych, Warszawa 1993

Piłatowicz Józef, *Stowarzyszenie Techników Polskich w Warszawie 1898-1939*, Cz. II: *Dwudziestolecie międzywojenne*, Federacja Stowarzyszeń Naukowo-Technicznych, Warszawa 1993

Somervill Barbara A., *Francisco Pizarro: Conqueror Of The Incas*, Compass Point Books, Minneapolis 2005

Tarkowski Radosław, *Konstanty Jelski (1837-1896). Przyrodnik i badacz Ameryki Południowej*, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Pedagogicznego, Kraków 2011

Urbański Edmund Stefan, *Sylwetki polskie w Ameryce Łacińskiej w XIX i XX wieku. Uczeni, literaci, artyści, kler i wojskowi*, Vol. I, ARTEX PUBLISHING INC., Stevens Point 1991

Urbański Edmund Stefan, *Sylwetki polskie w Ameryce Łacińskiej w XIX i XX wieku. Uczeni, literaci, artyści, kler i wojskowi*, Vol. II, ARTEX PUBLISHING INC., Stevens Point 1991

Warchałowski Kazimierz, *Peru. Warunki gospodarcze Montanji Peruwjańskiej*, „Kolonja Polska". Spółdzielnia Osadnicza z odpowiedzialnością udziałami w Warszawie, Warszawa 1930

Biblioteka Główna UMK
300048003337

Artykuły naukowe

Biernat Gertruda, *Roman Kozłowski* (1889-1977), „Rocznik Polskiego Towarzystwa Geologicznego. Annales de la Société Géologique de Pologne" 1977, T. XLVII/4, s. 643-648

Daszkiewicz Piotr, Tarkowski Radosław, *Listy Edwarda Habicha (1835-1909) do Ignacego Domeyki (1802-1889) ze zbiorów Biblioteki Polskiej w Paryżu*, „Kwartalnik Historii Nauki i Techniki" 2007, nr 52/2, s. 203-212

Dembicz Andrzej, *Witold Szyszłło (1881-1963)*, „Przegląd Geograficzny" 1965, T. XXXVII, Z. 1, s. 245-246

Konarska-Pabiniak Barbara, *Franciszek Ksawery Wakulski – polski inżynier w Peru*, „Notatki Płockie" 2011, nr 4/229, s. 8-14

Michaels Jennifer, *Ida Pfeiffer's Travels in the Dutch East Indies and Madagascar*, „Austrian Studies" 2012, Vol. 20, s. 60-74

Orłowski Bolesław, *Z badań nad biografią Aleksandra Miecznikowskiego*, „Kwartalnik Historii Nauki i Techniki" 1975, nr 20/3-4, s. 541-551

Artykuły prasowe

Kluger Władysław, *Dzisiejsza Peruwia*, „Wędrowiec" 1881, nr 251, s. 241-244

Kluger Władysław, *Dzisiejsza Peruwia*, „Wędrowiec" 1881, nr 252, s. 258-260

Kluger Władysław, *Dzisiejsza Peruwia*, „Wędrowiec" 1881, nr 253, s. 274-275

Kluger Władysław, *Dzisiejsza Peruwia*, „Wędrowiec" 1881, nr 254, s. 290-291

Kluger Władysław, *Dzisiejsza Peruwia*, „Wędrowiec" 1881, nr 255, s. 312-313

Kluger Władysław, *Dzisiejsza Peruwia*, „Wędrowiec" 1881, nr 256, s. 321-322

Kluger Władysław, *Dzisiejsza Peruwia*, „Wędrowiec" 1881, nr 257, s. 338-339

Kluger Władysław, *Dzisiejsza Peruwia*, „Wędrowiec" 1881, nr 258, s. 359

Kluger Władysław, *Dzisiejsza Peruwia*, „Wędrowiec" 1881, nr 260, s. 391-392

Kluger Władysław, *Dzisiejsza Peruwia*, „Wędrowiec" 1881, nr 261, s. 408-409

Ryn Zdzisław Jan, Lubiński Marek, *Biali bracia Indian*, rozmowę przepr. Anna Cichobłazińska, „Niedziela: tygodnik katolicki" 2012, nr 37, s. 36-37

Stowarzyszenie Techników w Warszawie. Sprawozdanie z działalności Stowarzyszenia Techników za rok 1913, „Przegląd Techniczny" 1914, nr 21, s. 273-283

Netografia

Kicinger Anna, *Polityka emigracyjna II Rzeczpospolitej*, Central European Forum for Migration Research, Warszawa 2005, s. 7-46, 69-71, http://www.cefmr.pan.pl/docs/cefmr_wp_2005-04.pdf

Kopeć Krzysztof, *II RP wobec problemu wychodźstwa. Regulacje prawne, kolonie, faktorie*, http://www.krzysztofkopec.pl/podstrony/historia/emigracja.html

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA w Toruniu

Biblioteka
Główna
UMK Toruń
1188086

Biblioteka Główna UMK
300048003337

ISBN 978-83-62097-53-1